NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ

ALEX KAVA

DOTYK ZŁA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Alex Kava

Dotyk zła

Tłumaczyła
Katarzyna Ciążyńska

PROLOG

Więzienie stanowe w Nebrasce
Lincoln, Nebraska
Środa, 17 lipca

– Pobłogosław mnie ojcze, bo zgrzeszyłem – zachrypiał jednostajnym głosem Ronald Jeffreys, jakby rzucał wyzwanie, a nie spowiadał się ze skruchą.

Ksiądz Stephen Francis wpatrywał się jak zahipnotyzowany w dłonie Jeffreysa, w jego grube kłykcie i krótkie palce z obgryzionymi do żywego mięsa paznokciami. Palce, którymi zwijał, czy raczej skręcał i zgniatał z całej siły, róg swojej niebieskiej więziennej bluzy. Stary ksiądz wyobraził sobie, jak te same palce w identyczny sposób zdusiły życie w małym Bobbym Wilsonie.

– Tak się zaczyna?

Ksiądz wzdrygnął się.

– Tak – odparł szybko.

Spocone dłonie przyklejały mu się do oprawionej w czarną skórę Biblii. Koloratka zacisnęła się na szyi. W więziennej celi śmierci nie było dość powietrza dla dwu mężczyzn. Zamykały ich szare betonowe ściany tego pudełka, w którym było tylko jedno maleńkie okno, teraz czarne z powodu nocy. Ostra woń zielonego pieprzu i cebuli

przyprawiała starego księdza o mdłości. Zerknął na resztki ostatniej kolacji Jeffreysa: kawałki pizzy i krople lepkiej oranżady. Nad okruchami sernika bzyczała mucha.

– Co dalej? – spytał Jeffreys, czekając na instrukcje.

Ksiądz Francis nie potrafił się skupić, kiedy Jeffreys wbijał w niego wzrok, a na zewnątrz, na więziennym parkingu, wył tłum. Okrzyki rosły w siłę wraz ze zbliżającą się północą. Alkohol lał się strumieniami. Ludzie urządzili sobie barbarzyński, wrzaskliwy piknik. To było chore.

– Smaż się, Jeffreys, smaż! – rozlegało się wciąż od nowa, powtarzane jak dziecięca rymowanka albo piosenka kibiców, której szaleńcza i przerażająca melodia natychmiast wpada w ucho.

Jeffreys zdawał się całkowicie na nią odporny.

– Nie pamiętam, co dalej.

– Tak, co dalej? – Ksiądz Francis miał pustkę w głowie. Spowiadał od pięćdziesięciu lat i naraz nic nie wiedział. – Twoje grzechy – wykrztusił wreszcie, pokonując ściskanie w gardle. – Wyznaj swoje grzechy.

Teraz Jeffreys zawahał się. Zdążył już wystrzępić brzeg swojej koszuli, owinął nitkę wokół palca wskazującego tak ciasno, że czubek palca mocno poczerwieniał. Ksiądz ukradkiem spojrzał na mężczyznę rozpartego na krześle z prostym oparciem. Więzień w niczym nie przypominał człowieka z prasowych fotografii ani telewizyjnych migawek. Z ogoloną głową i brodą zdawał się bezbronny niczym psotny dzieciak, bo nikt by mu nie dał dwudziestu sześciu lat. Po sześciu latach spędzonych w celi śmierci był

dużo tęższy, wciąż jednak miał w sobie coś chłopięcego. Księdzu zrobiło się nagle smutno, że ta młoda twarz nie doczeka się zmarszczek. Wtedy Jeffreys podniósł na niego swoje lodowato błękitne oczy. Jak szkło, które kaleczy. Puste i przezroczyste. Tak, tak właśnie wygląda zło, pomyślał ksiądz, zamrugał i odwrócił głowę.

– Synu, wyznaj mi swoje grzechy – powtórzył, żałując, że głos tak mu się trzęsie. Ledwo oddychał, jakby więzień umyślnie zawłaszczył całe powietrze tej klitki. Odchrząknął i powiedział: – Grzechy, za które szczerze żałujesz.

Jeffreys popatrzył na niego. Potem ni stąd, ni zowąd zaśmiał się. Ksiądz Francis podskoczył na krześle, na co Jeffreys zareagował jeszcze głośniejszym śmiechem. Ksiądz przyglądał się skazańcowi, ściskając w drżących dłoniach Biblię. Czemu upierał się, żeby strażnik zdjął więźniowi kajdanki? Przecież nawet Bóg nie uratuje głupca. Krople potu spływały po plecach kapłana. Chciał uciec, zanim Jeffreys zda sobie sprawę, że jeszcze jedno morderstwo i tak nie odmieni jego losu. Przypomniał sobie, że drzwi są zamknięte od zewnątrz.

Tymczasem Jeffreys przestał się śmiać równie nagle, jak zaczął. Na moment zapadła cisza.

– Jesteś taki jak inni – stwierdził Jeffreys. Pokazał w uśmiechu drobne ostre zęby z dłuższymi siekaczami. – Czekasz tylko, żebym przyznał się do czegoś, czego nie zrobiłem. – Gwałtownymi ruchami pruł brzeg koszuli. Ten dźwięk działał na nerwy.

– Nie rozumiem. – Ksiądz Francis podniósł rękę, żeby poluzować koloratkę, i zaniepokojony przekonał się, że ręce wciąż mu drżą. – Wydawało mi się, że sam prosiłeś o księdza. Że chciałeś się wyspowiadać.

– Taa... tak, chciałem. – Znowu ten monotonny ton. Jeffreys zawahał się na krótki moment. – Zabiłem Bobby'ego Wilsona – rzekł tak spokojnie, jakby zamawiał jedzenie na wynos. – Położyłem ręce... palce na jego szyi. Najpierw jakoś tak zacharczał, jakby miał knebel, a potem już nic. – Mówił cicho i beznamiętnie, niemal chłodno, jak gdyby powtarzał wyćwiczoną wcześniej mowę. – Prawie się nie rzucał. Ledwo co. Chyba wiedział, że umrze. Nie walczył. Nawet kiedy go pieprzyłem. – Zrobił pauzę, sprawdzając reakcję księdza, szukając na jego twarzy zgrozy i uśmiechając się, gdy ją spostrzegł. – Zaczekałem, aż umrze, i dopiero potem go pociąłem. Raz i drugi, i znowu. No i jeszcze raz go pieprzyłem. – Przekrzywił głowę, jakby nagle coś mu przeszkodziło. Czyżby wreszcie dotarły do niego radosne okrzyki zza murów więzienia?

Ksiądz Francis czekał. A może Jeffreys usłyszał łomotanie jego serca, które zdradzało go podobnie jak ręce? Zupełnie jak u Edgara Allana Poe.

– Już raz się spowiadałem – ciągnął skazany. – Zaraz jak to się stało, ale tamten ksiądz... No, zdziwił się trochę, nie? Teraz spowiadam się Panu Bogu, rozumiesz? Wyznaję, że to ja zabiłem Bobby'ego Wilsona. – Wciąż strzępił materiał szybkimi, nerwowymi ruchami. – Ale tamtych dwóch nie zabiłem. Słyszysz? – Jego głos wyrósł ponad monotonny

rytm. – Nie zabiłem żadnego Harpera ani Paltrowa. – Cisza. Głupi uśmiech na twarzy Jeffreysa. – Bóg to wie. Tak, proszę księdza?

– Bóg zna prawdę – odparł ksiądz Francis, który nie wytrzymał lodowatego spojrzenia błękitnych oczu i znów szybko się odwrócił. Jeszcze ujawniłoby się jego własne poczucie winy.

– Chcą mnie zabić, bo uważają mnie za seryjnego mordercę – rzucił Jeffreys przez zaciśnięte zęby. – Zabiłem Bobby'ego Wilsona i miałem z tego frajdę. Może nawet zasłużyłem sobie tym na śmierć. Ale Bóg wie, że nie tknąłem tamtych dwóch chłopców. I że gdzieś tam, proszę księdza, na wolności jest ten potwór. – Ponownie skrzywił usta w uśmiechu. – A jest dużo gorszy ode mnie.

W korytarzu zaszczękał metal. Ksiądz Francis zadygotał, Biblia wylądowała na podłodze. Jeffreys nie śmiał się już. Spojrzeli sobie w oczy. Żaden z nich nie podniósł świętej księgi. Może idą po Jeffreysa, pomyślał ksiądz. Ale chyba jeszcze za wcześnie, chociaż nikt nie spodziewał się odroczenia wyroku.

– Żałujesz za swoje grzechy? – wyszeptał spowiednik, jakby znalazł się z powrotem w swoim bezpiecznym konfesjonale w kościele św. Małgorzaty.

Tak, wyraźnie zbliżały się jakieś kroki. A więc już czas. Jeffreys siedział jak sparaliżowany, wsłuchując się w klik, klak maszerujących obcasów, z każdą chwilą bliższe.

– Żałujesz za swoje grzechy? – powtórzył ksiądz z większym naciskiem, prawie jak rozkaz. Dobry Boże,

ledwie da się oddychać. Okrzyki na parkingu brzmiały coraz donośniej, przeciskając się przez zamknięte szczelnie okno.

Jeffreys wstał. I znowu wymienili spojrzenia. Dźwięk otwieranych krat odbijał się echem o betonowe ściany. Więzień zadrżał, ale zaraz się uspokoił i wyprostował. Boi się? Ksiądz Francis szukał odpowiedzi w jego oczach, ale stalowy błękit był nieprzenikniony.

– Czy żałujesz za swoje grzechy? – spróbował ponownie, nie mogąc dać rozgrzeszenia bez odpowiedzi na to pytanie.

Drzwi otworzyły się, wysysając z pomieszczenia resztki powietrza. Zablokowali je barczyści strażnicy.

– Już czas – oznajmił jeden z nich.

– Czas na przedstawienie. – Usta Jeffreysa skrzywiły się na zaciśniętych zębach. Jego wzrok był ostry i czysty, ale pusty. Skazaniec odwrócił się do trzech mundurowych i wyciągnął przed siebie ręce.

Ksiądz Francis zadrżał na trzask kajdanek. Potem słyszał już tylko dobiegający z korytarza stukot obcasów, któremu towarzyszyło beznadziejne szuranie.

Nieświeży powiew wtargnął przez otwarte drzwi i ochłodził mokrą, lepką skórę księdza. Po plecach przeszły mu ciarki. Chwytał łapczywie powietrze krótkimi astmatycznymi wdechami, aż poczuł w płucach lekkość, która zastąpiła bolesny ucisk.

– Boże, dopomóż Ronaldowi Jeffreysowi – szepnął nie wiadomo do kogo.

Dobrze przynajmniej, że nieszczęśnik powiedział mu prawdę. Nie zabił tamtych chłopców. Ksiądz Francis wierzył w to, jednak wcale nie dlatego, że przed chwilą o tym usłyszał. Wiedział to, bo trzy dni wcześniej potwór bez twarzy, który zamordował Aarona Harpera i Erica Paltrowa, wyznał mu to przez czarną drucianą siatkę konfesjonału u św. Małgorzaty. Tajemnica spowiedzi nie pozwalała księdzu przekazać tej informacji żywej duszy.

Nawet Ronaldowi Jeffreysowi.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pięć mil za Platte City w stanie Nebraska
Piątek, 24 października

Nick Morrelli byłby szczerze zadowolony, gdyby leżąca pod nim kobieta nie była tak bardzo wypacykowana. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że to idiotyczne. Wsłuchiwał się w jej ciche, kocie pojękiwania. Jak kot ocierała się o niego, przesuwając gładkie uda w górę i dół jego tułowia. Była więcej niż chętna, ale on nie mógł myśleć o niczym innym, jak tylko o niebieskim cieniu rozmazanym na jej powiekach. Nawet w ciemności kolor pozostał wyryty w jego umyśle niczym fluorescencyjna, świecąca po ciemku farba.

– Kochanie, masz takie twarde mięśnie – mruczała mu do ucha, sunąc długimi paznokciami po jego ramionach i plecach.

Sturlał się z niej, kiedy uświadomił sobie, że wcale nie ze wszystkim jest taki twardy. Co się z nim dzieje? – zmartwił się. Trzeba się skoncentrować. Polizał jej ucho, potarł nosem szyję i przeniósł się niżej, tam, gdzie naprawdę chciał się dostać. Instynktownie jego usta odnalazły jej pierś. Pokrył ją wilgotnymi pocałunkami. Jęczała już wtedy, gdy nie dotarł nawet do jej sutka. Uwielbiał te kobiece dźwięki, owe krótkie westchnienia i niskie jęki. Poczekał na

nie, a potem dopiero zajął się sutkiem. Kobieta wygięła się, zadrżała. Położył się na niej, odbierając całym ciałem jej dreszcze. Zazwyczaj to wystarczało, żeby mógł się kochać, lecz tej nocy nic nie działało.

Jezu, a może to już koniec? – przeraził się nie na żarty. Niemożliwe, jest za młody na takie problemy. No, cztery latka do czterdziestki...

Kiedy zaczął tak pilnie mierzyć tę odległość od czterdziestki?

– Nie przestawaj, kochanie.

Nawet nie wiedział, że przestał. Kobieta stękała niecierpliwie, zmysłowym rytmem powoli poruszała udami. Tak, ona była gotowa. A on przeciwnie. Żeby przynajmniej chociaż raz powiedziała do niego po imieniu, a nie te: „dziecinko”, „kochanie”, „ciasteczko” i takie tam bzdury. Czy kobiety też boją się, że wypsnie im się przez pomyłkę niewłaściwe imię?

Zacisnęła palce na jego krótkich gęstych włosach, mocno szarpnęła. Zabolało tak, że aż się zdziwił. Potem przyciągnęła znów jego twarz do swoich piersi. W półmroku dostrzegł, że trójkąt opalonej skóry między jej piersiami jest skrzywiony. Wierzchołek trójkąta zachodził pod jej pierś. Co z nim jest? Pragnie go piękna blondynka. Dlaczego nie podnieca go jej pełne pożądania oczekiwanie? Musi się skupić. Jakieś to wszystko rutynowe, mechaniczne. No nic, pomoże sobie na razie palcami i językiem, nie może przecież zupełnie stracić twarzy.

Zsunął się w dół jej ciała, obdarzając ją po drodze pocałunkami i pieszczotami. Jej ciało wiło się pod jego dotykiem, a oddech już teraz był szybki i urywany, zanim gwałtownie szarpnął zębami koronkę majteczek. Całował właśnie wnętrze jej uda, gdy przerwał mu nieoczekiwany dźwięk. Wyprostował się, żeby usłyszeć coś spod kołdry.

– Nie przerywaj, proszę – jęczała, ciągnąc go z powrotem.

Znowu to samo. Jakiś łomot. Ktoś był pod drzwiami.

– Zaraz wracam. – Delikatnie odsunął jej ręce i wytoczył się z łóżka, uwalniając się z pościeli, i o mały włos się nie przewrócił. Wciągnął dżinsy i spojrzał na zegar. Była dziesiąta trzydzieści sześć w nocy.

Ciemność mu nie przeszkadzała, znał na pamięć każdą szczelinę w drewnianych schodach. Szedł na palcach, choć jego rodzice nie bywali już w starym wiejskim domu od ponad pięciu lat.

Stukanie do drzwi stawało się coraz głośniejsze i natarczywsze.

– Chwileczkę – zawołał zniecierpliwiony, chociaż i zadowolony z niespodziewanego obrotu spraw.

Otworzył. Stał przed nim syn Hanka Ashforda. Rozpoznał go bez trudu, mimo iż nie pamiętał jego imienia. Chłopak mógł mieć jakieś szesnaście, siedemnaście lat, był świetnie zbudowany. Pewnie jest pomocnikiem w drużynie futbolowej, pomyślał Nick. Teraz, z rękami w kieszeniach i oszalałym wzrokiem na bladej twarzy, przygarbiony stał na ganku. Drżał, a na jego czole perlił się pot.

– Szeryfie, musi pan pojechać... na Old Church Road... proszę, musi pan...

– Był wypadek? – Ostre nocne powietrze kłuło skórę Nicka, ale było to przyjemne.

– Nie... nie o to chodzi... O Chryste, szeryfie, to okropne. – Chłopak odwrócił się w stronę samochodu. Nick zauważył dziewczynę na przednim siedzeniu. Oślepiało go światło reflektorów, ale i tak widział, że dziewczyna płacze.

– Co się stało? – zapytał, na co chłopak rozpoczął niemy taniec, machając rękami i przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę.

Cóż to znowu za głupia gra? Miał tego dość. Te rozwydrzone małolaty stanowczo za bardzo sobie pozwalały. W poprzednim tygodniu, w noc przed jego powrotem do domu, grupa chłopców zabawiała się dwoma traktorami Jake’a Turnera. Przegrany przewrócił się do wypełnionego deszczem rowu. Miał szczęście, że skończyło się na złamanych żebrach i zakazie gry w dwóch meczach. Co to za kara?!

– Co tym razem, u diabła? – ryknął Nick na trzęsącego się pomocnika.

– Znaleźliśmy... przy Old Church Road... chcieliśmy, no, pospacerować... i w wysokiej trawie... o Boże, znaleźliśmy... znaleźliśmy ciało.

– Ciało? – Nick nie mógł uwierzyć. – To znaczy trupa?

Chłopiec przytaknął ze łzami w oczach. Przetarł twarz koszulką i spojrzał najpierw na szeryfa, potem na swoją dziewczynę i znów na szeryfa.

– Zaczekaj.

Nick wszedł do środka, drzwi zatrzasnęły się za nim. Pewnie im się zdawało, pomyślał. Albo ktoś się pospieszył z Halloween. Balowali gdzieś. Są pijani. Wciągnął skarpety, buty, zabrał koszulę z kanapy. Był zły, kiedy uprzytomnił sobie, że zapina guziki trzęsącymi się dłońmi.

– Nick, kto to?

Głos z góry schodów przestraszył go. Z tego wszystkiego kompletnie zapomniał o Angie. Wstała, jej długie, jasne, potargane włosy fruwały wokół ramion. Ubrała się w jego podkoszulek, łagodne światło z korytarza przeświecało przez cienki materiał. Nick podniósł wzrok. Piękna, chętna blondynka i cała noc do dyspozycji... Już nie. Był wściekły, że za chwilę opuści Angie.

– Muszę coś sprawdzić.

– Coś się stało?

Była bardziej zaciekawiona niż zmartwiona. Szuka tematu do plotek przy porannej kawie w „Wanda’s Diner”, pomyślał.

– Nie wiem.

– Znaleźli syna Alvereza?

Jezu, jakoś mu to nie wpadło do głowy. Chłopiec zaginął w sobotę, przepadł jak kamień w wodę, nie zdążył nawet rozwieźć gazet.

– Raczej nie – rzekł Nick.

Nawet ci z FBI byli przekonani, że najprawdopodobniej była to sprawka ojca chłopca, którego właśnie starali się zlokalizować. Zwyczajna walka o prawa rodzicielskie, żaden

tam krwawy dramat. A teraz Nick miał do czynienia z równie zwyczajnym wygłupem nastolatków.

– To może trochę potrwać, ale zostań, proszę.

Chwycił kluczyki do swojego dżipa. Ashford siedział na schodkach z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Chodźmy. – Nick lekko szarpnął bawełnianą koszulkę chłopca i pociągnął go do góry. – Pojedziecie oboje ze mną.

Nick żałował, że nie zdążył włożyć bielizny. W szoferce zrobiło się ciasno, sztywny dżinsowy materiał ocierał go przy każdym sięgnięciu po sprzęgło. Co gorsza, Old Church Road pełna była dziur i kolein po zeszłotygodniowych ulewach. Wyrywany przez koła żwir podskakiwał i obijał się o podwozie samochodu, który przemieszczał się z jednej strony drogi na drugą, unikając największych dołów.

– Co was sprowadziło na to odludzie? – zapytał Nick i natychmiast sam znalazł odpowiedź. Nie miał już siedemnastu lat, ale dobrze pamiętał, na czym polega atrakcyjność starej, nieuczęszczanej drogi. – Nieważne – dodał, nie dając im czasu na odpowiedź. – Pokierujcie mnie tylko.

– Jeszcze jakieś półtora kilometra, zaraz za mostem. Wzdłuż rzeki biegnie polna droga.

– Dobra.

Zauważył, że Ashford przestał się jąkać. Może powolutku trzeźwiał. Dziewczyna, która siedziała między nimi, nie otworzyła ust.

Nick zwolnił, kiedy dżip wpakował się na drewniany mostek. Zobaczył polną drogę, zanim Ashford mu ją

pokazał. Zakołysali się i zjechali na zakurzony trakt, który składał się głównie z kolein wypełnionych błotnistą wodą.

– Mam jechać do tamtych drzew? – Nick spojrzał na chłopca, który skinął głową, patrząc przed siebie. Kiedy zbliżyli się do osłoniętej drzewami polany, dziewczyna schowała twarz w koszulce Ashforda.

Nick zatrzymał się i wyłączył silnik, ale zostawił światła. Sięgnął po latarkę do schowka na rękawiczki.

– Tamte drzwi się zacinają – powiedział. Młodzi wymienili spojrzenia. Było jasne, że żadne z nich nie miało zamiaru wysiąść.

– Nie mówiłeś, że będziemy musieli znowu to oglądać – szepnęła dziewczyna do Ashforda, czepiając się jego ramienia.

Nick trzasnął drzwiami. Echo przecięło ciszę. Całe kilometry wokół nie było kompletnie nic. Żadnego ruchu, żadnych świateł w oknach. Zdawało się, że nawet zwierzęta nocne zasnęły. Stał obok samochodu i czekał. Chłopiec spojrzał mu w oczy, lecz ani drgnął. Nick nie naciskał, tylko skierował latarkę na brzeg rzeki. Światło przenikało przez gęste zarośla, przelotnie wydobywając z ciemności płynącą wodę. Ashford powiódł wzrokiem za światłem. Zawahał się, popatrzył na Nicka i skinął głową.

Wybujałe trawy smagały kolana Nicka, przykrywając zdradliwe błoto, w którym tonęły jego stopy. Jezu, było naprawdę ciemno. Nawet pomarańczowy księżyc skrył się za zasłoną z chmur. Liście szeleściły złowieszczo. Nick rozejrzał się, przerzucając światło latarki z drzewa na

drzewo. Wtem coś się poruszyło. Tam, w krzakach? Przysiągłby, że ze światła nagle wychylił się cień. A może ponosi go wyobraźnia? – pomyślał.

Wytężył wzrok, żeby w ogóle coś wypatrzyć w gęstwinie. Wstrzymał oddech i nasłuchiwał. Nic. Może wiatr. Słuchał dalej i zdał sobie sprawę, że noc jest bezwietrzna. Zaskoczył go nagły dreszcz. Pomyślał, że powinien był wziąć kurtkę. To jakieś szaleństwo. Nie jest frajerem, który pozwala robić z siebie durnia młodocianym dupkom. Im szybciej skończy te poszukiwania, tym wcześniej znajdzie się z powrotem w swoim ciepłym łóżku.

Kiedy zbliżył się do rzeki, jego kroki zaczęły wydawać pluskający dźwięk. Poruszał się z trudem, wyciągał jedną stopę i ostrożnie stawiał drugą, żeby się nie pośliznąć. Dla jego nowych butów ten spacer był rujnujący. Czuł już, że ma przemoczone stopy. Bez skarpetek, bielizny, bez kurtki. Ależ się wybrał.

– Cholera – mruknął. – Lepiej byłoby dla nich, gdyby okazało się to prawdą. – Wpadłby w szał, gdyby grupka wyrostków próbowała zabawiać się z nim w chowanego. Ostro dobrałby się pętakom do skóry.

Strumień światła wyłowił z błota coś błyszczącego. Tuż przy wodzie. Nick wbił wzrok w to miejsce i przyspieszył. Już prawie tam był, niemal wyszedł z wysokiej trawy. Nagle zachwiał się. Stracił równowagę i padł ciężko, opierając się na łokciach. Latarka wypadła mu z ręki i poleciała do wody, spiralny tunel światła sięgnął dna.

Nick zignorował ból. Oblepiony wsysającym go błotem, zdołał nieco się unieść. Poczuł smród, coś więcej niż zaduch rzecznej wody. Srebrny przedmiot leżał na wyciągnięcie ręki. Teraz Nick widział już, że to wisiorek w kształcie krzyża. Łańcuszek był zerwany, jego fragmenty rozrzucone w błotnej mazi.

Obejrzał się, żeby sprawdzić, o co się potknął. Na pewno o coś solidnego. Spodziewał się, że to zwalone drzewo. Niestety. Niecały metr od niego leżało drobne, blade ciało ułożone w błocie i liściach.

Nick z trudem stanął na nogi. Miał miękkie kolana, żołądek podszedł mu do gardła. Już wiedział, już nie miał wątpliwości. Ashford i jego dziewczyna nie okłamali go. Zapach był teraz mocniejszy, wypełniał powietrze, wpadając w nozdrza. Nick powoli zbliżył się do ciała, jakby nie chciał obudzić leżącego chłopca, który wyglądał właśnie tak, jakby spał, chociaż otwarte szeroko oczy wpatrywały się w gwiazdy. Potem Nick zobaczył poderżnięte gardło i okaleczoną klatkę piersiową, wielokrotnie pociętą, z oderwanymi płatami skóry. W tym momencie jego żołądek nie wytrzymał, kolana też.

ROZDZIAŁ DRUGI

„Wystarczy jedno zepsute jabłko” – wystukała Christine Hamilton na klawiaturze, po czym natychmiast skasowała tekst. Chyba nigdy nie skończy tego artykułu. Zerknęła na zegar w korytarzu, ów świetlny drogowskaz w ciemnym tunelu. Dochodziła jedenasta. Dzięki Bogu, że Timmy nocował u kolegi.

Portier znowu wyłączył lampy w korytarzu. Wymowna wskazówka, jak poważano dział „Życie codzienne”. Jednak nie tylko Christine pracowała do tak późnej pory. Światło sączyło się spod drzwi pokoju redakcji informacyjnej. Nawet z tej odległości słychać było telefony i faksy pracujące pełną parą. Po drugiej stronie tamtych drzwi sześciu reporterów i wydawców żłopało kawę i wypluwało z siebie najnowsze wiadomości. Po tamtej stronie drzwi rodziło się życie, a ona biedziła się nad szarlotką.

Otworzyła teczkę z wycinkami i przeglądała notatki i przepisy. Ponad sto sposobów krojenia jabłek, pieczenia i przygotowywania jabłkowej masy. Naprawdę obchodziło ją to tyle co nic. Chyba jej się rozum zasuszył, pomyślała, zużył się na gorących potrawach z pomidorów i podstępnej walce o to, by wprowadzić do rodzinnej diety surowe warzywa. Christine wiedziała, że jej pióro rdzewieje, co zawdzięczała głupiemu uporowi Bruce’a, który zawzięcie

udowadniał, kto w tej rodzinie nosi spodnie. Szkoda, że dupek nie potrafi ich na sobie utrzymać.

Zamknęła teczkę i szurnęła nią przez biurko, a potem patrzyła, jak spada, jak wycinki zaścielają sfatygowane linoleum. Jak długo jeszcze to wytrzyma? A raczej jak długo jeszcze będzie ją to bolało? Dlaczego wciąż boli jak diabli? W końcu minął już rok.

Odsunęła się od biurka i wsadziła palce w gęste jasne włosy. Wymagały przycięcia. Starała się pamiętać, po jakim czasie pojawiają się odrosty. Farbowane włosy były dla niej ciągle czymś nowym. Zrobiła sobie taki prezent z okazji rozwodu. Na początku była bardzo zadowolona. Poznała, jak się czuje kobieta, za którą oglądają się na ulicy. Musi na stałe wpisać fryzjera do swojego kalendarza. Planowała przecież wszystko.

Zlekceważyła zakaz palenia w budynku i wyjęła papierosa. Zaciągnęła się, czekając, aż nikotyna przyniesie jej ukojenie. Zanim wypuściła dym, usłyszała trzask drzwi. Zgniotła papierosa na talerzyku deserowym, na którym urosła już góra poplamionych szminką niedopałków, za duża jak na kogoś, kto próbuje wyzwolić się z nałogu. Chwyciła talerz, szukając, gdzie by go ukryć, machała energicznie, żeby rozwiać dym. W panice wepchnęła talerz pod biurko. Kamionkowe naczynie zastukało w metalowy mebel, kiedy Pete Dunlap wszedł do pokoju.

– Hamilton. Dobrze, że jesteś. – Przetarł ręką steraną twarz, nieskutecznie starając się przepędzić zmęczenie. Pete pracował w „Omaha Journal” już prawie pół wieku,

zaczynając od gońca. I choć miał siwe włosy, dwuogniskowe szkła i artretyzm w rękach, należał do nielicznych, którzy mogliby sami wydawać gazetę, bo poznał wszystkie jej działy.

– Brak weny. Mózg mi się zatkał. – Uśmiechnęła się, próbując wyjaśnić, dlaczego siedzi do tej pory w pracy. Odetchnęła, kiedy okazało się, że w drzwiach stanął Pete, a nie Charles Schneider, który zazwyczaj był nocnym wydawcą i który komenderował redakcją jak nazistowski dowódca oddziału szturmowego.

– Bailey dzwonił, że jest chory. Russell kończy pisać o seksualnych ekscesach kongresmana Neale'a. A Sancheza wysłałem na pięćdziesiątkę, trzy wozy się zderzyły. Coś się dzieje nad rzeką, przy Old Church Road w hrabstwie Sarpy. Ernie próbował wyłowić coś przez radio, ale to niewiele, a tam pędzi cała chmara wozów policyjnych. Może jakieś podpite dzieciaki bawią się znowu traktorami swoich tatusiów. Wiem, że nie jesteś w informacjach, Hamilton, ale mogłabyś tam zajrzeć?

Christine ledwo powstrzymała wybuch entuzjazmu. Z trudem ukryła uśmiech. Wreszcie ma szansę na prawdziwą robotę, nawet jeśli to tylko banda podchmielonych wyrostków.

– Ozłocę cię, jak to dla mnie zrobisz. – Pete fałszywie odczytał jej minę.

– Dobra. Chyba mogę to dla ciebie zrobić. – Starannie dobrała słowa, podkreślając, że robi mu przysługę. Była

w zespole od roku, ale wiedziała już, że przysługi są szybszą drogą do awansu niż talent.

– Pojedź międzystanową, bo pięćdziesiątka jest zakorkowana przez ten wypadek. Z trzysta siedemdziesiątej drugiej skręcisz w autostradę sześćdziesiątą szóstą. Old Church Road jest jakieś dziesięć kilometrów na południe od sześćdziesiątej szóstej.

Omal mu nie przerwała. Dobrze znała Old Church Road, jeździła nią jako nastolatka. Ale jedno potknięcie mogło pozbawić ją roboty, a nie chodzi o to, żeby popisywać się wiejskimi korzeniami. Notowała więc pilnie wskazówki.

– Wróć tu przed pierwszą, żebyśmy zdążyli wsadzić kilka zdań do porannego wydania.

– Zdążę. – Przerzuciła torebkę przez ramię i o mało nie zaczęła skakać, idąc korytarzem.

– Gdyby Russell potrafił pisać choć w połowie tak szybko, jak gada, byłbym szczęśliwym człowiekiem – usłyszała jeszcze narzekania Pete’a.

Na ciemnym parkingu zakręciła się w kółko i krzyknęła do betonowych ścian:

– Teraz ja!

Ma szansę przedrzeć się na drugą stronę drzwi, żeby uwolnić się od przepisów kulinarnych i domowych anegdotek. Przejść do czegoś prawdziwego. Do informacji. Cokolwiek dzieje się nad rzeką, ona zrobi z tego mrożący krew w żyłach dramat. A jeśli nie znajdzie tam żadnej historii… cóż, dobry reporter zawsze czegoś się dokopie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Przedzierał się przez gałęzie, które w mrocznej ciszy eksplodowały pod jego butami. Śledzili go? Byli blisko? Nie śmiał się obejrzeć. Nagle pośliznął się na błotnistym podłożu, zachwiał i zjechał z brzegu, wpadając po kolana w lodowatą wodę. W panice machał rękami i nogami, rozpryskująca się woda dudniła w jego uszach jak trzaski pioruna. Upadł na kolana, zapadając się w mule, aż wzburzona rzeka sięgnęła mu do brody. Prąd napierał gwałtownie, wściekle nim ciskał we wszystkie strony, jakby chciał na powrót pchnąć go tam, skąd właśnie uciekł.

Drętwiał od zimnej wody. Gdyby mógł choć swobodnie oddychać. Chwytał łapczywie powietrze, bolało go w piersiach i kłuło w boku. Oddychaj, rozkazał sobie, kiedy zaczął się dusić. Dostał czkawki, połknął wielki haust rzecznej wody, po czym krztusząc się i dławiąc, wypluł, ile tylko zdołał.

Nie widział już świateł. Pomyślał, że pewnie zdołał uciec wystarczająco daleko. Wytężał słuch, starając się wyłowić każdy dźwięk.

Nikt za nim nie biegł, nie szczekały psy, nie warczały silniki. A przecież ten facet z latarką był tuż-tuż. Czy to możliwe, żeby nie dostrzegł go, jak kulił się w trawie? Tak, nie ulegało wątpliwości, że nikt go nie ścigał.

Nie powinien był tam zjawiać się tej nocy. To stało się głupim zwyczajem, niepotrzebnym ryzykiem, cudownym uzależnieniem, duchową erekcją. Pomimo zimnej wody zalał go palący jak gorąca lawa wstyd. Nie powinien był przychodzić. Ale w końcu nikt go nie widział. Nikt go nie śledził. Był bezpieczny. No i teraz nareszcie również chłopiec był bezpieczny.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Stęchły smród przykleił się do Nicka. Morrelli najchętniej wypełzłby ze swojego ubrania, ale na nic by się to zdało, bo zapach rzeki i krwi wsiąkł już w pory jego skóry. Zdjął koszulę i podziękował Bobowi Westonowi z FBI za firmową wiatrówkę. Jej rękawy kończyły się kilkanaście centymetrów nad nadgarstkami Nicka, materiał ciasno opinał pierś. Zamek błyskawiczny zaciął się w połowie. Nick zdawał sobie sprawę, że wygląda i śmierdzi jak kutafon. Jego podejrzenia potwierdziły się, kiedy zobaczył Eddiego Gillicka, jednego ze swoich zastępców, który przeciskał się przez tłum agentów FBI i policji mundurowej, żeby podać Nickowi mokry ręcznik.

Sceneria przypominała przygotowania do Halloween. Spośród gałęzi wyglądały oślepiające reflektory. Żółta taśma trzepotała wokół drzew. Trzask i dym ognisk mieszały się z koszmarnym odorem śmierci. A w środku tej makabrycznej sceny leżało drobne, trupio blade ciało chłopca śpiącego w trawie.

W ciągu dwóch lat na stanowisku szeryfa Nick Morrelli wyciągnął trzy trupy z rozbitych samochodów. Adrenalina wymazała z pamięci plątaninę metalu i ludzkich ciał. Jeden jedyny raz widział ranę postrzałową, właściwie lekkie draśnięcie, kiedy ktoś, popijając whiskey, czyścił sobie broń.

Powstrzymał wiele bójek, odnosząc drobne obrażenia. Jednak absolutnie nie był przygotowany na coś podobnego.

– Są już z Kanału Dziewiątego. – Gillick wskazał na światła kolejnych samochodów podskakujących na drodze. Jaskrawopomarańczowa dziewiątka na wozie połyskiwała w ciemności.

– Cholera. Jak to zwęszyli?

– Nadstawiają uszu. Pewnie nie mają pojęcia, o co dokładnie chodzi.

– Niech Lloyd i Adam trzymają ich możliwie najdalej od tych drzew. Żadnych kamer, wywiadów, podglądaczy. To samo dotyczy reszty tych szakali, jak się tu zjawią.

Tego mu tylko brakowało, żeby w porannej prasie pokazano jego zdjęcie w idiotycznej kurtce i zabłoconych dżinsach, ujawniające całemu stanowi brak kompetencji szeryfa Morrellego.

– No, świetnie. Następny pieprzony ślad opon – rzucił Weston do agentów, którzy na kolanach pracowali w błocie, ale spojrzał też na Nicka, by go upewnić, że komentarz przeznaczony jest dla niego.

W Nicku aż się zagotowało, ale zrezygnował z riposty i odszedł. Weston nie ukrywał, że uważa Nicka za małomiasteczkowe zero. Deptali sobie po piętach od niedzieli, kiedy to Danny Alverez zniknął bez śladu, zostawiając nowiusieńki rower i torbę pełną niedoręczonych gazet. Nick chciał zarządzić masowe poszukiwania, przetrząsnąć okoliczne pola i parki. Weston upierał się, żeby zaczekać na list od porywaczy w sprawie

okupu, który jednak nigdy nie nadszedł. Nick, zamiast zdać się na własny instynkt, uległ presji dwudziestopięcioletniego doświadczenia Westona w FBI.

Dlaczego nie kupił podejrzenia Westona, że chłopca porwał pozbawiony praw rodzicielskich ojciec, rozwścieczony na swoją byłą żonę za to, że odsuwa go od jedynego syna? Bo w gazetach roiło się od podobnych historii. Jednak kiedy nie mogli zlokalizować majora Alvereza, ta wersja stała się bardzo prawdopodobna. Dlaczegóż więc Nick nie słuchał agenta specjalnego Boba Westona?

Wcale nie dlatego, że organicznie nie cierpiał tego faceta. Od samego początku Nick nie znosił jego arogancji. Bob Weston był niski i kojarzył mu się z karykaturą Napoleona. Przemądrzałą gadaniną rekompensował sobie skromną posturę. Weston był nie tylko o dobre kilkanaście centymetrów niższy od Nicka, ale w porównaniu z nim wyglądał jak skóra i kości. Jednak tej nocy każde jego słowo poniżało Nicka. Szeryf wiedział, że schrzanił sprawę, począwszy od mimowolnego zatarcia śladów przez niezabezpieczenie miejsca zbrodni aż po sprowadzenie zbyt wielu pieprzonych mundurowych. Zasłużył sobie na zniewagi Westona. Zastanowił się nawet, czy Weston celowo nie dał mu za małej kurtki.

Wtem Nick dostrzegł George’a Tilliego, który przedzierał się przez tłum. Znajoma twarz przyniosła mu ulgę. George wyglądał, jakby właśnie wstał z łóżka. Na różową bluzę od piżamy narzucił pogniecioną, krzywo zapiętą sportową

kurtkę. Jego siwe włosy sterczały na wszystkie strony. Głębokie bruzdy dzieliły obwisłą, pokrytą siwym zarostem twarz. Niósł swoją czarną torbę, przyciskał ją do piersi, stąpając ostrożnie po błocie w futrzanych kapciach. Jeśli wzrok Nicka nie mylił, kapcie miały małe uszy i psie pyski. Uśmiechnął się, myśląc, jakim cudem George przebił się przez czujki FBI.

– George! – zawołał i o mały włos nie roześmiał się, kiedy Tillie uniósł brwi, zdumiony kiepskim wyglądem szeryfa. – Chłopiec jest tutaj. – Wziął George’a za łokieć i wsparł starego koronera, gdy brnęli przez błoto i tłum.

Oficer z polaroidem strzelił właśnie ostatnie zdjęcie sceny zbrodni i ustąpił im miejsca. George zerknął tylko na chłopca i zamarł. Jego opadające ramiona zesztywniały, twarz pobladła.

– O Boże. Tylko nie to. Tego miało już nie być.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Łąka była oświetlona jak boisko futbolowe w wieczór rozgrywek, widoczna z odległości wielu kilometrów. Christine dodała gazu, prowadząc samochód po żwirze.

Z całą pewnością działo się tam coś ważnego. Czuła już podniecenie w żołądku. Serce też nie pozostało obojętne. Dłonie zwilgotniały jej od potu. To lepsze niż seks, pomyślała na podstawie tego, co pamiętała o seksie.

Policjant na drodze nie był zbyt pomocny.

– Potrzebne jest natychmiastowe wsparcie.

To mogło znaczyć wszystko. Kiedy zahamowała na polnej drodze, jej podniecenie jeszcze wzrosło. Karetki pogotowia ratunkowego, dwa wozy telewizyjne, pięć samochodów szeryfa i cała masa innych nieoznakowanych aut stały rozrzucone bezładnie w błocie. Trzej zastępcy szeryfa pilnowali miejsca ogrodzonego żółtą taśmą, którą ogranicza się zwykle miejsce zbrodni. Taka taśma to już nie żarty. Z całą pewnością nie chodzi o podpitych wyrostków.

Nagle Christine przypomniała sobie o niedawnym porwaniu. Portret chłopca, który rozwoził gazety, pojawiał się we wszystkich mediach od początku tygodnia. Czyżby podłożono okup? Były tam karetki, a więc może są ranni.

Wypadła z auta, które wciąż ślizgało się w błocie, i natychmiast znów wskoczyła za kółko.

– Nie bądź głupia, Christine – szepnęła i wyłączyła silnik, ustawiając ręczny hamulec. – Spokój, zachowaj zimną krew – pouczała się, sięgając po notes.

Błoto natychmiast połknęło jej skórzane pantofle i wcale nie zamierzało ich oddać. Wyskoczyła z butów, wyrwała je z mazi i wrzuciła na tył samochodu, a potem tylko w pończochach ruszyła w kierunku tłumu reporterów.

Zarzucani pytaniami zastępcy szeryfa ani drgnęli. Za drzewami światło reflektorów oświetlało przybrzeżną okolicę. Wysokie trawy i gromada umundurowanych postaci skutecznie zasłaniały widok.

Kanał Piąty przysłał samą Darcy McManus. Prezentowała się nieskazitelnie, gotowa w każdej chwili stanąć przed kamerą. Jej czerwony kostium był świeżo odprasowany, lśniące czarne włosy i makijaż bez zarzutu. Nawet miała na nogach buty. Niestety było za późno na bezpośrednią relację, dlatego kamera nie pracowała.

Christine rozpoznała Eddiego Gillicka, który stał przy żółtej taśmie. Zbliżała się powoli, żeby zastępca szeryfa odpowiednio wcześnie ją zobaczył. Jeden fałszywy krok mógł sprawić, że zostanie załatwiona odmownie.

– Zastępca szeryfa Gillick? Cześć, jestem Christine Hamilton. Pamięta mnie pan?

Patrzył na nią jak ołowiany żołnierzyk, nic nie mogło go poruszyć. Potem jego wzrok złagodniał, a na twarzy pojawił się nawet cień uśmiechu, zanim zdołał go powściągnąć.

– Pani Hamilton. Tak, pamiętam. Jest pani córką Tony’ego. Co panią tu sprowadza?

– Pracuję dla „Omaha Journal”.

– O. – Żołnierzyk odwrócił twarz.

Musiała szybko kombinować, żeby nie stracić jego przychylności. Zauważyła ulizaną, przyciętą fryzurę, której nie burzył ani jeden niezaplanowany kosmyk, poczuła intensywny zapach kremu po goleniu. Nawet cienkie jak ołówek wąsy trzymały dyscyplinę, a mundur nie znał, co to zagniecenia. Węzeł krawata tkwił ciasno pod szyją, dół spięty był złotą spinką. Łypnęła okiem na jego dłonie. Gillick nie nosi obrączki. Christine postanowiła wykorzystać opinię podrywacza, którą zastępca szeryfa cieszył się w mieście.

– Nie do wiary, jakie tu błocko. A ja, głupia, zgubiłam w nim buty. – Wskazała na oblepione czarną mazią stopy. Pomalowane czerwonym lakierem paznokcie wystawały z pończoch. Gillick zerknął w dół. Z zadowoleniem odnotowała, że powiódł wzrokiem wzdłuż jej długich nóg. Wąska krótka spódniczka choć raz odpłaci jej za niewygody.

– Tak, proszę pani, paskudnie tu. – Skrzyżował ręce na piersi i przeniósł ciężar ciała na drugą nogę, wyraźnie skonsternowany. – Niech pani uważa, żeby się nie przeziębić. – Jeszcze jedno spojrzenie, tym razem sięgające poza nogi. Christine lekko wypchnęła pierś do przodu, żeby dać mu lepszy wgląd w swój dekolt.

– Wszystko tu paskudne, co, Eddie? Ma pan na imię Eddie, prawda?

– Tak, proszę pani. – Cieszył się, że to zapamiętała. – Ale nie wolno mi teraz o tym rozmawiać.

– No tak, rozumiem. – Zbliżyła się do niego, nie zważając na woń taniego kremu Brylcream. Nawet na bosaka prawie dorównywała mu wzrostem. – Wiem, że nie wolno wam rozmawiać o synu Alvereza – szepnęła. Jej usta niemal dotykały jego ucha.

W jego wzroku dostrzegła zdziwienie. Uniósł brew, potem znów spojrzał przyjaźniej.

– Skąd pani wie? – Obejrzał się, czy nikt ich nie podsłuchuje.

Bingo. Trafiła. Teraz ostrożnie. Spokojnie, zawodowo. Żeby nie spaprać.

– No, wie pan, nie mogę panu podać mojego źródła, Eddie. – Weźmie jej ściszony głos za wabik czy unik? Nigdy nie była dobrą kusicielką, tak przynajmniej uważał Bruce.

– Jasne. – Kiwnął głową, połykając haczyk.

– Pewnie nie miał pan okazji zerknąć, jak to wygląda. Unieruchomili tu pana. Czarna robota.

– Nie, widziałem. – Wypiął pierś, jakby na co dzień obcował z podobnymi sprawami.

– Chłopiec jest w kiepskim stanie, co?

– Taa, jakby go sukinsyn wypatroszył – wyszeptał bez cienia emocji.

Christine poczuła, że krew z niej ucieka. Zmiękły jej kolana. Chłopiec nie żyje.

– Hej! – krzyknął Gillick, a ona przez moment pomyślała, że odkrył jej intrygę. – Wyłączyć tę kamerę! Przepraszam, pani Hamilton.

Kiedy Gillick łapał kamerzystę z Kanału Dziewiątego, Christine wracała do samochodu. Wsiadła, nie zamykając drzwi, wachlowała się notesem i wciągała chłodne nocne powietrze. Mimo że było zimno, bluzka przykleiła się do niej.

Danny Alverez nie żyje, został zamordowany. Cytując Eddiego Gillicka: „wypatroszony”.

Miała swój pierwszy duży temat, ale czuła, że podniecenie, jakie towarzyszyło jej na początku, zamienia się w strach.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Sobota, 25 października

Nick zacisnął zęby, potem przełknął łyk gęstej chłodnej kawy. Czemu zdziwiło go, że zimna jest tak samo gorzka jak gorąca? Nie znosił kawy, ale nalał sobie kolejną filiżankę.

Może to nie smaku kawy tak nienawidził, ale pewnych wspomnień. Kawa przypominała mu o nocach kucia, kiedy zdawał test kwalifikacyjny z prawa. O męczącej jeździe samochodem, gdy spieszył się, by zdążyć pożegnać się z umierającym dziadkiem. Musiał odbyć tę podróż, prosiła go o to babka, bo jego ojciec, Antonio, odmówił swojemu ojcu ostatniej posługi. Nick postrzegał ową podróż jako symbol swoich relacji z ojcem. Zastanawiał się, czy wielki Antonio Morrelli, kiedy wreszcie na niego przyjdzie czas, a jego syn nie pojawi się u łoża śmierci, dostrzeże ukryty w tym ironiczny uśmiech losu.

Bywało, że Nicka rozbrajało to skojarzenie: gorzki aromat kawy przywołujący obraz pomarszczonego, poszarzałego dziadka i poplamionej moczem pościeli. Teraz zapach kawy będzie na zawsze przypominał mu krzyki zrozpaczonej matki, która identyfikuje okaleczone zwłoki jedynaka. Nie cieszyła go ta zamiana.

Nick miał jeszcze w pamięci pierwsze spotkanie z Laurą Alverez, w niedzielę wieczorem. Jezu, nawet nie minął

tydzień. Danny nie dawał znaku życia od dwunastu godzin, kiedy Nick skrócił sobie weekendowy wypad na ryby, żeby ją przesłuchać. Początkowo i on był przekonany, że chodzi o opiekę nad dzieckiem. Kolejna kobieta posługuje się swoim synem, żeby ukarać albo odzyskać męża, myślał.

Laura Alverez była wysoką kobietą o ponętnych, może odrobinę zbyt zaokrąglonych kształtach. Długie ciemne włosy i zamglone oczy sprawiały, że nie wyglądała na swoje czterdzieści pięć lat. Miała w sobie coś posągowego, co przywodziło na myśl określenie: „ostoja siły".

Pomimo swojej tuszy pełna wdzięku Laura Alverez niezliczenie wiele razy przewędrowała od kuchennego zlewu do kredensu i z powrotem. Z całym spokojem i powagą udzielała mu odpowiedzi. Za spokojnie nawet. Dopiero po jakimś kwadransie spostrzegł, że za każdym razem, kiedy Laura chowała do kredensu umyty talerz czy filiżankę, wyjmowała stamtąd jakieś czyste naczynie, z którym szła do zlewu. Potem zauważył, że nałożyła sweter na odwrót, a na nogach miała dwa różne buty. Była w szoku, który ukrywał się za nieludzkim spokojem.

Zachowała spokój przez cały ten tydzień. Niczym nieugięta, niezłomna skała. Nalewała kawę i piekła bułeczki dla mężczyzn, którzy każdego dnia zapełniali jej niewielki dom. Gdyby pokazała choć cień emocji, może nie byłoby tak trudno później, kiedy widział tę stateczną kobietę zgiętą wpół i miotającą się po zimnej, twardej podłodze szpitalnej kostnicy. Jej krzyki wdzierały się w sterylizowane korytarze. Nick znał ten dźwięk. To był głos zranionego zwierzęcia.

Żadna kobieta nie powinna być sama w takiej chwili. Żałował, że nie znaleźli jej męża, po to tylko, by go stłuc.

– Morrelli. – Bob Weston bez pukania wkroczył do biura szeryfa i usiadł na krześle naprzeciw Nicka. – Idź do domu. Weź prysznic, przebierz się. Śmierdzisz.

Nick doszedł do wniosku, że nieproszony gość już nie napada na niego, stwierdza tylko fakty.

– Co z jej byłym mężem?

Weston podniósł na niego wzrok i potrząsnął głową.

– Ja też jestem ojcem, Nick. Nie obchodzi mnie, jak bardzo się poprztykał z żoną, bo nie sądzę, żeby ojciec mógł zrobić to swojemu dziecku.

– No to od czego zaczniemy? – Nick pomyślał, że skoro pyta Westona o radę, musi być bardzo zmęczony.

– Zacząłbym od listy znanych przestępców seksualnych, pedofilów i tych od dziecięcej pornografii.

– To może być długa lista.

– Przepraszam, Nick. – W progu stanęła Lucy Burton. – Chciałam ci tylko powiedzieć, że wszystkie cztery stacje telewizyjne z Omaha i obie z Lincoln czekają na dole z kamerami. A w holu jest pełno ludzi z prasy i radia. Pytają, czy będzie jakieś oświadczenie lub konferencja prasowa.

– Cholera – mruknął Nick. – Dzięki, Lucy. – Patrzył, jak Weston skręca się na krześle, żeby gapić się na długie nogi Lucy maszerującej w dół korytarza. Może z uwagi na media powinien porozmawiać z nią o jej mini i obcasach? Z drugiej strony byłoby szkoda cokolwiek tu zmieniać. Lucy

miała fantastyczne nogi i wypracowała sobie chód, który najlepiej je prezentował.

– Cały tydzień unikaliśmy prasy – rzekł Nick, wracając wzrokiem do Westona. – Chyba trzeba z nimi pogadać.

– Zgadzam się. Ty to zrobisz.

– Ja? Dlaczego ja? Myślałem, że to ty jesteś tu ekspertem.

– Tak, dopóki w grę wchodziło porwanie. Teraz chodzi o zabójstwo, Morrelli. Wybacz, to twoja bajka.

Nick oparł głowę o skórzane oparcie i kiwał się wte i wewte. To wszystko nieprawda. Za chwilę obudzi się w swoim łóżku z Angie Clark u boku. Boże, zdawało się, że od ostatniej nocy minęły wieki.

– Słuchaj, Morrelli – zaczął Weston przyjaźnie. Nie podnosząc głowy, Nick spojrzał na niego podejrzliwie. – Myślałem o tym. Że to dzieciak, że może powinienem poprosić, by ci dali kogoś do pomocy, żebyście razem popracowali nad tą sprawą.

– To znaczy?

– Za wcześnie jeszcze, żeby ludzie dostrzegli podobieństwo tego morderstwa do sprawy Jeffreysa. Ale jak im to wpadnie do głowy, będziesz miał niezłą karuzelę.

– Karuzelę? – Tego go nie uczono. Nick przełknął gorycz, która wypełniała mu usta. Zrobiło mu się niedobrze. Znowu poczuł zapach krwi Danny’ego Alvereza, którą przesiąknięte były jego spodnie.

– Mamy fachowców, którzy mogliby przygotować portret psychologiczny mordercy. Dostałbyś jakąś wskazówkę, co to za pieprzony gnojek.

– Taa, to mogłoby pomóc. To by było niezłe. – Ukrył ogarniający go beznadziejny niesmak. Nie dość, że kurduplowaty Weston okazał mu współczucie, to jeszcze Nick, było nie było szeryf, musiał przyznać się przed nim, że naprawdę potrzebuje wsparcia.

– Czytałem o agencie specjalnym O'Dell, ekspercie od profili morderców, który potrafi określić nawet rozmiar ich butów. Zadzwonię do Quantico.

– Jak szybko ktoś mógłby się tu zjawić?

– Nie pozwól jeszcze Tilliemu na sekcję. Zaraz zadzwonię i zobaczymy, czy da się kogoś ściągnąć na poniedziałek rano. Może to będzie O'Dell. – Weston, pełen nowej energii, wstał.

Nick rozplątał nogi i także się podniósł, zdziwiony, że w ogóle jest w stanie trzymać się prosto.

Zastępca Hal Langston spotkał wychodzącego Westona w drzwiach.

– Pewnie zainteresuje was poranne wydanie „Omaha Journal".

Hal rozłożył gazetę. Nagłówek na pierwszej stronie krzyczał wielkimi literami:

Morderstwo w stylu Jeffreysa. Kolejny zabity chłopiec.

– Co do kurwy nędzy? – Weston wyrwał gazetę Halowi i zaczął czytać na głos: – „Minionej nocy na brzegu Platte River, za Old Church Road, znaleziono ciało chłopca. Jak sugerują wstępne raporty, niezidentyfikowany dotąd chłopiec został zasztyletowany. Zastępca szeryfa, który pragnie pozostać anonimowy, powiedział: :Wyglądało, jakby

drań go wypatroszył;. Ciężkie rany klatki piersiowej zadawał swoim ofiarom stracony w lipcu tego roku seryjny morderca Ronald Jeffreys. Policja nie wydała jeszcze oświadczenia w sprawie tożsamości chłopca ani powodu jego śmierci”.

– Jezu. – Nick splunął, czuł już nudności.

– Cholera, Morrelli, masz natychmiast zamknąć gęby swoim ludziom.

– Jest gorzej – rzekł Hal, patrząc na Nicka. – Artykuł podpisała Christine Hamilton.

– Kto to jest, u diabła, ta Hamilton? – Weston przeniósł spojrzenie z Hala na Nicka. – Proszę, tylko mi nie mów, że to jedna z twojego haremu, że ją posuwasz.

Nick siadł ciężko na krześle. Jak mogła mu to zrobić? Nie próbowała go nawet uprzedzić, skontaktować się z nim. Obaj mężczyźni wpatrywali się w niego, czekając na wyjaśnienia.

– Nie – odparł Nick powoli. – Christine Hamilton to moja siostra.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Maggie O’Dell zrzuciła zabłocone adidasy w holu, zanim jej mąż, Greg, przypomniał, żeby to zrobiła. Tęskniła za dawnym, niedużym, zapchanym mieszkankiem w Richmond, choć wiele zyskali na nowym miejscu położonym wygodnie między Quantico i Waszyngtonem. Od czasu gdy kupili drogi apartament w luksusowej okolicy Crest Ridge, Greg nabawił się obsesji na punkcie swojego wizerunku. Nie tolerował w mieszkaniu najmniejszego brudu, co było łatwe do osiągnięcia, ponieważ oboje byli tam gośćmi. Ale Maggie nie znosiła teraz przyjeżdżać do domu, który pochłaniał jej miesięczną pensję, ponieważ czuła się tu jak w hotelu. Co prawda zarówno ona, jak i Greg, przywykli do hoteli, ale…

Ściągnęła wilgotną bluzę i natychmiast poczuła przyjemny dreszcz. Był rześki jesienny dzień, jednak Maggie spociła się po bezsennej, niespokojnej nocy.

Zwinęła bluzę i idąc do kuchni, rzuciła ją do brudów. Była tak nieuważna, że nie trafiła do kosza z praniem.

Stanęła przed otwartą lodówką, której wnętrze bezlitośnie zdradzało brak domowych talentów u obojga małżonków. Na półce leżały resztki chińszczyzny, pół bagietki w plastikowym worku i pudełko po trudnym już do zidentyfikowania jedzeniu na wynos. Maggie chwyciła butelkę mineralnej i zatrzasnęła drzwi lodówki. Trzęsła się

z zimna, miała na sobie tylko szorty, przepocony podkoszulek i sportowy stanik, który przykleił się do niej jak druga skóra.

Zadzwonił telefon. Rozejrzała się po nieskazitelnych półkach i przed czwartym dzwonkiem chwyciła aparat z nieużywanej mikrofalówki.

– Słucham?

– O'Dell, tu Cunningham.

Przejechała palcami przez ciemną krótką czuprynę i wyprostowała się, słuchając z uwagą.

– Cześć. Co się dzieje?

– Dzwonili do mnie z biura w Omaha. Mają tam zamordowanego chłopca. Takie same rany, jakie zadawał seryjny zabójca, który działał na tamtym terenie jakieś sześć lat temu.

– Znów ruszył na łowy? – Maggie zaczęła chodzić po kuchni.

– Nie. Tamten to był Ronald Jeffreys. Nie wiem, czy pamiętasz, zabił trzech chłopców...

– Pamiętam – przerwała mu, wiedząc, że nie cierpi długo coś wyjaśniać. – Zdaje się, że wykonali na nim wyrok w czerwcu czy w lipcu?

– Tak... tak, chyba w lipcu. – Cunningham miał zmęczony głos.

Maggie wyobraziła go sobie w biurze za stosami dokumentów, chociaż było właśnie sobotnie popołudnie. Słyszała, jak szeleści papierami. Znając dyrektora Kyle'a Cunninghama, wiedziała, że ma przed sobą wszystkie

dokumenty sprawy Jeffreysa. Na długo zanim zaczęła pracować pod jego kierownictwem w Wydziale Badań Behawioralnych, miał czułą ksywkę „Jastrząb”, bo nic nie umykało jego uwagi. Jednak ostatnio wzrok mu osłabł, a powieki puchły od ciągłego braku snu.

– A więc może to naśladowca. – Zatrzymała się i otwierała kolejne szuflady, szukając pióra i papieru, żeby robić notatki, lecz znalazła tylko pedantycznie złożone ścierki i sterylnie czyste naczynia poustawiane w nieznośnie równych rzędach. Nawet korkociąg i otwieracz do puszek leżały płasko w odpowiednich rogach szuflady, nie dotykając się. Maggie wyciągnęła lśniącą chochelkę i położyła ją odwrotnie na kilku innych sztućcach. Zadowolona zamknęła szufladę i zaczęła znowu wędrować.

– To może być naśladowca – zgodził się Cunningham wyraźnie rozkojarzony. Jak go znała, rozmawiał z nią i równocześnie czytał dokumenty, z tą zmarszczką między brwiami i okularami opuszczonymi nisko na nosie. – A może tylko jednorazowa sprawa? Chodzi o to, że oni proszą o kogoś, kto pomógłby im przygotować profil mordercy. Tak naprawdę Bob Weston prosił o ciebie.

– Moja sława sięga Nebraski? – Zignorowała rozdrażnienie w jego głosie, którego nie byłoby z pewnością miesiąc wcześniej. Wtedy byłby dumny, że proszą o jego protegowaną. – Kiedy mam jechać?

– Moment, O’Dell.

Maggie ściskała telefon i czekała na wykład.

– Jestem pewny, że wśród fantastycznych raportów, jakie Weston ma na twój temat, nie ma ostatniej sprawy.

Maggie przystanęła i oparła się o kuchenny blat. Przycisnęła rękę do żołądka.

– Mam nadzieję, że nie będziesz mi wymachiwał przed nosem sprawą Stucky'ego za każdym razem, jak zaczynam robotę. – W jej drżącym głosie słychać było złość. No i dobrze, wściekłość jest dobra, lepsza niż słabość.

– Wiesz, że tego nie robię, Maggie.

O Chryste. Po raz pierwszy odezwał się do niej po imieniu. Zapowiada się poważny referat. Stała nieruchomo, wbijając paznokcie w ręcznik.

– Po prostu się martwię – ciągnął. – Nie odpoczęłaś po tamtej sprawie. Nawet nie byłaś u naszego psychologa.

– Kyle, nic mi nie jest – skłamała, zirytowana nagłym drżeniem, które opanowało jej dłonie. – To nie był pierwszy raz. Widziałam mnóstwo krwi i flaków przez ostatnich osiem lat. Nic mnie już nie zaszokuje.

– Tego się właśnie obawiam. Maggie, byłaś w samym środku tej jatki. Cud, że żyjesz. Nie obchodzi mnie, jaka jesteś twarda, kiedy spryskują cię cudzą krwią, ale gdy to twoja własna krew, to trochę coś innego.

Nie musiał jej przypominać. Niewiele było trzeba, żeby zobaczyła znów Alberta Stucky'ego, który siekał tamte kobiety na śmierć, odgrywając krwawy spektakl zadedykowany Maggie. Jego głos powracał do niej nocami. „Chcę, żebyś na mnie patrzyła. Jeśli zamkniesz oczy, zabiję następną i jeszcze następną".

Miała dyplom z psychologii. Nie potrzebowała innego psychologa, żeby wytłumaczył jej, dlaczego nie sypia, dlaczego wciąż widzi te obrazy. Nie była w stanie opowiedzieć Gregowi o tamtej nocy, jak więc mogłaby to zrobić komuś obcemu?

Oczywiście Grega nie było, kiedy dowlokła się do hotelowego pokoju. Był wiele kilometrów od niej, gdy wyczesywała z włosów kawałki mózgu Lydii Barnett, gdy zeskrobywała krew i skórę Melissy Stonekey z porów swojej skóry. Kiedy opatrywała swoją ranę, szkaradne cięcie na brzuchu. A nie było to coś, o czym można pogadać przez telefon.

„Jak ci minął dzień, kochanie? U mnie? Nic takiego. Patrzyłam, jak dwie kobiety zostały zarżnięte”.

W końcu nie powiedziała Gregowi nic, żeby nie zwariował. Zaraz kazałby jej skończyć z tą robotą albo, co gorsza, żądałby obietnicy, że nie wyjdzie za próg laboratorium i będzie robiła testy krwi i flaków pod mikroskopem, a nie własnymi paznokciami. Wściekł się już raz, kiedy mu coś wyznała. Wtedy po raz ostatni rozmawiała z nim o swojej pracy. Nie dostrzegła, żeby mu tego brakowało. Nie zauważał zresztą i tego, że Maggie nie ma obok niego w łóżku, bo właśnie krąży po mieszkaniu, żeby pozbyć się natrętnych wizji, żeby uciszyć krzyki, które odbijają się echem w jej głowie. Brak bliskości z mężem pozwalał jej zatrzymać rany, psychiczne i fizyczne, dla siebie.

– Maggie?

– Muszę pracować, Kyle. Nie odbieraj mi tego, proszę. – Starała się mówić stanowczo, zadowolona, że drżenie ograniczyło się do rąk i żołądka. Czy mimo wszystko Kyle dostrzeże jej słabość? Chwytał zbrodniarzy, czytając między wierszami. Jak może się łudzić, że zdoła go oszukać?

Po drugiej stronie słuchawki trwała cisza. Maggie zakryła mikrofon, żeby Kyle nie słuchał jej przyspieszonego oddechu.

– Przefaksuję ci szczegóły – odezwał się w końcu. – Masz samolot o szóstej rano. Zadzwoń do mnie, kiedy dostaniesz faks, jeśli będziesz miała jakieś pytania.

Słyszała, jak odłożył słuchawkę. Z telefonem przy uchu odetchnęła głęboko. Wtedy trzasnęły drzwi wejściowe.

– Maggie?

– Jestem w kuchni. – Odłożyła telefon i łyknęła wody, żeby pozbyć się mdłości. Chciała wziąć tę robotę, by udowodnić Cunnighamowi, że chociaż Albert Stucky głęboko zranił jej psychikę, nie zdołał zniszczyć jej zawodowego pazura.

– Cześć, kochanie. – Greg podszedł do kuchennego blatu i przytulił ją, ale zaraz odsunął się, gdy spostrzegł pot perlący się na jej skórze. Zniesmaczenie pokrył wymuszonym uśmiechem.

Ciekawe, od kiedy wykorzystuje wobec mnie te swoje prawniczo-aktorskie sztuczki? – pomyślała.

– Mamy rezerwację na szóstą trzydzieści. Zdążysz na pewno?

Zerknęła na zegar na ścianie. Była dopiero czwarta. Musiała w jego oczach wyglądać wyjątkowo okropnie.

– Pewnie – powiedziała, popijając wodę i z premedytacją pozwalając spłynąć jej po brodzie.

Przechwyciła ukradkowe spojrzenie męża. Jego idealnie wyrzeźbiona szczęka naprężyła się z dezaprobatą. Greg ćwiczył w siłowni firmy prawniczej, w której pracował, gdzie pocił się, jęczał i ślinił w odpowiedniej scenerii. Potem brał prysznic, przebierał się i kiedy pojawiał się w miejscu publicznym, nawet jeden z jego jasnozłotych włosów nie wychylał się poza normę. Tego samego oczekiwał od Maggie, powiedział nawet, że nie akceptuje jej biegania w pobliżu domu. Początkowo sądziła, że Greg martwi się o jej bezpieczeństwo.

– Mam czarny pas, Greg, dam sobie radę w razie czego – zapewniła go czule.

– Nie o to mi chodzi, Maggie. Fatalnie wyglądasz, jak tak biegasz. Nie zależy ci, żeby zrobić dobre wrażenie na naszych sąsiadach?

Zaterkotał telefon. Greg wyciągnął rękę.

– Zostaw – rzuciła z ustami pełnymi wody. – To dokumenty od Cunninghama. – Nie patrząc na męża, wyczuła jego rozdrażnienie. Pobiegła do pokoju, sprawdziła, kto dzwoni, i włączyła faks.

– Czemu przesyła ci je w sobotę?

Przestraszył ją. Nie wiedziała, że za nią poszedł. Stał na progu z rękami na biodrach, wyglądając tak poważnie jak tylko to możliwe w spodniach khaki i sportowym swetrze.

– Chce mi przekazać szczegóły sprawy, którą się zajmę. – Unikała jego wzroku, obawiając się wydętych ust, kwaśnej

miny i zamyślonych oczu. To on zazwyczaj burzył ich wspólne soboty, wiedziała jednak, że przypominanie mu o tym byłoby dziecinadą. Oderwała więc faks i zaczęła czytać.

– Mieliśmy zjeść kolację, spędzić miły, spokojny wieczór. Tylko my dwoje.

– I tak będzie – rzekła miękko, wciąż na niego nie patrząc. – Najwyżej nie będziemy długo siedzieć. Mam samolot o szóstej rano.

Cisza. Raz, dwa, trzy...

– Cholera jasna, Maggie, to nasza rocznica. Mieliśmy spędzić ten weekend razem.

– Nie, rocznica była tydzień temu, tylko że zapomniałeś, bo grałeś w golfa.

– Aha – parsknął. – Odpłacasz mi się.

– Nie. – Była spokojna, choć zmęczona tymi drobnymi napadami złego humoru. On mógł oczywiście psuć bezkarnie ich plany, ledwie się tłumacząc, mówiąc tylko te czarujące, pełne samozadowolenia słowa: „Wynagrodzę ci to, kochanie”.

– Jeśli to nie zemsta, to co?

– Praca.

– Praca, aha. Świetna wymówka. Nazywaj to jak chcesz, to jest zemsta.

– Zamordowano małego chłopca, a ja akurat mogę pomóc znaleźć psychopatę, który to zrobił. – Jej złość wydostawała się na powierzchnię, choć głos pozostał zadziwiająco łagodny. – Przepraszam, wynagrodzę ci to – wyrwało jej się

z przekąsem, ale nawet tego nie zauważył. Wzięła list i minęła go w drzwiach. Chwycił ją za nadgarstek i przyciągnął.

– Powiedz im, żeby posłali kogoś innego. Potrzebujemy tego czasu dla siebie – błagał.

Spojrzała w jego szare oczy i zdumiona zastanowiła się, kiedy straciły kolor. Szukała w nich błysku, jaki miał inteligentny, współczujący mężczyzna, którego poślubiła przed dziewięciu laty, kiedy kończyli szkołę, gotowi, żeby podbić świat. Ona miała śledzić zbrodniarzy, a on bronić niewinnych ofiar. Potem Greg dostał pracę w kancelarii Brackman, Harvey i Lowe w Waszyngtonie i jego niewinnymi ofiarami zostały korporacje o miliardowych zyskach. A jednak w krótkiej chwili ciszy wydawało jej się, że widzi w jego oczach promyk szczerości. Już miała poddać się jego woli, kiedy zacisnął uścisk i zęby.

– Każ im wysłać kogoś innego albo z nami koniec.

Wyrwała rękę. Chwycił ją ponownie. Uderzyła go pięścią w klatkę piersiową. Zaskoczony szeroko otworzył oczy.

– Nigdy więcej mnie tak nie trzymaj. A jeżeli ten wyjazd ma oznaczać koniec, to może coś skończyło się dawno temu.

Gwałtownie ruszyła do sypialni. Miała nadzieję, że nogi ją tam doniosą i że łzy poczekają pod powiekami.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Niedziela, 26 października

Zaczyna się, pomyślał, sącząc gorącą kawę.

Artykuł został opublikowany na pierwszej stronie „National Enquirer”, a nie w tak szacownej gazecie jak „Omaha Journal”.

Seryjny morderca chłopców wstaje z grobu i znów terroryzuje miasto.

Brzmiało to prawie tak histerycznie jak tytuł z poprzedniego dnia, lecz, rzecz jasna, grube wydanie niedzielne przyciąga więcej czytelników.

I ten tekst podpisała Christine Hamilton. Znał to nazwisko z działu „Życie codzienne”. Ciekawe, czemu dali temat nowicjuszce?

Przewracał szybko kartki, szukając dalszego ciągu artykułu. Wreszcie znalazł. Całą stronę wypełniały komentarze. Oczywiście było szkolne zdjęcie chłopca, a także wzruszająca opowieść o nagłym zaginięciu dziecka podczas porannego objazdu z prasą, co miało miejsce w poprzednim tygodniu. Pisano, że FBI i matka chłopca czekali na list od porywaczy, który nigdy nie dotarł. A potem, że szeryf Morrelli znalazł ciało na pastwisku nad rzeką.

Zerknął na zdjęcie. Morrelli? Nie, to był Nicholas, nie Antonio Morrelli. To miłe, że syn kontynuuje zawód ojca, pomyślał.

W dalszym ciągu artykułu wskazywano na podobieństwa między obecną sprawą i trzema zabójstwami, które wydarzyły się w tej samej okolicy sześć lat wcześniej. Na to, że ciała zamordowanych były pokłute nożami i znajdowano je na odludziu w zalesionych miejscach.

Nie było jednak ani słowa o szczegółach, żadnego opisu wyrafinowanych cięć na klatce piersiowej ofiary. Czyżby policja znowu zamierzała zatrzymać dla siebie dowody? Potrząsnął głową i czytał dalej.

Nożem do ryb nabrał owocową galaretkę i rozsmarował ją na przypalonej babeczce. Ten durny toster od tygodni nawalał, ale i tak wolał z niego korzystać niż schodzić na dół na wspólne śniadanie. W swojej sypialni mógł cieszyć się spokojnym posiłkiem i gazetą, bez męczącej konieczności podtrzymywania uprzejmej konwersacji.

Pomieszczenie było skromne. Białe ściany i drewniana podłoga. Niewielkie podwójne łóżko ledwo mieściło jego sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Zdarzało się, że w nocy nogi zwisały w powietrzu. Wniósł do tego pokoju mały fornirowany stół i dwa krzesła, choć zawsze był sam. Na ruchomym barku stał toster, prezent od któregoś z parafian. Była tam też kuchenka elektryczna i czajnik, w którym gotował wodę na herbatę.

Na stoliku nocnym stał najbardziej ozdobny z jego sprzętów. Lampa, której podstawę zdobił relief

z cherubinami i nimfami w zgrabnym układzie. Ta lampa była jednym z niewielu przedmiotów, których zapragnął, więc kupił ją za swoją skromną pensję. No i jeszcze trzy obrazy. Stać go było, oczywiście, tylko na reprodukcje. Wisiały naprzeciw łóżka, żeby mógł na nie patrzeć, kiedy zapada w sen, choć ostatnio sen nie przychodził łatwo. Zawsze miał z tym problem, kiedy zaczynało się to dudnienie i pulsowanie, wkraczając w jego spokojne życie, wdzierając się z ohydnymi wspomnieniami. Jego pokój był skromny i biedny, lecz dawał mu chwile wytchnienia i samotności w życiu, które nie należało już tylko do niego. Lecz tu miał jeszcze nad nim kontrolę.

Spojrzał na zegarek i potarł dłonią brodę. Stwierdził, że nie musi się golić, bo na jego gładkiej jak u chłopca twarzy od poprzedniego dnia nie pojawił się nowy zarost. Miał więc czas, by dokończyć lekturę. Na idiotyczne artykuły o Ronaldzie Jeffreysie rzucił tylko okiem. Jeffreys nie zasługiwał na uwagę, którą mu poświęcano, a tu proszę, po śmierci znowu znalazł się w światłach reflektorów.

Dokończył śniadanie i starannie wytarł stół. Żaden okruch nie umknął jego dłoni z wilgotną szmatką, która ślizgała się raz-dwa po blacie. W łazience z małego kranu z brązowymi zaciekami zdjął nadal wilgotną parę sportowych butów firmy Nike, oskrobaną do czysta z błota. Szkoda, że nie zdjął butów wcześniej, pomyślał. Wytarł je do sucha i odstawił, żeby wymyć jedyny talerz, który uważał za swój, delikatny, ręcznie malowany talerz z Noritake, który pożyczył dawno temu ze wspólnego porcelanowego

serwisu. Filiżankę na spodku od kompletu, również pożyczoną, napełnił po brzegi gorącą wodą i zanurzył w niej użytą już raz torebkę z herbatą. Czekał, aż woda nabierze odpowiedniego koloru, po czym szybko wyciągnął torebkę i starannie ją wycisnął.

Zakończył w ten sposób swój poranny rytuał. Na czworakach wyciągnął spod łóżka drewniane pudełko. Położył je na stoliku i głaskał palcami skomplikowany wzór wyrzeźbiony na jego pokrywie. Wyciął starannie artykuły z gazety, omijając to, co dotyczyło Jeffreysa. Otworzył pudełko i schował w nim złożone wycinki, które znalazły się na wierzchu wielu innych, częściowo już pożółkłych. Sprawdził zawartość: lśniąco biały kawałek płótna, dwie świece i mały pojemnik z olejem. Zlizał resztki galaretki z noża do ryb i wrócił do pudełka, delikatnie kładąc nóż na miękkiej bawełnie chłopięcych majtek.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Timmy Hamilton odepchnął dłoń Christine, która dotykała jego twarzy. Siedzieli na schodach kościoła św. Małgorzaty, zastanawiając się, co robić. Nie dość, że się spóźnili, to jeszcze matka musiała robić przedstawienie przed jego kolegami.

– Przestań, mama. Wszyscy patrzą.

– To jakiś nowy siniak? – Trzymając go za brodę, lekko uniosła jego głowę.

– Wpadłem na Chada na treningu. To nic takiego. – Położył dłoń na udzie, jakby chciał ukryć jakieś poważniejsze skaleczenie.

– Powinieneś uważać, Timmy. Jesteś delikatny. Musiałam stracić głowę, że pozwoliłam ci wczoraj grać.

Otworzyła torebkę i zaczęła poszukiwania.

– Spóźnię się. Przecież wiesz, że msza zaczyna się za piętnaście minut.

– Myślałam, że mam twój formularz zgłoszeniowy i czek za kemping.

– Mama, jestem spóźniony.

– No dobrze, dobrze. – Zatrzasnęła torebkę. – Powiedz księdzu Kellerowi, że wyślę czek jutro pocztą.

– Mogę już iść?

– Tak.

– Na pewno nie chcesz sprawdzić metki na moich gaciach?

– Mądrala – zaśmiała się i poklepała go po pupie.

Lubił, kiedy się śmiała. Robiła to tak rzadko, odkąd tata ich zostawił. Kiedy się śmiała, jej rysy miękły, a w policzkach robiły się dołeczki. Stawała się najpiękniejszą kobietą, jaką znał, zwłaszcza z tymi nowymi jedwabistymi blond włosami. Była ładniejsza nawet od panny Roberts, jego nauczycielki z czwartej klasy. Panna Roberts była w zeszłym roku. W tym roku był pan Stedman. I choć to dopiero październik, Timmy zdążył już znienawidzić piątą klasę. Żył tylko po to, żeby grać w futbol, no i służyć do mszy z księdzem Kellerem.

W lipcu, kiedy mama przerwała mu wakacje i wysłała na kościelny obóz, był na nią wściekły. Ale dzięki księdzu Kellerowi obóz był świetny. No i Timmy miał superwakacje, prawie w ogóle nie tęsknił za ojcem. Na dodatek ksiądz Keller poprosił go, żeby został ministrantem. Należeli z mamą do parafii św. Małgorzaty od wiosny, ale Timmy zdążył się już dowiedzieć, że ministranci księdza Kellera stanowili specjalnie dobraną i uprzywilejowaną elitę. Między innymi takim przywilejem była zbliżająca się wycieczka z namiotami.

Timmy zastukał w rzeźbione drzwi kościelnego westybulu. Nikt nie odpowiedział. Otworzył je powoli i zajrzał, potem wszedł. W szafie znalazł komżę swojego rozmiaru i porwał ją z wieszaka, żeby nadrobić czas. Rzucił marynarkę na krzesło i podskoczył na widok księdza, który klęczał niemo

tuż obok, tyłem do chłopca, z wyprostowanymi plecami. Ale Timmy rozpoznał ciemne kręcone włosy księdza Kellera, które opierały się o koloratkę. Kapłan nawet nie drgnął, chociaż marynarka chłopca lekko go musnęła.

Timmy patrzył, wstrzymując oddech. Czekał, aż ksiądz poruszy się lub choćby westchnie. Wreszcie duchowny uniósł rękę, żeby zrobić znak krzyża. Wstał bez wysiłku i odwrócił się do chłopca, biorąc do ręki jego marynarkę i starannie wieszając ją na oparciu krzesła.

– Czy twoja mama wie, jak traktujesz swoje niedzielne ubranie? – Uśmiechnął się białymi zębami i niebieskimi oczami.

– Przepraszam, proszę księdza. Nie zauważyłem księdza, kiedy wszedłem. Bałem się, że się spóźnię.

– Nie szkodzi. Mamy dużo czasu. – Zmierzwił włosy chłopca, zatrzymując przez chwilę dłoń na jego głowie. Tak samo robił ojciec Timmy’ego.

Na początku Timmy nie lubił, kiedy ksiądz Keller go dotykał. Potem przestał się napinać, poczuł się bezpiecznie. Nie przyznałby tego głośno, ale polubił księdza. Keller był lepszy niż ojciec. Nigdy na niego nie wrzeszczał, mówił miękkim, spokojnym głosem, niskim i pewnym. Jego duże dłonie dotykały i pieściły, nigdy nie biły. A kiedy mówił do niego, Timmy czuł się najważniejszą osobą w życiu księdza.

W obecności Kellera chłopiec był kimś wyjątkowym. Starał się więc, jak mógł, żeby się odwdzięczyć, ale wciąż coś knocił w czasie mszy. Ostatniej niedzieli przyniósł do ołtarza wodę, lecz zapomniał o winie. Ksiądz Keller tylko się

uśmiechnął, szepnął mu do ucha i czekał cierpliwie. Nikt nawet się nie domyślił, co się stało.

Nie, ten ksiądz w niczym nie przypominał jego taty, który większość czasu spędzał w pracy, nawet kiedy byli jeszcze rodziną. Ksiądz Keller był bardziej przyjacielem niż księdzem. Czasem w soboty grywał z chłopcami w nogę w parku, pozwalał się popychać i był tak ubłocony jak cała reszta. Na obozie opowiadał im przerażające historie o duchach, jakich nigdy nie opowiadają rodzice. Bywało, że po mszy wymieniał się z chłopcami kartami z futbolistami. Miał najlepsze karty, takie stare, z Jackiem Robinsonem i Joem DiMaggiem. Nie, ksiądz Keller był dużo fajniejszy od jego ojca.

Timmy skończył przygotowania i czekał, aż kapłan przebierze się do mszy. Wreszcie przejrzał się w lustrze i odwrócił do chłopca.

– Gotowy?

– Tak, proszę księdza – rzekł mały i ruszył za księdzem przez wąski korytarz do ołtarza.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu, widząc lśniąco białe sportowe buty firmy Nike, wystające spod długiej czarnej sutanny.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Platte City natychmiast skojarzyło się Maggie z prowincjonalną gnuśnością. Nigdy nie rozumiała, co ludzi ciągnie do małych miasteczek. Ciche i przyjazne znaczyło tam zwykle: nudne i wścibskie. Kiedy wysyłano ją do pracy w takim miasteczku, wariowała. Nienawidziła pozornej bliskości, wyrażającej się w „Jak się masz?” i „Dzień dobry”. Niemal natychmiast zaczynało jej brakować irytujących, ale jakże znanych dźwięków taksówkowych klaksonów i wielopasmowego ruchu ulicznego. Jeszcze gorsze były wyprawy po chińszczyznę do różnych Big Fredów i wodniste cappuccino z automatów ustawionych w sklepach.

Musiała jednak przyznać, że podróż z Oklahomy obfitowała w piękne widoki. Drzewa wzdłuż Platte River przybrały różnobarwne kostiumy, jasny pomarańcz i gorąca czerwień przeplatały się z zielenią i złotem. Przejmujący zapach wiecznie zielonych roślin i deszczu wypełniał powietrze niepokojącym, acz przyjemnym aromatem. Maggie nie zamykała okna w samochodzie, chociaż było chłodno.

Wysoko nad jej głową przeleciał samolot. Maggie zatrzymała się przed skrzyżowaniem. Niespodziewany dźwięk odbił się echem w cichych uliczkach. Pamiętała, że Dowództwo Strategicznych Sił Powietrznych znajduje się

nie dalej niż dwadzieścia kilometrów od celu jej wyprawy. No to w porządku, pomyślała, a zatem i w Platte City można usłyszeć znajome dźwięki.

Rozmyślnie źle skręciła, żeby zyskać kilka minut i przyjrzeć się okolicy. Na jednym rogu była Pizza Hut. Po drugiej stronie ulicy mieścił się sklep ogólnospożywczy oraz nowy McDonald. Złote łuki restauracji górowały nad okolicą, rywalizując jedynie z elewatorem zbożowym oraz wieżą kościoła.

Żelazny krzyż na szczycie kościelnej wieży wyróżniał się na tle gęstych chmur, które zbierały się od dłuższej chwili. Parking przed kościołem opróżniał się ślimaczo, przez co Maggie znalazła się w samym środku ulicznego korka. Cierpliwie przyglądała się, jak kierowcy grzecznie wpuszczali do ruchu wyjeżdżające spod kościoła wozy. O nie, za bardzo to zorganizowane. Zniszczyli przyzwoity uliczny korek.

Maggie wypatrywała przez chwilę, czy zwolni się coś z przodu, po czym z piskiem opon ostrym ślizgiem wyminęła jakiegoś forda. Zaraz odwróciły się głowy i sznur flegmatycznych samochodów zatrzymał się, a zdumieni kierowcy gapili się na Maggie, która śmignęła w przeciwnym kierunku. Zerknęła w lusterko. Nie gonił jej nikt na sygnale, chociaż wcale by jej to nie zdziwiło.

Z informacji na internetowej stronie dotyczącej turystyki w Nebrasce Maggie dowiedziała się, że: „Platte City (trzy i pół tysiąca mieszkańców) jest dynamicznie rozrastającą się sypialnią dla wielu ludzi pracujących w Omaha

(trzydzieści kilometrów na północny wschód) i w Lincoln (około pięćdziesięciu kilometrów na południowy zachód)". Wyjaśniało to, skąd wzięła się tu spora liczba urokliwych, wypieszczonych domów z ogródkami, choć w miasteczku nie było żadnego przemysłu.

Wokół centralnego placu znajdowały się: poczta, jadłodajnia „Wanda's Diner", kino, coś, co się nazywało „Paintin' Place", niewielki sklep spożywczy oraz taki relikt z dawnych lat, jak drogeria z saturatorem. Nad niektórymi witrynami czerwieniały jaskrawe markizy. Przed innymi stały donice z kwitnącym jeszcze geranium. Na środku placu wznosił się dominujący nad innymi budynkami gmach miejscowej administracji i sądu, zbudowany w epoce, kiedy duma wygrywała z kosztami. Fasadę gmachu zdobiła bogata płaskorzeźba nawiązująca do przeszłości Nebraski, przedstawiająca kryte wozy i konie ciągnące pługi, przedzielone wagą, symbolem sprawiedliwości.

Budynek otaczało świeżo odmalowane ozdobne ogrodzenie z kutego żelaza. Urząd zajmował w zasadzie połowę ogrodzonej przestrzeni. Resztę wypełniały brukowane ścieżki, pomniki z brązu, marmurowa fontanna, ławki i latarnie w starym stylu, sprawiając, że wyglądało to jak zaciszny ogród. Uwagę Maggie, gdy szła po brukowanej ścieżce, zwróciła przede wszystkich schludność tego miejsca. Nie znalazłoby się żadnego papierka po hamburgerze ani tekturowego kubka, nic takiego nie śmiało zakłócać porządku owego szacownego miejsca. Pod nogami Maggie układała się jedynie dekoracja ze złotych

i czerwonych liści, które opadły z ogromnego klonu i jaworu.

W holu gmachu obcasy Maggie stukały po marmurowej posadzce, odbijając się echem od wysoko sklepionego, niczym w katedrze, sufitu. Nie spotkała u wejścia żadnego strażnika, nawet recepcjonisty. Przyjrzała się znajdującej się na ścianie planszy informacyjnej. Biuro szeryfa okręgu oraz pomieszczenia lokalnego sądu znajdowały się na drugim piętrze.

Minęła windę i ruszyła krętymi schodami, z których widać było w dole atrium. Nie szczędzono białego i szarego marmuru na schody i posadzki. Solidny dąb i lśniąca miedź zdobiły drzwi i balustrady. Maggie nieświadomie zaczęła iść na palcach.

Biuro szeryfa wydawało się puste, choć z jednego z dalszych pokoi dochodził zapach świeżo parzonej kawy i szum kserokopiarki. Zegar ścienny wskazywał jedenastą trzydzieści. Maggie spojrzała na swój zegarek. Zapomniała przestawić go na zachodnią strefę czasową. Zrobiła to, idąc do okna wychodzącego na południe. Przez ciężkie szare chmury nie można było dojrzeć ani słońca, ani skrawka błękitnego nieba. Na ulicach nie działo się nic specjalnego, tylko paru klientów w najlepszych niedzielnych ubraniach opuszczało właśnie „Wanda’s Diner”. Obok kina niski siwowłosy mężczyzna zbierał śmieci do wielkiego pojemnika.

Jeszcze nie było południa, a ona już czuła się wykończona. Zmordowała ją kłótnia z Gregiem i kolejna bezsenna noc,

podczas której starała się unikać wciąż powracającego obrazu Alberta Stucky’ego. Potem, rano, częste turbulencje rzucały jej samolotem tysiące metrów nad ziemią. Nie znosiła latać i obawiała się, że nigdy tego nie polubi.

Nie cierpiała, gdy była od czegoś lub kogoś zależna, jak wypominała jej matka przy każdej możliwej okazji.

– Odpuść sobie, słoneczko. Nie da się panować nad wszystkim dwadzieścia cztery godziny na dobę.

I to mówiła kobieta, która po dwudziestu latach terapii wciąż nie mogła odzyskać samokontroli. Która grzebała swoją rozpacz po stracie męża, upijając się do otępienia każdego piątkowego wieczoru i ciągnąc ze sobą do domu każdego nieznajomego, który tylko przynosił alkohol. Aż ktoś z tych jej przyjaciół zaproponował trójkącik: on, matka i córka. Dopiero wtedy przestała ich przyprowadzać do domu i przerzuciła się na motele. I wcale nie dlatego, że pomysł dzielenia się z facetem dwunastoletnią córką uznała za odrażający, tylko poczuła się onieśmielona aż tak daleko posuniętą erotyczną ekstrawagancją.

Maggie pomasowała napięte mięśnie karku, które zawsze sztywniały jej na myśl o matce. Szkoda, że nie zaczęła od zameldowania się w hotelu. Zamiast przychodzić tu od razu, powinna była zjeść lunch. Z drugiej jednak strony po godzinach spędzonych w samolocie chciała zabrać się wreszcie do roboty, pomyszkować, podumać nad szczegółami sprawy Ronalda Jeffreysa. To ostatnie morderstwo było niemal identyczne, na piersi ofiary także wycięto nożem duże X. Naśladowcy często bywają bardzo

skrupulatni, pilnują wszystkich drobiazgów, żeby tylko wzmocnić grozę. Stają się przez to nierzadko groźniejsi od oryginału, ponieważ ich pedanteria wyklucza błędy.

– Mogę w czymś pomóc?

Maggie wzdrygnęła się i obróciła. Młoda kobieta, która pojawiła się znienacka, kompletnie nie przypominała pracownicy biura szeryfa, jak wyobrażała ją sobie Maggie. Miała zbyt długie, grube włosy i zbyt krótką i ciasną, wydzierganą na drutach spódnicę. Wyglądała jak wybierająca się na randkę nastolatka.

– Przyszłam spotkać się z szeryfem Morrellim.

Kobieta lustrowała Maggie podejrzliwie, twardo stojąc w progu na straży dalszych biurowych pokoi. Maggie wiedziała, że granatowa marynarka i spodnie dodają jej powagi, kryjąc szczupłą figurę, która czasami odbierała jej autorytet. Już na początku swojej zawodowej kariery wykształciła w sobie dość szorstki i obcesowy sposób bycia, domagając się tym samym uwagi i rekompensując sobie zbyt delikatny, „nieprofesjonalny” wygląd. Mając niecałe sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu i ważąc pięćdziesiąt dwa kilogramy z trudem spełniała wymagania FBI.

– Nicka nie ma w tej chwili – rzekła kobieta tonem, który mówił Maggie, że nie dowie się niczego więcej. – Spodziewał się pani? – Energicznie skrzyżowała ramiona i wyprostowała się, żeby podkreślić, jaka jest ważna.

Maggie rozejrzała się po pokoju, nie zwracając uwagi na pytanie. Pokazała, że owa demonstracja siły nie zrobiła na niej najmniejszego wrażenia.

– Można go jakoś złapać? – Udawała, że zainteresowała ją tablica, na której widniał plakat z poszukiwanym zbrodniarzem z początku lat osiemdziesiątych, ulotka o halloweenowych tańcach i ogłoszenie o sprzedaży forda z 1990 roku.

– Proszę pani, nie chciałabym być niegrzeczna – zaczęła młoda kobieta, tracąc trochę pewność siebie. – W jakim celu chce się pani skontaktować z Nickiem… z szeryfem Morrellim?

Maggie zerknęła na kobietę, która nagle postarzała się w jej oczach, wokół jej ust i pod oczami zarysowały się zmarszczki, zachwiała się na swoich wysokich obcasach i przygryzła dolną wargę.

Gdy Maggie wreszcie sięgnęła do kieszeni marynarki po swoją odznakę, w drzwiach pojawili się dwaj mężczyźni. Narobili sporo hałasu. Starszy miał na sobie brązowy mundur zastępcy szeryfa, idealnie zaprasowane spodnie i krawat ciasno zawiązany pod szyją. Czarne włosy zaczesał gładko do tyłu, gdzie karnie zwijały się nad kołnierzykiem. Młodszy przeciwnie. Był w szarym podkoszulku ze śladami potu, krótkich spodniach i sportowych butach do biegania. Miał ciemnobrązowe, krótkie, potargane włosy, wilgotne kosmyki przykleiły mu się do czoła. Mimo to był przystojny i zdecydowanie w dobrej formie. Miał mocne muskularne nogi, szczupłą talię i szerokie ramiona. Maggie była na siebie zła, że zwraca uwagę na takie bzdury.

Obaj mężczyźni zamilkli na widok Maggie. W ciszy przenosili wzrok z niej na doprowadzoną do ostateczności

młodą kobietę, która nie zeszła ze swojego posterunku na progu.

– Cześć, Lucy. Wszystko w porządku? – odezwał się ten młodszy, przyglądając się Maggie. Kiedy wreszcie spotkał się z nią wzrokiem, uśmiechnął się, jakby zdobyła jego akceptację.

– Właśnie chciałam się dowiedzieć, co ta pani…

– Chciałam się widzieć z szeryfem Morrellim – przerwała jej Maggie. Zniecierpliwiło ją, że jest traktowana jak kontroler podatkowy.

– W jakiej sprawie? – spytał zastępca, marszcząc czoło w pełnej gotowości.

Maggie przejechała palcami przez włosy, czekając, aż się uspokoi, żeby niecierpliwość nie zamieniła się w złość. Wyjęła swoją odznakę i machnęła im nią przed oczami.

– Jestem z FBI.

– Agent… agentka specjalna O’Dell? – powiedział młodszy mężczyzna, zarazem zdziwiony i zażenowany.

– Tak.

– Przepraszam. – Wytarł rękę w koszulkę i wyciągnął ją do niej. – Nick Morrelli.

Była pewna, że nie zdołała ukryć zdumienia, bo uśmiechnął się, widząc jej minę. Tyle razy pracowała już z szeryfami w małych miasteczkach, ale Nick żadnego z nich w niczym nie przypominał. Kojarzył się bardziej z zawodowym sportowcem, któremu wybacza się arogancję za niezły wygląd i urok osobisty. Miał niebieskie oczy, ciemne włosy i opaloną skórę. I mocny uścisk dłoni, żadne

tam delikatne muśnięcie zarezerwowane dla kobiet. Nie spuszczał z niej wzroku, jakby w pokoju nie było nikogo prócz niej. Takie spojrzenie serwował tylko kobietom.

– Mój zastępca Eddie Gillick. A to Lucy Burton, którą już pani poznała, jak rozumiem. Bardzo mi przykro, naprawdę. Robota nas goni, nie spaliśmy kilka nocy, po piętach depczą nam dziennikarze.

– W każdym razie nie najgorzej się pan kamufluje. – Tym razem Maggie zlustrowała Nicka powoli, tak jak on zrobił to z nią przed chwilą. Kiedy doszła do wysokości jego oczu, błysk zażenowania zastąpił w nich pewność siebie.

– Wróciłem właśnie z Oklahomy. Brałem udział w naszym pucharze – wyjaśniał naprędce, jakby przyłapano go na czymś, czego powinien się wstydzić. Przestępował z nogi na nogę. – Zbieramy pieniądze dla Amerykańskiego Stowarzyszenia Chorób Płucnych… a może Chorób Serca. Nie pamiętam. W każdym razie na dobry cel.

– Nie musi się pan przede mną tłumaczyć, szeryfie – powiedziała, w głębi ducha zadowolona, że jej obecność tak na niego działa.

Zapanowała krępująca cisza. W końcu Gillick odchrząknął.

– Muszę wracać na miasto. – Uśmiechnął się do Maggie. – Miło było panią poznać, pani O’Dell.

– Agentka O’Dell – poprawił go Morrelli.

– Tak, przepraszam. – Zdetonowany zastępca zaczął jeszcze bardziej się spieszyć.

– Na pewno jeszcze się spotkamy. – Maggie postanowiła dodatkowo mu dołożyć.

– Lucy, czyżbym czuł zapach kawy? – spytał Morrelli z chłopięcym uśmiechem.

– Właśnie zaparzyłam, zaraz ci przyniosę. – Jej głos był teraz słodki i kokieteryjnie o oktawę wyższy.

Maggie uśmiechnęła się pod nosem, widząc, jak pewna siebie, mocna kobieta łagodnieje i nalewa kawę przystojnemu szefowi.

– Mogłabyś też nalać agentce O'Dell? – Nick przesłał uśmiech Maggie, a Lucy rzuciła jej złe spojrzenie.

– Z cukrem czy ze śmietanką?

– Bez niczego, dziękuję.

– Może woli pani pepsi? – spytał Nick, koniecznie pragnąc jej się przypodobać.

– Tak, wolę. – Miała nadzieję, że cukier choć trochę zagłuszy głód.

– Lucy, zostaw tę kawę i przynieś nam, proszę, dwie puszki pepsi.

Lucy popatrzyła na Maggie. Z jej twarzy wyparowało całe podniecenie, teraz była na niej tylko pogarda. Zakręciła się na pięcie i wyszła, a stukot jej obcasów niósł się echem po korytarzu.

Zostali sami. Morrelli pocierał ramiona, jakby zmarzł. Czuł się nieswojo. Maggie mogła bez pudła podać powód jego skrępowania. Może powinna była zadzwonić, zapowiedzieć się telefonicznie, pomyślała. Nie znała

miejscowej etykiety, najwyraźniej obowiązującej w Platte City.

– Po czterdziestu ośmiu godzinach na nogach postanowiliśmy dzisiaj odpocząć. – Znowu się tłumaczył, swój strój i pustki w biurze. – Spodziewałem się pani najwcześniej jutro. Wie pani, dzisiaj niedziela.

Maggie zaczęła się zastanawiać, czy Nick jest mianowanym, czy wybranym szeryfem. W obu wypadkach jego chłopięcy urok był zapewne ważniejszy od kompetencji.

– W rozmowie z moimi szefami odniosłam wrażenie, że w tej sprawie liczy się czas. Trzymacie ciało, żebym mogła je zobaczyć?

– Tak, oczywiście. On jest... – Morrelli przetarł twarz dłonią. Maggie dostrzegła małą bliznę, lekko wypukłą białą linię na idealnym poza tym podbródku. – Jest w szpitalnej kostnicy. – Przetarł oczy. Zastanowiła się, czy jest zmęczony, czy próbuje wymazać z pamięci obraz, który nawiedza go nocami. Według raportu to Morrelli znalazł ciało. – Jeśli pani sobie życzy, mogę panią tam zawieźć – dodał.

– Dziękuję, tak, powinnam tam pojechać. Ale najpierw prosiłabym, żeby mnie pan podrzucił gdzie indziej.

– Oczywiście. Pewnie chce się pani rozpakować. Zostaje pani w mieście?

– Prawdę mówiąc, nie o to mi chodzi. Chciałabym zobaczyć miejsce zbrodni. – Patrzyła, jak blednie mu twarz. – Niech mi pan pokaże, gdzie znalazł pan ciało.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Polna droga przechodziła w podeptane trawy i rozjeżdżone koleiny. Ślady opon krzyżowały się, tonąc w błocie. Nick włączył drugi bieg i dżip ruszył. Koła zapadły się głębiej w miękkie podłoże.

– Zdaje się, że nikt nie pomyślał o tym, że wozy, które tu wjeżdżały i wyjeżdżały, mogą pozacierać ślady?

Nick rzucił O'Dell sfrustrowane spojrzenie. Zmęczył się już tym ciągłym wypominaniem mu błędów.

– Zanim odkryliśmy ciało, przejeżdżały tędy przynajmniej dwa samochody. Owszem, mieliśmy świadomość, że mogliśmy zatrzeć ślady.

Znowu rzucił spojrzenie w jej kierunku, starając się trzymać dżipa z dala od najgorszego błota. Zgadywał, że O'Dell miała ze dwadzieścia sześć, siedem lat, chociaż zgrywała starszą. No, najwyżej mogła być tuż po trzydziestce, a to za mało, by stać się prawdziwym ekspertem. Zresztą nie tylko jej wiek go rozbrajał. Była atrakcyjna, mimo że tak bardzo chłodna i zdystansowana. Nawet tradycyjny kostium nie mógł do końca ukryć ciała, które, jak się spodziewał, było całkiem niezłe. W innej sytuacji wyciągnąłby z rękawa wszystkie swoje sztuczki, ale, Jezu, miała w sobie coś, co go usztywniało. Była taka pewna siebie, zrównoważona i wyniosła. Zachowywała się,

jakby zawsze wiedziała, jak postąpić, co sprawiało, że jeszcze bardziej czuł swoje braki. Wkurzało go to jak diabli.

Dżip zakrztusił się i zatrzymał na wprost okalającej kępę drzew żółtej taśmy. Nick natychmiast poczuł nudności, które zaatakowały go tamtej nocy. Zakręciło mu się w głowie. To zaczynało być naprawdę żenujące. Usłyszał, jak O'Dell walczy z klamką. Znajomy metaliczny dźwięk pomógł mu się opanować.

– Te drzwi się zacinają. Proszę mi pozwolić. – Nie myśląc, sięgnął przez siedzenie i oparł się o Maggie. Trzymał już rękę na klamce, kiedy zorientował się, że prawie leży na agentce, z twarzą niebezpiecznie zbliżoną do jej twarzy. Wcisnęła się w siedzenie, żeby go nie dotykać. Natychmiast cofnął rękę, wracając na swoją stronę.

– Otworzę z zewnątrz.

– Dobry pomysł.

Wysiadłszy z dżipa, Nick ofuknął się w myśli. Jakiż z niego głupiec. Zero profesjonalizmu. Zasługuje na opinię niekompetentnego szeryfa playboya.

Skoczył na drugą stronę wozu. Zdążył wziąć w biurze prysznic i przebrać się w dżinsy, zamienił też buty do biegania na te, które miał na sobie tamtej nocy. Zaschnięte błoto wciąż oblepiało drogą skórę. Teraz znowu w jednej chwili wchłonęła je kleista maź. Czarne chmury nadciągnęły nad łąkę, grożąc w każdej chwili burzą i gwarantując, że maź pozostanie tam przez wiele dni.

Z zewnątrz drzwi dżipa otworzyły się bez trudu. Czy O'Dell pomyślała, że jego głupie zachowanie

w samochodzie było tylko pretekstem, by się do niej zbliżyć? – zastanowił się. Nieważne. Coś mu mówiło, że ta kobieta jest odporna na jego urok, a raczej na to, co z niego zostało.

– Chwileczkę – zatrzymał ją. – Mam tu gdzieś kalosze, dwie pary. – Wspiął się znowu do wozu, zatrzymując się w pół drogi, kiedy uświadomił sobie, że powtarza błąd. Unikając jej wzroku, zaczekał, aż przesunie się na drugie siedzenie i znajdzie w bezpiecznej odległości. Wtedy zanurkował w głąb. Szczęśliwie kalosze były w zasięgu ręki.

– Jest pan pewny, że to konieczne? – Patrzyła na czarne gumowe buciory, jakby były kajdankami.

– W tym błocie nie zrobi pani bez nich ani kroku. A przy brzegu jest jeszcze gorzej.

Podał jej kalosze i zaczął rozwiązywać sznurówki. Przerwał, kiedy zsunęła swoje eleganckie skórzane pantofle. Jej stopy w cienkich przezroczystych skarpetkach były drobne i delikatne. Patrzył, jak wkłada stopę do ogromnego kalosza, który ją połknął. Wcisnęła za cholewę nogawkę spodni, nie dawało to jednak gwarancji, że wielki bucior pozostanie na swoim miejscu.

Zaczęli brnąć przez mokradła. Spoglądał z podziwem, jak Maggie dotrzymuje mu kroku pomimo niepasujących kaloszy i niższego wzrostu. Żółta taśma w dalszym ciągu otaczała drzewa. W niektórych miejscach była już zerwana i chwiała się na wietrze, który rósł w siłę, coraz szybciej popychając chmury nad ich głowami. Nick podniósł kołnierz kurtki. Jego włosy były wciąż wilgotne. Po plecach

przebiegł mu dreszcz. Zerknął na O’Dell, która miała na sobie tylko wełniany żakiet i spodnie. Wcale jednak nie wyglądała na zmarzniętą.

Patrzył, jak ostrożnie stąpała wokół miejsca, gdzie leżało drobne chłopięce ciało, którego odcisk pozostał dotąd w trawie. Przykucnęła, z bliska przyglądając się źdźbłom trawy, wzięła w garść błoto i powąchała je. Nick skrzywił się, dobrze bowiem pamiętał ten zapach. Wciąż bolała go skóra po ostrym szorowaniu, gdy zmywał z siebie tę woń.

O’Dell podniosła się i spojrzała na rzekę. Od brzegu dzieliło ich ledwie kilka kroków. Wysoka woda rozpryskiwała się na boki, płynąc wartkim nurtem.

– Gdzie znalazł pan krzyżyk? – spytała, nie patrząc na niego.

Podszedł do owego miejsca, zaznaczonego białym palikiem przez jednego z jego zastępców.

– Tutaj. – Wskazał na ledwo widoczny plastikowy znak zatopiony w błocie.

O’Dell przeniosła tam wzrok, potem wróciła do miejsca, gdzie leżał chłopiec. Jakiś metr dalej.

– Należał do chłopca. Matka go rozpoznała – wyjaśnił Nick, żałując, że nie mógł go oddać Laurze Alverez, kiedy go o to błagała. – Łańcuszek był zerwany, zapewne zerwał się podczas walki.

– Tylko że tu nikt nie walczył.

– Słucham? – Spojrzał na nią pytająco, ale była na kolanach i rozciągała miarkę między znakiem i zgniecioną trawą.

– Nie było tu żadnej walki – powtórzyła z całym spokojem, podnosząc się na nogi i otrzepując z liści i błota, które okleiły jej spodnie.

– Skąd pani wie? – Jej rzeczowość wkurzała go. Była tu dopiero od dziesięciu minut, a wydawało jej się, że już wszystko wie.

– Kiedy pan się potknął, upadł pan w tym miejscu, prawda? – spytała, pokazując na trawę i dołek w błocie.

Nick ponownie się skrzywił. Nawet we własnym raporcie zrobił z siebie durnia.

– No, owszem – przyznał.

– Te wszystkie ślady wokół zostawili pewnie pańscy zastępcy.

– I FBI – dorzucił Nick obronnym tonem, choć pewnie jej to nie obchodziło. – Oni tu rządzili do czasu, kiedy wykluczono porwanie.

– Tylko w tych dwóch miejscach trawa jest zgnieciona. Ofiara miała związane ręce i nogi, kiedy pan ją znalazł?

– Taa, ręce za plecami.

– Moim zdaniem chłopiec przyjechał tu związany. Czy koroner podał już zbliżony czas i miejsce śmierci? – Wyciągnęła niewielki notes i zapisała coś.

– Chłopiec został zamordowany tutaj, nie więcej niż dobę przed tym, jak go znalazłem. – Wróciły nudności. Nick miał wątpliwości, czy kiedykolwiek pozbędzie się obrazu nieżywego dziecka, tych szeroko otwartych niewinnych oczu wpatrzonych w niebo.

– Kiedy chłopiec zaginął?

– Wcześnie rano w niedzielę. Znaleźliśmy jego rower i torbę z gazetami przy płocie. Nawet nie ruszył w drogę.

– A zatem zabójca przetrzymywał go co najmniej przez trzy dni.

– Jezu. – Nick mruknął i potrząsnął głową. Nie myślał dotąd o czasie pomiędzy uprowadzeniem chłopca i morderstwem. Byli tak pewni, że małego Alvereza porwał ojciec albo ktoś, kto zażąda okupu. Nick sądził dotąd, że był dobrze traktowany.

– No to jak się zerwał łańcuszek? – Chciał natychmiast wyrzucić z myśli tortury, jakim mógł być poddawany chłopiec.

– Nie wiem na pewno. Może zabójca za niego pociągnął. Krzyżyk był srebrny, prawda? – Spojrzała na niego pytająco, a on skinął lekko głową. Był pełen podziwu, że zapamiętała tak dobrze jego raport. Ciągnęła dalej, jakby myślała na głos: – Może zabójca nie chciał widzieć krzyżyka. Może przeszkadzał mu w wykonaniu zbrodni. To znak religijny, ma chronić tego, kto go nosi. Może zabójca jest wystarczająco religijny, żeby to wiedzieć, i czuł się z tym niewygodnie.

– Religijny zabójca? Świetnie.

– Ma pan inny ślad?

– Ślad?

– Inne dowody, inne przedmioty, skrawki materiału, sznura czy coś takiego? Czy FBI zdołała w ogóle zbadać ślady opon?

Znowu te ślady opon. Ile razy będzie mu przypominać, że skrewił?

– Znaleźliśmy ślady stóp.

Rozdrażniona spojrzała na niego.

– Ślady stóp? Proszę wybaczyć mój sceptycyzm, szeryfie, ale jak mogliście wyróżnić tu jeden ślad? Po tym miejscu deptało z kilkanaście różnych butów. – Machnęła ręką. – Skąd pan wie, że pańskie ślady nie należą do kogoś z FBI?

– Bo nikt z nas nie był boso. – Nie czekał na jej reakcję, tylko zbliżył się do rzeki. Chwycił się gałęzi i ześliznął na brzeg. Podniósł wzrok, O'Dell stała tuż za nim.

– Tutaj. – Wskazał na zagłębienia w błocie zaznaczone specjalnym proszkiem.

– Nie ma pewności, że należą do zabójcy.

– A komu by tak odbiło, żeby łazić boso?

Złapała za tę samą gałąź i zjechała bliżej.

– Mógłby mi pan podać rękę? – Wyciągnęła do niego dłoń. Ścisnął ją, a Maggie pochyliła się i przyglądała śladom.

Jej dłoń była miękka i drobna, za to uścisk silny. Kiedy znaleźli się znów na twardym gruncie, Maggie zrobiła kolejne notatki. Nick przyglądał się w tym czasie ciężkim czarnym chmurom. Nagle zapragnął znaleźć się zupełnie gdzie indziej. Po czterdziestu ośmiu godzinach bez snu był wykończony. Mięśnie łydek bolały go po biegu, do którego zmusił się tego ranka. A teraz stał tu, czując się jak ignorant, i miał wrażenie, że za chwilę zwymiotuje na wspomnienie bladego chłopca zapatrzonego w gwiazdy. Złapał się na tym, że zastanawia się, co było ostatnią

rzeczą, którą widział ten mały. Danny patrzył do góry. Nick miał nadzieję, że widział na przykład lecące białe gęsi, coś spokojnego i przyjaznego.

– Cięcia na piersi chłopca były identyczne z tymi, które robił swoim ofiarom Jeffreys – oznajmił, niechętnie powracając do rzeczywistości. – Skąd ktoś tak dobrze znałby te szczegóły?

– Jeffreysa stracono niedawno. W lipcu, zdaje się.

– Tak.

– Bardzo często lokalne media przy takich okazjach przypominają wszystkie detale zbrodni. Z takich informacji można się mnóstwo dowiedzieć.

– Stare dobre media – rzekł Nick, pamiętając cios, jaki zadała mu Christine swoim artykułem.

– Albo ktoś miał dostęp do akt sądowych. Zazwyczaj po zakończeniu procesu są ujawniane.

– Myśli pani, że to naśladowca?

– Tak. Zbyt wiele tu zbiegów okoliczności, żeby mógł to być przypadek.

– Dlaczego ktoś powtarzałby taki mord? Żeby się podniecić?

– Niestety nie wiem – rzekła, podnosząc wzrok i patrząc mu w oczy. – Mogę panu tylko powiedzieć, że zrobi to znowu. I to wkrótce.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kostnica szpitalna znajdowała się w podziemiach, gdzie każdy dźwięk zwielokrotniało echo odbijające się o białe ceglane ściany. Rury kanalizacyjne huczały, obracający się wentylator świszczał. Drzwi windy zamknęły się za nimi. Coś zaskrzeczało, kiedy liny naprężyły się i pociągnęły wagonik w górę.

Szeryf Morrelli szedł na palcach, by poruszać się jak najciszej. Maggie spojrzała na niego. Udawał, że to dla niego normalka, ale nietrudno było odgadnąć prawdę. Już nad rzeką zauważyła, jak się skrzywił kilka razy, zdradzając, że jego spokój to tylko maska.

Uparł się jednak, żeby towarzyszyć jej w kostnicy, kiedy dowiedział się, że koroner wybrał się na cały dzień na polowanie i był niedostępny. Co za ironia, pomyślała Maggie, polujący koroner! Widziała wiele trupów i nie mogła sobie wyobrazić, jak po tym wszystkim można się relaksować, zabijając.

Morrelli otworzył drzwi i przepuścił ją pierwszą do środka. Musiała otrzeć się o niego. Nie wiedziała, czy zrobił to celowo, ale już po raz drugi czy trzeci tak to urządził, żeby musieli się dotknąć.

Zazwyczaj chłodem i wyniosłością szybko powstrzymywała niechciane męskie zaczepki. Morrelli jednak jakoś się tym nie przejmował. Pomyślała, że szeryf

każdą spotkaną kobietę traktuje jako potencjalną zdobycz na jedną noc. Znała ten typ, wiedziała, że te flirty i pochlebstwa, wspomagane chłopięcym urokiem i urodą, zapewne pozwalały mu osiągać cel. Denerwowało ją to, ale jeśli o nią chodziło, Morrelli wydawał się niegroźny.

Musiała sobie radzić z gorszymi przypadkami. Przyzwyczaiła się, że mężczyźni, z zasady niechętnie współpracujący z kobietami, rekompensowali to sprośnymi komentarzami. Doświadczyła różnego rodzaju molestowania seksualnego, od łagodnych flirtów do gwałtownych oblężeń. Nauczyła się jednego. Najlepszą bronią była maska obojętności.

Morrelli znalazł kontakt i rzędy fluorescencyjnych żarówek zaczęły kolejno zapalać się nad ich głowami. Pomieszczenie było większe, niż się Maggie spodziewała. Zapach amoniaku uderzał w nozdrza i palił w płucach. Było czysto aż do przesady. Lśniący metalowy stół znajdował się na samym środku wykafelkowanej podłogi. Na jednej ze ścian umieszczony był podwójny zlew i lada, na której leżały rozmaite narzędzia: nieduża piła, kilka mikroskopów, buteleczki i fiolki przygotowane do testów. Po przeciwnej stronie mieściło się pięć lodówek. Maggie miała wątpliwości, czy tak mały szpital kiedykolwiek wykorzystywał je wszystkie jednocześnie.

Zdjęła żakiet, położyła go starannie na stołku i zaczęła podwijać rękawy bluzki. Rozejrzała się, szukając laboratoryjnego fartucha. Spojrzała na swoją kosztowną jedwabną bluzkę, prezent od Grega. Gdyby musiała się jej

pozbyć z powodu niezmywalnych plam, natychmiast by to zauważył. Oskarżyłby żonę zaraz o bezmyślność i nieodpowiedzialność, tak jak wtedy, gdy zgubiła obrączkę, spoczywającą teraz gdzieś na mrocznym dnie Charles River. Ale co tam. Podwinęła do końca rękawy.

Przyniosła ze sobą niedużą czarną torbę, w której miała wszystko, co było jej potrzebne. Otworzyła ją i wykładała zawartość na ladę, zaczynając od słoiczka Vickcs VapoRub i smarując się maścią wokół otworów nosowych. Nauczyła się dawno temu, że nawet zamrożone ciała mają zapach, którego lepiej nie wdychać. Zakręcała już wieczko, ale zawahała się, patrząc na Morrellego, który przypatrywał jej się spod drzwi. Rzuciła mu słoik.

– Jeśli chce pan zostać, radzę tego użyć.

Opornie poszedł za jej przykładem.

Następnie wyjęła rękawiczki chirurgiczne, jemu także podała parę. Pokręcił głową.

– Naprawdę nie musi pan tu być – powiedziała. Zaczął blednąć, a jeszcze nie wyciągnęli ciała.

– Nie, zostanę. Tylko… nie chciałbym pani przeszkadzać.

Nie wiedziała, czy Nick robi to z poczucia obowiązku, czy tylko dba o reputację twardziela. Zresztą wolałaby zostać sama, ale musiała pamiętać, że to jego terytorium i jego sprawa. I niezależnie od tego, co teraz czuł, formalnie był szefem.

Kontynuowała więc, ignorując jego obecność. Na stole pojawił się dyktafon. Sprawdziła, czy w środku jest taśma,

i włączyła sprzęt. Tak samo dokładnie sprawdziła swój polaroid.

– Która szuflada? – spytała gotowa do pracy, z rękami wspartymi na biodrach. Spojrzała na Morrellego, który patrzył na lodówki, jakby nie zdawał sobie sprawy, że muszą wyjąć ciało.

Ruszył powoli, otworzył środkową szufladę i pociągnął ją. Metalowe kółka skrzypnęły, potem kliknęły i szuflada wyjechała na zewnątrz.

Maggie kopnęła hamulec, by zwolnić kółka metalowego stołu, i podsunęła go pod szufladę. Pasowało idealnie. Wspólnie odczepili tacę z zapakowanym drobnym ciałem, która znalazła się na stole, a potem przesunęli stół na środek pomieszczenia pod zawieszone w górze światła. Maggie znów kopnęła hamulec, by unieruchomić kółka, a Morrelli zamknął drzwi szuflady. Kiedy zaczęła ściągać w dół zamek błyskawiczny, szeryf wycofał się do kąta.

Chłopiec był tak drobny i mały, że rany na jego ciele sprawiały wrażenie większych. Był ładnym dzieckiem, stwierdziła Maggie. Rudawe włosy miał krótko przycięte. Na nosie i policzkach piegi kontrastowały z jasną skórą. Miał paskudną ranę na szyi, a zaciśnięty sznur pozostawił ślady tuż nad otwartym cięciem.

Maggie zaczęła robić zdjęcia, zbliżenia ran i wielkiego X na klatce piersiowej, sinych i czerwonych śladów na nadgarstkach oraz podciętego gardła. Czekała, aż zdjęcie się wywoła, by mieć pewność, że jest dobrze naświetlone.

Systematycznie wszystko komentowała, mówiąc do leżącego blisko dyktafonu.

– Ofiara ma siniaki pod szyją i wokół szyi, zrobione prawdopodobnie sznurem. Chłopiec mógł być związany. Otarcie tuż pod lewym uchem, być może od supła.

Żeby spojrzeć na kark, lekko uniosła głowę denata. Był tak lekki, jakby nic nie ważył.

– Tak, ślad idzie wokół szyi, co wskazuje, że ofiara była skrępowana, a potem uduszona. Rana na gardle jest głęboka i długa, ciągnie się od ucha do ucha. Otarcia na nadgarstkach i na kostkach u nóg są podobne do tych na szyi. Prawdopodobnie użyto takiego samego sznura.

Jego dłonie były takie maleńkie. Maggie trzymała je z uwagą, przyglądając się im.

– We wnętrzu dłoni są głębokie ślady po paznokciach. Może to znaczyć, że ofiara żyła jeszcze, kiedy zadawano jej pierwsze rany. Paznokcie są czyste… bardzo czyste.

Położyła drobne ręce chłopca i zajęła się ranami.

– Ofiara ma osiem, nie, dziewięć ran kłutych na klatce piersiowej. – Delikatnie dotykała ran, patrząc, jak jej palec wskazujący w gumowej rękawiczce zagłębia się w nie. – Wyglądają na rany od noża z jednym ostrzem. Trzy są powierzchowne. Przynajmniej sześć jest bardzo głębokich, prawdopodobnie do kości. Jedna mogła przebić serce. Tak, jest bardzo mało… w zasadzie nie ma krwi. Szeryfie, czy padał deszcz, kiedy znaleziono ciało?

Podniosła na niego wzrok, bo nie odpowiadał. Stał oparty o ścianę, zahipnotyzowany drobnym ciałem na stole.

– Szeryfie Morrelli?

Tym razem usłyszał. Odepchnął się od ściany i wyprostował niemal na baczność.

– Przepraszam, co pani mówiła? – wyszeptał, jakby bał się obudzić dziecko.

– Pamięta pan, czy padało, kiedy chłopiec leżał w trawie?

– Nie, wcale. Tydzień temu u nas lało.

– Czy koroner mył ciało?

– Prosiliśmy George'a, żeby niczego nie ruszał do pani przyjazdu. Czemu pani pyta?

Maggie przeniosła wzrok na chłopca. Zdjęła rękawiczkę i odgarnęła włosy z twarzy, zakładając je za ucho. Coś tu było nie tak.

– Niektóre z tych ran są głębokie. Nawet jeśli zadano je po śmierci ofiary, na jego ciele powinna być krew. Jeśli się nie mylę, na miejscu zbrodni było pełno krwi, w trawie i na ziemi.

– Mnóstwo. Nie mogłem jej sprać z ubrania.

Uniosła znów rękę dziecka. Jego paznokcie były czyste, bez śladu brudu, ziemi, krwi czy skóry, a przecież wbijał je w zaciśnięte dłonie. Także na stopach nie było znaku brudu ani śladu nadrzecznego błota. Ze związanymi rękami i nogami nie mógł się bronić, a jednak niemożliwe, żeby nie próbował i nie zabrudził się przy okazji.

– Wygląda, jakby ktoś go umył – powiedziała do siebie. Kiedy podniosła wzrok, Morrelli stał tuż obok.

– Twierdzi pani, że to morderca umył ciało, kiedy skończył?

– Proszę spojrzeć na cięcie na piersiach. – Włożyła na powrót rękawiczkę i wsunęła dłoń pod skórę dziecka. – To zrobił innym nożem, z ząbkowanym ostrzem, które porwało skórę w niektórych miejscach. Widzi pan to? – Przesunęła palcem po okaleczonej skórze. – Powinna być krew. Na pewno powinna. Chociaż trochę. Te rany kłute są naprawdę głębokie. – Wsadziła palec w jedną z nich, żeby mu to udowodnić. – Kiedy robi się taką dziurę, powinno krwawić, dopóki się tego nie zatka. A ta, jestem pewna, że dochodzi do serca. Mówimy o głównej tętnicy. A gardło... Szeryfie?

Morrelli opierał się o stół, który pod jego ciężarem popiskiwał na kafelkach. Maggie zajrzała mu w twarz. Była sinobiała. Zanim zdała sobie sprawę, co się dzieje, zwalił się na nią. Złapała go w pasie, ale był zbyt ciężki i upadła razem z nim na podłogę. Całym ciężarem zgniótł jej piersi.

– Morrelli, nic panu nie jest?

Wygrzebała się jakoś spod niego i oparła go o nogę stołu. Był przytomny, ale wywracał oczami. Wstała i poszukała wzrokiem ręcznika, by zrobić mokry okład. Laboratorium było świetnie wyposażone, ale nie było w nim żadnych ręczników, żadnych fartuchów, ścierek ani nic takiego. Przypomniała sobie, że widziała maszynę z napojami obok windy. Poszukała drobnych i po chwili była znów u boku szeryfa, zanim zdołał się ruszyć.

Nogi mu się zaplątały. Siedział z głową wspartą o stół. Kiedy przyklękła obok niego z puszką pepsi, jego oczy były już przytomniejsze.

– Proszę – rzekła, podając mu puszkę.

– Dzięki, ale nie chce mi się pić.

– Chłodny kompres. Proszę... – Położyła rękę na jego karku, lekko pochylając głowę do przodu i do tyłu. Potem położyła zimną puszkę pepsi na karku szeryfa. Oparł się o nią. Jeszcze moment, a jego głowa spoczęłaby między jej piersiami. Wyglądało na to, że zupełnie był tego nieświadomy. A może superman pokazał swoją wrażliwą stronę? Odsuwała powoli rękę, kiedy Morrelli chwycił ją i zamknął w swojej silnej dłoni. Spojrzał jej w oczy krystalicznie niebieskimi, całkiem już przytomnymi oczami.

– Dziękuję. – Był zażenowany, ale nie spuszczał z niej wzroku. Podejrzewała, że nawet teraz z nią flirtuje.

W odpowiedzi wyrwała dłoń, za szybko i zbyt gwałtownie. Równie obcesowo wręczyła mu pepsi, po czym przyklękła nieco dalej od niego.

– Nie wierzę, że mi się to przytrafiło – powiedział. – Trochę mi wstyd.

– Niepotrzebnie. Spędziłam wiele czasu na podłodze, zanim do tego przywykłam.

– A w jaki sposób można do tego przywyknąć? – Szeryf popatrzył jej w oczy, jakby szukał w nich odpowiedzi.

– Trudno powiedzieć. Człowiek się dystansuje, stara się o tym nie myśleć. – Odwróciła wzrok i szybko wstała. Bardzo źle się czuła, kiedy tak głęboko zaglądał jej w oczy. Uznała to za jego przebiegłą grę. Bała się, żeby nie dojrzał jej słabości, którą tak skrupulatnie skrywała. Kilka miesięcy wcześniej nie miała nic do ukrycia, lecz Albert Stucky pokazał jej, że nie jest doskonała. Złościło ją, że owa

słabość była tak blisko powierzchni, tak łatwa do wypatrzenia.

Zanim podała mu rękę, Morrelli powoli rozprostował nogi, a następnie sam wstał bez żadnego problemu. Maggie nie omieszkała zauważyć, że szeryf porusza się pewnie i zgrabnie, jeśli tylko nie mdleje.

Posłał jej uśmiech, a następnie potarł schłodzoną puszką po czole.

– Możemy się spotkać w kawiarni, jak już tu pani skończy?

– Tak, oczywiście. To już nie potrwa długo.

– Zrobię sobie przerwę na pepsi. – Uniósł puszkę, jakby wznosił toast, i ruszył do wyjścia, spoglądając na ciało chłopca.

Maggie zaburczało w brzuchu. Żałowała, że nie zjadła śniadania w samolocie. W kostnicy było zimno, ale zmagania z Morrellim ją rozgrzały. Ściągnęła rękawiczkę i wytarła czoło, które, jak stwierdziła bez zdziwienia, było mokre. Jednocześnie spojrzała na czoło chłopca. Patrząc pod tym kątem, zobaczyła jakieś maźnięcie na jego brwi.

Nachyliła się nad stołem, przyglądając się przejrzystej smudze na środku czoła dziecka. Przejechała po niej palcem i powąchała. Jeśli chłopiec został umyty, znaczyło to, że posmarowano go później olejem. Idąc za podszeptem instynktu, Maggie sprawdziła sine wargi i na nich też znalazła oleistą substancję. Nie sprawdzając dalej, wiedziała, że znajdzie to samo na piersi chłopca, tuż nad sercem. Opłaciły jej się lata wkuwania katechizmu. Bez tej

wiedzy nie miałaby pojęcia, że ktoś, być może morderca, najpewniej udzielił chłopcu ostatniego namaszczenia.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Christine Hamilton usiłowała zredagować artykuł, który nabazgrała w swoim notatniku, udając przy tym, że śledzi przebieg meczu. Drewniane ławki były potwornie niewygodne i nieustanne wiercenie nic nie pomagało. Miała ochotę zapalić, zamiast tego żuła końcówkę swojego długopisu.

Nagły wybuch entuzjazmu, wycie i gwizdy zmusiły ją do podniesienia wzroku. Drużyna dziesięciolatków w czerwonych strojach przybija sobie piątki. Straciła kolejną bramkę, ale kiedy niewysoki rudy chłopiec pokiwał do niej, posłała mu uśmiech i pokazała, że trzyma kciuki, jakby bacznie obserwowała każdą sekundę meczu.

Był dużo niższy niż jego koledzy z drużyny, ale i tak uważała, że rośnie zbyt szybko. Do tego, co wcale jej nie cieszyło, z każdym dniem coraz bardziej przypominał swojego ojca.

Przesunęła okulary na czubek głowy. Słońce znikało za linią drzew, które wyznaczały granicę parku. Na szczęście chmury tylko postraszyły, bo nie spadła ani kropla. Dlatego chłopcy grali w niedzielny wieczór.

Usiadła na samej górze, z dala od innych mam i ojców małych futbolistów. Nie miała ochoty poznawać tych oszalałych rodziców, którzy noszą koszulki z emblematem drużyny i wykrzykują obelgi pod adresem trenera.

Wiedziała, że potem będą klepać go po plecach i gratulować kolejnego zwycięstwa.

Przewróciła kartkę, zamierzając wrócić do pracy, kiedy zauważyła, że trzy, tak jak ona rozwiedzione, mamy bardzo podekscytowane szeptały między sobą. Zamiast oglądać mecz, pokazywały sobie coś poza linią boiska. Christine podążyła za ich wzrokiem i natychmiast straciła równowagę ducha. Mężczyzna, który maszerował dużymi krokami, reprezentował typ wysokiego przystojnego bruneta. Miał na sobie obcisłe dżinsy i koszulkę z napisem „Nebraska Cornhuskers". Kiedy studiował w college'u, był rozgrywającym, i do dzisiaj było to widać. Chodząc, a właściwie sunąc za linią boiska, obserwował grę. Dobrze wiedział, że przyciąga uwagę kibiców, Christine była tego pewna. Gdy podniósł wreszcie wzrok, pomachała do niego, a on się uśmiechnął, co niezbyt spodobało się innym kobietom, jak z satysfakcją stwierdziła Christine. Mężczyzna ruszył w jej kierunku i po chwili usiadł obok.

– Jaki wynik? – spytał Nick.

– Chyba pięć do trzech. Wiesz, że właśnie stałam się przez ciebie obiektem zazdrości wszystkich samotnych matek?

– Widzisz, ile dla ciebie robię? A ty mnie tak źle traktujesz.

– Źle? W życiu cię nie uderzyłam – powiedziała do młodszego brata. – No, w każdym razie nie za mocno.

– Nie o to mi chodzi, wiesz o tym. – Nie żartował.

Wyprostowała plecy, gotowa bronić się, choć poczucie winy już zaczęło ją dręczyć. No tak, powinna była do niego

zadzwonić, zanim zabrała się do tej sprawy. Ale co by było, gdyby poprosił, żeby się w to nie mieszała? Ten artykuł przeniósł ją na drugą stronę drzwi. W ciągu dwóch dni miała dwa artykuły na pierwszej stronie podpisane własnym nazwiskiem i nie musiała się już grzebać w durnych poradach dla gospodyń domowych. Następnego dnia miała dostać własne biurko w dziale miejskim.

– Może ci to jakoś wynagrodzę? Obiad jutro? Zrobię spaghetti z klopsikami w sekretnym sosie mamy.

Spojrzał na nią, a potem na jej notes.

– Nie rozumiesz, co?

– Daj spokój, Nick. Wiesz sam, jak długo czekałam, żeby się wydostać z działu porad. Gdybym ja tego nie napisała, zrobiłby to ktoś inny.

– Tak? I też by zacytował zastępcę szeryfa, który chlapnął coś w tajemnicy?

– Nie powiedział, że to tajemnica. Jeśli Gillick twierdzi inaczej, kłamie.

– Wcale nie wiedziałem, że to Eddie. Jezu, Christine, podałaś anonimowe źródło informacji.

Poczerwieniała.

– Nick, wiesz, że ciężko haruję. Pióro mi trochę zardzewiało, ale mogę być jeszcze cholernie dobrym reporterem.

– Czyżby? Na razie jesteś nieodpowiedzialnym reporterem.

– Och, na litość boską. Nie spodobało ci się to, co napisałam, i od razu zarzucasz mi brak odpowiedzialności.

– A co z tytułem? – Nick mówił przez zaciśnięte zęby. Nie pamiętała, kiedy ostatnio tak się przez nią zdenerwował. – Skąd ci przyszło do głowy porównanie ze sprawą Jeffreysa?

– Są oczywiste podobieństwa.

– Jeffreys nie żyje – szepnął, rozglądając się, czy nikt nie słucha.

– Dorośnij, Nick. Każdy głupi będzie robił takie porównania. Napisałam to, o czym wszyscy myślą. Chcesz powiedzieć, że się mylę?

– Chcę powiedzieć, że nie życzymy sobie wybuchu paniki. Rodzice już zaczęli się przyzwyczajać do myśli, że ich dzieci są bezpieczne. – Splótł ręce, nie wiedząc, co zrobić z zaciśniętymi pięściami. – Przez ciebie wyszedłem na kompletnego idiotę.

– Aha. O to idzie. Wcale cię nie obchodzi żadna panika w mieście. Martwisz się tylko o swój wizerunek. Czemu mnie to dziwi?

Przeszył ją nienawistnym wzrokiem, ale nie zamierzał ripostować. Przeniósł spojrzenie na boisko. Nie znosiła, kiedy tak przyjmował jej ataki, bez żadnej reakcji. Kiedy byli dziećmi, nigdy nie potrafił odeprzeć obraźliwych słów, które były jej najlepszą bronią. Nagle zrobiło jej się żal brata. Chyba się starzeję, pomyślała.

Jednocześnie złościło ją jego podejście. Zawsze szukał najprostszego wyjścia. Ale w końcu czemu nie? Wszystko zdawało się samo do niego przychodzić, od pracy zaczynając, a na kobietach kończąc. Bez wysiłku, żalu czy głębszej refleksji przepływał od jednego portu do

następnego. Gdy ich ojciec przeszedł na emeryturę i upierał się, żeby jego syn starał się o stanowisko szeryfa, Nick porzucił karierę uniwersytecką bez chwili zastanowienia. W każdym razie Christine niczego takiego nie zauważyła, chociaż wiedziała, że kochał uniwersytecki kampus, gdzie stał się żywą legendą i gdzie wzdychały do niego tłumy studentek. Całkiem gładko, bo inaczej być nie mogło, został wybrany na szeryfa. Sam przyznawał, że zawdzięcza to nazwisku i silnej pozycji ojca, ale nie przejmował się tym. Brał wszystko jak leci.

Natomiast Christine, zwłaszcza po rozstaniu z Bruce'em, musiała o wszystko walczyć. Zasłużyła więc sobie na jakąś odmianę i nie miała zamiaru przepraszać za nagły uśmiech losu.

– Jeśli to naśladowca, nie uważasz, że właśnie trzeba ostrzec ludzi? – Nie musiała się usprawiedliwiać. Na tym polega praca dziennikarza. Wiedziała, co robi. Czytelnicy mają prawo poznać wszystkie przerażające szczegóły.

Nick milczał. Ugiął nogi i postawił stopy na ławce. Oparł łokcie na kolanach, położył brodę na zaciśniętych pięściach. Siedzieli w ciszy przerywanej okrzykami i gwizdami. Zmienił się, stwierdziła, było w nim coś obcego, i ta zmiana ją niepokoiła.

Wreszcie Nick powiedział cicho, spokojnie:

– Danny Alverez był tylko o rok starszy od Timmy'ego. – Patrzył prosto przed siebie.

Christine odszukała syna na boisku. Właśnie przemykał pomiędzy przewyższającymi go wzrostem chłopcami. Był

szybki i zwinny, wykorzystywał swoją drobną sylwetkę. Dostrzegła jednak podobieństwo. Timmy bardzo przypominał Danny'ego ze szkolnego zdjęcia, które opublikowała gazeta. Obaj mieli rudawe włosy, niebieskie oczy i deszcz piegów na twarzy. Danny również był niewysoki na swój wiek.

– Całe popołudnie spędziłem w kostnicy – przywołał ją do rzeczywistości.

– Czemu o tym mówisz? – spytała, udając obojętność. Patrzyła intensywnie na boisko, ale kątem oka zerkała na Nicka. Nigdy dotąd nie był tak poważny.

– Bob Weston sprowadził eksperta, agentkę specjalną Maggie O'Dell z Quantico, żeby pomogła nam przygotować psychologiczny profil mordercy. Przyleciała dziś rano i aż paliła się do roboty. – Spojrzał na siostrę, zobaczył, że notuje coś w zeszycie. – Jezu! Christine! – rzucił tak gwałtownie, że o mało nie podskoczyła. – Czy nie potrafisz uszanować żadnej tajemnicy?

– Jeśli chcesz trzymać to w tajemnicy, powinieneś był mnie uprzedzić. – Patrzyła, jak Nick pociera dłonią brodę, jakby go czymś ukłuła. – Poza tym jutro i tak wszyscy będą wiedzieć o agencie O'Dell, bo zacznie zadawać pytania. Czemu się tak tym martwisz, Nick? To dobrze, że wezwali eksperta.

– Tak? A może będzie to wyglądało tak, że ja nic nie potrafię? – Rzucił jej kolejne spojrzenie. – Nie waż się tego drukować.

– Wyluzuj się. Nie jestem twoim wrogiem, Nicky. – Zobaczyła, że chłopcy ściskają sobie dłonie i tańczą taniec zwycięstwa. Mecz się skończył, zapadał zmierzch. Zaświeciły parkowe latarnie. – Wiesz co, ojciec wcale się nie bał współpracy z mediami.

– Taa, dobra, ale nie jestem ojcem. – Teraz był naprawdę zły.

Wiedziała, że nie powinna była robić takich porównań, ale bardzo nie lubiła, kiedy Nick tak reagował na jej słowa. Przecież nie uważała go za smarkacza, któremu potrzebna jest reprymenda, tylko wyrażała swoją opinię. A jeśli nie znosi porównań, to po co szedł w ślady ojca? Jak zwykle zmieniła trochę temat.

– Mówię tylko, że ojciec potrafił wykorzystać media dla siebie.

– Wykorzystać?! – spytał, a raczej krzyknął z niedowierzaniem Nick. Rozejrzał się szybko, zdając sobie sprawę, że przesadził. Nachylił się ku niej i kontynuował ciszej: – Ojciec po prostu uwielbiał być w centrum uwagi. Było tyle przecieków, że do tej pory nie wiem, jakim cudem złapali Jeffreysa.

– Jakich przecieków? O czym ty mówisz?

– Nieważne – rzekł, wbijając wzrok w jej notes.

Christine przewróciła oczami, zastanawiając się, czy Nick jej nie oszukuje.

– Ale go złapali, i to ojciec rozwiązał tę sprawę – przypomniała.

– Taa, schwytali Jeffreysa, i stary dobry tata zebrał wszelkie zaszczyty.

– Nicky, nikt ci nie każe naśladować ojca. Nie musisz się z nim mierzyć. – No i znowu. Znowu jej się wypsnęło. Spojrzała na jego twarz. Czekała.

Potrząsnął tylko głową. W kąciku jego ust pojawił się smutny uśmiech, jakby myślał, że ona i tak go nie zrozumie.

– Nie zastanawiałaś się nigdy... – Zawahał się, patrząc na boisko, myślami błądząc gdzieś daleko. – Nie przyszło ci nigdy do głowy, że to się stało zbyt szybko... tak gładko i w samą porę?

– Nie wiem, o czym mówisz.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwał. Chłód przenikał nocne powietrze, Christine poczuła gęsią skórkę na plecach. Pomasowała ramiona i popatrzyła bratu w oczy. Zaczynał ją przerażać swoją złością i dziwnym wyciszeniem. Zazwyczaj żartował, niczego nie brał na serio, nawet gdy się z nią kłócił, tak naprawdę tylko się przekomarzał. Czyżby wspomnienie o ojcu tak na niego podziałało? Nie, chodzi o coś innego, pomyślała. Co takiego wiedział? Co takiego sprawiło, że ten jej arogancki, przemądrzały braciszek tak się zadumał?

– Nicky, nie rozumiem – spróbowała raz jeszcze.

– Zapomnij o tym. – Wstał i przeciągnął się, zamykając temat.

– Wujek Nick, wujek Nick! Widziałeś, jak strzeliłem gola? – wykrzykiwał Timmy, biegnąc w stronę ławek.

– No pewnie, że widziałem – skłamał Nick.

Christine zobaczyła, że twarz brata zmieniła się w jednej chwili. Rozjaśnił ją uśmiech, kiedy chwycił chłopca w objęcia, szamocząc się z nim żartobliwie.

Była pewna, że Nick coś ukrywa, i postanowiła dowiedzieć się, co to takiego.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jechał znów wokół parku, tym razem niespiesznie. Mecz wreszcie się zakończył. Zatrzymał auto z dala od innych samochodów, w samotnym rogu placu. Wyłączył światła i patrzył, słuchając muzyki i czekając, aż struny Vivaldiego złagodzą i wyciszą pulsowanie w jego skroniach.

Znowu to samo, i to tak szybko. Nie potrafił tego zatrzymać, nie panował nad tym. Co gorsza, wcale tego nie chciał. Był taki zmęczony. Próbował przypomnieć sobie, kiedy ostatnio przespał całą noc, zamiast chodzić tam i z powrotem po pokoju albo włóczyć się ulicami. Przetarł oczy, jakby chciał zetrzeć z nich zmęczenie, i nagle zatrzymał dłoń. Nie mógł powstrzymać drżenia palców.

– Dobry Boże, zrób coś, żeby to się skończyło – wyszeptał, szarpiąc włosy na skroniach. Czemu to się nie kończy? Ten szum, stukot, od którego puchła mu głowa.

Obserwował grupkę chłopców w strojach zabrudzonych trawą. Promienieli radością z odniesionego zwycięstwa, obejmowali się, poklepywali po plecach. Dotykali się tak zwyczajnie, normalnie. Ich melodyjne głosy przybierały na sile z każdym zbliżającym się krokiem, zagłuszając czczą gadaniną muzyczną poezję Vivaldiego.

Sparaliżowały go napływające wspomnienia, przyszpilając do twardego skórzanego siedzenia. Miał wówczas jedenaście lat. Ojczym zmusił go, żeby dołączył do drużyny

Małej Ligi, uprosił trenera, żeby zabierał go z domu na całe sobotnie poranki. Wiedział, że ojczym chce w tym czasie pieprzyć mamę. Przypadkiem przyłapał ich którejś soboty, kiedy w domu zabrakło mleka. Mimo upływu lat wspomnienie nie straciło na sile. Było tak żywe, tak jaskrawe, że zacisnął dłonie na kierownicy.

Stanął wówczas w drzwiach sypialni matki, skamieniały na widok jej skóry, bladej i nagiej, ze srebrnym krzyżykiem zwisającym między obfitymi piersiami. Piersi kołysały się. Klęczała, opierając dłonie na podłodze, a jego ojczym ujeżdżał ją jak rozgrzany pies.

To ojczym go zauważył. Wrzasnął, sapiąc i rzucając się. Matka szeroko otworzyła przerażone oczy. Wywinęła się spod ojczyma, sturlała z łóżka, chwytając po drodze kołdrę. Wtedy puścił się biegiem. Pędził w dół holu, potykając się i upadając tylko raz, zanim dotarł do swojego pokoju. Miał właśnie zatrzasnąć drzwi, kiedy wtoczył się przez nie ojczym.

Ojczym był wciąż nagi. Wtedy po raz pierwszy zobaczył, jak wygląda penis dorosłego mężczyzny. Widok był straszny: coś wielkiego i sztywnego wystawało spośród gęstych czarnych włosów. Ojczym chwycił go za szyję i pchnął twarzą do ściany.

– Lubisz podglądać? A może masz na to ochotę? – Wciąż słyszał ten ochrypły głos, dyszący mu wprost do ucha.

Stał nieruchomo. Nie mógł nawet oddychać. Ojczym ściskał mu gardło, drugą ręką zrywał z niego spodnie od piżamy. Matka krzyczała i waliła pięściami w zamknięte

drzwi. Potem to poczuł. Mocny napór, parcie, ból tak dławiący, że myślał, iż wnętrzności mu popękają. Milczał i ani drgnął, chociaż miał ochotę krzyczeć wniebogłosy. Ocierał się policzkiem o szorstką powierzchnię ściany. Mógł wówczas tylko patrzeć na krzyż wiszący w pobliżu jego twarzy, czekając, aż ojczym skończy wbijać się w jego drobne ciało. Tak było.

Zadźwięczał klakson. Podskoczył i chwycił kurczowo kierownicę. Miał spocone dłonie, które wciąż drżały. Zobaczył, że chłopcy wsiadają do samochodów rodziców. Ilu z nich ukrywało podobne sekrety? Ilu czekało na jakikolwiek ratunek, który wyrwałby ich z tej niedoli? Z nieludzkich tortur?

Potem spostrzegł niewysokiego chłopca, który idąc chodnikiem, machał do kolegów. Patrzył, czy nikt do niego nie dołączy, czy i tego wieczoru, jak zwykle, chłopiec będzie wracał do domu samotnie.

Zaczynało się ściemniać. Mrugnęły uliczne lampy. Słuchał, jak żwir zgrzyta pod kołami odjeżdżających samochodów. Prawie nikt go nie zauważył, mało kto zerkał w tę stronę.

A ci, którzy go rozpoznali, machali mu z uśmiechem, nie widząc nic dziwnego w tym, że zainteresował się sportem.

Pół przecznicy dalej chłopiec wciąż szedł sam, przerzucając piłkę z ręki do ręki. W obszernym stroju wydawał się taki szczupły, taki bezradny. Skakał i popisywał się, choć nie miał przed kim. Zapewne przywykł do samotności.

Ostatni samochód opuścił parking. Mężczyzna ściszył Vivaldiego w samym środku „Jesieni” z „Czterech pór roku”. Jego palce bezbłędnie odnalazły w skrytce na rękawiczki małą szklaną fiolkę, nie musiał nawet patrzeć. Fachowo zgniótł ją i zmoczył jej zawartością białą chusteczkę do nosa. Wolałby nie korzystać z tych dodatkowych zabezpieczeń, ale zachował się zbyt nieostrożnie z Dannym i musiał uważać. Wziął czarną narciarską czapkę i wysiadł, cicho zamykając drzwi. Jego dłonie w tej samej chwili przestały drżeć. Tak, znowu nad sobą panował. Ruszył bezszelestnie chodnikiem.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Poniedziałek, 27 października

Maggie wylała resztę szkockiej z niewielkiej butelki do plastikowego kubka. Zastukały kostki lodu. Łyknęła, zamykając oczy, i poczuła przyjemne ukłucie w gardle. Obawiała się niedawno, że odziedziczyła po matce zamiłowanie do alkoholu. Albo jeszcze gorzej, jej uzależnienie od miłego otępienia, które obiecywał święty trunek.

Przetarła oczy i zerknęła na tanie radio z zegarem stojące na stoliku nocnym po drugiej stronie pokoju. Minęła już druga, a ona nie mogła zasnąć. Głowa ją rozbolała od słabego światła stołowej lampy. A może od szkockiej… Mimo to postanowiła poprosić o mocniejszą żarówkę.

Blat niewielkiego stołu zarzucony był zdjęciami, które zrobiła w ciągu dnia. Starała się ułożyć je chronologicznie. Skrępowane ręce, szyja związana sznurem, a potem przecięta i rany kłute. Szaleniec działał metodycznie. Nie spieszył się. Ranił, kroił i obdzierał ze skóry z przerażającą precyzją. Nawet ramiona lekko poszarpanego na brzegach X układały się pod równym kątem, biegnąc od łopatki do pępka.

Dwie teczki z raportami policyjnymi i wycinkami z gazet leżały obok. Zawierały dość krwawych szczegółów, żeby

zapewnić czytelnikowi nocne koszmary do końca życia. Chociaż trudno mieć koszmary, kiedy się nie sypia.

Maggie podciągnęła pod siebie gołe nogi i przysiadła na stopach, próbując usadowić się wygodnie na twardym krześle. Koszula futbolowej drużyny Green Bay Packers rozciągnęła się i straciła fason od częstego prania. Ledwo zakrywała uda, lecz nadal była jej ulubionym nocnym strojem. Odgrywała rolę przytulanki, która sprawia, że człowiek czuje się jak w domu, gdziekolwiek się znajdzie. Nie zgodziła się jej wyrzucić, nawet pod naciskiem Grega, który nieustannie narzekał z jej powodu.

Znów zerknęła na zegar. Powinna była zadzwonić do Grega, kiedy dotarła do hotelu. Teraz było już za późno. Może i dobrze. Oboje muszą ochłonąć.

Grzebała w rozrzuconych papierach, sprawdzała swoje notatki, kilka stron detali, drobnych obserwacji, z których część mogła komuś innemu wydać się nieistotna. Potem zestawi je ze sobą i stworzy portret mordercy. Robiła to już wiele razy. Czasem udawało jej się opisać zbrodniarza łącznie ze wzrostem, kolorem włosów i, w jednym wypadku, nawet nazwą kremu po goleniu. Tym razem sprawa była bardziej skomplikowana. Częściowo dlatego, że oczywisty podejrzany został już stracony. Częściowo zaś z tego powodu, że wgłębianie się w chory, budzący wstręt umysł zabójcy dzieci jest zawsze trudne.

Wyjęła z torebki srebrny krzyżyk na łańcuszku. Był podobny do tego, który nosił Danny Alverez. Tyle że ten Maggie dostała od ojca z okazji Pierwszej Komunii.

– Pan Bóg będzie cię chronił od wszelkiego zła tak długo, jak długo będziesz go nosić – powiedział. Miał identyczny krzyżyk, który go jednak nie uratował. Zastanawiała się, czy wchodząc tamtej nocy do płonącego budynku, ojciec miał nadzieję, że będzie inaczej.

Jeszcze miesiąc temu nosiła ten krzyżyk, bardziej z przyzwyczajenia i z uwagi na pamięć ojca niż z jakichkolwiek powodów religijnych. Przestała się modlić w dniu, kiedy trumna ojca znalazła się w zimnej, twardej ziemi. Miała dwanaście lat i żaden katechizm nie potrafił wyjaśnić jej, dlaczego Bóg musiał ją osierocić.

Rozstała się z katolicyzmem do czasu, kiedy przed ośmiu laty zaczęła pracować w zakładzie medycyny sądowej w Quantico. Surowe rysunki z jej katechizmu, owe diabły z rogami i błyszczącymi czerwonymi oczami, nagle nabrały wówczas sensu. Zło istnieje, stwierdziła. Widziała je w oczach morderców. Widziała je w oczach Alberta Stucky'ego. Paradoksalnie, to zło właśnie sprowadziło ją z powrotem na drogę wiary. Ale Albert Stucky sprawił, że zaczęła się zastanawiać, czy Bogu naprawdę jest już wszystko jedno. Tej nocy, kiedy była świadkiem okrutnego zabójstwa dwu kobiet, Maggie zdjęła z szyi swój krzyżyk. Ale chociaż nie była w stanie go już nosić na sobie, nigdy się z nim nie rozstawała.

Przesunęła palcem po jego gładkiej powierzchni, zastanawiając się, co czuł Danny Alverez. Co myślał, kiedy szaleniec zrywał z jego szyi coś, co chłopiec mógł uważać

za swój ostatni ratunek? Czy, podobnie jak jej ojciec, Danny Alverez do końca wierzył w ten głupi metalowy przedmiot?

Ścisnęła krzyżyk w dłoni, wyprostowała rękę, gotowa rzucić przez pokój tym bezwartościowym talizmanem, kiedy rozległo się ciche stukanie do drzwi. Maggie wstała i instynktownie wyciągnęła z kabury swój smith & wesson kaliber 9.5 mm. Podeszła na palcach do drzwi. W majtkach i krótkiej koszulce czuła się wyjątkowo bezbronna. Trzymała mocno broń, czekając, aż groźny metal doda jej animuszu. Przez wizjer zobaczyła szeryfa Morrellego i opuściła ramiona z ulgą. Lekko uchyliła drzwi i przez szparkę zapytała:

– O co chodzi, szeryfie?

– Proszę wybaczyć. Próbowałem się dodzwonić, ale nocny portier wisiał na telefonie przez godzinę.

Wyglądał okropnie, miał podpuchnięte czerwone oczy, potargane włosy i wciąż był nieogolony. Nawet nie włożył do spodni koszuli, której poły wystawały spod dżinsowej kurtki. Zauważyła, że brakowało górnego guzika. Spod rozpiętej koszuli z pogniecionym kołnierzykiem wystawały czarne kosmyki. Natychmiast odwróciła wzrok. Że też zwraca uwagę na takie bzdury!

– Co się stało? – spytała.

– Zaginął kolejny chłopiec. – Prawie nie mógł wydobyć z siebie słów.

– To niemożliwe – odparła, wiedząc, że przecież jest to jak najbardziej możliwe. Albert Stucky zabił swoją czwartą ofiarę w niecałe pół godziny po tym, jak odkryto zwłoki

trzeciej. Piękna blondynka została pocięta na kawałki, niektóre z nich były schowane w pojemnikach na jedzenie na wynos i wrzucone do śmietnika za restauracją, w której Stucky godzinę wcześniej jadł kolację.

– Moi ludzie przeszukują domy, chodzą od drzwi do drzwi. Alejki, parki, pola. – Przetarł ręką wymęczoną twarz i podrapał się w szczeciniastą brodę. – Dzieciak wracał do domu po meczu. Mieszkał pięć przecznic od boiska. – Błyskawicznie zlustrował korytarz, udając, że sprawdza, czy są sami. Nie śmiał spojrzeć jej w oczy.

– Niech pan lepiej wejdzie.

Maggie otworzyła szerzej drzwi. Zawahał się, wszedł powoli, zatrzymując się na progu i rozglądając. Potem odwrócił się do Maggie, jego wzrok spoczął na jej nogach. Zapomniała, że jest w krótkiej koszuli. Czym prędzej spojrzał do góry, spotkał się z nią wzrokiem i znowu się odwrócił. Był skrępowany. Flirciarz Morrelli był skrępowany.

– Przepraszam. Obudziłem panią.

Kolejne spojrzenie, tym razem ona się zaczerwieniła. Możliwie najbardziej obojętnie minęła go i podeszła do komody.

– Nie, nie spałam jeszcze.

Włożyła broń z powrotem do kabury, wysunęła jedną z szuflad, wyjęła dżinsy i wciągnęła je, patrząc, jak Morrelli przemierza tam i z powrotem niewielki dystans między stołem i łóżkiem.

– Chciałem zadzwonić, mówiłem już?

Zerknęła do lustra i zobaczyła, że szeryf patrzy na nią. Ich oczy spotkały się, tym razem w lustrze.

– Tak, mówił pan. Nic nie szkodzi – powiedziała, walcząc z zamkiem błyskawicznym. – Przeglądałam właśnie notatki.

– Byłem na meczu – rzekł cicho.

– Jakim meczu?

– Futbolu. Na tym, z którego wracał ten chłopiec. Mój siostrzeniec, Timmy, na pewno go zna. O Jezu. – Wciąż krążył po pokoju, który zaczął się wydawać jeszcze mniejszy, niż był w rzeczywistości z powodu jego długich kroków.

– Jest pan pewny, że chłopiec nie poszedł do jakiegoś kolegi?

– Obdzwoniliśmy wszystkich rodziców. Jego koledzy pamiętają, że poszedł chodnikiem do domu. Znaleźliśmy jego piłkę. Jest na niej autograf słynnego futbolisty. Jego matka mówi, że to jego najdroższy skarb. Twierdzi, że za nic dobrowolnie by się z nią nie rozstał.

Przeciągnął rękawem po twarzy. Maggie zobaczyła strach w jego oczach. Nie był przygotowany na takie sytuacje. Zastanowiła się, czy szeryf w ogóle ma jakieś doświadczenie w sytuacjach kryzysowych. Westchnęła i przeczesała splątane włosy palcami. Nie podobało jej się to, wyglądało bowiem, że to ona będzie musiała trzymać go w karbach.

– Niech pan usiądzie.

– Bob Weston zaproponował, żebym zrobił listę pedofilów i znanych zbrodniarzy seksualnych. Czy mam zacząć

wzywać ich na przesłuchanie? Ma pani jakiś pomysł, czego mam szukać? – Przechodząc obok stołu, rzucił okiem na papiery.

– Szeryfie, proszę usiąść.

– Nie trzeba.

– Nalegam.

Złapała go za ramię, po czym lekko pchnęła na fotel. Wyglądał, jakby miał zamiar od razu się poderwać, ale po namyśle wyciągnął tylko przed siebie nogi.

– Miał pan jakiegoś podejrzanego o porwanie małego Alvereza? – spytała Maggie.

– Jednego. Jego ojca. Rodzice Danny'ego są rozwiedzeni. Ojcu odebrano prawo do opieki nad dzieckiem i wizyt, bo pił i awanturował się. Nie znaleźliśmy go. Do diabła, nawet siły powietrzne go nie znalazły. Był majorem w bazie, dwa miesiące temu oddalił się samowolnie. Uciekł z szesnastolatką, którą poznał przez Internet.

Maggie zdała sobie nagle sprawę, że teraz ona krąży po pokoju. Może błędem było nakłanianie szeryfa, by usiadł, bo teraz, wygodnie rozparty i pilnie się w nią wsłuchujący, zakłócił jej tok myślenia. Potarła powieki, była wykończona. Jak długo można egzystować, nie dosypiając?

– Wpadliście na jego ślad od tamtej pory?

– Przestaliśmy szukać.

– Nie rozumiem.

– Kiedy znaleźliśmy ciało Danny'ego, Weston stwierdził, że ojciec nie mógł tego zrobić. Że ojciec nie byłby zdolny zrobić czegoś takiego swojemu dziecku.

– Widziałam, co ojcowie potrafią zrobić swoim synom. Pamiętam sprawę sprzed trzech, nie, czterech lat. Ojciec pogrzebał żywcem swojego sześcioletniego syna. Wykopał dół na podwórku, wsadził tam małego i zostawił tylko maleńki otwór z gumową rurką. To miała być kara za jakieś głupstwo. Po kilku deszczowych dniach nie mógł znaleźć tej rurki. Ale wcale nie przekopał podwórka, tylko udał, że porwano mu dziecko. Jego żona powtarzała za nim te szalone bzdury. Pewnie nie chciała skończyć tak jak jej syn. Może powinien pan kontynuować poszukiwania pana Alvereza. Powiedział pan, że jest gwałtowny.

– Taa, to prawdziwy drań. Regularnie bił swoją żonę i Danny'ego, jeszcze po rozwodzie. Miała z pół tuzina okazji, żeby go ubezwłasnowolnić. Ale co to ma wspólnego z tym chłopcem? Matthew Tanner pewnie nawet nie znał Danny'ego Alvereza.

– Może nie ma związku. Nie mamy pewności, że chłopca porwano. A jeśli jednak jest u jakiegoś kolegi? Lub po prostu uciekł?

– Okej. – Westchnął, nieprzekonany. Zsunął się w dół fotela, kładąc głowę na oparciu. – Chyba nie myśli pani naprawdę, że uciekł?

– Nie. Raczej nie – rzekła. – Wiedziałam, że morderca znowu uderzy. Nie sądziłam tylko, że tak szybko.

– No to od czego mam zacząć? Zdążyła pani coś wymyślić, jaki to człowiek?

Podeszła do stołu i patrzyła na poukładane fotografie, notatki i raporty.

– Jest dokładny, panuje nad sytuacją. Nie spieszy się. Nie tylko podczas zabijania, także wtedy, kiedy po sobie sprząta. Chociaż nie robi tego, by zatrzeć ślady, bo jest to część rytuału. Myślę, że już to kiedyś robił. – Kartkowała notatki. – Zdecydowanie nie jest młody i niedoświadczony – ciągnęła. – Na miejscu zbrodni nie było śladów walki, a zatem ofiara musiała zostać wcześniej skrępowana sznurem. Co za tym idzie, musi to być człowiek na tyle silny, żeby nieść chłopca jakieś trzysta do pięciuset metrów. Moim zdaniem ma trzydzieści kilka lat, około metra osiemdziesięciu centymetrów wzrostu i waży jakieś dziewięćdziesiąt kilogramów. Jest biały, wykształcony, inteligentny.

Podczas tego opisu wyraźnie zaintrygowany Morrelli wyprostował się.

– Pamięta pan, że w szpitalu, kiedy badałam małego Alvereza, powiedziałam panu, że chłopcu udzielono ostatniego namaszczenia? Znaczyłoby to, że morderca jest katolikiem, być może niepraktykującym, w każdym razie jego katolickie sumienie jest wciąż silne. Przeszkadza mu nawet medalik w kształcie krzyża, dlatego musi go zerwać. Udzielając ostatniego namaszczenia, być może chce w ten sposób uspokoić swoje sumienie. Może pan sprawdzić, czy ten chłopiec… Matthew Tanner, tak? – Gdy Nick przytaknął, dokończyła: – Czy należy do tej samej parafii co Alverez.

– Od razu pani powiem, że to mało prawdopodobne – odparł. – Danny chodził do szkoły i do kościoła obok bazy, natomiast dom Tannera znajduje się w pobliżu kościoła św.

Małgorzaty. Zresztą Tannerowie wcale nie muszą być katolikami.

– Możliwe, że morderca wcale nie zna swoich ofiar. – Maggie rozpoczęła kolejny spacer. – Może szuka łatwego celu, chłopców, którzy są w danej chwili sami. Wydaje mi się jednak, że jest jakoś związany z Kościołem katolickim, bardzo możliwe, że z jakąś miejscową parafią. To się wydaje dziwne, ale ci ludzie rzadko poruszają się po obcym im terytorium.

– Musi być naprawdę pokręcony. Mówi pani, że pewnie już to kiedyś robił? Czy może być notowany? Za okrucieństwo wobec dziecka albo molestowanie seksualne? Może nawet za pobicie kochanka, jeśli jest gejem?

– Zakłada pan, że to gej albo pedofil?

– Dorosły facet, który nie lubi małych chłopców. Chyba mogę tak zakładać?

– Nie, raczej nie. Oczywiście można podejrzewać, że drzemią w nim takie skłonności lub że nawet doszły one do głosu, ale to mało prawdopodobne. Sądzę, że nie jest ani gejem, ani pedofilem.

– Czy twierdzi tak pani na podstawie zebranych dowodów?

– Nie. Na podstawie tego, czego dotąd nie znaleziono. Ofiara nie miała śladów gwałtu. Nie było spermy w ustach ani w odbycie chłopca, choć mogły zostać usunięte. Ale nie było żadnych śladów penetracji, żadnych oznak seksualnej stymulacji. W przypadku ofiar Jeffreysa tylko jeden chłopiec, Bobby Wilson… – Zerknęła do notatek. – Tak, tylko

u Wilsona odkryto ślady gwałtu, zresztą całkiem oczywiste. Był wielokrotnie gwałcony, miał mnóstwo otarć i ran.

– Chwileczkę. Jeśli mamy do czynienia z naśladowcą Jeffreysa, jego działania nie mogą być dla nas żadną wskazówką. Nie doprowadzą nas do niego.

– Naśladowcy wybierają taki rodzaj zbrodni, który działa im na wyobraźnię. Czasem dodają od siebie jakiś drobiazg. Nie znalazłam żadnej wzmianki o tym, żeby Jeffreys udzielał swoim ofiarom ostatniego namaszczenia, chociaż mogłam to przeoczyć.

– W każdym razie przed wykonaniem wyroku Jeffreys poprosił o księdza.

– Skąd pan wie? – Spojrzała na niego z góry i wtedy dopiero uprzytomniła sobie, że przysiadła na poręczy jego fotela. Jej udo ocierało się o jego ramię. Wstała. Zapewne zbyt gwałtownie. Udawał, że tego nie zauważył.

– Wie pani pewnie, że szeryfem, który złapał Jeffreysa, był mój ojciec. Siedział w pierwszym rzędzie, kiedy wykonywali na nim wyrok.

– Czy można zadać mu kilka pytań?

– Kilka lat temu kupili z matką samochód turystyczny. Cały rok podróżują. Od czasu do czasu wpadają do domu, ale pojęcia nie mam, jak ich złapać. Jestem pewny, że kiedy ojciec usłyszy, co się dzieje, odezwie się sam, ale to może potrwać.

– A może udałoby się namierzyć tego księdza?

– Nie ma problemu. Ksiądz Francis wciąż jest u św. Małgorzaty, chociaż nie wiem, czy będzie w stanie coś

pomóc. Wie pani, tajemnica spowiedzi.

– Mimo to chciałabym się z nim spotkać. Potem porozmawiamy z Tannerami. Już pan z nimi rozmawiał, oczywiście?

– Z matką. Rodzice Matthew są rozwiedzeni.

Maggie ulotnie spojrzała na niego i zaczęła szperać w papierach.

– O co chodzi? – Nick nachylił się, prawie dotykając jej boku.

Znalazła, czego szukała.

– Wszystkie trzy ofiary Jeffreysa pochodziły z rozbitych domów, chłopcy byli wychowywani tylko przez matki.

– Co to znaczy?

– A więc nieprzypadkowo wybiera ofiary. Myliłam się, myśląc, że poluje na chłopców, którzy akurat w danej chwili są sami. On wybiera bardzo starannie. Mówił pan, że mały Alverez zostawił rower i torbę z gazetami przy jakimś ogrodzeniu?

– Tak. Nie zdążył odjechać.

– I nie było śladów walki?

– Żadnych. Wyglądało, jakby sam zaparkował rower i poszedł z tym gościem. Dlatego sądziliśmy, że znał go. To małe miasteczko, ale dzieciaki znają dyscyplinę. Nie przypuszczam, żeby Danny wsiadł do obcego samochodu.

– A jeśli uznał, że można temu komuś zaufać?

Maggie zauważyła, że Morrelli jest z każdą chwilą coraz bardziej zatroskany. Rozpoznała w jego oczach lęk, który

pojawia się zawsze, gdy okazuje się, że mordercą jest jeden z sąsiadów.

– Czyli kto? Ktoś, kto twierdził, że zna jego mamę czy tatę?

– Na przykład. Albo ktoś, kto wygląda oficjalnie, nosi jakiś uniform. – Maggie widziała to już setki razy. Nikt nigdy nie pyta, czy człowiek w mundurze naprawdę jest tym, kogo ów strój symbolizuje.

– Może wojskowy, jak jego tata? – rzekł Nick.

– Albo ktoś w fartuchu lekarskim, a nawet w policyjnym mundurze.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Timmy usiadł na podłodze, wpatrzony w drzwi łazienki. Chciało mu się sikać, ale nie zamierzał przeszkadzać mamie. Gdyby zapukał, kazałaby mu wejść i załatwić się, a ona spokojnie kończyłaby makijaż. Był już za duży, by sikać przy mamie.

Słyszał, że mama nuci jakąś melodię, i postanowił zawiązać sobie na nowo adidasy. Pęknięcie w podeszwie powiększyło się. Jeszcze trochę i będzie musiał poprosić o nowe buty, chociaż wiedział, że mamy na to nie stać. Podsłuchał, jak rozmawiała przez telefon z tatą. Wtedy dowiedział się, że tata nie przysyła im żadnych pieniędzy, mimo że sąd zasądził mu alimenty.

Melodia, którą nuciła mama, pochodziła z filmu „Mała syrenka”. Oglądała go tyle razy, ile razy on widział „Gwiezdne wojny”, ale jej jamajski akcent wymagał jeszcze doskonalenia.

Rozdzwonił się telefon. Timmy uznał, że mama za nic nie usłyszy go przez szum wody. Podniósł się na nogi, żeby odebrać.

– Słucham?

– Timmy? Mówi Calloway, mama Chada. Czy zastałam twoją mamę?

O mały włos nie krzyknął, że to Chad pierwszy go uderzył. Jeśli Chad twierdzi inaczej, obrzydliwie kłamie. Powiedział

jednak grzecznie:

– Chwileczkę, zaraz ją poproszę.

Chad Calloway był niezłym osiłkiem i lubił robić z tego użytek, ale jeśli Timmy powiedziałby mamie, że Chad specjalnie go zaatakował, mama kazałaby mu skończyć z futbolem. I proszę, osiłek pewnie skłamał na temat swoich siniaków.

Timmy zastukał delikatnie w drzwi łazienki. Jeśli mama nie odpowie, będzie musiał powiedzieć pani Calloway, że mama nie może podejść w obecnej chwili. Jednak drzwi się otworzyły. Serce chłopca zamarło ze strachu. No cóż, nie da się uniknąć ostrej reprymendy. Nic przyjemnego.

– Telefon dzwonił? – Ładnie pachniała.

– Pani Calloway.

– Kto?

– Pani Calloway, mama Chada.

Popatrzyła na niego z ukosa i unosząc brwi, czekała na dalsze wyjaśnienia.

– Nie wiem, czego chce. – Wzruszył ramionami i poszedł za nią do telefonu, chociaż wciąż chciało mu się sikać, i to bardzo.

– Christine Hamilton. Tak, oczywiście. – Odwróciła się do syna. – Calloway?

– To mama Chada – szepnął. Nigdy nie słuchała, co mówił.

– Tak, wiem, jest pani matką Chada.

Nie wiedział, co pani Calloway miała do powiedzenia. Mama jak zwykle chodziła ze słuchawką przy uchu i kiwała

głową, choć rozmówczyni jej nie widziała. Odpowiadała bardzo lakonicznie. Jakieś „Uhm” i „Tak, pewnie”.

Potem nagle zatrzymała się i ścisnęła słuchawkę. Stało się. Będzie musiał coś wykombinować. Moment. Nie musi wymyślać żadnej historyjki. Chad naprawdę go zaatakował. Ściśle mówiąc, stłukł go. I to bez żadnego powodu poza tym, że to lubił.

– Dziękuję za telefon, pani Calloway.

Mama odłożyła słuchawkę i popatrzyła przez okno. Nie mógł zgadnąć, czy jest zła. Nie pozwoli, żeby kazała mu rzucić futbol. Był gotowy bronić się do ostatka, kiedy odwróciła się do niego.

– Timmy, zaginął jeden z twoich kolegów.

– Co?

– Matthew Tanner nie wrócił wczoraj do domu po meczu.

A więc nie chodzi o Chada?

– Rodzice chłopców z drużyny spotykają się dzisiaj w domu Tannerów, żeby pomóc.

– Czy Matthew ma kłopoty? Dlaczego nie wrócił do domu? – Miał nadzieję, że nie usłyszała ulgi w jego głosie. Jednak się mylił.

– To poważna sprawa, Timmy. Pamiętasz może moje artykuły o tym chłopcu, Dannym Alverezie?

Przytaknął. Jak mógłby zapomnieć? Poprzedniego dnia z samego rana posłała go, żeby dokupił pięć egzemplarzy gazety, chociaż mogła sobie przynieść z pracy, ile tylko chciała.

– Cóż, nie chcę cię straszyć, bo nic jeszcze nie wiadomo, ale człowiek, który porwał Danny’ego, mógł teraz porwać Matthew.

Mama wyglądała na zdenerwowaną. Kiedy się martwiła, pokazywały się bruzdy wokół jej ust.

– Idź do łazienki, a potem zawiozę cię do szkoły. Nie chcę, żebyś dzisiaj szedł sam.

– Dobra. – Pognał do łazienki. Biedny Matthew, pomyślał. Jaka szkoda, że nie porwali Chada.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Christine z całej mocy ukrywała podniecenie. Wprost nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Kiedy Timmy był w łazience, zatelefonowała do Taylora Corby'ego, swojego nowego szefa, głównego redaktora informacji. Jej współpracownicy z działu „Życie codzienne" nazywali go informacyjnym maniakiem. Corby nosił szkła w fantazyjnych czerwonych oprawach, uznawał tylko czarne spodnie i białe oksfordzkie koszule, które ozdabiał rozmaitymi krawatami z kolekcji Looney Tunes. Co gorsza, nawet zimą jeździł na rowerze, i to nie dlatego, że nie stać go było na samochód. Po prostu to lubił.

Kiedy poinformowała go tego ranka o Matthew Tannerze, Corby wysłuchał jej w milczeniu.

– Christine, wiesz, co to znaczy?

Nietrudno było zgadnąć, dlaczego ze wszystkich mediów wybrał właśnie prasę. Miał monotonny głos, który zawsze brzmiał jednakowo. Niezależnie od tego, co mówił, jakimi słowami się posługiwał, nie sposób było się zorientować, czy jest rozemocjonowany, znudzony czy po prostu obojętny.

– Jeśli napiszesz coś do wieczornego wydania, prześcigniemy inne media o trzy dni.

– Muszę przekonać panią Tanner, żeby zgodziła się na wywiad.

– Wywiad czy coś innego, masz świetny materiał. Tylko żebyś mogła udowodnić fakty.

– Oczywiście.

Christine patrzyła na swojego syna, który, jak przypuszczała, martwił się o kolegę. Nie sprzeciwiał się, kiedy powiedziała, że go odwiezie, i przez całą drogę nie odezwał się ani słowem. Nagle gwałtownie nacisnęła na hamulec. Sznur samochodów ciągnął się do samego rogu, rodzice parkowali przed szkołą, dzieciaki wysiadały. Chodnikami szły dzieci z rodzicami. Na każdym skrzyżowaniu w zasięgu wzroku dorośli towarzyszyli swoim pociechom.

Gdy ktoś za nimi nacisnął klakson, Christine i Timmy podskoczyli. Christine ruszyła powoli, włączając się w sznur aut.

– Co się dzieje, mama? – Timmy odpiął pas.

– Rodzice odprowadzają dzieci do szkoły, żeby nic im się nie stało po drodze.

Niektórzy z rodziców byli naprawdę zdenerwowani. Trzymali ręce na plecach lub ramieniu dziecka, jakby ten dodatkowy kontakt wzmacniał ochronę.

– To przez Matthew?

– Nie wiadomo, co się stało z Matthew. Może uciekł z domu, bo się o coś obraził. Nie mów nic o nim.

To ona nie powinna była mu nic mówić. Kiedy opuścił ich Bruce, obiecała synowi, że nigdy go nie okłamie, nie musiała jednak mówić mu o Matthew. To był błąd, tym bardziej że niewiele osób o tym wiedziało. Obecna panika

wybuchła po jej artykułach dotyczących Alvereza. Napomknęła w nich o Jeffreysie, co skłoniło rodziców do większej troski. Takiej samej panice ulegli, kiedy Jeffreys jeszcze grasował.

Christine zobaczyła Richarda Melzera z radia KRAP. Ubrany w trencz spieszył chodnikiem, niosąc teczkę i trzymając za rękę małą dziewczynkę o jasnych włosach, zapewne swoją córkę. Christine wiedziała, że musi jak najszybciej skontaktować się z Michelle Tanner. Jeszcze moment i wszyscy dowiedzą się o Matthew.

Sznur samochodów wlókł się przeraźliwie. Christine rozglądała się za wolnym miejscem, gdzie Timmy mógłby wysiąść.

– Mama?

– Timmy, szybciej się nie da.

– Mama, założę się, że Matthew nie uciekł z domu.

Zerknęła na synka, który przycupnąwszy na piętach, przyglądał się niecodziennej paradzie za oknem. Drobne rozsypane kosmyki sprawiały, że wydawał się jeszcze bledszy. Kiedy ten chłopczyk stał się taki dojrzały? Powinna być dumna, ale tego ranka zasmuciło ją to, że nie zdołała dłużej zachować jego dziecięcej niewinności.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Jaskrawe postaci z witraży spoglądały w dół ze swoich niebiańskich wysokości. Woń palącego się kadzidła i świec ogarnęła Maggie. Czemu za każdym razem, kiedy przekracza próg katolickiej świątyni, czuje się jak dwunastolatka? Zaraz przypomniało jej się, że ma na sobie czarną bieliznę. Zły kolor i za dużo koronki. Kolba broni dźgała ją w bok. Sięgnęła pod marynarkę i poprawiła pas. Czy wolno jej mieć broń w kościele? No jasne. Zaczyna być śmieszna.

Zerknęła przez ramię, jakby spodziewała się zobaczyć niesioną za nimi trumnę. Wciąż słyszała tamto klik-klak, miękki stukot butów o kamienną posadzkę, towarzyszący trumnie jej ojca. Kiedy podniosła wzrok, stwierdziła, że Morrelli jej się przygląda. Czeka na nią obok ołtarza.

– Wszystko w porządku?

Wyszedł od niej o piątej rano. Wziął w domu prysznic, ogolił się i przebrał. Kiedy dwie godziny później podjechał pod hotel, ledwo go poznała. Gładko zaczesał krótkie włosy. Twarz miał wygoloną. Biała szrama, teraz bardziej widoczna, dodawała mu surowego uroku. Pod dżinsową kurtką miał białą koszulę i czarny krawat, a do tego czyste błękitne dżinsy i kowbojskie buty. Wyglądał oficjalnie, mimo iż nie nosił brązowego munduru, czym różnił się od swoich pracowników. Pewnie taki miał styl.

– O’Dell, nic pani nie jest? – spytał znowu.

Rozglądała się po wnętrzu kościoła. Był spory jak na miasteczko wielkości Platte City, miał niezliczone rzędy drewnianych ławek. Nie mogła sobie wyobrazić, że wszystkie się zapełniają.

– W porządku – odpowiedziała wreszcie i pożałowała zwłoki, bo wyraźnie się zmartwił. Jego oczy były wciąż podpuchnięte z braku snu. Ona swoje zmęczenie zamaskowała warstwą makijażu.

– Wydaje się taki duży – rzekła, próbując wyjaśnić swój brak uwagi.

– Jest stosunkowo nowy. Dawniej mieliśmy parafię w starym wiejskim kościółku kilka kilometrów na południe od miasta – poinformował. – Platte City przez ostatnie dziesięć lat dwukrotnie się powiększyło. Przyjechało dużo ludzi zmęczonych miejskim życiem i dojeżdżają do pracy do Omaha albo Lincoln. Paradoks, co? Wynieśli się tu, myśląc, że wychowają swoje dzieciaki w spokojnym, bezpiecznym miejscu. – Wsadził ręce do kieszeni i spojrzał ponad jej głową.

– Pomóc państwu w czymś? – Zza zasłony przy ołtarzu wyłonił się mężczyzna.

– Szukamy księdza Francisa – odparł Morrelli krótko.

Mężczyzna patrzył na nich podejrzliwie. Trzymał szczotkę, był w czarnych spodniach, wyprasowanej koszuli, krawacie i długim brązowym swetrze. Wyglądałby młodo, gdyby nie siwe pasma w ciemnych włosach. Kiedy się do nich zbliżył,

Maggie zauważyła, że lekko utyka i ma na nogach lśniąco białe sportowe buty.

– Czego państwo chcą od księdza Francisa?

Morrelli zerknął na Maggie, jakby chciał ją spytać, ile wolno mu powiedzieć. Zanim zdołał cokolwiek rzec, mężczyzna poznał go.

– Proszę chwilę poczekać. Znam pana! – zawołał. – Nie był pan czasem rozgrywającym w Nebraska Cornhuskers? Pan jest Morrelli, Nick Morrelli. Sezon 1982-1983.

– Jest pan fanem Cornhuskersów? – Morrelli wyszczerzył zęby w uśmiechu, zadowolony, że go rozpoznano. Maggie zobaczyła te jego dołeczki. Rozgrywający? Nawet się nie zdziwiła.

– Wielkim fanem. Nazywam się Ray... Ray Howard. Wróciłem tu zeszłej wiosny. Na wschodzie telewizja nie pokazuje dużo meczów. To było okropne, po prostu okropne. Sam trochę grałem. – Jego podniecenie ujawniało się w krótkich wybuchach. – W średniej szkole. W Omaha Central. Potem miałem kontuzję. W finałowym meczu, pech chciał, że z tych wszystkich gównianych drużyn graliśmy przeciwko Creighton Prep. Już nigdy więcej nie zagrałem.

– To przykre – rzekł Nick.

– Taa, niepojęte są ścieżki Pana. Czy to pańska żona? – W końcu raczył zauważyć Maggie. Czuła, jak prześlizguje się po niej wzrokiem, i musiała zaciskać palce, żeby nie rozpiąć przed nim swojego żakietu.

– Nie, nie jesteśmy małżeństwem. – Morrelli był skrępowany.

– A zatem pańska narzeczona. Pewnie dlatego szuka pan księdza Francisa, co? Połączył setki par ślubnym węzłem.

– Nie, my...

– To sprawa oficjalna – przerwała Maggie, co Morrelli przyjął z ulgą. Mężczyzna patrzył na nich, oczekując dalszych wyjaśnień. Maggie skrzyżowała ręce na piersi, podkreślając swój autorytet i zatrzymując wędrujące wciąż po niej oczy Raya Howarda. – Zastaliśmy księdza Francisa?

Howard spojrzał na Morrellego, potem znów na Maggie, i zrozumiał, że niczego więcej się nie dowie.

– Chyba się przebiera. Odprawiał poranną mszę – oznajmił.

– Mógłby pan poprosić go do nas, Ray? – Morrelli odezwał się dużo grzeczniej, niż zrobiłaby to Maggie.

– Tak, oczywiście. Kogo mam zapowiedzieć? – Spojrzał na Maggie, mając nadzieję, że ta ładna kobieta wreszcie się przedstawi.

Maggie westchnęła i niecierpliwie zaczęła przestępować z nogi na nogę. Morrelli zerknął na nią.

– Proszę mu powiedzieć, że Nick Morrelli chce się z nim widzieć. Dobrze?

– Tak, oczywiście.

Howard zniknął za zasłoną. Maggie przewróciła oczami. Nick uśmiechnął się.

– Rozgrywający?

– To było dawno. Zdaje mi się, że w innym życiu.

– Dobry pan był?

– Miałem szansę grać dla Dolphinów, ale ojciec upierał się, żebym skończył prawo.

– Zawsze pan słucha ojca?

To miał być żart, ale po jego minie poznała, że dotknęła czułego punktu. Uśmiechnął się jednak i powiedział:

– Najwyraźniej tak.

– Nicholas. – Drobny siwowłosy ksiądz wśliznął się na ołtarz w czarnej, sięgającej podłogi sutannie. – Pan Howard powiedział, że masz do mnie jakąś oficjalną sprawę.

– Witam księdza. Przepraszam, że wpadamy bez uprzedzenia.

– Nic nie szkodzi. Zawsze chętnie cię tu widzę.

– Ojcze, to jest agentka specjalna Maggie O'Dell z FBI. Pomaga mi w sprawie Alvereza.

Maggie wyciągnęła rękę. Stary ksiądz ujął ją w obie dłonie i ścisnął mocno. Grube niebieskie żyły wybrzuszały się na cienkiej, pokrytej brązowymi plamami skórze. Patrzył jej głęboko w oczy. Poczuła się nagle tak, jakby widział jej duszę. Nie spuściła wzroku, lecz po jej plecach przebiegł dreszcz.

– Miło mi panią poznać. – Kiedy ją puścił, chwycił się pobliskiego podium. – Syn Christine, Timmy, bardzo mi ciebie przypomina, Nicholas. Jest jednym z ministrantów księdza Kellera. – Zwrócił się do Maggie. – Nicholas był ministrantem, służył ze mną do mszy w starym kościele.

– Naprawdę? – Maggie zerknęła na szeryfa, mając nadzieję, że zobaczy jego zażenowanie. Jej wzrok przyciągnęło jednak coś za jego plecami. Poruszyła się

zasłona przy ołtarzu. Nie było wiatru, nawet najlżejszego. Potem zobaczyła wystające spod zasłony białe adidasy. Nie zwracając uwagi na szpiega, uśmiechnęła się do Morrellego, którego uwaga księdza trochę wytrąciła z równowagi.

– Proszę księdza. – Chciał koniecznie zmienić temat. – Czy mógłby nam ksiądz odpowiedzieć na kilka pytań?

– Oczywiście. W czym mogę pomóc? – Spojrzał na Maggie.

– Jak rozumiem, wysłuchał ksiądz ostatniej spowiedzi Ronalda Jeffreysa – ciągnął Nick.

– Tak, ale obowiązuje mnie tajemnica. Ufam, że to rozumiecie – powiedział cicho, jakby stracił resztki energii.

Maggie pomyślała, że ksiądz pewnie jest chory. Szara skóra, płytki, nierówny oddech. Być może niewiele mu już zostało z życia.

– Tak, to oczywiste – skłamała. Bo nie było oczywiste. Z jednej strony tajemnica spowiedzi, z drugiej umierające w strasznych mękach dzieci. Starała się opanować zniecierpliwienie. – Jeśli jednak jest coś, co mogłoby rzucić światło na sprawę Alvereza, mam nadzieję, że ksiądz się z nami tym podzieli.

– O’Dell to irlandzkie, a przez to katolickie nazwisko, prawda?

Maggie zdenerwowała się tym wtrętem.

– Tak.

– I do tego Maggie, po naszej świętej Małgorzacie.

– Tak, chyba tak. Proszę księdza, rozumie ksiądz, że jeśli Ronald Jeffreys wyznał księdzu cokolwiek, co mogłoby nas

doprowadzić do mordercy Danny’ego Alvereza, musi nam ksiądz o tym powiedzieć?

– Świętość spowiedzi nie wygasa nawet w wypadku potępionych morderców, agentko O’Dell.

Maggie westchnęła i obejrzała się na Morrellego, który również zaczynał mieć tego dosyć.

– Proszę księdza – zaczął. – Jest jeszcze coś, w czym może nam ksiądz pomóc. Kto, oprócz księdza, może udzielić ostatniego namaszczenia?

Ksiądz Francis zmieszał się.

– Ostatnie namaszczenie, a właściwie sakrament chorych, powinien być udzielony przez duchownego. Jednak w wyjątkowej sytuacji można od tego odstąpić.

– Kto prócz księży potrafi to zrobić?

– Przed Drugim Soborem Watykańskim uczono się tego z Katechizmu z Baltimore. Jesteście oboje zbyt młodzi, żeby to pamiętać. Dzisiaj uczą tego tylko w seminarium, chociaż może to też stanowić część przygotowania diakonów.

– Jakie warunki trzeba spełnić, żeby zostać diakonem? – spytała Maggie, zdenerwowana, że lista podejrzanych się wydłuża.

– Wymagania są bardzo rygorystyczne. Oczywiście trzeba być dobrym katolikiem. Niestety tylko mężczyźni mogą być diakonami. Niezupełnie rozumiem, co to ma wspólnego z Ronaldem Jeffreysem.

– Przykro mi, ale na razie nie możemy ojcu tego powiedzieć. – Morrelli uśmiechnął się. – Z pełnym

szacunkiem. – Zerknął na Maggie, nie wiedząc, czy ma coś do dodania. Wreszcie powiedział: – Dziękujemy za pomoc.

Podszedł do Maggie, dając jej znak do wyjścia. Nie spuszczała wzroku z księdza Francisa, mając nadzieję, że przejrzy tajemnicę jego oczu, zasłoniętych opadającymi powiekami, i przekona się, co ją tak przy nich trzyma. Jak gdyby te oczy czekały na jej odkrycie. Ale ksiądz skinął tylko głową i uśmiechnął się do niej.

Morrelli dotknął jej ramienia. Zakręciła się na obcasach i odmaszerowała u jego boku. Za murami kościoła, na schodach, Maggie nagle przystanęła. Morrelli szedł już chodnikiem, kiedy zobaczył, że nie ma jej obok. Rozejrzał się, a potem wzruszył ramionami.

– O co chodzi? – spytał.

– On coś wie. Wie coś o Jeffreysie, czego nam nie powiedział.

– Czego nie może nam powiedzieć.

Biegiem ruszyła do góry.

– O’Dell, co pani robi?

Słyszała za sobą głos szeryfa, gdy pchała ciężkie drzwi i szła wzdłuż nawy. Ksiądz Francis właśnie opuszczał ołtarz i znikał za grubą zasłoną.

– Ojcze! – zawołała. Echo zabrzmiało tak głośno, że poczuła, jakby złamała jakąś regułę, popełniła grzech. Jednak dzięki temu zatrzymała księdza. Cofnął się na środek ołtarza i patrzył, jak Maggie spieszy ku niemu. Morrelli był tuż za nią.

– Jeśli ksiądz coś wie... Jeśli Jeffreys powiedział coś, co mogłoby zapobiec kolejnej zbrodni... Proszę księdza, czy życie niewinnego chłopca nie jest warte złamania tajemnicy spowiedzi seryjnego mordercy?

Nawet nie była świadoma, że jest zadyszana. Czekała, wpatrując się w te oczy, które wiedziały dużo więcej, niż chciały zdradzić.

– Mogę tylko powiedzieć, że Ronald Jeffreys mówił prawdę.

– Słucham? – Jej niecierpliwość zamieniła się w złość.

– Od dnia, kiedy przyznał się do morderstwa, do dnia, w którym został stracony, Ronald Jeffreys mówił tylko prawdę. – Zawiesił wzrok na Maggie. Jeśli było coś więcej, nie potrafiła tego dostrzec. – A teraz proszę mi wybaczyć.

Stali oboje w milczeniu, patrząc, jak ksiądz znika za poruszającą się zasłoną.

– Jezu – wyszeptał wreszcie Morrelli. – Co to, u diabła, miało znaczyć?

– To znaczy, że musimy przyjrzeć się zeznaniom Jeffreysa – odparła, udając, że wie, o czym mówi. Potem odwróciła się i ruszyła przed siebie, tym razem stąpając ostrożnie, żeby jej obcasy nie stukały po marmurowej posadzce.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Wyjechał z kościelnego parkingu. Torba z zakupami spożywczymi przewróciła się na siedzeniu i zawartość rozsypała się na podłodze. Pomarańcze sturlały się pod jego nogi, kiedy nacisnął gaz.

Musiał się wyciszyć. Zerknął w tylne lusterko. Nikt go nie śledził. Przyszli węszyć do kościoła. Gadali z księdzem Francisem, wypytywali o Jeffreysa. On był bezpieczny. O nim nic nie wiedzieli. Nawet ta dziennikarka pisała, że Danny'ego zamordował jakiś naśladowca Jeffreysa. Nikomu nie przyszło do głowy, że to Jeffreys kogoś naśladował. Zabił z zimną krwią, idealnie nadawał się na kozła ofiarnego.

Kilka przecznic od szkoły rodzice pędzili jak przerażone szczury, ciągnąc ze sobą swoje dzieci, tłocząc się na skrzyżowaniach. Podwozili je do samego krawężnika. Patrzyli, jak dzieci skaczą po schodach szkoły, nie spuszczali z nich oka aż do chwili, kiedy bezpiecznie znikały w środku. Do tej pory jakoś nie zauważali, że mają dzieci. Zostawiali je same na całe godziny, udając, że „klucz na sznurku" jest dobrym rozwiązaniem. Zostawiali je z ranami i siniakami, które, jeśli nic się nie zmieni, pozostaną im do końca życia. Teraz ci sami rodzice zaczynają się czegoś uczyć. Więc prawdę mówiąc, wyświadcza im bezcenną przysługę. Nikt nie dał tym ludziom tyle co on.

Wiatr przyniósł zapowiedź śniegu, ciął i uderzał marynarki i spódnice, które wkrótce trzeba będzie zamienić na cieplejszą odzież. Przypomniało mu to o kocu w bagażniku. Czy dalej jest na nim krew? Starał się przypomnieć to sobie, starał się myśleć, obserwując szczurzy wyścig na chodnikach i szczurzy tłum na skrzyżowaniach. Zatrzymał się przed znakiem stop. Czekał na pilnujących przejścia strażników. Strumień szczurów przeszedł na drugą stronę. Jeden rozpoznał go i pomachał. Uśmiechnął się i też pomachał.

Nie, przecież wyprał koc. Nie ma na nim krwi. Wybielacz robi cuda. Koc przyda się na zimne dni, kiedy się ochłodzi.

Wyjeżdżając z miasta, zauważył przelatujące stadko dzikich gęsi. Ustawiły się w klucz, w szyk, jak wojskowa formacja. Opuścił szybę i słuchał. Rześkie poranne powietrze przecinały piski i klangor. Tak, te nadęte chmury przyniosą śnieg, a nie deszcz. Czuł to w kościach.

Nie znosił zimna, nienawidził śniegu. Przypominał mu o zbyt wielu Bożych Narodzeniach, kiedy cichutko odwijał skromne prezenty, które mama w sekrecie przed ojczymem kładła pod choinką. Wstawał wcześnie w bożonarodzeniowy ranek, jak mu kazała, i sam odwijał paczki. Robił to tak cicho, żeby słyszeć, jak matka zajmuje ojczyma w sypialni, kilka kroków dalej.

Jego ojczym niczego nie podejrzewał, był wdzięczny za prezenty, które sam otrzymywał wcześnie rano. Gdyby się dowiedział, że również jego pasierb jest obdarowywany przez matkę, sprałby ich oboje za bezmyślne trwonienie

ciężko zarobionych pieniędzy. To właśnie od tamtych świąt, kiedy zostali pobici, kultywowali swoją sekretną tradycję.

Skręcił w Old Church Road i jechał wzdłuż rzeki. Brzeg płonął wspaniałymi czerwieniami, oranżami i żółciami. Śnieg to wszystko zniszczy. Pokryje żywe kolory całunem białej śmierci.

Był już niedaleko. Nagle przypomniał sobie o kartach z futbolistami. W szalonej panice macał dookoła, sprawdzając kieszenie jedną ręką, a drugą trzymając kierownicę. Samochód zjechał ostro na prawo. Koło wpadło w głęboką koleinę, zanim zdążył odzyskać panowanie nad wozem. Wreszcie wyczuł wybrzuszenie w tylnej kieszeni dżinsów.

Zjechał z drogi między drzewa wiśni. Sklepienie z gałęzi i liści ukryło samochód. Zebrał rozsypane zakupy, wcisnął je z powrotem do torby i wepchnął pod ramię. Otworzył bagażnik. Gruby wełniany koc był porządnie zwinięty i związany sznurem. Sięgnął po niego i przerzucił przez ramię. Zatrzasnął klapę bagażnika, a odgłos ten odbił się echem. Gdyby nie szepty zapowiadającego zimno wiatru w gałęziach, cisza byłaby doskonała. Wiatr unosił zapach rzeki, cudowną mieszankę szlamu, ryb i rozkładu. Przystanął, żeby popatrzeć na zmarszczki i fale wartkiego nurtu, który niósł ze sobą kawałki drewna i inne śmieci. Woda, niebezpieczna swą niszczycielską siłą, żyła. Żyła i zbawiała mocą uzdrawiania i oczyszczania.

Ubłocone liście zakrywały drewniane drzwi tak dobrze, że nawet on przez kilka chwil nie mógł ich znaleźć. Oczyścił je,

a potem pchnął, aż się otworzyły. Zamglone światło rozjaśniało schody, kiedy wstępował w głąb ziemi. Od razu wypełniła jego płuca woń mokrego brudu, wilgoci i pleśni. Kiedy dotarł na dno, odłożył koc i torbę.

Wyjął gumową maskę z kieszeni kurtki. Była lepsza niż czapka narciarska, nie tak przerażająca i bardziej odpowiednia na tę porę roku. Ale i tak jej nienawidził. Bardziej jednak nienawidził wspomnienia oczu Danny'ego, jego spojrzenia, kiedy chłopiec go rozpoznał, patrzył na niego ufnie, a potem tak, jakby poczuł się zdradzony. Gdybyż Danny potrafił go zrozumieć! Ale jego spojrzenie i ten przeklęty krzyżyk na szyi o mały włos go nie rozwścieczyły. Nie, nie mógł więcej ryzykować. Wciągnął maskę. W mgnieniu oka jego twarz pokryła się potem.

Jak zombi, z wyciągniętymi rękami, ruszył drobnym krokiem, aż zderzył się z drewnianą półką. Jego palce znalazły lampę i zapałki. Jakieś futro otarło się o jego skórę. Odsunął się, szarpnął dłonią, uderzając lampę i chwytając ją w ciemności, zanim spadła z półki.

– Przeklęte szczury – mruknął.

Uniósł do góry zardzewiały przedmiot. Potarł zapałkę i za pierwszym razem zapalił knot. Ciemność ożyła w żółtawej poświacie. Okruchy brudnej ściany spadły mu na głowę. Nie chciał patrzeć do góry na uciekające w popłochu nietoperze. Czekał. W ciągu kilku sekund powinny znaleźć sobie nowe, pogrążone w ciemności miejsce, gdzie znowu poczują się bezpiecznie.

Oparł się całym ciałem o drewnianą półkę. Ciężka konstrukcja zaskrzypiała, drgnęła i poruszyła się. Skrobnęła o podłogę, zabierając ze sobą kępki śmieci. Krople potu spływały mu po plecach. Maska piekła straszliwie, czuł się pod nią jak w rozgrzanym garnku. Wreszcie tajemne przejście odsłoniło się. Wczołgał się przez niewielki otwór, sięgając za siebie po torbę i koc.

Miał nadzieję, że Matthew spodobają się karty z baseballistami.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Dom Tannerów stał na rogu, na skraju miasta. Tuż za nim rozpościerało się pole, gdzie ciężki sprzęt budowlany, pomalowany na żółto, pożerał okolicę jak wygłodniały potwór, jednym haustem pochłaniając wielkie drzewa. Tej konsekwencji wzrostu Platte City Nick nie lubił najbardziej. Tereny porośnięte dziką różą, płomienną nawłocią i kołyszącymi się trawami, nagle zamieniały się w nienaganne, jednakowe trawniki poprzedzielane szarymi chodnikami, z rozrzuconymi gdzieniegdzie plastikowymi huśtawkami.

– Jezu – mruknął na widok sznura samochodów zaparkowanych przed domem Tannerów.

– Ma pan tu kogoś, kto trzyma gębę na kłódkę? – spytała siedząca na miejscu pasażera O’Dell.

Nick zerknął na nią niezbyt przyjaźnie.

– Tylko pytam, nie ma się o co obrażać – szybko dodała Maggie.

Miała rację. W jej tonie nie było oskarżenia. Musi pamiętać, że ona jest po jego stronie. Dlatego szybko poinformował ją o swoich dotychczasowych poczynaniach, o szczegółach, których nie mieli czasu przedyskutować rano.

Poprzedniej nocy, bliscy paniki, Nick i Hal Langston urządzili w salonie Tannerów minisztab akcji. Nick

wprawdzie niechętnie, lecz jednak skorzystał z lekcji Boba Westona, jaką otrzymał przy okazji sprawy Alvereza. W ciągu kilku minut od rozpaczliwego telefonu Michelle Tanner Nick wysłał Phillipa Van Dorna, żeby założył u niej podsłuch i postawił obserwatorów wokół domu. Jeszcze przed północą Lucy Burton zaczęła zamieniać salę konferencyjną w biurze szeryfa na sztab akcji z mapami, powiększonymi zdjęciami Matthew na ścianie i gorącą linią.

Tym razem Nick niezwłocznie zadzwonił do szefów policji z sąsiednich okręgów. Chodziło o Richfield, Staton i Bennet. Poprosił o pomoc w przeszukiwaniu ulic, okolicznych pól i brzegów rzeki. Jego ludzie chodzili od drzwi do drzwi, pouczeni, żeby wypytywać grzecznie i spokojnie, nie siejąc paniki, jeśli to możliwe. Zastanawiał się, czy nie jest za późno. Zwłaszcza po tym, jak rano widział spanikowanych rodziców, którzy odprowadzali swoje pociechy do szkoły. Szaleństwo już się zaczęło, i to dzięki jego siostrze. Nie chciał nawet myśleć, co by się działo, gdyby rozeszła się wiadomość o zaginięciu Matthew. Wiedział jednocześnie, że sam się oszukuje, sądząc, że może zapobiec tej panice czy choćby ją ograniczyć.

Zewnętrzne drzwi domu Tannerów stały otworem. Szum głosów wypływał na podwórko. O’Dell zapukała i czekała. Nick zapukałby i wszedł. Stojąc tuż za nią, zauważył, że była kilkanaście centymetrów niższa od niego. Nachylił się ku niej, wdychając zapach jej włosów, kiedy lekki wiatr w łagodnej pieszczocie zarzucił kilka kosmyków na jego brodę.

Poprawiła włosy, o mało go nie dotykając. Odstąpił o krok, obserwując, jak wpycha niesforny kosmyk za ucho, odkrywając białą gładką skórę. Tego ranka miała na sobie ciemną marynarkę bordo i spodnie od kompletu. W tym kolorze jej skóra wydawała się jeszcze gładsza.

Skrzypnęły stare zawiasy wewnętrznych drzwi i nieznany Nickowi mężczyzna wyjrzał, by sprawdzić, kto puka.

– Kim państwo jesteście? – spytał podejrzliwie, nie tracąc czasu na dobre maniery i obrzucając ich nieufnym spojrzeniem.

– W porządku. – Hal Langston pojawił się za jego plecami i lekko odepchnął mężczyznę na bok. Otworzył szeroko wewnętrzne drzwi. Mężczyzna spojrzał na Langstona i wycofał się. Hal lubił się szarogęsić. Grał z Nickiem w futbol, kiedy byli jeszcze w szkole średniej. Od tamtej pory przybrał na wadze, ale wciąż był w formie.

– Życie małżeńskie – tłumaczył, kiedy Nick dokuczał mu z powodu nadwagi. – Powinieneś tego spróbować, stary – dodawał zawsze. Trzeba przyznać, że złapał jedną z najlepszych lasek w mieście.

Tess Langston przeprowadziła się do Platte City przed dziesięcioma laty, podejmując pracę nauczycielki historii w miejscowym liceum. Była piękna i elegancka, onieśmielała wszystkich kawalerów, którzy oblizywali się na samą myśl o niej. Wszystkich prócz Hala. Przez prawie trzy tygodnie wydzwaniał do Nicka, który utknął na wschodzie na studiach prawniczych, każdej nocy nabijając sobie rachunek. Wkuwając prawnicze regułki na temat różnicy

pomiędzy poniesioną szkodą i zerwaniem kontraktu, Nick pomagał Halowi wymyślać strategie zdobycia Tess.

Nick pisał wierszyki, podpowiadał, jakie dać kwiaty – stokrotki, nie róże – radził nawet, gdzie i kiedy dotykać: delikatnie pieścić koniuszek ucha, nie łapać od razu za piersi. Czuł, jakby sam adorował Tess, i to do tego stopnia, że kiedy telefony ustały, miał wrażenie, jakby coś stracił. Dopiero po jakimś czasie zdał sobie sprawę, że nie stracił przyjaciela, lecz kobietę, którą spotkał wcześniej tylko raz, za to poznał ją tak dobrze przez swojego przyjaciela, że sam się w niej zakochał.

Hal i Tess pobrali się po zaledwie półrocznej znajomości. Nick dotąd czuł pewną bliskość z Tess, której nie potrafił nawet racjonalnie wyjaśnić. Nie chciał zresztą wyjaśniać. Nie miał pojęcia, czy Hal podzielił się z Tess tajemnicą ich wspólnych starań o nią, zdarzało się jednak, że w jej spojrzeniu widział pozytywną odpowiedź, a nawet wdzięczność.

Salon Tannerów pęczniał od zastępców Nicka i policjantów, których nie znał. Niektórzy z nich popijali kawę, inni studiowali notatki i mapy. Nick poszukał wzrokiem Michelle Tanner, niepewny, czy ją pozna. Poprzedniej nocy była w różowym szlafroku, miała czerwone oczy i twarz w plamy, wyglądała na kompletnie pijaną i kompletnie zagubioną. Rude kosmyki wypadały z jej koka i fruwały wokół głowy jak dzikie węże. Całe drobne ciało wiło się jak w konwulsjach, bez przerwy chodziła, wymachując rękami.

W kuchni było jeszcze ciaśniej.

– Kim do cholery są ci wszyscy ludzie, Hal? – odwrócił się i wpadł na Hala. O’Dell podeszła tymczasem do Phillipa Van Dorna i bez zbędnych wstępów wyciągała od niego tajemnice technologii zastosowanej w tym domu.

– To był jej pomysł – szepnął Hal, broniąc się. – Poprosiła kilku sąsiadów, matkę, rodziców chłopców z drużyny futbolowej syna.

– Jezu, Hal. Mamy tu całą pieprzoną drużynę!

– Tylko kilku rodziców.

Nick przepchnął się łokciami przez tłum. Pchał się dalej, kiedy dostrzegł kobietę siedzącą przy stole. Popijała kawę z Michelle Tanner.

– A co ty do diabła tu robisz?! – wrzasnął i cały pokój zamarł w ciszy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Zanim Christine zdołała odpowiedzieć, jej brat rzucił się przez tłum, wylewając kawę Emily Fulton i niemal przewracając Paula Callowaya. Wszyscy patrzyli, jak wyciąga palec w kierunku Christine i mówi do Michelle Tanner:

– Pani Tanner, czy pani wie, że ta kobieta jest dziennikarką?

Michelle Tanner była drobnej budowy, tak szczupła, że zdawała się krucha. Christine wiedziała już, że łatwo ją zastraszyć. Michelle pobladła, jej duże orzechowe oczy rozszerzyły się. Spojrzała na Christine, w końcu podniosła wzrok na Nicka.

– Tak, szeryfie. Wiem doskonale, że Christine jest dziennikarką. – Złożyła dłonie, widząc, że lekko się trzęsą, i wsadziła je pod stół, kładąc bezpiecznie na kolanach. Wbijając wzrok w kawę, podjęła: – Uważamy, że informacja w wieczornym wydaniu może być dla nas korzystna... Informacja o Matthew. – Teraz drżał jej głos.

Christine zobaczyła, że Nick mięknie. Jej brat twardziel nie mógł się oprzeć jednej rzeczy: kobiecym łzom. Sama posługiwała się tą bronią. Jednak w łzach Michelle Tanner nie było żadnej kalkulacji.

– Pani Tanner, proszę mi wybaczyć, ale nie zgadzam się z tym.

– To bardzo dobry pomysł.

Christine poruszyła się na krześle, żeby dojrzeć kobietę, która zatrzymała się obok Nicka. Mogłaby być modelką. Jej cera była bez skazy, miała piękne wysokie kości policzkowe, pełne usta i jedwabiste, krótkie ciemne włosy. Jej spodnium opinał szczupłą, zgrabną figurę, która miała dość wcięć i wypukłości, żeby zatrzymać wzrok każdego mężczyzny. Jednak głos i postawa wskazywały na to, że jest tego nieświadoma. Jej pewność siebie niebezpiecznie graniczyła z autorytaryzmem. Takiej kobiety nic ani nikt łatwo nie zastraszy, nawet tłum obcych ludzi. Christine z miejsca ją polubiła.

– Słucham? – Nick zirytował się.

– Uważam, że dobrze będzie od razu zaangażować w to media.

Nick rozejrzał się po pokoju. Poczuł się nieswojo, wręcz zdenerwował się.

– Możemy chwilę porozmawiać na osobności? – Wziął Michelle pod ramię, ale zaraz się odsunęła. Mimo to wyszła z nim z pokoju. Tłum zrobił jej przejście. Nick szedł za nią.

– Przepraszam. – Gdy Michelle wychodziła, Christine poklepała ją po dłoni.

Sięgnęła po swój notes. Niezależnie od tego, jak bardzo Nick się wściekł, chciała poznać kobietę, która umiała go ustawić. To musi być ta agentka z FBI z Quantico, pomyślała, Maggie O’Dell. Ciekawe, jakie ma informacje? Nick trzymałby je w garści, gdyby tylko mógł w ten sposób chronić swoją reputację.

Gdy Nick po krótkiej rozmowie z Michelle wrócił, natychmiast zaszył się z Maggie w kącie salonu przy oknie, które wychodziło na podwórko przed domem. Kilku policjantów przypatrywało się im. Ludzie Nicka wiedzieli, że lepiej udawać, jak bardzo zajęci są robotą.

– Mówiłem ci, że nie spodoba mu się, że tu jesteś – powiedział ktoś za plecami Christine.

Obejrzała się. To był Hal.

– Wygląda na to, że może zmienić zdanie.

– Taa, trafił swój na swego. Idę zakurzyć. Pójdziesz ze mną?

– Nie, dzięki, próbuję rzucić.

– Jak wolisz.

Ruszył do wyjścia. Drzwi wewnętrzne stęknęły i trzasnęły. Nick i agentka O'Dell nawet tego nie zauważyli. Nick mówił przyciszonym głosem, ukrywając złość za zaciśniętymi zębami. Maggie nawet nie drgnęła, odpowiadała bez nerwów.

– Przepraszam, że przeszkadzam. – Christine odczuła spojrzenie Nicka jak uderzenie w twarz. Nie patrzyła mu w oczy. – Pani jest pewnie O'Dell, agentką specjalną. Jestem Christine Hamilton. – Wyciągnęła rękę, Maggie ujęła ją bez wahania.

– Miło mi, pani Hamilton.

Uścisk był mocny i pewny.

– Jestem przekonana, że Nick zapomniał pani powiedzieć w tym zamieszaniu, że jestem jego siostrą.

Maggie podniosła wzrok na Nicka. Christine zdawało się, że widzi cień uśmiechu na jej stoickiej twarzy.

– Teraz rozumiem. Zastanawiałam się właśnie, czy coś państwa łączy.

– Jest na mnie wściekły, więc nie widzi, że naprawdę chcę pomóc.

– Jestem pewna, że tylko to panią tu sprowadziło.

– A więc zgodzi się pani odpowiedzieć na kilka pytań?

– Proszę wybaczyć, pani Hamilton…

– Christine.

– Tak, Christine. Mam swoje zdanie, ale to nie moje śledztwo, tylko twojego brata. Natomiast mnie wyznaczono konkretną robotę, to znaczy stworzenie profilu mordercy.

Christine nie musiała patrzeć na Nicka, by wiedzieć, że się uśmiechnął. Rozeźliło ją to.

– No to jak? Znowu szlaban dla prasy, jak w sprawie Alvereza? Nicky, to tylko pogorszy sytuację.

– Christine, myślę, że szeryf zmienił zdanie – rzekła Maggie, patrząc na Nicka. Uśmiech na jego twarzy przemienił się w mniej przyjazny grymas.

Odgarnął włosy z czoła. O’Dell zaplotła ręce na piersi. Christine patrzyła to na nią, to na niego. Zrobiło się gorąco i ciasno w tym rogu, więc cofnęła się.

W końcu Nick odchrząknął.

– Będzie konferencja prasowa w sądzie jutro rano o ósmej trzydzieści.

– Mogę to wydrukować w wieczornym wydaniu?

– Jasne – odparł niechętnie.

– Masz jeszcze coś, co mogłabym tam wrzucić?

– Nie.

– Szeryfie Morrelli, mówił pan, że ma pan zdjęcia chłopca – powiedziała O’Dell rzeczowo, bez złośliwości. – Może coś się komuś przypomni, jeśli Christine zamieści je w gazecie.

Wsadził ręce do kieszeni. Christine przemknęło przez myśl, że zrobił tak, by ich obu nie udusić.

– Wpadnij do biura i wybierz sobie jedno. Powiem Lucy, żeby je zostawiła na pierwszym biurku. Pierwsze biurko, Christine, pamiętaj. Nie życzę sobie, żebyś myszkowała po moim biurze.

– Spoko, Nicky. Ile razy mam ci tłuc do głowy, że nie jestem twoim wrogiem? – Odwróciła się, ale przystanęła jeszcze przy drzwiach. – Będziesz dzisiaj na obiedzie?

– Jak znajdę czas.

– Zje pani z nami? – zwróciła się do Maggie. – Nic specjalnego. Robię spaghetti. No i będzie mnóstwo chianti.

– Dziękuję, to brzmi zachęcająco.

Christine omal nie wybuchnęła śmiechem, widząc zdumioną minę Nicka.

– Świetnie. No to do zobaczenia koło siódmej. Nick zna adres.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Biuro szeryfa przepełniała nerwowa energia. Nick poczuł ją, gdy tylko weszli z Maggie do środka. Martwił się szaleństwem, które może ogarnąć miasto, a niewiele lepiej było w jego własnym biurze.

Telefony się urywały. Sprzęt dudnił i popiskiwał. Stukały klawisze. Szumiały faksy. Skrzeczało radio. Z pokoju do pokoju niosły się krzyki i nawoływania. Ludzie gonili, jakimś cudem co rusz nie wpadając na siebie.

Byli tam też policjanci, których Nick dotąd nigdy nie widział, i sprzęt, którego nie potrafił zidentyfikować. Ludzie, ledwie mu znani, musieli zajmować się sprawami, które zaledwie rozumiał. Czuł się nieswojo jak diabli.

Lucy powitała go z ulgą. Uśmiechnęła się i pomachała z drugiego końca pokoju. W stronę O'Dell rzuciła ukradkowe niechętne spojrzenie. Maggie udała, że tego nie widzi.

– Nick, sprawdziliśmy każdy centymetr miasta. – Lloyd Benjamin chrypiał ze zmęczenia. Zdjął okulary i przetarł oczy. Głębokie zmarszczki na jego czole uwypukliły się. Lloyd, najstarszy współpracownik Nicka, był po Halu także najbardziej zaufany. – Ludzie z Richfield przeszukują dalej rzekę, tam, gdzie znaleźliśmy Alvereza. A tych ze Staton wysłałem do północnej części miasta. Mają sprawdzić żwirownię i jezioro Northton.

– Dobra. Świetnie, Lloyd. – Nick poklepał go po plecach. Ale było coś jeszcze. Lloyd podrapał się w brodę, spojrzał na Maggie i zniżył głos do szeptu. – Niektórzy gadają różne rzeczy. Stan Lubrick pamięta, że Jeffreys, kiedy go aresztowano, miał partnera... no wiesz... jakby... jakby kochanka. Mnie też coś świta, że ciągnęliśmy jakiegoś faceta na spytki, ale nie pamiętam, czy w końcu zeznawał. Niejaki Mark Rydell – rzekł, sprawdzając w notesie z zagryzmolonymi stronami. – Pomyśleliśmy, że może warto poszukać tego gościa. Sprawdzić, czy się tu gdzieś nie kręci.

Obaj popatrzyli na O’Dell, która zagubiła się trochę w tym chaosie. Nick nie był nawet pewny, czy słyszała, co mówił Lloyd. Ręce wepchnęła głęboko w kieszenie. Rzucała wzrokiem to tu, to tam, obserwując nieustanny ruch. Potem nagle zawstydziła się, że każe im czekać.

– Nie wiedziałam, że Jeffreys był gejem. Skąd wiadomo, że tamten mężczyzna był jego kochankiem? – zapytała rzeczowo bez cienia protekcjonalizmu. A Nick przekonał się już, że potrafiła obrócić poważne spekulacje w trywialny żart.

Lloyd poluzował krawat i kołnierzyk. Temat wyraźnie wprawiał go w zakłopotanie.

– No bo mieszkali wtedy razem.

– Może tylko mieszkali?

O’Dell była równie nieubłagana, jak piękna. Nick odetchnął, że tym razem to nie on jest odpytywany. Lloyd

popatrzył na niego, szukając pomocy, jednak Nick tylko wzruszył ramionami.

– Da się jakoś sprawdzić, czy Rydell utrzymywał kontakt z Jeffreysem już po wyroku? – spytała Lloyda. Nie odrzuciła więc jego podejrzeń.

– W więzieniu mogą mieć takie informacje.

– Można więc też sprawdzić, z kim jeszcze Jeffreys utrzymywał kontakty. Kto go odwiedzał w więzieniu, z którymi więźniami się przyjaźnił, a może z jakimś strażnikiem? Gdy jest się w celi śmierci, kontakty z ludźmi są utrudnione, ale nie da się tego wykluczyć.

Nickowi podobało się, że Maggie nie lekceważy żadnej informacji, tylko jak najszybciej stara się ją sprawdzić i wykorzystać. Ślad, który Nick uznał za nieistotny, nabrał dzięki temu znaczenia. Nawet Lloyd, dumny potomek rodu, w którym kobiety znały swoje miejsce, wydawał się zadowolony. Słuchając O’Dell, dopisał coś w swoim notesie. Potem skinął głową i odszedł do telefonu.

Na Nicku zrobiło to duże wrażenie. Maggie przechwyciła jego spojrzenie, a on się uśmiechnął.

– Hej, Nick! Ta kobieta znowu dzwoni – zawołał zza biurka, trzymając słuchawkę pod brodą, Eddie Gillick.

– Agentko O’Dell, jest dla pani faks z Quantico. – Adam Preston wręczył jej zwój papieru.

– Jaka kobieta? – spytał Nick Eddiego.

– Sophie Krichek. Pamiętasz, to ona widziała stary niebieski pikap w okolicy, gdzie zamordowano Alvereza.

– Niech zgadnę. Znowu widziała pikap. Tym razem w środku przypadkiem był chłopiec, który przypomina Matthew Tannera.

– Chwileczkę – przerwała O’Dell, podnosząc głowę znad faksu rozciągniętego na podłodze. – Dlaczego uważa pan, że ona coś zmyśla?

– Bo dzwoni bez przerwy – wyjaśnił Nick.

– Nick, twoje wiadomości. – Lucy podała mu plik różowych karteczek i czekała, stojąc na wprost niego. Jak zwykle ubrana była w obcisły sweter i obcisłą spódnicę. Gdyby nie miała tak ponętnej figury, łatwiej byłoby mu wybić jej to z głowy.

– Zaraz. Nie ma pan zamiaru sprawdzić tego śladu tylko dlatego, że ta kobieta przekroczyła jakąś liczbę telefonów? – Wzrok Maggie mówił mu jasno, że uważa go, mówiąc wprost, za głupka. Zastanowił się przez moment, czy ma to coś wspólnego z opiętym strojem Lucy w niebiesko-zielone paski.

– Trzy tygodnie temu dzwoniła z informacją, że na jej podwórku Jezus huśtał małą dziewczynkę. Nie ma tam nawet podwórka. Mieszka w bloku z betonowym parkingiem. Lucy, czy mamy tu kopie zeznań Jeffreysa z przesłuchań i rozprawy?

– Max mówi, że zaraz sama je przyniesie. – Lucy zakołysała się na szpilkach. Wiedział, że robi to dla niego. – Muszą wszystko skopiować. Max nie wypuści z biura żadnego oryginału. Och, agentko O’Dell, jakiś Gregory

Stewart dzwonił do pani trzy czy cztery razy. Powiedział, że to ważne i że pani ma jego numer.

– Szef panią sprawdza? – Nick uśmiechnął się do Maggie, która nagle zmarkotniała.

– Nie, mój mąż. Mogę stąd zadzwonić?

Uśmiech Nicka zniknął. Spojrzał na dłoń Maggie. Nie nosiła obrączki. Tak, sprawdzał to już, oczywiście zupełnie machinalnie.

Czekała na odpowiedź.

– Może pani zadzwonić z mojego pokoju – rzekł, starając się, żeby jego głos brzmiał obojętnie, i przeglądając karteczki z wiadomościami. – Na końcu korytarza, ostatnie drzwi na prawo.

– Dzięki.

Gdy tylko zniknęła za rogiem, Eddie Gillick zatrzymał się obok Nicka w drodze do faksu.

– Co się tak dziwisz, Nick? Niezła laska. Czemu miałaby być panienką?

To śmieszne. Tego ranka u Michelle Tanner o mało jej nie udusił. Teraz czuł się, jakby ktoś dokopał mu w brzuch.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Pokój Nicka był mały i skromny. Stało w nim szare metalowe biurko i podobna szafka. Na półkach zostały wystawione rozmaite trofea, wszystkie związane z futbolowymi mistrzostwami. Na ścianie za biurkiem wisiało kilka obrazków. Maggie zapadła się w miękkim skórzanym fotelu, który był jedynym ekstrawaganckim przedmiotem w tym surowym pomieszczeniu. Miała stąd dobry widok na ścianę trofeów. Podniosła słuchawkę.

Patrzyła na zdjęcia młodych mężczyzn w biało-czerwonych strojach. Na jednym z nich był młody Morrelli, spocony i brudny po meczu. Stał dumnie obok starszego mężczyzny, którym, jak wynikało z niewyraźnego autografu, był trener Osborne.

W rogu, prawie schowane za szafą na dokumenty, wisiały dwa zakurzone dyplomy. Jeden z Uniwersytetu Stanowego w Nebrasce. Drugi dyplom świadczył o ukończeniu wydziału prawa na... Mało brakowało i upuściłaby telefon. Drugi dyplom był z Uniwersytetu Harvarda. Wstała, żeby przyjrzeć mu się z bliska, potem usiadła zażenowana, bo przez moment pomyślała, że to falsyfikat, zwykły żart. Dyplom był jednak jak najbardziej autentyczny.

Przeniosła spojrzenie na zdjęcie z boiska. Szeryf Nicholas Morrelli to prawdziwa niespodzianka. Im lepiej go poznawała, tym większe budził w niej zainteresowanie.

I wcale nie ułatwiało sprawy, że niezdrowo między nimi iskrzyło. Flirtowanie było dla Nicka czymś równie naturalnym jak oddychanie. Ale nie dla niej. Dziwnie ją to rozdrażniło.

Jej stosunki z Gregiem były zawsze poprawne i bezpieczne. Nawet na początku nie szaleli przesadnie, nie spalali się w namiętności. Połączyła ich raczej przyjaźń i wspólne cele. Cele, które przez lata uległy zmianie. I przyjaźń, która zamieniła się w samozadowolenie. Z czasem wyparowała gdzieś nawet przyjacielska grzeczność. Uprzejmość. Maggie zaczęła się ostatnio zastanawiać, czy tak bardzo się od siebie oddalili, czy też może nigdy nie byli naprawdę blisko.

Nieważne. Małżeństwo wymaga pracy, niezależnie od tego, jakim podlega procesom. Wierzyła w to. Nie wytrwałaby tak długo, gdyby nie ta wiara. Teraz przynajmniej Greg zadzwonił do niej, pierwszy wyciągnął rękę do pojednania. To musi być dobry znak.

Wykręciła numer jego biura i odczekała cierpliwie cztery, pięć, sześć sygnałów.

– Brackman, Harvey i Lowe. Czym mogę służyć?

– Chciałabym rozmawiać z Gregiem Stewartem.

– Pan Stewart ma spotkanie, zechce pani zostawić wiadomość?

– Proszę zobaczyć, czy można mu przerwać? Jestem jego żoną. Całe rano próbował się ze mną skontaktować.

Nastąpiła cisza. Recepcjonistka zastanawiała się, czy może spełnić tę nierozsądną prośbę.

– Chwileczkę.

Chwileczka zamieniła się w dwie, potem trzy chwileczki. Wreszcie, po jakichś pięciu minutach, w słuchawce odezwał się głos Grega:

– Maggie, na Boga, nie mogłem cię złapać. – Nie był skruszony, tylko zdenerwowany. Maggie poczuła głębokie rozczarowanie. – Czemu wyłączyłaś komórkę? – Choć bardzo się spieszył, musiał udzielić reprymendy.

– Zapomniałam ją naładować. Zrobię to dziś wieczorem.

– No nic, trudno. – Był poirytowany, jakby to była jej wina. – Chodzi o twoją matkę. – Zmienił ton na współczujący, używał go w rozmowie z klientami, którzy przegrali sprawę. Maggie wbiła paznokcie w skórzane oparcie, czekając, co dalej. – Jest w szpitalu – oznajmił.

Oparła głowę i zamknęła oczy.

– Co zrobiła tym razem?

– To chyba poważna sprawa, Maggie. Tym razem posłużyła się żyletką.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Maggie odłożyła słuchawkę i zaczęła masować sobie skronie. W głowie jej huczało, miała sztywny kark i łopatki. Spędziła właśnie dwadzieścia minut na dyskusji z lekarzem, który opiekował się jej matką. Ten arogancki drań zapewniał ją, że był najlepszy na roku. Dopiero co zrobił dyplom, a wydawało mu się, że zjadł wszystkie rozumy. Cóż, nie znał jej matki. Nie spojrzał nawet do historii jej choroby. Maggie poradziła mu, żeby zadzwonił do terapeuty matki. Odetchnął z ulgą, a nawet z wdzięcznością, kiedy podała mu nazwisko i numer telefonu. Zastanowiła się przy okazji, ilu ludzi zna na pamięć numer telefonu terapeuty własnej matki.

Zgodzili się wspólnie, że nie ma sensu, aby Maggie wskakiwała do najbliższego samolotu do Richmond. Matka rozpaczliwie domagała się uwagi, stąd owe demonstracyjne próby samobójcze, ale Maggie, rzucając wszystko, żeby zjawić się przy niej, wzmocniłaby jedynie tę reakcję. Przynajmniej tak było podczas ostatnich pięciu incydentów. Dobry Boże, pomyślała, za którymś razem matce wreszcie się uda, choćby przez przypadek. Żyletka wskazywała na poważną eskalację samoagresji, choć cięcia były raczej powierzchowne, jak stwierdził lekarz.

Wtuliła obolałą głowę w miękki skórzany zagłówek i przymknęła oczy. Opiekowała się matką, odkąd skończyła

dwanaście lat. A co dwunastoletnia dziewczynka, która właśnie straciła ojca, wie o opiekowaniu się kimkolwiek? Obwiniała się, że to przez nią matka się stacza, aż w końcu dotarło do niej, że przecież sama uciekała od swej córki w pijackie odrętwienie. Był to jej wybór.

Ktoś zastukał w matową szybę w drzwiach. Drzwi otworzyły się i Morrelli zajrzał do środka.

– O'Dell, nic pani nie jest?

Siedziała jak sparaliżowana, skulona na fotelu. Nagle jej nogi, ręce, całe jej ciało okazało się zbyt ciężkie, żeby się podnieść.

– W porządku – zdołała powiedzieć, ale wiedziała, że nie zabrzmiało to przekonująco.

Nick zmarszczył brwi i spojrzał na nią z troską. Zawahał się, po czym wszedł powoli do pokoju. Postawił przed nią dietetyczną pepsi. Zimne krople skapywały z puszki. Maggie była ciekawa, jak długo Morrelli stał przed drzwiami własnego biura, zanim odważył się wejść.

– Dzięki. – Nie próbowała się ruszać, czym zaniepokoiła Nicka. Stał ze splecionymi na piersi rękami, a następnie wsadził dłonie do kieszeni.

– Kiepsko pani wygląda – odezwał się w końcu.

– Wielkie dzięki, Morrelli. – Nawet zdołała się uśmiechnąć.

– Proszę posłuchać, może pani coś dla mnie zrobić? Proszę mi mówić po imieniu. Za każdym razem, jak mówi pani: Morrelli, albo: szeryfie Morrelli, zaczynam rozglądać się za moim ojcem.

– Okej, spróbuję. – Miała wyjątkowo ciężkie powieki. Gdyby zamknęła teraz oczy, może wreszcie by zasnęła.

– Lucy zamawia właśnie lunch w „Wanda’s Diner”. Co dla pani zamówić? Poniedziałkowa specjalność to sztuka mięsa, ale polecałbym raczej kanapkę z kotletem z kurczaka.

– Naprawdę nie jestem głodna.

– Jestem z panią od drugiej w nocy i nie widziałem, żeby pani coś jadła. Musi pani coś zjeść, O’Dell. Nie chcę brać odpowiedzialności za to, że schudnie pani ten śliczny mały... – Zastopował, ale za późno. Poczuł okropny wstyd. Przetarł brodę, jakby miało to coś pomóc. – Zamówię dla pani kanapkę z szynką i serem. – Odwrócił się do drzwi.

– Z razowca.

Zerknął przez ramię.

– Okej.

– I z ostrą musztardą.

Uśmiechnął się, pokazując te swoje dołeczki.

– Jest pani nieznośna, O’Dell, wie pani o tym?

– Hej, Nick – zatrzymała go.

– Co znowu?

– Mów mi Maggie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

– Lubisz karty z baseballistami? – Maska tłumiła jego głos. Brzmiał, jakby dochodził spod wody.

Matthew spojrzał na niego z małego łóżka w rogu. Siedział na skłębionej pościeli, przyciskając do piersi poduszkę. Miał czerwone, podpuchnięte oczy. Włosy mu sterczały. Sportowy strój był wygnieciony. Nie zdjął nawet butów przed snem.

Światło sączyło się przez szpary w zabitym deskami oknie. Kawałki popękanego szkła szczękały, kiedy wiatr zakradał się przez zgniłe deszczułki. Gwizdał i pohukiwał, jęczał upiornie, liżąc rogi plakatów, które zakrywały szczeliny w ścianie. Był to jedyny dźwięk w tym pomieszczeniu. Chłopiec od rana nie wyrzekł słowa.

– Wygodnie ci? – spytał mężczyzna.

Kiedy się zbliżył, Matthew uskoczył do kąta, uderzając drobnym ciałem w kruszący się tynk. Zadzwonił łańcuch, którym chłopiec przykuty był do metalowej nogi łóżka. Łańcuch był wystarczająco długi, żeby Matthew mógł dostać się na środek izby. A jednak cheeseburger i frytki, które mężczyzna zostawił zeszłego wieczoru, leżały nietknięte na metalowej tacy. Nawet czekoladowy koktajl wciąż wypełniał kubek po brzegi.

– Nie smakuje ci, wolisz hot dogi? Może z chilli? Możesz poprosić o wszystko, co zechcesz.

– Chcę do domu – wyszeptał Matthew, ściskając poduszkę. Jedną rękę trzymał zgiętą, żeby mógł obgryzać paznokcie. Niektóre poobgryzał do cna, w nocy zaczęły mu krwawić. Krew zaplamiła białe płótno poszewki. Diabelnie trudno będzie ją sprać.

– Może zamiast kart wolałbyś komiksy? Mam stare komiksy, na pewno ci się spodobają. Przyniosę je następnym razem.

Skończył wypakowywać zakupy: trzy pomarańcze, torebkę cheetos, dwa snickersy, sześciopak piwa korzennego, dwie puszki spaghetti i paczkę czekoladowego puddingu. Położył wszystko na starej skrzynce do wina, którą znalazł w pomieszczeniu niegdyś zapewne służącym za magazyn. Bardzo się starał, żeby zdobyć wszystkie przysmaki Matthew.

– Dzisiaj może być zimna noc – rzekł, odwijając wełniany koc i układając go na łóżku. – Przykro mi, że nie mogę ci zostawić światła. Czy mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić?

– Chcę do domu – wyszeptał znów chłopiec.

– Twoja mama nie ma czasu się tobą opiekować, Matthew.

– Chcę do mamy.

– Nigdy nie ma jej w domu. Założę się, że w nocy przyprowadza do domu obcych mężczyzn, co? Od kiedy wyrzuciła twojego tatę. – Mówił spokojnie i cicho.

– Proszę mnie puścić do domu.

– Ciągle zostawia cię samego. Pracuje do późna. Pracuje nawet w weekendy.

– Chcę iść do domu. – Chłopiec zaczął płakać, tłumił poduszką ciche łkania.

– A z tatą nie możesz być. – Cicho i spokojnie. Musi zachować spokój, choć czuł już zbierający się w nim gniew. – Twój tata cię bije, prawda, Matthew?

– Chcę do domu – błagał chłopiec coraz głośniej.

– Ja ci pomogę. Uratuję cię. Ale musisz być cierpliwy. Patrz, przyniosłem ci twoje smakołyki.

Chłopiec nie ustawał jednak w płaczu, który zmieniał się w wysoki skowyt. Mężczyzna skrzywił się. Był bliski wybuchu. Musi się kontrolować. Spokój. Dlaczego nie może zachować spokoju? Tak, opanowanie i spokój.

– Chcę do domu. – Zgrzytliwy skowyt.

– Do diabła! Zamknij się, ty pieprzony mazgaju!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Artykuł Christine w wieczornym wydaniu gazety dotarł do kiosków w centrum Omaha o trzeciej trzydzieści. Do czwartej roznosiciele gazet podrzucili „Omaha Journal” na ganki i trawniki w całym Platte City. O czwartej dziesięć rozdzwoniły się telefony w biurze szeryfa.

Nick polecił Phillipowi Van Dornowi zainstalować dodatkowe linie telefoniczne i aparaty, posunął się nawet tak daleko, że zaproponował, by tymczasowo zajęli biura urzędu okręgu w końcu korytarza. Szaleństwo nabrało więc oficjalnego wymiaru. Nick czuł, jak wywracają mu się wnętrzności.

Zdenerwowani mieszkańcy miasta domagali się informacji na temat podjętych działań. Ratusz chciał wiedzieć, ile będzie kosztowało zaangażowanie dodatkowych sił i środków. Dziennikarze zadręczali prośbami o wywiady z klauzulą wyłączności, nie chcąc czekać na poranną konferencję prasową. Niektórzy koczowali w gmachu urzędu.

Oczywiście pojawiły się różne przecieki. Maggie miała rację. Zdjęcie Matthew pobudziło pamięć wielu osób. Trzeba było tylko oddzielić prawdziwe ślady od fałszywych, co nie było łatwym zadaniem. Jakby tego było mało, Maggie stanowczo nalegała, aby nie lekceważyć nawet tych pozornie bezsensownych tropów. W związku z tym

następnego dnia Nick miał nawet wysłać kogoś, by sprawdził wiarygodność opowieści Sophie Krichek o starym niebieskim pikapie. Nie wierzył, by coś to dało, Krichek bowiem była samotną starą kobietą, która próbowała zwrócić na siebie uwagę. Nick nie chciał jednak, żeby ktokolwiek, a zwłaszcza Maggie, zarzucił mu potem, że nie sprawdził wszystkiego.

– Nick, Angie Clark dzwoniła do ciebie cztery razy. – Lucy złapała go w korytarzu, wyraźnie zirytowana rolą posłańca miłości.

– Jak znów zadzwoni, powiedz jej, że mi przykro, ale nie mam czasu rozmawiać.

Lucy wyglądała na zadowoloną. Odchodziła już, ale jeszcze się cofnęła.

– O mały włos bym zapomniała. Max idzie już z kopiami zeznań Jeffreysa z przesłuchań i procesu.

– Świetnie. Bądź tak dobra i powtórz to O'Dell.

– Gdzie mam je położyć? – Skakała obok Nicka, który kierował się do swojego pokoju.

– Daj je agentce O'Dell, dobrze?

– Wszystkie pięć pudeł?

Przystanął tak gwałtownie, że zderzył się z Lucy. Chwycił ją za łokieć, bo zachwiała się mocno na swoich wysokich szpilkach.

– Jest tego pięć pudeł?

– Znasz Max. Jest dokładna, wszystko zostało oznakowane i skatalogowane. Kazała ci powiedzieć, że dołączyła kopie

dowodów, a także pisemne oświadczenia świadków, którzy nie zeznawali w procesie.

– Pięć pudeł? – Pokręcił głową. – Połóż je w moim pokoju.

– Okej. – Odwróciła się i znowu zatrzymała. – To mam powiedzieć agentce O'Dell?

– Tak, proszę. – Jej nieufność, pogarda czy cokolwiek to było, skierowane przeciwko Maggie, stawały się coraz bardziej oczywiste.

– Och, i burmistrz czeka na ciebie na trzeciej linii.

– Lucy, nie możemy zajmować żadnej z tych linii.

– Wiem, ale się upierał. Nie mogłam przecież odłożyć słuchawki.

Tak, był pewien, że Brian Rutledge się upierał. Ten to był dopiero upierdliwy.

Nick wycofał się do swojego pokoju. Zamknąwszy drzwi, padł na skórzany fotel i poluzował krawat. Nie mógł sobie poradzić z guzikiem przy kołnierzyku, niemal go oderwał. Przycisnął zamknięte powieki kciukiem i palcem wskazującym, przypominając sobie z trudem, ile spał od piątku. Wreszcie chwycił za słuchawkę i włączył się na trzecią linię.

– Cześć, Brian. Mówi Nick.

– Nick, co się tam, u diabła, dzieje? Czekam, cholera, od dwudziestu minut.

– Nie chciałem ci zawracać głowy, Brian. Jesteśmy trochę zajęci.

– Sam mam kryzys, Nick. Rada miejska uważa, że powinienem odwołać wszystkie imprezy związane

z Halloween. Cholera, Nick. Jak odwołam Halloween, wyjdę na jakiegoś pieprzonego głupka.

– To popracuj nad sobą, Brian.

– Pieprzę to, Nick. To nie jest śmieszne.

– Wcale się nie śmieję. Ale wiesz co? Mam kilka ważniejszych spraw niż Halloween.

Lucy wsadziła głowę do pokoju. Pomachał, żeby weszła. Otworzyła drzwi i dała znak czterem mężczyznom, który weszli za nią i położyli pudła w rogu przy oknie.

– Halloween to nie żarty, Nick. Ten wariat może coś kombinować, jak dzieciaki będą biegać po ciemku.

Błagalny, skrzeczący głos Rutledge'a grał Nickowi na nerwach. Uśmiechnął się i wyszeptał „dziękuję" do Maxine Cramer, która przywlokła ostatnie pudło. Miała za sobą cały dzień pracy, przez pół korytarza transportowała to pudło, a jej niebieski kostium wyglądał nienagannie, wyprasowany na sztywno. Jej szaroniebieskie oczy i trwała od fryzjera były również bez zarzutu. Odpowiedziała uśmiechem i skinęła głową, po czym wyszła.

– Brian, czego ty ode mnie chcesz?

– Chcę wiedzieć, na ile ta przeklęta sprawa jest poważna. Macie jakichś podejrzanych? Będziecie kogoś aresztować w najbliższej przyszłości? Co wy tam, u diabła, robicie?

– Jeden chłopiec jest martwy, a drugi zaginął. To jak myślisz, Brian, na ile to jest poważne, co? A jeśli chodzi o to, jak sobie radzę ze śledztwem, to nie twój pieprzony interes. A ta linia jest nam potrzebna do ważniejszych rzeczy niż uspokajanie twojej nerwicy, więc przestań

dzwonić. – Trzasnął słuchawką i zauważył O’Dell, która stała w drzwiach, obserwując go.

– Przepraszam. – Wyglądała na zakłopotaną, że była świadkiem jego ataku wściekłości, i to po raz drugi tego samego dnia.

Pewnie pomyślała, że jestem nienormalny, stwierdził Nick. Że jestem jakimś pieprzonym wariatem, albo, co gorsza, ignorantem.

– Lucy powiedziała mi, że są tu dokumenty.

– Tak. Wejdź. I zamknij drzwi, proszę.

Zawahała się, jakby rozważała, czy bezpiecznie jest przebywać z nim za zamkniętymi drzwiami.

– To był burmistrz – wyjaśnił. – Chciał się dowiedzieć, czy mam zamiar aresztować kogoś do piątku, żeby nie musiał odwoływać Halloween.

– Co mu powiedziałeś?

– Mniej więcej to, co słyszałaś. Pudła są pod oknem. – Obrócił fotel, żeby jej wskazać miejsce, i został tak, patrząc przez okno. Ta pochmurna pogoda źle na niego działała. Nie pamiętał, kiedy ostatnio było cały dzień słońce.

O’Dell przyklękła, zdjęła pokrywy z pudeł i rozłożyła na podłodze papiery.

– Podać ci krzesło? – spytał, nie ruszając się z fotela.

– Nie trzeba. Tak mi wygodniej.

Miała taką minę, jakby znalazła to, czego szukała. Otworzyła teczkę i zaczęła przeglądać dokumenty, wreszcie skupiła się na jednym z nich. Nagle niezwykle spoważniała. Przebiegała wzrokiem po stronie. Usiadła na piętach.

– Co tam masz? – Nick pochylił się, żeby zobaczyć, co tak bardzo przyciągnęło jej uwagę.

– Oryginalne zeznanie Jeffreysa, zaraz po aresztowaniu. Bardzo szczegółowe. Wszystko tu jest, od rodzaju taśmy, którą związał stopy i ręce ofiary, do zdobień na nożu myśliwskim, którym się posłużył. – Mówiła powoli, nie odrywając wzroku od dokumentu.

– Ksiądz Francis powiedział, że Jeffreys nie kłamał. To znaczy, że to wszystko prawda. No i co z tego?

– Wiesz, że Jeffreys przyznał się tylko do zabicia Bobby'ego Wilsona? Cały czas – rzekła, przeglądając kolejne strony – twardo przy tym obstawał. Twierdził, że nie ma nic wspólnego ze śmiercią pozostałych dwóch chłopców.

– Nie pamiętam, żebym o tym słyszał. Pewnie uznali to za kłamstwo.

– A jeśli to nie kłamstwo? – Podniosła na niego wzrok. Jej brązowe oczy wyrażały dużo więcej, niż znalazła w papierach.

– No dobra, jeśli nie kłamał i rzeczywiście zabił tylko Bobby'ego Wilsona... – Nick nie dokończył. Poczuł mdłości, zanim Maggie zdążyła za niego wypowiedzieć porażającą myśl.

– To znaczy, że prawdziwy morderca uciekł, by teraz powrócić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Christine miała nadzieję, że Nick nie wyczuł ulgi w jej głosie, kiedy zadzwonił, żeby odwołać wspólną kolację. Jeśli z tego nowego śladu coś wyniknie, będzie musiała pracować do późna, żeby mieć kolejną pierwszą stronę w następnym porannym wydaniu.

– Możemy to przenieść na jutro? – spytał Nick pełen prawdziwej skruchy.

– Pewnie, nie ma sprawy. Czy dziś wieczorem zapowiada się coś ważnego? – nie omieszkała dodać, korzystając z okazji.

– Twój wiekopomny sukces, Christine, nie wpływa na ciebie dobrze. – Miał zmęczony, pozbawiony energii głos.

– Dobrze czy nie, to wspaniałe uczucie.

– Ten numer, który ci dali w gazecie, to komórka?

– No, jeden z bonusów mojego obrzydliwego sukcesu. Słuchaj. – Chciała zmienić temat, zanim brat zapyta ją, gdzie była albo dokąd się wybiera. – Możesz mi jutro przynieść swój śpiwór? Pamiętasz? Timmy chciał go pożyczyć na wycieczkę.

– Jadą na wycieczkę na Halloween?

– Wracają w piątek wieczorem, bo ksiądz Keller ma mszę na Wszystkich Świętych. Nie zapomnisz o śpiworze?

– Nie.

– I nie zapomnij agentki O’Dell.

– Dobra.

Skręciła na parking, wyłączając komórkę i wrzucając ją do torebki. Nick wściekłby się, gdyby wiedział, gdzie podziewa się jego siostra.

Trzypiętrowy dom mieszkalny nie przedstawiał się najlepiej. Cegła była zwietrzała i krucha. Zardzewiałe klimatyzatory zwieszały się z okien. Budynek nie pasował do sąsiednich niedużych drewnianych domków, które, chociaż stare, były dobrze utrzymane. Na ich podwórkach widać było piaskownice, huśtawki i ogromne, wiekowe klony, na których świetnie budowało się domki i wieszało hamaki.

Powietrze wypełniała woń palonego w kominku drewna. Gdzieś w końcu ulicy szczekał pies, Christine słyszała też dźwięk poruszających się na wietrze dzwoneczków. W tej okolicy mieszkał Danny Alverez. Jego lśniący czerwony rower znaleziono oparty o ogrodzenie parkingu. To tutaj właśnie zaczął się horror ostatnich dni jego życia. W miejscu, które uznawał za absolutnie bezpieczne.

W korytarzu tuż przy wejściu ciężki metalowy pojemnik na śmieci przytrzymywał drzwi. Pełno w nim było petów, które wysypywały się na podłogę. Christine stąpała uważnie.

W windzie cuchnęło tytoniem i psim moczem. Spojrzała na poplamioną wykładzinę. Nacisnęła guzik trzeciego piętra. Winda zagrzechotała, zatrzęsła się i zacharczała. Christine w popłochu nacisnęła guzik otwierający drzwi, ale winda akurat majestatycznie ruszyła do góry.

Nienawidziła wind. Nienawidziła ciasnych zamkniętych pomieszczeń. Żałowała, że nie poszła schodami. Szukała wzrokiem guzika alarmu, lecz nie było tu czegoś takiego. Sekundy biegły, a według światełka nad jej głową minęła dopiero pierwsze piętro. Nacisnęła dwójkę, pragnąc skrócić wycieczkę, ale przycisk pokruszył się pod jej palcem. Przerażona, pozbierała co większe kawałki i zaczęła wciskać je na miejsce niczym układankę. Z dwoma jej się udało, jeden wpadł do dziury, inne wylądowały z powrotem na podłodze. Winda zachwiała się i zatrzymała, drzwi zaskrzypiały i otworzyły się. Christine przecisnęła się przez nie, zanim otworzyły się do końca.

Przystanęła, opierając się o brudną ścianę. Przyćmione światło padało na wykładzinę jeszcze bardziej poplamioną niż ta w windzie. I znów ten odór psiej uryny wymieszany z jakimiś zleżałymi, spleśniałymi gazetami i przypalonym obiadem. Jak można żyć w takiej norze?

Mieszkanie numer 410 znajdowało się w końcu korytarza. Przed sponiewieranymi drzwiami leżała ręcznie wypleciona wycieraczka. Czysta, bez jednej plamy.

Christine zapukała, wstrzymując oddech, żeby nie wdychać korytarzowych smrodów. Wewnątrz szczęknęło parę zamków, w drzwiach pojawiła się szpara. Para zamglonych, zmrużonych niebieskich oczu patrzyła na nią przez grube szkła.

– Pani Krichek? – spytała Christine możliwie najuprzejmiej, prawie nie oddychając.

– Pani jest tą dziennikarką?

– Tak. To ja, nazywam się Christine Hamilton.

Drzwi otworzyły się szerzej. Christine czekała, aż kobieta cofnie się ze swoim chodzikiem, żeby zrobić jej przejście.

– Ma pani coś wspólnego z Nedem Hamiltonem, właścicielem „Quick Mart” na rogu?

– Nie. Nie sądzę. Hamilton to nazwisko mojego byłego męża, a on nie pochodzi stąd.

– Aha. – Kobieta odsunęła się.

Znalazłszy się w środku, Christine została natychmiast otoczona przez trzy koty, które łasiły się do jej nóg.

– Zrobiłam dzbanek gorącej czekolady. Ma pani ochotę?

O mało nie powiedziała: tak. Ale w samą porę zobaczyła na stoliku parujący dzbanek, w którym kolejne ogromne kocisko moczyło właśnie język.

– Nie, dziękuję. – Miała nadzieję, że w jej głosie nie było słychać obrzydzenia.

Nie biorąc pod uwagę kotów, mieszkanie pachniało przyjemniej niż korytarz. Czuło się co prawda amoniak z pojemnika na śmieci, ale było to do zniesienia. Barwne pledy i narzuty zaścielały kanapę i fotel bujany. Zielone rośliny wisiały nad oknami, a szydełkowe ozdobne serwetki leżały rozsiane na antycznym kredensie oraz biurku. Na obu tych meblach stały też czarno-białe fotografie umundurowanych mężczyzn i młodej pary na tle starego buicka oraz trzy kolorowe zdjęcia przedstawiające tę samą dziewczynkę w różnym wieku.

– Proszę usiąść – odezwała się kobieta rozkazująco, sadowiąc się w bujanym fotelu. – Och, ten ból w plecach –

powiedziała, pocierając wystającą przez sweter łopatkę. – Nie życzyłabym najgorszemu wrogowi.

– Przykro mi.

Pani Krichek sprawiała wrażenie bardzo kruchej osoby. Guzowate kolana sterczały spod prostej, domowej bawełnianej sukni, a krągła twarz była stale skrzywiona. Piękne niebieskie oczy robiły wrażenie większych niż w rzeczywistości, zniekształcone przez grube szkła w drucianych oprawach. Kobieta zwinęła białe włosy w schludny kok spięty turkusowym grzebieniem.

– Starość to piekło. Gdyby nie moje koty, chyba rozstałabym się z nią.

Christine spojrzała na swoją granatową spódnicę pełną kocich kłaków. Dwa koty wciąż ocierały się o jej nogi, trzeci wskoczył na oparcie kanapy, żeby spojrzeć na nią z bliska.

– Rummy, złaź stamtąd – zbeształa go gospodyni, machając kościstym palcem. Zignorował ją.

– Nic nie szkodzi, pani Krichek, nie przeszkadza mi – skłamała Christine. – Mogłybyśmy od razu przejść do tego ranka, kiedy zaginął Danny Alverez?

– Tak, proszę. Cieszę się, że ktoś się w końcu tym zainteresował.

– Nikt z biura szeryfa nie przyszedł z panią porozmawiać?

– Dwa razy dzwoniłam. Jeszcze dzisiaj, zanim zobaczyłam pani artykuł. Chrząkali i wzdychali, jakby myśleli, że sobie to wszystko wymyśliłam czy co? No to zadzwoniłam do pani. Nie obchodzi mnie, co mówią inni, widziałam, co widziałam.

– A co pani widziała, pani Krichek?

– Widziałam tego chłopca, jak parkuje swój rower i wsiada do starego niebieskiego pikapu.

– Jest pani pewna, że to był mały Alverez?

– Często wcześniej go widziałam. Rozwoził gazety, bardzo się starał. Przynosił mi moją gazetę pod samiutkie drzwi i kładł na wycieraczce. Nie tak jak ten nowy dzieciak. Wysiada z windy i rzuca gazety. Czasami trafia, a czasami nie. A ten chodzik z trudem mieści się w drzwiach. Niech pani powie w swojej redakcji, żeby lepiej pilnowali te dzieciaki.

– Powiem. Pani Krichek, czy mogę dowiedzieć się czegoś więcej o tym pikapie? Widziała pani może kierowcę?

– Nie. Ciemno było. Stałam przy tamtym oknie. Jeszcze nie wzeszło całkiem słońce. Samochód wjechał na parking, ale kierowca był z drugiej strony. Na pewno powiedział coś do chłopca, bo Danny oparł rower o ogrodzenie, podszedł i wsiadł do wozu.

– Danny wsiadł do wozu? Jest pani pewna, że mężczyzna nie wciągnął go siłą?

– Nie, nie. Było całkiem spokojnie, inaczej zaraz dzwoniłabym do szeryfa. Dopiero jak usłyszałam, że Danny zaginął, złożyłam to do kupy i zadzwoniłam.

Christine nie mogła uwierzyć, że nikt tego nie sprawdził. Czyżby coś przeoczyła? Kobieta była stara, ale jej historia brzmiała wiarygodnie. Wstała i podeszła do okna, na które wskazała jej rozmówczyni. Było stąd doskonale widać

parking i ogrodzenie. Nawet ktoś o słabym wzroku mógł zobaczyć to, co opisała pani Krichek.

– Jaki to był pikap?

– Mało się znam na samochodach. – Kobieta dźwignęła się do góry i za pomocą chodzika dołączyła do Christine. – Był stary, niebieski, trochę odrapany i pordzewiały. Wie pani, na dole. Miał stopnie. Pamiętam to, bo Danny wspiął się po nich do środka. No i miał drewnianą skrzynkę z tyłu, własnej roboty. Taką jak mają farmerzy, kiedy coś przewożą. Aha, jeden reflektor nie świecił.

Jeśli kobieta cierpiała na uwiąd starczy, miała wyjątkowo bujną wyobraźnię. Christine notowała wszystko drobiazgowo.

– Widziała pani stąd numer rejestracyjny?

– Nie, aż tak dobre to moje oczy już nie są.

Na dole trzasnęły drzwi, mała dziewczynka wybiegła na podwórko po drugiej stronie ogrodzenia. Wskoczyła na huśtawkę i zawołała coś do mężczyzny, który wyszedł za nią. Miał długie włosy i brodę, ubrany był w niebieskie dżinsy i długą, podobną do tuniki koszulę.

– Wprowadzili się w zeszłym miesiącu. – Pani Krichek skinęła głową, kiedy mężczyzna pchnął huśtawkę, a dziewczynka zapiszczała z uciechy. – Jak go pierwszy raz zobaczyłam, to powiem pani, pomyślałam, że widzę samego Pana Boga. Nie uważa pani, że wygląda jak Chrystus?

Christine uśmiechnęła się i przytaknęła.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Maggie patrzyła na Nicka, który ostrożnie stąpał wokół rozłożonych na podłodze dokumentów. Zrobił miejsce dla gorącej pizzy i zimnej pepsi. Potem dołączył do Maggie, wyciągając obok niej swoje długie nogi. Jego stopa prawie dotykała jej uda. Cały dzień Maggie nie mogła przestać o nim myśleć. Zdawało jej się, że jest zbyt zmęczona, żeby czuć cokolwiek, ale ciało robiło jej niespodziankę za każdym razem, kiedy jego łokieć przypadkiem ocierał się o jej ramię albo jego ręka muskała w przelocie jej udo, gdy zmieniał bieg w dżipie.

Zrzuciła buty parę godzin wcześniej i siedziała na piętach tak długo, aż nogi jej ścierpły. Masowała je teraz po kolei, czytając raporty koronera w sprawie Aarona Harpera i Erica Paltrowa, dwu chłopców, za których zabicie Jeffreys zapłacił być może niesłusznie.

Pizza pachniała nieźle, niezależnie od ponurych szczegółów raportu. Maggie podniosła wzrok na Nicka, który patrzył akurat na stopę, którą sobie masowała. Natychmiast odwrócił wzrok, jakby przyłapała go na czymś wstydliwym. Strzeliło wieczko puszki z pepsi, Nick podał ją Maggie.

– Dzięki. – Była naprawdę głodna. Kanapka z szynką i serem z „Wanda’s Diner” długo leżała na talerzu ledwie nadgryziona. Młody zastępca Preston był tak dobry, że

pozbawił Maggie tego balastu. Od tamtej chwili minęło kilka godzin. Za oknem zrobiło się czarno. Ucichły telefony na dole. Ubyło ludzi w biurze. Niektórym kazano odpocząć, innych wysłano na poszukiwanie chłopca, który, zdawało się, zniknął z powierzchni ziemi.

Nick położył cienki kawałek pizzy na papierowym talerzu i podał go Maggie. Czuła woń zielonego pieprzu, włoskiego sosu i sera. Nick miał dobry pomysł. Odgryzła za duży kęs, ser spadł, sos pobrudził jej brodę.

– Jezu, O'Dell. Całą twarz masz w sosie.

Oblizała usta, a on się przyglądał.

– Z drugiej strony. – Pokazał jej. – I na brodzie.

Miała ręce pełne pizzy i raportów koronera. Zlizała sos z drugiej strony.

– Nie, wyżej – instruował. – Pozwól, ja to zrobię.

Gdy tylko dotknął kciukiem kącika jej ust, spotkali się wzrokiem. Przecierał palcami jej brodę. Kciuk wędrował po dolnej wardze, gdzie, była tego pewna, nie było sosu ani sera. Jego oczy zaiskrzyły niespodzianie, palce zatrzymały się pod ustami dłużej niż to konieczne, po czym przesunęły się do góry, pieszcząc policzek. Jego kciuk nie chciał oderwać się od jej wargi i bez końca wycierał kącik ust. Ogłupiała własną reakcją, odsunęła się.

– Dziękuję – wykrztusiła, uciekając wzrokiem. Cisnęła w bok talerzem z pizzą, złapała serwetkę i wytarła się do końca, zażarcie trąc, jakby miała do usunięcia nie tylko resztki jedzenia.

– Chyba przyda nam się więcej serwetek i pepsi – stwierdził Nick, gramoląc się do góry.

Maggie spojrzała na niego. Wyglądał, jakby był podniecony. Z małej lodówki w kącie pokoju wyciągnął dwie puszki i dołożył serwetki. Kiedy usiadł, tym razem zachowywał dystans. Nie uszło jej uwagi, że przestał z nią flirtować, odkąd dowiedział się, że jest mężatką. Dotyk i pieszczota również i jego musiały więc zbić z tropu.

– Tyle tu sprzeczności – odezwała się, starając się skupić na raporcie koronera. – Na jakiej podstawie ktoś stwierdził, że Jeffreys zabił trzech chłopców? Te zabójstwa do siebie nie pasują.

– Seryjni mordercy też wprowadzają zmiany.

– Tak, czasem coś dodają. Eksperymentują. Jeffrey Dahmer na przykład wypróbowywał różne sposoby na utrzymanie swoich ofiar przy życiu. Wiercił im dziury w głowach, które uniemożliwiały normalne funkcjonowanie, ale nie zabijały.

– Może Jeffreys też eksperymentował?

– Coś tu jest nie tak. Harper i Paltrow zginęli w ten sam sposób. Obaj byli związani, ręce mieli skrępowane z tyłu sznurem. Uduszono ich i podcięto im gardła. Mieli prawie identyczne rany na piersiach i prawie taką samą liczbę ran kłutych. Tym samym nożem wycięto im X na klatce piersiowej. Żaden z nich nie miał śladów molestowania seksualnego. Oba ciała znalezione zostały na odludziu w pobliżu rzeki.

Maggie mówiła to wszystko na podstawie rozłożonych przed sobą papierów. Była już bardzo zmęczona. Widziała jak przez mgłę, patrząc na mało czytelne zapiski koronera. George Tillie nie był tak dokładny, jak powinien. Tylko raport w sprawie Paltrowa wspominał, że ciało zostało umyte, ponieważ nie było na nim brudu ani śladów. Żaden raport nie wspominał z kolei o smudze oleju na czole lub jakimkolwiek innym miejscu na ciele.

Maggie zerknęła na Nicka. Siedział oparty bezwładnie o ciężką szafę i przecierał oczy. Miał zmierzwione włosy, wciąż grzebał w nich palcami. Rękawy zawinął do łokci, odkrywając atletyczne przedramiona. Pozbył się krawatu i odpiął kilka guzików pomiętej koszuli, wystawiając na pokaz niepokojący widok. Maggie potrząsnęła głową, chwyciła raport z podłogi i starała się skoncentrować.

– Wilson z kolei…

– Wiem – przerwał Nick, pochylając się do przodu. – Miał ręce związane z przodu taśmą, a nie sznurem. Zmarł od ciosów nożem, nie został uduszony. Nie miał podciętego gardła. Morderca posłużył się nożem myśliwskim. Miał sporo ran kłutych…

– Dwadzieścia dwie.

– Dwadzieścia dwie rany kłute, ale żadnych ciętych.

– No i Wilson został zgwałcony, i to wielokrotnie.

– A jego ciało znaleziono w parku Dumpster, a nie przy brzegu. Chryste, rzygać mi się chce. – Odłożył pizzę, chwycił puszkę pepsi i opróżnił ją do dna, wycierając usta wierzchem dłoni. – Okej, jest mnóstwo różnic. Ale czy

Jeffreys nie mógł wprowadzić zmian? Weźmy sodomię, czy to nie może... Sam nie wiem... nie można tego traktować jako eskalacji?

– Tak, można. Pamiętaj jednak kolejność: Harper, Wilson, Paltrow. Byłoby dziwne, gdyby morderca eksperymentował, a potem wracał do starego rytuału. Posługuje się jednym nożem z niewielkim ostrzem, być może takim do ryb. Potem zamienia go na nóż myśliwski, żeby wreszcie wrócić do poprzedniego noża. Tych mordów dokonano w różny sposób. Morderstwa Harpera i Paltrowa są skrupulatne w każdym szczególe. Morderca wyraźnie się nie spieszył, zadawanie bólu sprawiało mu przyjemność. Podobnie jak w przypadku Alvereza. A jeśli chodzi o Bobby'ego Wilsona, wygląda, jakby został zabity w gorączce, w zbyt wielkich emocjach, które nie pozwoliły na troskę o szczegóły.

– Wiesz, zawsze uważałem, że to poszło zbyt gładko – powiedział Nick zmęczonym głosem. – Zastanawiałem się, czy ojcu coś nie umknęło przez cały ten medialny cyrk.

– Co masz na myśli?

– Cóż, słyszy się czasem o tak zwanych pochopnych sądach, podejmowanych w wymuszonym przez sytuację pośpiechu. Mój ojciec uwielbiał być w centrum uwagi. Kiedy zacząłem jako rozgrywający, przed każdym meczem spotykał się ze mną w szatni, sam się tego domagał. Mama twierdziła, że jest ze mnie taki dumny. Tyle że zbyt często machał do kamery, zanim raczył mnie zauważyć.

Maggie słuchała cierpliwie, odczekała chwilę, kiedy zamilkł. Nick miał z pewnością skomplikowane stosunki

z ojcem, a rozmowa na ten temat krępowała go. Maggie wiedziała, że próbuje jej przekazać coś istotnego, coś, co ma związek ze sprawą Jeffreysa. Czyżby sądził, że jego ojciec pokpił wówczas sprawę?

Wreszcie Nick spojrzał na nią, jakby czytał w jej myślach.

– Nie zrozum mnie źle. Nie twierdzę, że ojciec celowo narażał ludzi na niebezpieczeństwo. Cieszy się wielkim szacunkiem i tak było zawsze. Wiem, że nigdy nie wybraliby mnie na szeryfa, gdybym nie był jego synem. Chcę powiedzieć, że to wszystko jakoś zbyt łatwo się poukładało, gdy tylko tata złapał Jeffreysa. Któregoś dnia pojawiła się poufna informacja, a następnego Jeffreys już wszystko wypaplał.

– Jaka informacja?

– Chyba ktoś zadzwonił. Nie pamiętam dokładnie. Nie było mnie tu wtedy. Pracowałem na uniwersytecie stanowym, wszystko docierało do mnie z drugiej ręki. W raportach nic o tym nie ma?

Maggie przekartkowała kilka teczek. Większość dokumentów już przeczytała i nie przypominała sobie żadnej informacji o telefonie.

– Nie natknęłam się na informację o anonimowym przecieku – rzekła, wręczając mu dokument oznaczony tytułem „Aresztowanie Jeffreysa”. – Co jeszcze pamiętasz?

Był skonfundowany, a ona nie była pewna, czy Nick kwestionuje swoją pamięć, czy działania ojca. Przyglądała mu się znad raportów przygotowanych i podpisanych przez Antonia Morrellego.

– Raporty twojego ojca są bardzo wyczerpujące, samo aresztowanie opisane jest krok po kroku. Jest tu nawet napisane, co znaleźli w bagażniku auta Jeffreysa. – Sprawdziła swoje notatki i przeczytała: – Rolka taśmy, nóż myśliwski, jakiś sznur... zaraz... – Sprawdziła, czy przepisała bezbłędnie. – Para chłopięcych majtek, które, jak później stwierdzono, należały do... – Spojrzała na Nicka, który znalazł tę samą listę w raporcie i czytał te same punkty. Spotkali się wzrokiem. Pomyśleli to samo. Maggie kontynuowała: – Para chłopięcych majtek, które, jak stwierdzono później, należały do Erica Paltrowa. – Maggie przetrząsnęła raz jeszcze raport koronera, żeby sobie odświeżyć pamięć, choć wiedziała, co w nim jest. – Eric Paltrow miał na sobie majtki, kiedy go znaleziono.

Nick z niedowierzaniem kręcił głową.

– Założę się, że Jeffreys zdziwił się tym znaleziskiem w swoim bagażniku.

Patrzyli na siebie. Żadne z nich nie chciało głośno nazwać tego, na co właśnie się natknęli. Ronald Jeffreys został skazany za dwa morderstwa, których nie popełnił. Istniało spore prawdopodobieństwo, że wpakował go w to ktoś z biura szeryfa.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Wtorek, 28 października

Dzień był fatalny. Nick uważał, że to z powodu dwóch zaledwie godzin snu, które na domiar złego spędził w biurowym fotelu. Maggie wróciła do hotelu o trzeciej nad ranem, żeby odpocząć, wziąć prysznic i zmienić ubranie. Nick nie pojechał do swojego domu na wsi, tylko zasnął przy biurku. Przez cały dzień szyja i plecy przypominały mu, że tylko cztery lata dzielą go od czterdziestki.

Nie miał już tyle siły co dawniej, chociaż jego troska o sprawność seksualną stała się nieaktualna dzięki Maggie O'Dell. Pamiętał, jak zareagowała na dotyk jego palców, wciąż widział jej iskrzące spojrzenie. No, co się z nim działo w tamtej chwili... Jezu, jakże się cieszył, że z więziennego prysznica lała się tylko zimna woda. Nawet ktoś taki jak on przestrzega pewnych reguł, gdy w grę wchodzą mężatki. Gdyby tylko jego ciało nie podszeptywało wciąż, że reguły są po to, by je łamać.

Miał pecha, bo zapas czystej odzieży, zwykle spoczywający w biurowej szafie, skończył się kilka dni wcześniej. Włożył więc oficjalny brązowy mundur, co zresztą było jak najbardziej właściwe z uwagi na poranną konferencję prasową. Choć prawdę mówiąc, niczego to nie zmieniło. Ludzie, którzy przyszli na konferencję, szybko

zamienili się w żądny linczu tłum, na co istotny wpływ miał poranny artykuł Christine z wytłuszczonym tytułem:

Biuro szeryfa ignoruje ślady w sprawie Alvereza.

Nick był przekonany, że Eddie odwiedził panią Krichek, i to już dawno, po jej pierwszym telefonie. Czemu do diabła od razu sobie nie uświadomił, że Krichek ma świetny widok na parking, gdzie porwano Danny'ego? Jezu, udusiłby Eddiego albo jeszcze gorzej, rzuciłby go na pastwę tych dziennikarzy jako kozła ofiarnego. Tymczasem puścił go po kilku słowach upomnienia.

Cholera, potrzebował teraz wszystkich swoich pracowników. To nie był czas, żeby tracić zimną krew, do czego o mały włos nie doszło na konferencji, kiedy zaczęto go zasypywać obrzydliwymi pytaniami. Za to O'Dell, rzeczowo i kategorycznie, jak tylko ona potrafiła, szybko sprowadziła wszystko do właściwych proporcji. Stwierdziła, że media powinny wziąć czynny udział w poszukiwaniu mordercy, a nie doszukiwać się błędów w strategii szeryfa, i wysłała ich na poszukiwanie niebieskiego pikapu. Nick zaczął się już zastanawiać, jak w ogóle by sobie bez niej poradził. Miał nadzieję, że nie dowie się tego prędko.

Skręcił w ulicę, gdzie mieszkała Christine, kiedy słońce wyjrzało z dziury między chmurami, po czym znów znikło. Zbliżał się wieczór, robiło się chłodno, ostry wiatr zapowiadał spadek temperatury.

Maggie przez całą drogę siedziała obok niego zatopiona w dokumentach sprawy Alvereza. Na jej kolanach leżały rozrzucone zdjęcia z miejsca zbrodni, i te, które zrobiła

sama swoim polaroidem. Jak najszybsze stworzenie precyzyjnego portretu mordercy stało się jej obsesją, jakby mogło to uratować życie Matthew Tannera. Spędziwszy popołudnie na zestawianiu sprzecznych śladów i przesłuchaniu wielu świadków, którzy nie mieli nic do powiedzenia, Nick obawiał się, że jest już za późno. Od chwili zaginięcia Matthew stu siedemdziesięciu pięciu szeregowych policjantów, oficerów i cywilów prowadziło nieprzerwane poszukiwania, lecz żaden strzęp dowodu nie zbliżył ich do odnalezienia chłopca. Wszystko wskazywało na to, że ktoś zatrzymał się samochodem obok Matthew i sprawił, by chłopiec wsiadł do jego wozu dobrowolnie. Dokładnie tak jak mówiła pani Krichek.

Jeśli to prawda, bardzo możliwe, że mordercą jest osoba, którą chłopcy znają i której ufają. Jezu, Nick wolałby już, żeby morderca rozpłynął się we mgle, niż żeby okazał się kimś stąd. Kimś, kto żyje w tej społeczności. Może to ktoś, kogo i on zna.

Zamyślony Nick wjechał na podjazd i zahamował gwałtownie. Fotografie rozsypały się po siedzeniu i podłodze.

– Przepraszam. – Skierował dżipa na parking, ocierając dłoń o udo Maggie. Odsunął rękę i zaczął szybko podnosić zdjęcia. Ich ręce zaplątały się przypadkiem, czoła dotknęły się. Podał jej zdjęcia, Maggie podziękowała, odwracając wzrok. Caluteńki dzień obchodzili się na palcach. Nick nie był pewny, czy chodziło o odkrycie dotyczące sprawy Jeffreysa, czy może o zbyt bliski kontakt.

Gdy stanęli przed drzwiami Christine, zadzwoniła komórka Maggie.

– Agentka O’Dell.

Christine wpuściła ich do środka.

– Byłam pewna, że znów odwołasz – szepnęła Nickowi do ucha i zaprowadziła go do salonu, zostawiając Maggie w holu, żeby mogła swobodnie rozmawiać.

– Z powodu artykułu? – spytał Nick.

Zdziwiła się, jakby wcale o tym nie pomyślała.

– Nie, ponieważ jesteś zawalony robotą. Nie jesteś zły za ten artykuł, co?

– Krichek to wariatka. Wątpię, by cokolwiek widziała.

– Ona jest przekonująca, Nick. I całkiem normalna. Powinieneś szukać niebieskiego pikapu.

Posłał spojrzenie w stronę Maggie, która chodziła tam i z powrotem. Była rozjuszona, jej oczy miotały błyskawice. Miał ochotę podsłuchać rozmowę. I nagle jego życzenie spełniło się, bo wściekły głos Maggie dotarł do pokoju.

– Idź do diabła, Greg! – Wrzuciła telefon do kieszeni, lecz rozdzwonił się na nowo.

Christine spojrzała na Nicka, unosząc brwi.

– Kim jest Greg? – spytała szeptem.

– Jej mężem.

– Nie wiedziałam, że ma męża.

– Czemu miałaby nie mieć? – rzucił i natychmiast pożałował swojego tonu, widząc uśmiech siostry.

– Nic dziwnego, że się przy niej tak pilnujesz.

– Co to niby ma znaczyć, cholera?

– Ona jest fantastyczna, gdybyś jeszcze nie zauważył, braciszku.

– Jest także agentką FBI. To czysto zawodowe kontakty.

– A od kiedy tak się tym przejmujesz? Pamiętasz tę śliczną prawniczkę z biura prokuratora? Chyba że tak rozumiesz „czysto zawodowe kontakty”…

– Nie była mężatką. – O ile dobrze pamiętał, starała się o rozwód.

Weszła Maggie. Na jej twarzy malowała się pełna goryczy rozpacz.

– Proszę mi wybaczyć – powiedziała, opierając się o framugę. – Mój mąż od pewnego czasu uwielbia mnie wkurzać.

– Dlatego pozbyłam się swojego – rzekła Christine z uśmiechem. – Jednego żałuję, że czekałam z tym zbyt długo. – Tak naprawdę to Bruce ją porzucił, ale nie musiała się z tego zwierzać. – Nicky, nalej Maggie wina. Sprawdzę, co słychać w kuchni. – Wychodząc, poklepała Maggie po ramieniu.

Butelka wina stała na stoliku. Nick napełnił kieliszki, kątem oka obserwując Maggie. Chodziła po pokoju, udając, że jest zainteresowana dekoratorskimi talentami Christine, ale była wyraźnie wytrącona z równowagi. Przystanęła przy oknie i zapatrzyła się w podwórko. Nick wziął kieliszki i podszedł do niej. Zadrżała.

– Nic ci nie jest? – Podał jej wino, mając nadzieję zajrzeć jej w oczy.

– Byłeś kiedyś żonaty, Nick? – Wzięła od niego kieliszek, ni stąd, ni zowąd zaintrygowana cieniem, który kładł się w ogrodzie Christine.

– Nie, udało mi się tego uniknąć.

Stali w milczeniu obok siebie. Jej łokieć otarł się o jego ramię, kiedy unosiła rękę z kieliszkiem. Ani drgnął, czerpiąc przyjemność z ciepła, jakie towarzyszyło temu przelotnemu kontaktowi. Czekał, chciał się dowiedzieć, dlaczego jej małżeństwo się rozpada. Potem nagle zaatakowało go poczucie winy. Dla usprawiedliwienia własnych myśli powiedział:

– Nie nosisz obrączki.

Uniosła rękę, jakby chciała to sprawdzić, a następnie wcisnęła ją do kieszeni.

– Leży na dnie Charles River.

– Słucham? – Nie widząc jej oczu, nie wiedział, czy żartuje, czy mówi poważnie.

– Rok temu wyciągaliśmy pływaka z rzeki.

– Pływaka?

– Tak nazywamy ciało, które już trochę przeleżało się w wodzie. Woda była bardzo zimna, no i obrączka ześliznęła się.

Patrzyła przed siebie, powiódł za nią wzrokiem. Zapadał zmierzch, widział w szybie odbicie Maggie. Wciąż myślała o rozmowie z mężem. Zastanawiał się, jaki naprawdę jest mężczyzna, który kiedyś zdobył serce Maggie O’Dell. Zastanawiał się, czy Greg jest intelektualnym snobem. Założyłby się, że facet nie ogląda nawet futbolu.

– Nie kupiłaś nowej?

– Nie. Może podświadomie zdawałam sobie sprawę, że wszystko to, co symbolizowała, skończyło się dawno temu, zanim obrączka spadła na dno.

– Wujek Nick! – Timmy wbiegł do pokoju i wskoczył mu na ramiona. Nick od razu poczuł skutki swojej drzemki na fotelu. Plecy dały mu ostro do zrozumienia, żeby natychmiast postawił chłopca na ziemię, ale on przesunął Timmy'ego do przodu i przytulił go mocno, po wariacku. Meblom i bibelotom zaczęło grozić poważne niebezpieczeństwo.

– Chłopaki! – zawołała Christine, stając w drzwiach. Potem zwróciła się do Maggie. – Całkiem jakbym miała w domu dwoje dzieci.

Nick postawił Timmy'ego i wyszczerzył zęby w uśmiechu, prostując się z bólem, który zaatakował cały jego kręgosłup. Jezu, jak on nie znosił, kiedy ciało przypominało mu, że się starzeje!

– Maggie, to mój syn Timmy. Timmy, to agentka specjalna Maggie O'Dell.

– To pani jest z FBI, jak agent Mulder i agentka Scully z „Archiwum X"?

– Tak, tylko że ja nie uganiam się za UFO. Chociaż niektórzy ludzie, których poszukuję, są bardzo niebezpieczni.

Nicka zawsze wprawiało w zdumienie, jak dzieci działają na kobiety. Maggie założyła włosy za uszy, uśmiechała się.

Oczy jej błyszczały. Cała jej twarz stała się nagle świeża i wypoczęta.

– Mam w pokoju plakaty „Archiwum X”. Chce pani je zobaczyć?

– Timmy, teraz będziemy jeść.

– Zdążymy? – spytała Maggie Christine.

Timmy spojrzał na mamę, która powiedziała:

– Pewnie.

Wtedy energicznie wziął Maggie za rękę i pociągnął do przedpokoju.

Nick nie odezwał się do chwili, kiedy uznał, że go nie usłyszą.

– Miło widzieć, że uczy się od mistrza. Naprawdę jest dobry. „Chce pani zobaczyć plakaty?”, i fruu! porywa ją do pokoju. Ja praktykowałem muzykę i albumy, ale jak widać, dobre są też plakaty.

Christine przewróciła oczami i rzuciła w niego ścierką.

– Pomóż mi lepiej. I przynieś kieliszek wina.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Maggie niechętnie przyznała, że nigdy nie oglądała „Archiwum X”, tylko coś tam słyszała o tym serialu. Z powodu pracy niewiele miała czasu na telewizję czy kino. Timmy wcale się tym nie przejął. Kiedy znaleźli się w jego pokoju, pochwalił się wszystkimi swoimi skarbami, pokazał modele statków kosmicznych i kolekcję skamielin, wśród których, jak twierdził, znajdował się ząb dinozaura.

W małym pokoju panował cudowny rozgardiasz. Rękawica baseballowa wisiała na oparciu łóżka. Pościel ze scenami z „Parku Jurajskiego” była niedbale rzucona na łóżko. Na półce w rogu stary mikroskop stał na egzemplarzach „Króla Artura”, „Atlasu astronomicznego” i „Encyklopedii kolekcjonera kart baseballowych”. Ściany zniknęły za plakatami „Archiwum X”, drużyny Nebraska Cornhuskers, „Gwiezdnych wojen”, „Parku Jurajskiego” i „Batmana”. Obejmowała to wszystko wzrokiem nie jak agentka FBI, ale jak dwunastolatka, której takich atrakcji poskąpiono.

Nagle przypomniała sobie rozmowę z Gregiem. Napięcie było zbyt wielkie, by łatwo było się go pozbyć. Oskarżał ją tym razem o lekceważenie matki. Przypomniała mu, że to ona ma dyplom z psychologii. Zbył to pogardliwym mruknięciem. Był wściekły, że zepsuła ich rocznicę, i rzucał jej tę wściekłość niczym jakieś trofeum. Jak to możliwe, że kiedyś się dogadywali?

Timmy chwycił ją za rękę, podprowadził do szafki i pokazał pustą skorupę kraba.

– Dziadek mi to przywiózł z Florydy. Dużo podróżują z babcią. Może pani dotknąć, jak pani chce.

Przesunęła palcem po gładkiej muszli. Za nią spostrzegła fotografię. Ze dwudziestu chłopców w identycznych podkoszulkach i spodenkach stało w kajaku i na nabrzeżu. Rozpoznała chłopca, który stał na przodzie, i pochyliła się, żeby spojrzeć z bliska. Tętno jej przyspieszyło. Ostrożnie, żeby nie poruszyć muszli, podniosła zdjęcie. Tym chłopcem był Danny Alverez.

– Co to za zdjęcie, Timmy?

– Z obozu z kościoła. Mama mnie wysłała. Myślałem, że mi zepsuje wakacje, ale było fajnie.

– Ten chłopiec to Danny Alverez, prawda? – Wskazała palcem, a Timmy przyjrzał się bliżej.

– Taa, to on.

– Znałeś go?

– Nie bardzo. On nie mieszkał w tej okolicy, tylko na dole, w Red Robin.

– Nie chodziliście razem do kościoła? – Przypatrywała się innym twarzom.

– Nie. On pewnie chodził do szkoły i do kościoła obok bazy lotniczej. Pokazać pani moją kolekcję kart baseballowych? – Zaczął grzebać w szufladach nocnego stolika.

Jednak Maggie chciała dowiedzieć się czegoś więcej o tym obozie.

– Dużo chłopców tam było?

– Dużo. – Położył na łóżku drewniane pudełko i zaczął wyjmować karty. – Z różnych miejsc, z różnych kościołów.

– To był obóz tylko dla chłopców?

– Nie, dziewczyny też były, ale po drugiej stronie jeziora. Mam tu gdzieś Darryla Strawberry, to jest gość! – Szukał w rozrzuconych na łóżku kartach.

Na zdjęciu były też dwie dorosłe osoby. Jedną z nich był Ray Howard, kościelny ze św. Małgorzaty. Drugi był wysokim, przystojnym mężczyzną z ciemnymi kręconymi włosami i chłopięcą twarzą. Obaj, nieznajomy i Howard, mieli na sobie podkoszulki z imieniem kościoła św. Małgorzaty wypisanym na przodzie.

– Timmy, kto to jest ten pan?

– Ksiądz Keller. Jest super. Jestem jednym z jego ministrantów. Nie każdy może być ministrantem, bo ksiądz jest wybredny.

– Co to znaczy? – Starała się z całych sił, żeby nie było w jej głosie strachu, tylko ciekawość.

– No, nie wiem. Sprawdza, czy może komuś zaufać. Traktuje nas specjalnie, nagradza za to, że jesteśmy dobrymi ministrantami.

– Na czym polega to specjalne traktowanie?

– Zabiera nas na wycieczkę w ten czwartek i piątek. Czasem gra z nami w nogę. I wymienia się kartami. Kiedyś dałem mu Boba Gibsona za Joego DiMaggia.

Odkładała już zdjęcie na miejsce, kiedy jej uwagę przyciągnęła jeszcze jedna twarz. Tym razem o mało nie wypuściła oprawionej fotografii z ręki. Serce zaczęło jej

walić. Na nabrzeżu, schowana częściowo za wyższymi chłopcami, widniała drobna piegowata twarzyczka Matthew Tannera.

– Timmy, mogę sobie pożyczyć to zdjęcie na kilka dni? Obiecuję, że ci je oddam.

– Dobra. Nosi pani broń?

– Tak, noszę. – Usiłowała mówić spokojnie. Ostrożnie wyjęła zdjęcie zza szkła, zauważając, że ręce lekko jej się trzęsą.

– Ma pani przy sobie?

– Tak.

– Pokaże mi pani?

– Timmy – przerwała im Christine. – Czas do stołu. Umyj ręce. – Przytrzymała drzwi i klepnęła go ścierką, kiedy ją mijał.

Maggie wsunęła zdjęcie do kieszeni żakietu, tak żeby Christine nic nie zauważyła.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Po kolacji Nick uparł się, że razem z Timmym wymyją naczynia. Christine wiedziała, że robi to z powodu Maggie, ale postanowiła wykorzystać rzadki u młodszego brata uprzejmy odruch.

Kobiety przeniosły się do saloniku, gdzie docierały do nich tylko przytłumione fragmenty dyskusji na temat futbolu w Nebrasce. Christine postawiła filiżanki na szklanym blacie stołu, mając nadzieję, że Maggie zrelaksuje się chociaż przez moment. Że na kilka minut zapomni, iż jest agentką specjalną FBI. W czasie kolacji Maggie była bardzo niespokojna, teraz też nie usiadła. Wydawało się, że roznosi ją energia, chociaż tak naprawdę była wykończona. Cienie pod oczami niezdarnie pokrywał makijaż. Była rozkojarzona.

– Usiądź tu – odezwała się w końcu Christine, klepnąwszy miejsce na kanapie obok siebie. – Myślałam, że to ja nie potrafię usiedzieć, ale ty mnie kładziesz na łopatki.

– Wybacz. Chyba za dużo czasu spędzam z mordercami i zmarłymi. Zupełnie zgubiłam gdzieś dobre maniery.

– Nonsens. Po prostu za dużo czasu spędzasz z Nickiem. Wiem, jaki z niego gagatek.

Maggie uśmiechnęła się.

– Kolacja była przepyszna. Dawno już nie jadłam nic domowego.

– Dziękuję, mam w tym niezłą wprawę. Całe lata byłam kurą domową, aż mój mąż nagle zdecydował, że woli dwudziestotrzyletnią recepcjonistkę. – Christine uprzytomniła sobie, że przesadza z tą szczerością i wprawia Maggie w zakłopotanie. Nie miała najmniejszego zamiaru urządzać żadnych babskich pogaduszek.

Maggie postanowiła wreszcie usiąść, wybrała jednak fotel. Christine chciała jakoś dać jej do zrozumienia, że wie, w czym rzecz. Nie chodziło o brak manier, lecz o niechęć przed wszelką bliskością. To było widać na pierwszy rzut oka. Christine też tak robiła. Od odejścia Bruce'a trzymała się na dystans, wyłączając oczywiście syna.

– Długo zostaniesz w Platte City?

– Tak długo, jak będzie to konieczne.

Nic dziwnego, że ma problemy małżeńskie, pomyślała Christine. Maggie, jak gdyby czytając w jej myślach, wyjaśniła:

– Przygotowanie portretu psychologicznego mordercy zabiera niestety trochę czasu. Bardzo pomaga, kiedy poznajesz jego otoczenie, miejsca, w których przebywał.

– Urządziłam małe śledztwo na twój temat. Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe. Zaimponowałaś mi. Licencjat z psychologii kryminalnej i medycyny, magisterium z psychologii behawioralnej, stypendium z medycyny sądowej w Quantico. Osiem lat w FBI i już jesteś jednym z najlepszych specjalistów od seryjnych morderców. Jeśli dobrze liczę, masz dopiero trzydzieści dwa lata. To musi być przyjemne uczucie, tyle osiągnąć.

Zgodnie z intencjami Christine, Maggie powinna być zadowolona, że ktoś poświęcił jej tyle uwagi, lecz nic z tego. Wzrok miała nieobecny, zero reakcji. Christine dowiedziała się również, że brała bezpośredni udział w akcjach, w wyniku których aresztowano przerażających psychopatów. To musiało mieć swoją cenę.

– Tak, to pewnie miłe – rzekła wreszcie Maggie.

Christine liczyła na więcej, ale się rozczarowała.

– Nicky nigdy by się do tego nie przyznał, ale wiem, jak bardzo jest ci wdzięczny za pomoc. Dla niego to nowa sytuacja. Nie przypuszczał, że spotka go coś takiego, kiedy tata namawiał go na to stanowisko.

– Ojciec go to tego przekonał?

– Tata szykował się na emeryturę. Bardzo długo był szeryfem i nie wyobrażał sobie, że jego miejsce zajmie ktoś o nazwisku innym niż Morrelli.

– A Nick?

– Wykładał prawo na uniwersytecie. Lubił to. – Christine przerwała. Jak miała wyjaśnić skomplikowane relacje między bratem i ojcem, skoro sama do końca ich nie rozumiała?

– Wasz ojciec musi być nie byle kim – powiedziała Maggie zwyczajnie, nie dziwiąc się ani nie oskarżając.

– Co masz na myśli? – Christine spojrzała na nią podejrzliwie, zastanawiając się, co Nick jej powiedział.

– Prawie samodzielnie złapał Ronalda Jeffreysa.

– Tak, był bohaterem.

– No i ma chyba spory wpływ na decyzje Nicka.

Coś wie, pomyślała Christine i poczuła się nieswojo. Dolała sobie kawy, żeby zyskać na czasie.

– Ojciec pewnie chce, żeby Nick wykorzystał wszystkie możliwości, które nie były dane jemu.

– A ty?

– Co ja?

– Tobie nie życzy tego samego?

No cóż, Maggie była naprawdę dobra. Siedziała w fotelu, popijała kawę i chłodno, pomalutku ją sondowała.

– Kocham tatę, chociaż doskonale wiem, że jest trochę męskim szowinistą. Nie, nigdy się mnie nie czepiał. Byłam dziewczynką. Cieszył się, jeśli w ogóle udało mi się coś osiągnąć. A Nicky miał gorzej. To dość... skomplikowane. Nick bezustannie musiał coś udowadniać, czy chciał, czy nie. Przypuszczam, że głównie dlatego tak się na mnie wścieka.

– Nie, głównie z powodu twojego gadulstwa.

Nick przestraszył je, stając w drzwiach. Timmy tkwił u boku wuja, uśmiechając się szelmowsko, jakby zamierzał powiedzieć coś, na co w innej sytuacji by się nie odważył.

Wtedy zadzwonił telefon, oszczędzając jej wykładu. Christine zerwała się z kanapy i szybko podbiegła do aparatu.

– Słucham?

– Christine, tu Hal. Przepraszam, że przeszkadzam. Jest tam Nick? – Po szumie silnika poznała, że dzwonił z samochodu.

– Tak, prawdę mówiąc, uratowałeś mi życie. – Obejrzała się na Nicka i pokazała mu język, wywołując chichot Timmy’ego i gniew brata.

– Fajnie byłoby uratować kiedyś komuś życie. – Hałas nie zagłuszył zdenerwowania w jego głosie.

– Hal, nic ci nie jest? Co się dzieje?

– Proszę, daj mi Nicka.

Znalazł się koło niej, zanim zdążyła odpowiedzieć, i zabrał jej słuchawkę. Poddała się, ale nie odeszła od biurka, dopóki Nick nie przesłał jej znaczącego spojrzenia.

– Hal, co jest? – Odwrócił się plecami i słuchał. – Nie pozwól nikomu nic ruszać. – W jego głosie eksplodowała panika.

Maggie w jednej chwili zerwała się na nogi. Christine delikatnie przytrzymała syna za ramiona.

– Timmy, szykuj się do spania.

– Mama, jest wcześnie.

– Nie dyskutuj, Timmy. – Panika jej brata okazała się zaraźliwa. Chłopiec, ociągając się, ruszył po schodach na górę.

– Hal, ja nie żartuję. – Złością starał się zatuszować skrajne zdenerwowanie. Ale siostry nie oszukał, znała go zbyt dobrze. – Zabezpiecz teren, ale niech nikt niczego nie rusza. Pełna rutyna, wszystko ma być absolutnie zgodnie z procedurą. Agentka O’Dell jest ze mną. Będziemy za jakieś piętnaście minut. – Odłożył słuchawkę, odwrócił się i napotkał wzrok Maggie.

– Mój Boże. Znaleźli ciało Matthew. – Christine stwierdziła oczywisty fakt.

– Christine, przysięgam, jeśli wydrukujesz choć słówko... – Panika przemieniła się w furię.

– Ludzie mają prawo się dowiedzieć.

– Nie przed jego matką. Proszę cię, wykaż choć tyle przyzwoitości, przez wzgląd na tę kobietę.

– Pod jednym warunkiem...

– Jezu, Christine, posłuchaj siebie, co ty mówisz! – Wypluł te słowa w takiej złości, że cofnęła się o krok.

– Dobrze, ale obiecaj, że zadzwonisz do mnie, kiedy będę już mogła działać. Czy proszę o zbyt wiele?

Zniesmaczony potrząsnął głową. Christine spojrzała na Maggie, która czekała pod drzwiami. Nie chciała wchodzić między brata i siostrę.

– Nicky, chyba nie chcesz, żebym rozbiła namiot przed domem Michelle Tanner? – Christine uśmiechnęła się lekko, tyle tylko, by poznał, że to żart.

– Tylko spróbuj rozmawiać z kimkolwiek lub wydrukować choćby jedno słowo, zanim dam ci znać. I trzymaj się z daleka od Michelle Tanner. – Pogroził jej palcem przed nosem i wybiegł.

Christine odczekała chwilę, aż tylne światła dżipa zniknęły za rogiem w końcu ulicy. Chwyciła za słuchawkę i wykręciła 69. Odebrano po jednym sygnale.

– Zastępca Langston.

– Hal, cześć, tu Christine. – Mówiła szybko, by nie pytał jej o nic. – Nicky i Maggie właśnie wyszli. Nicky prosił, żebym

powiadomiła George’a Tilliego. Wiesz, stary George przespałby trzecią wojnę światową.

– Tak? – Słowo było krótkie, ale jakże wyraziste. Langston jej nie wierzył.

– Przez ten pośpiech nie zapamiętałam dokładnie, gdzie to jest, choć Nick mi mówił...

Cisza. Cholera, nie ufał jej.

Zaryzykowała.

– Gdzieś za Old Church Road...

– Tak. – Odetchnął. – Powiedz George’owi, żeby jechał półtora kilometra za znakiem parku narodowego. Może zostawić wóz na pastwisku Rona Woodsona, na szczycie wzgórza. Stamtąd zobaczy światła na dole w lesie. Będziemy blisko brzegu.

– Dzięki, Hal. Pewnie to zabrzmi okropnie i mało to prawdopodobne, ale wolałabym, żeby to był jakiś uciekinier, a nie Matthew. Ze względu na Michelle.

– Rozumiem cię. Ale nie ma wątpliwości, to Matthew. Muszę iść. Powiedz George’owi, żeby ostrożnie schodził na dół.

Rozłączyła się, zaczekała na wolny sygnał i wykręciła domowy numer Taylora Corby’ego.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Drobny śnieg lśnił w światłach dżipa. Zaparkowali na zboczu, z którego rozciągał się widok na rzekę. Reflektory oświetlały kępę drzew, tworząc magiczne cienie, amorficzne duchy z poruszającymi się na wietrze ramionami.

Maggie przypomniała się podobna noc sprzed lat, kiedy przeczesywali ciemne lasy Vermontu w poszukiwaniu mordercy. Ciekawe, jaką część jej pamięci zajmują horrory, pomyślała. Inni ludzie przechowują wspomnienia o świętach Bożego Narodzenia i rodzinnych tradycjach.

Temperatura znacznie się obniżyła. Zimno przenikało przez wełniany żakiet, kłuło jak mrowie cienkich ostrzy. Nie przyszło jej do głowy, żeby zabrać z domu płaszcz. Nawet Morrelli trząsł się w dżinsowej kurtce. W ciągu kilku sekund miała rzęsy oblepione płatkami śniegu, mokre włosy i ubranie. A czekał ich długi spacer.

Nick, pomny niedawnych niedociągnięć, teraz przesadzał z ostrożnością. Kazał podwładnym stworzyć szeroki obwód, którego granicy mieli strzec jak żołnierze na warcie.

Zarośla były gęste, brnęło się przez nie niczym w wodzie. Błoto zaczęło już zamarzać. Wąska ścieżka wiła się między drzewami. Nick szedł pierwszy, odgarniając gałęzie, niektóre z nich smagały twarz Maggie.

Potknęła się o korzeń, prawie upadła. Stok schodzący ku brzegowi był bardzo stromy; żeby nie upaść, musieli

trzymać się gałęzi, korzeni, pnączy. Z powodu śniegu nierówny teren stał się śliski. Nick stracił równowagę, pośliznął się i klapnął z całej siły na pośladki. Wygramolił się do góry bardziej zawstydzony niż obolały, dając znak Maggie, że nie potrzebuje pomocy.

Ścieżka kończyła się na brzegu, gdzie wysokie szuwary oddzielały drzewa od wody. Tam spotkali się z Halem. Maggie zauważyła, że jego zwykle zaczerwieniona twarz teraz była sina. Miał mokre oczy, był bardzo wyciszony. Widziała to już. Morderstwo dziecka w jednej chwili przemieniało facetów w nieme słupy soli. Hal poprowadził ich. Nick zarzucał go pytaniami, w odpowiedzi otrzymując jedynie skinięcia głową.

– Bob Weston wysłał zespół medycyny sądowej FBI, żeby zebrali dowody. Nikt inny nie ma tu wstępu. Nikt. Rozumiesz, Hal?

Nagle Hal zatrzymał się i wyciągnął rękę. Maggie początkowo nic nie widziała. Mimo obecności ponad dwudziestu policjantów rozrzuconych w lesie panował tu upiorny spokój. Daleki gwizd pociągu przeciął gęstą ciszę. Płatki śniegu tańczyły niczym robaczki świętojańskie w ostrym świetle reflektorów. Wówczas go zobaczyła. Drobne blade ciało z krwawym naszyjnikiem. Nagie w przybranej śniegiem trawie. Klatka piersiowa chłopca była tak niewielka, że wycięty X ciągnął się od szyi do pasa. Matthew miał ręce ułożone wzdłuż ciała, pięści zaciśnięte. Nie było potrzeby krępować tego chłopca, był za mały, żeby stanowić problem dla zabójcy.

Maggie zostawiła mężczyzn i powoli, z szacunkiem podeszła bliżej. Tak, ciało zostało dokładnie umyte. Tego była pewna. Przyklękła obok chłopca i ostrożnie odgarnęła śnieg z jego czoła. Nie pochylając się, zobaczyła smużkę oleistej substancji, która znajdowała się także na jego wargach i nad sercem.

Chłopiec wyglądał tak krucho, tak bezbronnie, że odruchowo chciała czymś go przykryć, zasłonić przed śniegiem, który błyszczał na jego sinej skórze, pokrywając czerwone cięcia i nakłucia.

Leżał tak pewnie jakiś czas. Lecz nawet atak zimna nie zagłuszył zapachu śmierci. Maggie spostrzegła drobne rany kłute wewnątrz lewego uda, głębokie, ale bez śladu krwi.

Zadano je po śmierci chłopca. Może zrobiło to jakieś zwierzę, pomyślała, wyciągając latarkę. Tak, to były ślady zębów, ale ludzkich zębów, uświadomiła sobie nagle, nakładały się na siebie, jakby ktoś zostawił je w chwili szaleństwa albo też celowo, dla zmylenia śladów. Rany były blisko jąder, ale na penisie chłopca nie było żadnych znaków. Morderca nie robił tego wcześniej. A więc wzbogacał swoje zwyczaje, stawał się nierozważny i nerwowy. Porwał chłopca zaledwie przed dwoma dniami. Coś się zmieniło. Może zdenerwował się doniesieniami prasowymi. Coś jest inaczej. Coś się stało.

Przysiadła na piętach. Zakręciło jej się w głowie, poczuła nudności. Dawno już nie robiło jej się niedobrze na widok zwłok. Przed laty, kiedy martwe ciała przestały wywoływać u niej odruch wymiotny, uznała to za udaną inicjację. Czy

Albert Stucky zdemontował jej system obronny, przekłuł jej zbroję? A może zło, które ucieleśniał, na nowo ją uczłowieczyło? Przywróciło jej ludzkie uczucia?

Powoli zaczęła się podnosić. I wtedy to spostrzegła. Podarty kawałek papieru sterczał spomiędzy drobnych palców. Matthew Tanner trzymał coś w zaciśniętej pięści. Obejrzała się. Nick i Hal stali tam, gdzie ich zostawiła. Odwróceni do niej plecami obserwowali pięciu ludzi z FBI, którzy schodzili lesistym zboczem.

Najdelikatniej jak mogła, Maggie wyprostowała palce chłopca, zesztywniałe już i zaciśnięte w ostatnich stadiach rigor mortis. Wyciągnęła zgnieciony kawałek papieru, a raczej kartonika. Był to oddarty róg czegoś większego. Rozpoznała go z miejsca, nie przyglądając się specjalnie. Widziała tego mnóstwo na łóżku Timmy’ego Hamiltona parę godzin wcześniej. Matthew Tanner ściskał w dłoni kartę z wizerunkiem jakiegoś baseballisty. Maggie dałaby głowę, że zna jej właściciela.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Zespół medycyny sądowej FBI pracował szybko, zagrożony przez niebezpiecznego przeciwnika. Mokry śnieg padał gęsto, zakrywając liście i gałęzie, oblepiając trawy i grzebiąc cenne dowody.

Maggie i Nick kulili się pod drzewami, żeby zejść z drogi bezlitosnemu wiatrowi. Trudno było uwierzyć, że nagle zrobiło się tak zimno. Maggie zakopała ręce w kieszeniach, uważając, żeby nie pogiąć zdjęcia, które pożyczyła od Timmy'ego. Czekali w milczeniu na Hala, który miał im przynieść koc, kurtki, cokolwiek ciepłego. Stali tak blisko siebie, że dotykali się ramionami. Czuła na szyi oddech Nicka, zyskując pewność, że odrętwienie spowodowane zimnem nie pozbawiło jej jednak czucia.

– Może powinniśmy wrócić. – Było tak zimno, że oddech zamieniał się w chmurkę. – Zobaczyliśmy wszystko, co było do zobaczenia. – Nick masował ramiona i przytupywał. Słyszała prawie, jak szczęka zębami.

– Chcesz, żebym z tobą pojechała do Michelle Tanner? – Podniosła kołnierz marynarki. Nie pomogło. Wszechwładne zimno docierało do każdego zakątka jej ciała.

– Myślisz, że próbuję się wymigać? – Zawahał się, zbierając myśli. – Wolałbym zaczekać z tym do rana, ale nie dlatego, żeby jej nie budzić w środku nocy. Pewnie od niedzieli i tak nie sypia. Może jednak chwilę potrwać, zanim

przeniosą go do kostnicy. Będzie chciała go zobaczyć, chociaż to strasznie bolesne. Laura Alverez upierała się, że sama zidentyfikuje zwłoki Danny'ego. Nie uwierzyła mi, dopóki ich nie zobaczyła. – Przetarł twarz rękawem.

– To nie wymówka. To ma sens. Rano będzie miała wokół siebie więcej ludzi, bliscy zaopiekują się nią. Masz rację. Zresztą i tak do rana tu nie skończą.

– Powiem im, że jedziemy.

Ruszył w stronę ludzi z FBI. W tej samej chwili Maggie coś zobaczyła i chwyciła go za ramię. Niecałe pięć metrów za Nickiem widniały ślady stóp, gołych stóp, świeżo odciśnięte w śniegu.

– Nick, zaczekaj – szepnęła. – On tu jest. – Serce zaczęło jej walić. Czemu nie przyszło jej to wcześniej do głowy? Oczywiście, to było logiczne.

– O czym ty mówisz?

– Zabójca. Jest gdzieś tutaj. – Trzymała kurczowo jego rękę, wbijając paznokcie w dżinsową kurtkę. Zaczęła się rozglądać, starając się nie ruszać gwałtownie, żeby nie zwrócić uwagi mordercy, który, jak sądziła, ich obserwował.

– Widzisz go?

– Nie, ale on tu jest – szepnęła, ostrożnie zerkając dokoła. – Nie ruszaj się i nie podnoś głosu. Może nas obserwować.

– O'Dell, chyba ci mózg zamroziło na tym zimnie. – Nick patrzył na nią, jakby straciła rozum, ale zgodnie z jej instrukcją mówił cicho. – Prawie trzydziestu policjantów otacza ten teren.

– Tuż za tobą, obok drzewa z tym wielkim garbem. Są tam ślady stóp. Ślady bosych stóp na śniegu.

Zwolniła uścisk, by dyskretnie się rozejrzał.

– Jezu. – Nick rzucił wzrokiem. – Tak mocno pada, że muszą być świeże, bardzo świeże. Sprzed paru minut. Może ten sukinsyn stoi teraz za naszymi plecami. Cholera, co robić?

– Zostań tu. Zaczekaj na Hala. Ja pójdę tą ścieżką, jakbym szła do samochodu. On nie mógł jeszcze wydostać się poza okrążony teren. Może uda mi się zobaczyć go z góry.

– Pójdę z tobą.

– Nie, zauważy to, jeśli na nas patrzy. Zaczekaj na Hala. Obaj musicie mnie ubezpieczać. Stój spokojnie i staraj się nie rozglądać.

– Skąd będę wiedział, gdzie jesteś?

– Jakoś dam ci znać. – Nie podnosiła głosu, mówiła cicho i spokojnie, choć adrenalina ostro jej podskoczyła. – Strzelę w powietrze, tylko przypilnuj, żeby mnie nie zabił któryś z twoich ludzi.

– Jak mam tego dopilnować?

– Nie żartuję, Morrelli.

– Ani ja.

Spojrzała na niego. Nie żartował. Pomyślała przez chwilę, że to strasznie głupie łazić po lesie pełnym uzbrojonych policjantów. Jeżeli jednak morderca krąży po okolicy, nie wolno jej się wahać. A on tam był. Patrzył. Czuła to. To stanowiło część jego rytuału.

Ruszyła ścieżką do góry. Oblepione śniegiem skórzane płaskie buty ślizgały się. Czepiała się po drodze gałęzi i wystających korzeni. Po kilku minutach zabrakło jej tchu, lecz adrenalina pompowała krew, napędzając zdrętwiałe ciało.

Wtem gałąź uciekła jej z ręki i Maggie zaczęła zjeżdżać po zboczu. Zatrzymała się dopiero wtedy, gdy zderzyła się z drzewem. Uderzyła w nie biodrem. Jednak udało jej się wstać, wbijając paznokcie w korę. Zbliżała się do granicy otoczonego terenu. Słyszała poruszającą się na wietrze żółtą taśmę. Tuż nad sobą słyszała głosy.

Ziemia wreszcie na tyle się wyrównała, że Maggie mogła stać prosto, niczego się nie trzymając. Zboczyła ze ścieżki, kierując się w stronę gęstych zarośli. Widziała Nicka na dole obok szpaleru drzew. Hal szedł ku niemu. Między rzeką i drzewami ekipa z FBI pracowała w pośpiechu, garbiąc się nad drobnym ciałem i napełniając plastikowe worki dowodami. Posługiwali się specjalistycznym sprzętem, który ułatwiał im pracę w trudnych warunkach pogodowych. Za nimi, za wysokimi trawami, Maggie widziała burzliwie czarne wody.

Nagle na dole coś się poruszyło między drzewami. Maggie zastygła. Nasłuchiwała. Starała się wytężyć słuch, pokonując pulsujące w uszach tętno i przyspieszony oddech. Na zimnie oddychało się z trudem. Czyżby jej się tylko zdawało?

Cienka gałązka trzasnęła nie więcej jak dziesięć metrów poniżej. Wtedy go zobaczyła. Stał przyklejony do drzewa.

W cieniu wyglądał jak fragment przerośniętej kory. Wtopił się w tło, był wysoki, chudy i czarny od bosych stóp do głowy. Maggie miała rację. Przyglądał się, kręcąc się i wychylając, żeby widzieć ekipę na dole. Zaczął przechodzić od drzewa do drzewa, skradał się wolnym krokiem, gładko i zręcznie jak zwierzę, które czyha na swoją ofiarę. Ześliznął się ze stoku, okrążył miejsce zbrodni. Odchodził.

Maggie skradała się przez zarośla. Spieszyła się, śnieg i liście skrzypiały pod jej stopami. Gałęzie uderzały i trzeszczały, eksplodując dźwiękami. Nikt tego nie słyszał, nawet cień, który pospiesznie i bezszelestnie posuwał się w stronę brzegu.

Serce waliło jak oszalałe. Trzęsącą ręką sięgnęła po broń. To tylko zimno, przekonywała sama siebie. Ona panuje nad sytuacją. Ona to zrobi.

Szła za nim, nie spuszczając go z oka. Gałęzie orały jej twarz i rwały włosy, kaleczyły nogi. Upadła i uderzyła się biodrem o skałę. Za każdym razem, kiedy się zatrzymywał, hamowała, stając w bezruchu przyklejona do drzewa, z nadzieją, że rozpłynie się w cieniu.

Byli już na równej drodze, na skraju lasu. Ekipa specjalna z FBI znajdowała się za nimi. Maggie słyszała, jak się nawołują. Mężczyzna zbliżał się do granicy obwodu, cały czas kryjąc się za drzewami. Nagle zatrzymał się i spojrzał za siebie, w jej stronę. Rzuciła się za drzewo, przylegając do zimnego, szorstkiego pnia. Wstrzymała oddech. Zobaczył ją? Miała nadzieję, że tylko ona słyszy łomot

własnego serca. Wiatr świszczał, lamentował ponuro. Do rzeki było tak blisko, że Maggie słyszała wartki nurt i czuła woń zgnilizny, którą ze sobą niósł.

Wyjrzała zza drzew. Nie mogła go dostrzec. Zniknął. Nasłuchiwała, ale nie było nic prócz znajomych głosów za nią. Przed nią zaś była tylko cisza. I ciemność, bo tutaj nie sięgały światła reflektorów ani latarek.

Minęły ledwie sekundy. Wysunęła się zza drzewa i wytężyła wzrok, żeby widzieć w ciemności. Coś drgnęło. Wycelowała, wyciągnęła przed siebie ręce. To tylko gałąź zakołysała się na wietrze. A może ktoś był za nią? Mimo zimna dłonie Maggie zaczęły się pocić. Szła powoli i uważnie, trzymając się blisko drzew. Rzeka biegła wzdłuż linii drzew. Kiedy Maggie weszła w całkowitą ciemność, zauważyła, że nawet trawy zniknęły. Nic nie dzieliło lasu od stromego brzegu wyrzeźbionego przez nurt rzeki. Woda była czarna i płynęła wartko, z falami cętkowanymi niesamowitymi kształtami i cieniami.

Nagle Maggie usłyszała uderzenie gałązki i szybkie kroki w szeleszczącej trawie. Obróciła się w prawo, skąd dochodził dźwięk. Dostrzegła mordercę. Oddała ostrzegawczy strzał w powietrze w chwili, kiedy mężczyzna wyszedł akurat z gęstwiny, ogromny czarny cień, ruszający wprost na nią. Wycelowała, ale zanim zdążyła nacisnąć spust, wpadł na nią z całym impetem. Runęli bezwładnie do rzeki.

Lodowata woda kąsała jej ciało jak tysiące węży. Maggie ściskała broń. Uniosła rękę, żeby strzelić do płynącej przed

nią czarnej masy. Poczuła rozdzierający ból w plecach. Obróciła się i spróbowała raz jeszcze. Tym razem miała wrażenie, jakby ktoś dźgał ją metalowym ostrzem. Wówczas dopiero zdała sobie sprawę, że wpadła na zator z gałęzi, przez co prąd nie poniósł jej dalej. Coś boleśnie kłuło ją w ramię. Starała się uwolnić, ale tylko zraniła się głębiej. Wtedy zobaczyła, że krew kapie jej z rękawa, ciemną strugą pokrywając dłoń i rewolwer.

Słyszała nawołujących się gdzieś nad nią ludzi. Spanikowane kroki zatrzymały się, mnóstwo latarek oślepiło ją, gdy wyłoniły się zza brzegu. Zaskoczona światłem ponownie się obróciła, nie zważając na ból, koniecznie bowiem chciała odszukać płynący cień. Jednak jak okiem sięgnąć, na powierzchni rzeki nie było nikogo.

Mężczyzna zniknął.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Przejmująco zimna woda sparaliżowała go, skóra paliła. Mięśnie skręcały się z bólu, był przekonany, że płuca mu pękną. Wstrzymał oddech i uważał, żeby trzymać się tuż pod powierzchnią. Rwąca rzeka pchała go do przodu i miotała na boki. Nie opierał się jej sile, starał się stopić z nią w jedno, stać się jej częścią. By raz jeszcze go uratowała. Tylko na niej mógł polegać, tylko jej mógł zaufać.

Byli tak blisko, że widział światła latarek tańczące po powierzchni wody. Przemykające w prawo od niego. I w lewo. Tuż nad głową. Zdezorientowani i spanikowani pokrzykiwali do siebie.

Nikt za nim nie płynął. Nikt nie chciał zmierzyć się z czarną wodą. Nikt, prócz agentki specjalnej Maggie O’Dell, która gładko wpadła w pułapkę, jaką dla niej przygotował. Dobrze jej zrobi, kiedy przekona się, że nie zdoła go przechytrzyć, złapać z zaskoczenia. Suka dostała, co jej się należało.

Światła latarek wyłowiły ją. Ludzie na brzegu będą teraz mieć zajęcie, więc nikt nie będzie go szukać. Wychynął na powierzchnię i nabrał powietrza. Mokra czapka narciarska przykleiła się mu do twarzy niczym pajęczyna, jednak nie miał odwagi jej zdjąć.

Rzeka niosła go z prądem. Widział mężczyzn schodzących ostrożnie stromym brzegiem, głupie, ślizgające się cienie podrygiwały w świetle. Uśmiechał się, zadowolony z siebie. Agentka specjalna Maggie O'Dell będzie wściekła, że jej pomagają. Unieruchomiona i bezbronna, zostanie uratowana. Czy będzie zaszokowana, że on tyle o niej wie? Ta diablica, która ma czelność nazywać się jego nemesis? Naprawdę spodziewała się, że pozwoli jej bezkarnie grzebać w swoim umyśle i nie odwdzięczy się pięknym za nadobne? Wreszcie spotkał godnego siebie przeciwnika, który trzyma go w ryzach. Nie tak jak te prowincjonalne, tępe gliny.

Coś unosiło się na wodzie obok niego, coś małego i czarnego. Wnętrzności ścisnęły mu się ze strachu, który minął natychmiast, kiedy zorientował się, że to martwy przedmiot. Chwycił w rękę twardy plastik. Przedmiot ożył i jasne światło uderzyło go w twarz. To był telefon komórkowy. Wcisnął go głęboko do kieszeni spodni.

Manewrował tak, żeby zbliżyć się do brzegu. W kilka sekund później zobaczył swój znak. Chwycił zakrzywioną gałąź, która zwieszała się nad wodą. Zatrzeszczała pod jego ciężarem, ale się nie złamała.

Woda popychała go, uderzając o ciało. Miała wielką siłę, która domagała się szacunku. Rozumiał to, przyjmował do wiadomości i wykorzystywał.

Lodowate igiełki kłuły opuszki palców, kiedy trzymał się gałęzi. Kora oderwała się i o mało nie wpadł na powrót do wody. Bolały go ręce. Jeszcze kawałek, jeszcze kilkanaście

centymetrów. Stanął na zimnej jak lód, zasypanej śniegiem ziemi, ale jego stopy i tak były już bez czucia. Biegł przez trawiaste morze, które trzeszczało i dzwoniło jak tłuczone szkło, kiedy kruszył setki zlepionych sopli. Z trudem łapał oddech, lecz nie zwalniał. Srebrzyste płatki śniegu fruwały w czarnej poświacie nocy, wirowały wokół niego niczym maleńkie anioły, biegły z nim.

Dotarł do swojej kryjówki. Ociężałe od śniegu gałęzie w wiśniowym sadzie tworzyły gęste sklepienie. Właśnie wtedy niespodziewany dźwięk śmiertelnie go zaskoczył. Szybko jednak uprzytomnił sobie, że to telefon komórkowy wibruje w kieszeni jego spodni. Wyjął go, przeczekał dwa, trzy sygnały, przyglądając mu się. W końcu włączył go. Maleńki ekran pojaśniał. Dzwonienie ustało. Ktoś krzyczał.

– Halo!

– Słucham?

– Czy to telefon Maggie O’Dell? – dopytywał się wściekły męski głos. Przez sekundę przemknęło mu przez myśl, żeby się rozłączyć.

– Tak, zgadza się. Upuściła go.

– Mogę z nią rozmawiać?

– Jest teraz trochę, jak by to powiedzieć, unieruchomiona – oznajmił, śmiejąc się głośno.

– To proszę jej przekazać, że dzwonił jej mąż, Greg. Z jej matką jest niedobrze. Musi zadzwonić do szpitala. Zrozumiał pan?

– Jasne.

– Proszę nie zapomnieć – warknął Greg i wyłączył się.

Mężczyzna uśmiechnął się, wciąż trzymając telefon przy uchu i słuchając sygnału. Było jednak zbyt zimno, żeby dłużej zabawiać się nową zabawką. Ściągnął czarne dresowe spodnie, bluzę i czapkę narciarską. Wrzucił je do worka na śmieci, nawet nie wyżymając. Na mokrych włosach rąk i nóg utworzyły się kryształki lodu, zanim zdążył się wytrzeć i włożyć suche dżinsy oraz gruby wełniany sweter.

Usiadł, żeby zawiązać sznurówki w sportowych butach. Jeśli śnieg nie przestanie padać, następnym razem będzie musiał je cały czas mieć na sobie. Nie, nie zdoła w nich pokonać rzeki. Zdawały egzamin jedynie na brzegu. Poza tym nie cierpiał, gdy były brudne.

Gdyby tylko mógł wpełznąć do miłego, ciepłego lexusa. Ale ktoś zaraz zauważyłby jego brak. Wsiadł zatem do starego pikapu. Silnik zarzęził, wreszcie nabrał właściwego rytmu. Mężczyzna ruszył do domu, dygocząc i mrużąc oczy, bo tylko jeden reflektor na przodzie wozu rozpraszał czarną noc i zasłonę białego śniegu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

W tamtej chwili wydawało się to dobrym pomysłem, bo jego dom znajdował się zaledwie dwa kilometry od rzeki. Maggie była przemoknięta do suchej nitki i krwawiła. Jednak teraz Nick nie był już taki pewny, czy dobrze zrobił. Kiedy rozwiesił jej ubranie, żeby wyschło, kiedy dotykał delikatnej koronki jej stanika, nie potrafił powstrzymać się od myśli, jak wygląda ów stanik na ciele Maggie. Oczywiście było to całkiem nie na miejscu, wręcz idiotyczne, zważywszy ostatnie wydarzenia. Ale lekki zapach jej perfum działał na niego kojąco, łagodził napięcie, a przy tym – niesłychanie podniecał.

Zostawił ją w łazience na piętrze. Wziął prysznic na dole, rozpalił w kominku i powiesił jej ubrania w pobliżu ognia. Maggie jeszcze się kąpała, słyszał szum wody w rurach. Zastanowił się, czy nie powinien do niej zajrzeć. Była irytująco spokojna, mimo że przeżyła wstrząs, choć nie zamierzała się do tego przyznać. Była też obolała. Ten drań z premedytacją wepchnął ją w plątaninę starych potrzaskanych kołków z płotu i pordzewiałych drutów.

Szum wody nad jego głową ucichł. Nick wyciągnął świeżą koszulę z suszarki i mocował się z guzikami. Czuł się jak nastolatek, który nie potrafi zapanować nad reakcjami swojego ciała. Czyste szaleństwo. Jakby w jego domu nigdy

dotąd nie było nagiej kobiety. Prawdę mówiąc, było ich bez liku, a nawet jeszcze więcej.

W apteczce znajdowało się wszystko, co tylko można sobie wyobrazić. Zadbała o to paranoiczna matka Nicka. Wziął waciki, gazę, wodę utlenioną, spirytus i maść łagodzącą ból, równie wiekową co jego matka. Urządził stanowisko medyczne obok kominka, dla pacjentki umościł wygodne legowisko z poduszek i koców. W palenisku znów zaczęło coś łomotać. Już dawno powinien był je sprawdzić. Wsadził do kominka duże polana i pokój zalał promienny żar, podobny do tego, który płonął w Nicku. Postanowił jednak choć raz zlekceważyć naglące pragnienia swego ciała i zachować się przyzwoicie. Proste, prawda?

Odwrócił się i ujrzał Maggie, która szła ku niemu po schodach. Miała na sobie jego stary frotowy szlafrok, który rozchylał się przy każdym kroku, pokazując kształtne łydki, a zdarzało się, że i fragment mocnego gładkiego uda. No nie, to jednak wcale nie będzie takie proste.

Jej mokre włosy błyszczały. Policzki poczerwieniały od gorącej wody. Szła wolno, ociągając się. Woda zmyła z niej barwy ochronne. Ujawniła skrywaną bezbronność w brązowych oczach.

Gdy tylko zobaczyła cały arsenał środków ratunkowych, potrząsnęła głową i odrzuciła je jednym machnięciem ręki.

– Wszystko już z siebie zmyłam. Nic mi nie jest. To zupełnie niepotrzebne.

– Albo to, albo zabieram cię do szpitala.

Zmarszczyła czoło.

– Daj spokój, Nick.

– Ustąp mi, dobrze? Te druty były zardzewiałe. Kiedy ostatnio szczepiłaś się przeciw tężcowi?

– Niedawno, nic mi nie będzie. Biuro każe nam się szczepić co trzy lata, czy tego potrzebujemy, czy nie. Słuchaj, Morrelli, doceniam twój gest, ale naprawdę nic mi nie będzie.

Otworzył buteleczki ze spirytusem i wodą utlenioną, ułożył waciki i wskazał jej miejsce na otomanie naprzeciw siebie.

– Siadaj.

Myślał, że znowu odmówi, ale była zbyt zmęczona, żeby się spierać. Usiadła więc, poluzowała pasek szlafroka, zawahała się, wreszcie spuściła szlafrok z ramion, przytrzymując go mocno na piersiach.

Jej gładka kremowa skóra z miejsca zniweczyła szlachetne intencje Nicka. Podobnie wzniesienia piersi, linia szyi, świeży zapach umytych włosów. Zakręciło mu się w głowie, miał erekcję. Jak ma teraz dotknąć Maggie i nie pragnąć więcej? Ależ idiota z niego. Czy nigdy nie wydorośleje? Musi się skupić, chociaż raz musi zapomnieć o erekcji.

Sześć krwawych trójkątnych śladów znaczyło jej mleczną skórę, zaczynając się na ramieniu, a kończąc na łopatce i rękach. Parę ran było głębokich i nadal krwawiło. W jednym miejscu skóra została paskudnie naderwana.

Zmoczył spirytusem wacik i lekko nim dotknął pierwszej rany. Maggie wzdrygnęła się i zacisnęła usta. Milczała jednak.

– W porządku?

– Tak. Tylko zrób to szybko.

Starał się być delikatny. Nie przestawała się mimo to krzywić i mrużyć oczu. Oczyścił wszystkie rany, mając nadzieję, że spirytus, choć boleśnie pali jej skórę, przede wszystkim dobrze ją odkaża. Następnie założył na krwawiące miejsca gazowe opatrunki, które przykleił plastrem.

Potem otwartą dłonią delikatnie przejechał po jej ramieniu i niżej, pozwalając swojej dłoni na podróż, którą chciałyby odbyć usta. Wyprostowała plecy, czując niebezpieczeństwo... albo odpowiadając na jego dotyk. Nie zabierał ręki przez dłuższą chwilę. Wreszcie lekko, z wahaniem, podciągnął jej szlafrok na ramiona, zakrywając piękną, mimo że tak okrutnie sponiewieraną skórę. Maggie jakby się zdziwiła, być może spodziewając się czegoś innego. Zebrała poły szlafroka i zacisnęła pasek.

– Dziękuję – rzekła, nie odwracając się do niego.

– Do rana mamy kilka godzin. Możemy odpocząć tutaj, przy kominku. Masz na coś ochotę? Gorąca czekolada, brandy?

– Poproszę o brandy. – Wstała z otomany i przeniosła się na dywanik przed kominkiem, na legowisko dla chorej. Oparła się na poduszkach i szczelnie zakryła nogi szlafrokiem.

– Zjesz coś?

– Nie, dziękuję.

– Na pewno? Musisz być głodna. Mogę zrobić jakąś zupę, może kanapkę?

Uśmiechnęła się.

– Czemu ciągle chcesz mnie karmić, Morrelli?

– Może dlatego, że nie wolno mi robić z tobą tego, na co naprawdę mam ochotę.

Jej uśmiech znikł w jednej chwili. Maggie nerwowo się poruszyła. Długo patrzył jej w oczy. Zarumieniła się. Wiedział, że znalazł się na granicy dobrych manier, niewiele brakowało, by jego zachowanie stało się całkiem niewłaściwe. Ale nie mógł myśleć o niczym innym. Obsesyjnie zastanawiał się, czy Maggie też jest podniecona. Odwróciła wzrok, a on wycofał się do kuchni, dopóki jeszcze był w stanie się ruszać.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Fotografia, którą Maggie wyjęła z kieszeni żakietu, była zmięta i pomarszczona. Ale przynajmniej nie utonęła w ciemnych wodach, jak jej komórka. Gubienie rzeczy na dnie rzek i jezior było chyba przeznaczeniem agentki specjalnej O'Dell.

Nick siedział długo w kuchni. Może robi tę kanapkę, pomyślała. Jego ostatnia uwaga mocno ją zaniepokoiła, a zarazem... no cóż, wywołała całkiem niechciane, choć zarazem przyjemne emocje. Musi jednak nad nimi zapanować. To dobrze, że Nick jest dżentelmenem, pomyślała. Nie ma powodu do niepokoju, nawet jeśli leży na stosie poduszek, które pachną jego kremem po goleniu. Nawet jeśli tkwi przed kominkiem w samym tylko szlafroku.

Gdy opatrywał jej rany, w sukurs przyszedł ból. Tylko dzięki niemu nie uległa przyjemnemu uczuciu, jaki sprawiał dotyk palców Nicka. A kiedy przesunął dłonią wzdłuż jej pleców i ręki, przeżyła szok, bo pragnęła, żeby pieszczota trwała dłużej. Teraz zastanawiała się, jak by zareagowała, gdyby te mocne dłonie prześliznęły się delikatnie po jej ramionach ku piersiom.

Gdy Nick wszedł do pokoju, mimowolnie podniosła rękę do twarzy. Znowu paliły ją policzki, ale można to było złożyć na karb ognia w kominku. Jednak na krótki oddech nie było już żadnej wymówki.

Nick podał jej kieliszek brandy i usiadł obok. Podciągnął pod siebie długie gołe nogi. Był tak blisko, że dotykał jej ramienia.

– O jakim zdjęciu mówiłaś? – Ściągnął ręcznie uszytą kołdrę z otomany i położył ją na ich nogach. Zrobił to tak naturalnie, jakby codziennie siadywali obok siebie. Tak intymnie, że gorączka z jej twarzy spłynęła na inne części ciała.

Być może nie uszło to jego uwagi. Być może to poczuł. Zażenowany zaczął się tłumaczyć:

– Palenisko się psuje. Muszę je sprawdzić. Nie przypuszczałem, że w już październiku zrobi się tak zimno.

Podała mu fotografię. Obejmując pękaty kieliszek obiema rękami, wprawiła w wir znajdujący się w nim płyn, wciągnęła aromatyczny zapach i wypiła łyk. Zamknęła oczy i oparła głowę o miękkie poduchy, delektując się piekącą mocą trunku. Jeszcze kilka łyczków i pozbędzie się niepokoju. Cudowny, delikatny szmerek w głowie… Alkohol w niewielkich ilościach wspaniale niwelował napięcie i przepędzał niechciane uczucia. Od tego musiała zacząć się ucieczka jej matki. Potem zwiększała dawki, bo gdy trzeźwiała, upiory wracały. I tak to już poszło jak lawina.

– Masz rację – powiedział Nick, przerywając Maggie miłą podróż w nicość. – To nie może być przypadek. Ale nie mogę tak po prostu wezwać Raya Howarda na przesłuchanie.

Podniosła natychmiast powieki i wyprostowała się.

– Nie Howarda. Księdza Kellera.

– Co? Straciłaś rozum? Nie mogę wezwać księdza. Chyba nie wierzysz, że katolicki ksiądz zabija małych chłopców!

– Odpowiada charakterystyce. Muszę tylko dowiedzieć się czegoś o środowisku, z jakiego pochodzi. Ale tak, myślę, że ksiądz jest do tego zdolny.

– To szaleństwo. – Łyknął brandy. – Ludzie powiesiliby mnie, gdybym wezwał księdza na przesłuchanie. Zwłaszcza Kellera. On tu jest jak jakiś Superman w koloratce. Jezu, O'Dell, strzeliłaś jak kulą w płot.

– Posłuchaj mnie przez chwilę. Wiemy, że Danny Alverez się nie bronił. A Kellera znał, ufał mu. Ksiądz Francis powiedział nam, że jest niemożliwe, aby po drugim soborze, a zakończył się on trzydzieści pięć lat temu, osoba świecka wiedziała, jak udzielić ostatniego namaszczenia.

– Ten gość jest dla dzieciaków bohaterem. Jak mógłby zrobić coś takiego i się nie potknąć?

– Ludzie, którzy znali Teda Bundy'ego, też niczego nie podejrzewali. Słuchaj, znalazłam podartą kartę baseballową w ręku Matthew, a kiedy byłam u twojej siostry, Timmy mówił mi, że ksiądz Keller wymienia się nimi z chłopcami.

Gdy Nick odgarnął wilgotny kosmyk z czoła, Maggie poczuła zapach szamponu, którym też umyła włosy. Oparł plecy o poduszki, postawił kieliszek na piersi i wpatrywał się w kołyszącą się resztkę brandy.

– Dobra – rzekł wreszcie. – Sprawdź go. Ale żeby wezwać księdza na przesłuchanie, potrzebuję więcej niż zdjęcie i kartę baseballową. Natomiast ja zajmę się Howardem. To

dziwny facet, coś mi w nim nie pasuje. Kto by się ubierał w czystą koszulę i krawat do sprzątania kościoła?

– To nie zbrodnia ubierać się niestosownie do pracy. Gdyby tak było, dawno by cię aresztowano.

Posłał jej mało przyjazne spojrzenie, lecz nie potrafił ukryć uśmiechu.

– Późno już. Jesteśmy oboje umęczeni. Może byśmy się trochę przespali? – zaproponował, opróżniając kieliszek i odstawiając go na podłogę. Wyciągnął nogi pod kołdrą. Sięgnął po pilota, który leżał na brzegu stolika, nacisnął kilka guzików i światła przygasły. Uśmiechnęła się na widok tej praktycznej zabawki, niewątpliwie wielce przydatnej podczas swawoli przy kominku. I nagle się zasmuciła, że jej to nie dotyczy.

– Powinnam wrócić do hotelu.

– Przestań, O'Dell. Ciuchy ci nie wyschły. A na wszystkim masz metkę: „Pranie na sucho". Nie mogłem ich wcisnąć do suszarki. Jeśli to cię martwi, to wiedz, że jestem kompletnie wykończony i nie mam nawet siły ani na końskie, ani nawet na motyle zaloty. – Ułożył się wygodnie na poduszkach blisko Maggie.

– Nie, to nie to – powiedziała, zastanawiając się, dlaczego sama nie jest wystarczająco zmęczona. Każdy jej mięsień, każde zakończenie nerwu odbierało sygnały z jego ciała. Czy w ogóle by się opierała, gdyby spróbował się zbliżyć? Nic już w niej nie zostało z uczuć, jakimi kiedyś darzyła Grega? Co się z nią właściwie dzieje? To więcej niż niepokojące. – Źle sypiam, mogę ci przeszkadzać.

– Czemu źle sypiasz? – Zsunął się, muskając jej ramię. Zamknął oczy. Zauważyła jego długie rzęsy. Co się kłębiło w tej jego głowie? Bo że się kłębiło, to pewne.

– Już ponad miesiąc nie mogę spać. A jeśli uda mi się zasnąć, mam koszmary.

Spojrzał na nią, nie podnosząc głowy z poduszki.

– Nietrudno o koszmary, jak się widzi te wszystkie rzeczy. Musiałaś zauważyć, że nie przyglądałem się długo ciału Matthew. Stało się coś szczególnego?

Popatrzyła na niego. Leżał skulony pod kołdrą. Mimo ciemnego zarostu miał w sobie coś chłopięcego. Podniósł się na łokciu, poły jego na pół rozpiętej koszuli rozsunęły się i w jednej chwili zniknął gdzieś mały chłopiec. Maggie nagle wyobraziła sobie, że wkłada rękę pod koszulę Nicka. Musiała powściągnąć fantazję. Ośmiesza się. Nagle uprzytomniła sobie, że Nick czeka na jej odpowiedź.

– Czy coś się stało? – powtórzył pytanie.

– Nic takiego, o czym chciałabym rozmawiać.

Patrzył na nią, jakby starał się ją przejrzeć. Potem usiadł.

– Chyba mam lekarstwo na koszmary. Na Timmy’ego zawsze działa.

– Czyli nie brandy.

– Nie. – Uśmiechnął się. – To całkiem niewinny sposób. Otóż zasypiając, trzeba się do kogoś mocno przytulić.

Spotkali się wzrokiem.

– Nick, to nie jest dobry pomysł.

Spoważniał.

– Maggie, to nie jest tani chwyt. Chcę ci pomóc. Pozwolisz mi? Masz coś do stracenia?

Milczała. Zbliżył się. Powoli obejmował ją, dając jej możliwość, by się wycofała. Jednak ani drgnęła. Położył rękę na jej ramieniu i lekko przyciągnął do siebie, aż jej twarz znalazła się na jego piersi. Słyszała bicie jego serca. Jej było tak hałaśliwe, że z trudnością odróżniała jedno od drugiego. Miękko otarła się policzkiem o Nicka. Delikatnie przylgnęła do niego, jeszcze bardziej rozchylając koszulę.

– Zrelaksuj się – powiedział cicho Nick. – Wyobraź sobie, że jestem murem, który cię chroni przed wszystkim, co mogłoby cię zaatakować. Nawet jeśli nie będziesz mogła zasnąć, zamknij oczy i odpoczywaj.

Jak mogła spać, kiedy jej ciało ożyło, ogarnięte ogniem jego dotyku?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Po przebudzeniu Maggie czuła się jak na kacu. Nogi i ręce ciążyły jej jak kamienie. Przemarzła. Ogień w kominku dawno wygasł. Nicka nie było obok niej. Wypatrzyła go na otomanie. Spał.

Zauważyła błysk światła za oknem. Usiadła. Znowu to samo. Jakiś cień z latarką minął okno. A więc śledził ich, jechał za nimi znad rzeki.

– Nick – szepnęła, ale się nie poruszył. Myśli jej się kotłowały. Gdzie zostawiła broń? – Nick – spróbowała znowu. Żadnej odpowiedzi.

Cień zniknął. Podczołgała się do schodów, cały czas patrząc na okno. Pokój rozjaśniała jedynie księżycowa poświata. Kiedy przyjechali, wyciągnęła rewolwer, idąc na górę. Położyła go na stoliku obok schodów. Stolik zniknął, nie mogła go nigdzie dostrzec. Krążyła wzrokiem po mrocznym pomieszczeniu.

Wówczas usłyszała dźwięk klamki. Nerwowo szukała czegokolwiek ostrego lub ciężkiego, czym mogłaby się obronić. Klamka zaskrzypiała, ale nie puściła. Drzwi były zamknięte na klucz. Maggie wyciągnęła rękę po lampkę z ciężką metalową podstawą. Wytężyła słuch.

Na kolanach wróciła do otomany.

– Nick – szepnęła i potrząsnęła nim. – Nick, obudź się. – Szturchnęła go za ramię. Jego ciało stoczyło się ku niej,

waląc się na podłogę. Miała ręce we krwi. Spojrzała na niego. O Boże, dobry Boże. Zatkała usta zakrwawionymi rękami. Patrzyły na nią niebieskie, zimne i puste oczy Nicka. Krew zabarwiła przód jego koszuli. Miał podcięte gardło, otwarta rana wciąż krwawiła.

Potem zobaczyła znowu błysk światła. Cień był za oknem, stał tam, patrząc na nią z wyczekującym uśmiechem. Znała tę twarz. To był Albert Stucky.

Obudziła się, machając bezładnie rękami. Nick chwycił jej nadgarstki, bo okładała go pięściami. Próbowała złapać oddech. Trzęsła się i wiła w dzikich, niekontrolowanych konwulsjach.

– Maggie, już dobrze. – Jego głos był łagodny, zarazem jednak przerażony. – Jesteś bezpieczna.

Znieruchomiała, choć wciąż drżała. Spojrzała Nickowi w oczy. Były niebieskie, ciepłe, zatroskane. I żywe. Ogień huczał w kominku, liżąc potężne polana. Pokój oświetlało ciepłe, żółte światło płomieni. Za oknem śnieg przeglądał się w szybie. Nie było żadnej latarki. Żadnego Alberta Stucky’ego.

– Już w porządku, Maggie? – Przyciskał do piersi jej zaciśnięte pięści, gładząc je pieszczotliwie.

Ponownie spojrzała mu w twarz. W jej oczach pojawiło się wielkie zmęczenie.

– Nie udało się – szepnęła. – Oszukałeś mnie.

– Przepraszam. Zasnęłaś tak spokojnie. Może trzymałem cię zbyt słabo. – Uśmiechnął się.

Rozluźniła palce. Nie przestawał pieścić jej dłoni, potem przedramion, łokci, sunął dłońmi wysoko pod szerokimi rękawami szlafroka. Aż do jej ramion, a potem znów w dół. Centymetr po centymetrze rozgrzewał ją. Ale chłód był głębiej, zakradł się w jej żyły.

Oparła się o niego. Promieniał żarem. Otarła policzek o jego ciepłą bawełnianą koszulę. Wciąż za mało. Uniosła się, żeby swobodnie rozpiąć mu do końca koszulę. Unikała jego wzroku, czuła, jak bardzo jest napięty. Nick nie ruszył się. Może nawet nie oddychał. Z trudem powstrzymała się, żeby nie dotknąć jego włosów. Przytuliła tylko do niego policzek, słuchając znów jego serca i pozwalając się ogrzać jego ciepłem. Miała nadzieję, że Nick ją zrozumie.

Trząsł się, chociaż nie było zimno. Potem poczuła, że się uspokoił. Trochę szybciej oddychał, ale starał się to poskromić. Objął ją w pasie, nie pozwalając sobie na żadną pieszczotę, żaden ruch. Po prostu trzymał ją blisko i tym razem bardzo mocno.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Christine wstrzymała oddech i dwa razy kliknęła polecenie „Wyślij”. Maszyna drukarska czekała na ten tekst, bez niego gazeta nie miała prawa się ukazać. W najśmielszych marzeniach Christine nie wyobrażała sobie, że zajdzie tak daleko.

Była wyczerpana, ale adrenalina utrzymywała jej umysł w dobrej formie i pozwalała palcom fruwać po klawiszach. Wreszcie Christine mogła wyłączyć laptop. Ni w ząb nie rozumiała nowoczesnej technologii, ale była jej wdzięczna. Dzięki niej Timmy spał sobie smacznie, a ona tłukła już piąty z kolei artykuł na pierwszą stronę. Zastanawiała się, jaki jest rekord pod tym względem w „Omaha Journal”.

Zerknęła na zegarek. Gazeta trafi w miasto z godzinnym opóźnieniem, ale Corby i tak był zadowolony. Przełknęła ostatni łyk kawy. Nie mogła uwierzyć, że przeszła przez to bez jednego papierosa.

Ściągnęła laptop z biurka, zrzucając przy okazji na podłogę stos kopert. Kiedy je wszystkie zebrała, jej duma gdzieś się rozpłynęła. Kilka kopert zawierało rachunki, których nie miała czym zapłacić. Jeden list był z Departamentu Stanu Nebraska. Nie otworzyła go do tej pory. Zawierał formularze poskładane na trzy ze staromodną niebieską bibułką między poszczególnymi kopiami. Jak mogła ufać państwu, które wciąż używa

bibułek? Ten system miał wyśledzić jej męża i zmusić go do płacenia alimentów? Wystarczy, że Bruce ją oszukał. Ale jak może oszukiwać syna? Nie podobało jej się, że Timmy nie spotyka się z własnym ojcem, że ona nie może się z nim w żaden sposób skontaktować. A wszystko dlatego, że Bruce nie ma ochoty płacić alimentów.

Wepchnęła koperty za lampę. Jej sukces przyniósł tylko niewielką podwyżkę pensji. Minie sporo czasu, zanim odczuje prawdziwą różnicę.

Mogłaby sprzedać dom. Klapnęła na sofę i rozejrzała się po pokoju. Sama go wytapetowała. Zerwała zapleśniałe wykładziny i wyczyściła bardzo zapuszczoną drewnianą podłogę. Za oknem było podwórko, które znała co do centymetra. Zamieniła marne krzewy na piękne róże, wyłożyła cegłami ścieżkę. Powstało cudowne miejsce do odpoczynku. Jak można od niej wymagać, żeby się tego pozbyła? Poza Timmym ten dom stanowił wszystko, co posiadała.

Nick tego nie rozumiał, nie potrafił. Pnąc się w górę, nie zamierzała go zniszczyć. Chciała tylko uratować siebie. Po raz pierwszy robiła coś na własny rachunek, nie jako córka Tony’ego Morrellego, żona Bruce’a Hamiltona czy mama Timmy’ego, ale jako Christine Hamilton. To było fajne uczucie.

Żałowała tych wszystkich lat, kiedy harowała dla rodziny i przyjaciół. Grała rolę wspierającej żony i dobrej matki. Obsesyjnie dbała, żeby Bruce był szczęśliwy. Przez długi, koszmarny rok żyła ze świadomością, że mąż ma kochankę.

Z bólem patrzyła na rachunki z kart kredytowych za hotele, w których nigdy nie była, i kwiaty, których nigdy nie otrzymała. To tylko pogłębiło jej obsesję. Jeśli jej mąż ma romans, musiała być to jej wina. Czegoś jej brakowało, czegoś nie była w stanie mu dać.

Teraz z zażenowaniem myślała o drogiej bieliźnie z Victoria’s Secret, którą kupowała, żeby zwabić męża do domu. Kochali się krótko i gwałtownie, zresztą nigdy nie było pod tym względem najlepiej. Wbijał się w nią, jakby karał ją za własne grzechy, potem staczał się na bok i zasypiał. Zbyt wiele nocy wyskakiwała z łóżka, gdy tylko usłyszała jego chrapanie. Uciekała do łazienki i płakała pod prysznicem. Nawet gorąca woda nie pomagała jej się pozbierać. Oczywiście to z jej winy miłość kompletnie wyparowała z ich związku.

Christine skuliła się na sofie i przykryła pledem. Czuła dreszcze. Nie była już słabą żoną, którą nieustannie prześladują obsesje. Była dziennikarką, która odniosła sukces. Zamknęła oczy. Na tym musi się teraz skoncentrować, na sukcesie. Nareszcie, po tylu błędach i upadkach.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Środa, 29 października

Maggie zaproponowała, że będzie towarzyszyć Nickowi u Michelle Tanner, ale uparł się, że pojedzie sam. Podrzucił ją po drodze do hotelu. Niezależnie od ich bliskości, a może z jej powodu, Maggie poczuła ulgę, kiedy znalazła się sama. Popełniła błąd, pozwalając na taką intymność. Zła i rozczarowana własnym postępowaniem, jadąc z Nickiem do miasta, ukarała go milczeniem.

Jej obowiązkiem jest praca, rzetelna praca, a żeby tak było, musi zachować dystans. W końcu jest agentką FBI i jako taka zrobiła wielkie głupstwo, angażując się emocjonalnie, i to nie tylko w związek z jedną osobą, ale w życie całej społeczności. To prosta droga, żeby stracić ostrość spojrzenia i obiektywizm. Była świadkiem takich przypadków. Jako kobieta nie powinna zbliżać się do Nicka Morrellego, faceta, który wyposażył swój dom w masę romantycznych pułapek dla swoich jednodniowych kochanek. Poza tym była mężatką i nie liczyło się w tym wypadku, który stopień szczęścia małżeńskiego osiągnęła. Powtarzała sobie to wszystko, żeby usprawiedliwić swoją rezerwę i rozgrzeszyć się z winy.

Wilgotne ubranie cuchnęło rzecznym błotem i zaschniętą krwią. Spod podartych rękawów żakietu i bluzki wyglądało

zranione ramię. Kiedy weszła do hotelu, młody recepcjonista podniósł wzrok, a wyraz jego twarzy w jednej sekundzie z ukłonu: „Dzień dobry” zmienił się w przerażone spojrzenie: „O mój Boże”.

– A niech to, pani O’Dell, nic pani nie jest?

– Nic. Są dla mnie jakieś wiadomości?

Odwrócił się z niezdarnością nastolatka do regału z przegródkami na korespondencję.

Śnieg, którego przez noc napadało co najmniej z piętnaście centymetrów, przywarł do spodni Maggie i nasypał się do butów. Była przemarznięta, wykończona, zła i obolała.

Chłopak wręczył jej sześć różowych karteczek i małą zaklejoną kopertę z napisem „Agentka Specjalna O’Dell”, starannie wykaligrafowanym niebieskim atramentem.

– Co to jest? – Uniosła wyżej kopertę.

– Bo ja wiem. Znalazłem ją na podłodze z poranną pocztą.

Udała, że to nic ważnego.

– Można tu gdzieś u was kupić płaszcz, sweter i ciepłe buty?

– Raczej nie. Jakieś półtora kilometra na północ jest sklep Johna Deere’a, ale tam są tylko męskie rzeczy.

– Mogłabym prosić pana o przysługę? – Wyciągnęła pięciodolarowy banknot. – Mógłby pan zadzwonić do tego sklepu i poprosić, żeby dostarczyli mi kurtkę? Nieważne jaką, byle była ciepła i nie za duża.

– A buty? – Zapisał jej prośbę w bloku leżącym na ladzie recepcji.

– Tak, proszę spytać, czy mają jakiś rozmiar zbliżony do damskiej szóstki. Fason też nieważny, byle nadawały się do chodzenia po śniegu.

– Rozumiem. Ale wątpię, żeby otwierali przed ósmą czy dziewiątą.

– Nie szkodzi. Będę całe rano w pokoju. Proszę dać mi znać, kiedy ktoś od nich przyjedzie, żebym mogła się rozliczyć.

– Coś jeszcze? – spytał, jakby nagle zapragnął uczciwie zarobić na swoją piątkę.

– Macie tu obsługę hotelową?

– Nie, ale jak pani chce coś z „Wanda's Diner", zaraz pani zamówię. Możemy to pani dopisać do rachunku, a dostarczają za darmo.

– Świetnie. Zjadłabym solidne śniadanie. Jajecznicę, parówkę, tosty, sok pomarańczowy. Zapytaj, czy mają tam cappuccino.

– Zrobione. – Był zadowolony. Potraktował jej prośby tak poważnie, jakby dała mu oficjalne zlecenie z ramienia FBI.

Maggie ruszyła w dół holu, kiedy coś ją zatrzymało.

– Hej, jak się nazywasz?

Spojrzał zdumiony i ciut przestraszony.

– Calvin. Calvin Tate.

– Dziękuję, Calvin.

Znalazłszy się w swoim pokoju, Maggie zrzuciła natychmiast zaśnieżone buty i wydostała się ze spodni. Przekręciła termostat na dwadzieścia pięć stopni, zdjęła żakiet i bluzkę. Tego ranka bolały ją wszystkie mięśnie, od

karku po łydki. Zaczęła delikatnie rozcierać zranione ramię, chwilę czekała, aż minie atak bólu, a kiedy nie mijał, rozcierała na nowo.

Poszła do łazienki i odkręciła prysznic. Usiadła na brzegu wanny, czekając na gorącą wodę, i zabrała się do przeglądania wiadomości, które były zanotowane dwoma charakterami pisma. O jedenastej dzwonił dyrektor Cunningham, nie zaznaczono jednak, czy była to jedenasta przed południem, czy w nocy. Czemu nie zadzwonił na jej komórkę? Cholera, wyleciało jej z głowy. Musi złożyć raport o zaginięciu telefonu komórkowego i zdobyć nowy.

Trzy wiadomości pochodziły od Darcy McManus z Kanału Piątego. Recepcjonista, z pewnością przejęty telefonem z telewizji, tym razem dokładnie zanotował czas. Każda z wiadomości zawierała nowy skład szczegółowych instrukcji, gdzie i kiedy można złapać McManus pod telefonem. Był tam jej służbowy numer i domowy, numer komórki oraz adres e-mailowy. Dwie wiadomości zostawił doktor Avery, terapeuta matki Maggie, obie późnym wieczorem, z prośbą o jak najszybszy kontakt.

Maggie zgadywała, że zaklejona koperta pochodzi od nieustępliwej pani McManus. Zza zasłony prysznica buchała para. W hotelach woda była zazwyczaj co najwyżej ciepła. Maggie wstała, żeby zakręcić kurek, i zatrzymała się przed lustrem. Jej odbicie znikało za mgłą. Przeciągnęła otwartą dłonią po gładkiej powierzchni, by zobaczyć zranione ramię. Trójkątna rana odbijała się krwawą czerwienią od białej skóry. Zdarła opatrunek Nicka,

odkrywając cięcie długie na pięć do siedmiu centymetrów, pomarszczone i pomazane krwią. Na pewno zostanie blizna. Wspaniale. Będzie pasować do starych blizn.

Maggie odwróciła się, podnosząc miseczkę biustonosza. Pod lewą piersią zaczynała się kolejna poszarpana, czerwona szrama, dopiero co zagojona. Ciągnęła się dziesięć centymetrów w dół przez brzuch. To był prezent od Alberta Stucky'ego.

– Masz szczęście, że cię nie wypatroszyłem.

Pamiętała, jak to mówił, przeciągając nożem po jej skórze, tnąc tak uważnie, żeby przeciąć tylko zewnętrzną warstwę. Nic wtedy nie czuła, była zbyt odrętwiała i wycieńczona. Przygotowana na śmierć.

– Będziesz wciąż żyła – obiecał – kiedy zacznę jeść twoje flaki.

Od tamtej pory nic nie mogło jej zaszokować. Patrzyła, jak kroił dwie kobiety, odcinał im sutki i łechtaczkę, a one krzyczały wniebogłosy, ogłuszająco, potwornie. Potem je patroszył, a następnie zgniatał ich czaszki. Nie, niczym już nie mógł jej zaszokować. Ale za to pozostawił obraz swojej twarzy, który nigdy nie opuszczał jej pamięci.

Maggie nie miała ochoty, żeby jej ciało zamieniło się w szramy i blizny. Wystarczy, że umysł był wytatuowany obrazami.

Potarła twarz dłońmi, potem wsunęła je we włosy i przyglądała się swojemu odbiciu. Zaskoczyło ją, że wygląda jak mała, bezbronna dziewczynka. Przecież nic się nie zmieniło. Wciąż jest stanowczą, odważną kobietą, którą

była, kiedy przed ośmiu laty rozpoczynała naukę w Akademii. Być może nieustająca walka troszkę ją zmęczyła i lekko pokiereszowała, ale w jej oczach była ta sama determinacja. Wciąż ją dostrzegała przez zasłonę gorącej pary, za horrorami, których była świadkiem. Albert Stucky to tylko przejściowa komplikacja, kłoda na drodze, którą trzeba pokonać lub obejść, ale od której nie można uciec.

Rozpięła stanik, zsunął się na podłogę. Ściągając majtki, przypomniała sobie o kopercie, która leżała na stosie innych wiadomości rozrzuconych na półce przy kranie. Wyjęła z niej kartkę. Zerknęła na duże litery i serce zaczęło jej bić mocniej. Chwyciła się półki, żeby utrzymać równowagę, po czym poddała się i ześliznęła na mokrą kafelkową posadzkę. Tylko nie to. To nie może się powtórzyć. Nie pozwoli na to. Podciągnęła kolana pod brodę, uciszając w ten sposób narastający lęk.

Powtórnie przeczytała ostatnią wiadomość:

Czy twoja matka będzie potrzebowała niedługo ostatniego namaszczenia?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Było tak wcześnie, że trudno było spodziewać się ruchu. Nick pozwalał więc swojemu dżipowi na ekstrawaganckie ślizgi i skróty. Latarnie uliczne jeszcze nie wygasły, a gruba masa śniegowych chmur nie pozwalała wychynąć słońcu.

Nick włączył radio i znalazł stację KRAP, która reklamowała się hasłem: „Wiadomości co dnia przez cały dzień”.

Nie miał najmniejszej ochoty informować Michelle Tanner o losie jej syna. Pragnął, by tamte obrazy zniknęły z jego pamięci, bo inaczej nie będzie mógł pomóc pani Tanner. One muszą zniknąć. Starał się myśleć o Maggie. Nigdy z żadną kobietą nie czuł się tak rozkosznie niewygodnie, a jego doświadczenie w tym względzie było nadzwyczaj bogate. Agentka O’Dell kompletnie zawróciła mu w głowie. Sądził, że żadnej się to nie uda. Na domiar złego Maggie nie miała najmniejszego zamiaru okrasić ich kontaktów choćby odrobiną erotyzmu, co potwornie go drażniło i jeszcze bardziej nakręcało. Nie mógł wymazać z pamięci jej policzka na swojej piersi, nie mógł zapomnieć jej oddechu na swojej skórze. Nie chciał tego zapomnieć. Zapach jej włosów, dotyk jej skóry, bicie jej serca. To jakaś ironia, to zbrodnia, że jedyna kobieta, która przywróciła go do życia, jest dla niego niedostępna.

Wjechał w ulicę, przy której mieszkała Michelle Tanner, w chwili gdy prowadzący w radio wyjaśniał, że burmistrz Rutledge odwołuje uroczyste obchody Halloween z powodu śniegu, który ma ponoć padać przez cały dzień.

– Ma szczęście, drań. – Nick uśmiechnął się i potrząsnął głową.

Wjechał na podjazd Tannerów, o mało nie pakując się w tył furgonetki. Dopiero przed drzwiami zauważył znak KRAP Radio, ukryty częściowo pod śniegiem. Wnętrzności skręcił mu lęk. Było zdecydowanie za wcześnie na rozmowę o niczym. Zapukał. Nikt nie odpowiedział. Nick otworzył i mocno zastukał w wewnętrzne drzwi.

Otworzyły się niemal natychmiast. Drobna siwowłosa kobieta zaprosiła go do salonu. Potem dołączyła do nich, siadając obok Michelle Tanner na sofie. Wysoki łysy mężczyzna z magnetofonem siedział na wprost nich. W kuchennych drzwiach stał facet o szerokich barach, obcięty po wojskowemu, z potężnymi łapskami. Wyglądał znajomo. Rozglądając się szybko, Nick uświadomił sobie, że to pewnie eksmąż, ojciec Matthew. W domu wciąż były oprawione fotografie z lepszych czasów, na których byli wszyscy troje.

Z kuchni dochodziły jakieś głosy i stuk naczyń. Aromat świeżo parzonej kawy mieszał się z zapachem topionego wosku. Rząd świec palił się na półce nad kominkiem obok fotografii Matthew i małego krzyżyka.

– Czy to prawda? – Michelle Tanner podniosła na niego wzrok, jej oczy były czerwone i podpuchnięte. – Znaleźliście

ciało w nocy?

Wszystkie oczy zwróciły się na niego w oczekiwaniu. Jezu, jak tam było gorąco. Nick poluzował krawat.

– Skąd pani się dowiedziała?

– A jakie to ma, kurwa, znaczenie? – rzucił ojciec Matthew.

– Douglas, proszę. – Stara kobieta skarciła go. – Pan Melzer z radia powiedział, że piszą o tym w porannym „Omaha Journal”.

Melzer wyciągnął rękę z gazetą. Na pierwszej stronie dużymi literami stało jak byk:

Znaleziono drugie ciało.

Nick nie musiał sprawdzać podpisu. Ogarnęła go panika. Christine znowu mu to zrobiła.

– Tak, to prawda – wykrztusił. – Przykro mi, że nie zjawiłem się wcześniej.

– Nigdy pan nie nadąża, co, szeryfie?

– Douglas – powtórzyła stara kobieta.

– Czy to on? – Michelle spojrzała na Nicka błagalnie, z nadzieją.

Myślał, że to oczywiste. Ale ona chciała to usłyszeć. Jakże tego nienawidził! Wsunął ręce do kieszeni kurtki i zmusił się, żeby patrzeć jej w oczy.

– Tak, to Matthew.

Michelle padła w ramiona starej kobiety, kołysały się w tę i z powrotem.

Dwie inne kobiety wyłoniły się z kuchni. Widząc Michelle, wybuchnęły płaczem i objęły się. Melzer popatrzył na nie,

potem zerknął na Nicka, zebrał swoje zabawki i cicho się wyniósł. Nick chciał pójść w jego ślady. Nie wiedział, co robić. Douglas Tanner nie spuszczał z niego wzroku, opierał się o ścianę i czerwony ze złości zaciskał pięści.

Nagle trzema susami przyskoczył do niego. Nick nie widział lewego sierpowego, dopóki nie dostał w szczękę. Wpadł na biblioteczkę, posypały się książki. Zanim odzyskał równowagę, Douglas Tanner zaatakował ponownie, celując pięścią w jego żołądek. Nick łapał oddech i potknął się, padając na kolana. Stara kobieta krzyknęła na Douglasa. Atak uciszył płacz, kobiety patrzyły, szeroko otwierając oczy.

Nick potrząsnął głową i zaczął piąć się do góry, kiedy spostrzegł zamazaną plamę pięści, która znowu się na niego zamierzała. Chwycił Tannera za rękę, ale zamiast mu ją wykręcić, pchnął go do tyłu. Pewnie zasłużył sobie na to bicie.

Wówczas przed oczami błysnął mu metal. Tanner rzucił się na niego, próbując dźgnąć go nożem w bok. Nick uskoczył i chwycił za broń. Tanner zamarł z nożem myśliwskim ściskanym fachowo w lewej ręce i spojrzeniem, które mówiło, że miał zamiar go użyć.

Stara kobieta podniosła się z sofy i spokojnie podeszła do Douglasa Tannera. Odebrała mu nóż. Potem zdumiała wszystkich, policzkując, jak się okazało, syna.

– Cholera jasna, mamo! Co jest, kurwa? – Stał jednak nieruchomo, czerwony, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała.

– Jestem już chora od twoich ciągłych bójek. Zbyt długo siedziałam i patrzyłam na to w milczeniu. Nie możesz tak traktować ludzi, ani swojej rodziny, ani obcych. A teraz przeproś szeryfa Morrellego.

– Ani myślę, kurwa. Gdyby się nie opierdalał, Matthew byłby żywy.

Nick przetarł oczy. W dalszym ciągu miał zamazany obraz. Warga mu krwawiła, wytarł ją grzbietem dłoni. Odłożył rewolwer, ale wciąż opierał się o biblioteczkę, mając nadzieję, że przestanie mu dzwonić w głowie.

– Douglas, przeproś. Chcesz zostać aresztowany za napad na przedstawiciela prawa?

– Nie musi przepraszać – przerwał Nick. Czekał, aż pokój przestanie się kręcić jak karuzela. – Pani Tanner – zaczął, porzucając wsparcie biblioteczki i szukając wzrokiem oczu kobiety, aż wreszcie dostrzegł je przez mgłę. – Bardzo mi przykro z powodu Matthew. Proszę wybaczyć, że czekałem do rana, aby panią zawiadomić. Nie miałem zamiaru w żaden sposób pani obrażać ani lekceważyć. Sądziłem, że lepiej będzie, jeżeli dowie się pani o tym, mając przy sobie rodzinę i przyjaciół. Nie chciałem dobijać się do pani domu w środku nocy. Obiecuję pani, że znajdziemy człowieka, który to zrobił.

– Na pewno, szeryfie – rzekł Douglas Tanner zza pleców Nicka. – Tylko ilu chłopców jeszcze zabije, zanim go pan znajdzie?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Nikt nie musiał mu nic mówić, bo Timmy i tak wiedział. Wiedział, że Matthew nie żyje, tak samo jak Danny Alverez. To dlatego wujek Nick i agentka O'Dell nagle wyszli od nich poprzedniego wieczoru. To dlatego mama wysłała go wcześniej do łóżka. Dlatego siedziała prawie do świtu, pisząc do gazety na swoim nowym laptopie.

Wstał z łóżka wcześnie rano i usłyszał w radio, że szkoła będzie zamknięta. Napadało już z piętnaście centymetrów śniegu i wciąż miało padać. Świetnie będzie się kopać tunele w śniegu. Mama co prawda pozwalała mu jeździć tylko na tych głupich plastikowych sankach. Były jasnopomarańczowe i na śniegu wyglądały jak pojazd ratunkowy.

Mama spała na sofie, zwinięta i zaplątana w koc babci Morrelli. Zaciśnięte w pięści dłonie trzymała pod brodą. Sprawiała wrażenie potwornie zmordowanej, dlatego Timmy poszedł do kuchni na palcach, żeby jej nie obudzić.

Poszukał w radio stacji z wiadomościami, a nie jakiejś głupiej muzyki, której słuchała mama. Nazywała ją romantycznym rockiem. Czasami zachowywała się jak skończona staruszka. Nadawano właśnie informacje dotyczące szkoły, dlatego Timmy pogłośnił radio, żeby mu nic nie umknęło, kiedy będzie przygotowywał śniadanie.

Nie chciało mu się przysuwać krzesła do szafki. Wyciągnął miskę z półki, stając na drugiej szufladzie od dołu. Wkurzało go, że jest taki mały. Był niższy od wszystkich chłopaków w swojej klasie, a nawet od niektórych dziewczyn. Wujek Nick uspokajał go, że kiedyś wystrzeli w górę i wszystkich prześcignie, ale Timmy jakoś nie spodziewał się tego w najbliższym czasie.

Ze zdziwieniem znalazł nieotwarte pudełko chrupiących płatków Cap'n Crunch, leżące między Cheerios i Grape-Nuts. Musieli je rzucić na wyprzedaży albo mama nie miała pojęcia, co kupuje. Nigdy nie kupowała mu tego, co dobre. Chwycił pudełko i otworzył, żeby nie zdążyła zareagować na swój błąd, i nasypał płatków do miski, wypełniając ją po brzegi. Sporo schrupał na sucho, a resztę zalał mlekiem. Spiker w radio ogłosił właśnie:

– Szkoła podstawowa i gimnazjum w Platte City będą dziś zamknięte.

– Hurra – szepnął, ledwo powstrzymując głośny wybuch radości. Następnego dnia i w piątek miał się odbyć zjazd nauczycieli, co znaczyło, że czeka ich pięć dni laby. Hurra, całe pięć dni! Potem przypomniał sobie o wycieczce z namiotami i jego radość przycichła. Czy ksiądz Keller odwoła wyjazd z powodu śniegu? Miał nadzieję, że nie.

– Timmy? – Owinięta pledem mama wparowała do kuchni. Śmiesznie wyglądała taka zaspana i potargana. – Zamknęli szkołę?

– No. Pięć dni laby. – Usiadł i nabrał pełną łyżkę płatków, zanim mama zobaczy, że to Cap'n Crunch. – Ale chyba

pojedziemy na wycieczkę? – zapytał z pełną buzią, wykorzystując fakt, że mama jest zbyt zmęczona, by dbać o jego maniery.

Christine zabrała się do robienia kawy, tłukąc się po kuchni. O mało nie potknęła się o wysunięte szuflady. Zamknęła je bez komentarza.

– Nie wiem, Timmy. To dopiero październik. Jutro może być 15 stopni i śnieg zniknie. Co mówią w radio o pogodzie?

– Na razie tylko, że zamykają szkoły. Fajnie byłoby rozbić obóz na śniegu.

– Byłoby zimno i głupio.

– Mama, w ogóle nie czujesz przygody.

– Na pewno nie takiej, przez którą złapiesz zapalenie płuc. I tak ciągle chorujesz, łatwo się zaziębiasz. Nie wystarczy ci?

Chciał jej przypomnieć, że nie chorował od zeszłej zimy, ale wtedy zaczęłaby marudzić, że przychodzi poobijany z boiska.

– Mogę iść dzisiaj na sanki z chłopakami?

– Tylko ciepło się ubierz. I pamiętaj, masz zjeżdżać tylko na sankach. Żadnego szusowania na pupie.

Skończyły się komunikaty dotyczące szkół i spiker przeszedł do kolejnych wiadomości. Wtedy Christine jeszcze bardziej pogłośniła odbiornik, a spiker powiedział:

– Według porannego wydania „Omaha Journal” w pobliżu Platte River znaleziono tej nocy ciało kolejnego

zamordowanego chłopca. Biuro szeryfa potwierdziło informację, że chłopiec ten to Matthew Tanner, który...

Wyłączyła radio. W kuchni zapanowała martwa cisza. Christine stała plecami do syna, udając, że zaciekawiło ją coś za oknem. Ekspres szumiał, potem zaczął swoje rytualne gulgotanie. Łyżka Timmy'ego stukała o miskę. Kawa przyjemnie pachniała, jak działo się to każdego ranka. Chłopiec pomyślał, że wprost nie wyobraża sobie początku dnia bez tego zapachu.

– Timmy. – Mama obeszła stół i usiadła naprzeciw niego. – Ten pan w radio powiedział prawdę. W nocy znaleziono Matthew.

– Wiem – rzekł, nie przerywając jedzenia, chociaż płatki nagle przestały mu smakować.

– Wiesz? Skąd wiesz?

– Domyśliłem się, jak wujek Nick i agentka O'Dell wyszli wczoraj tak szybko. Mieli bardzo zmartwione miny. No a ty pracowałaś całą noc.

Wyciągnęła rękę przez stół i odgarnęła mu włosy z czoła.

– Boże, jak ty szybko dorastasz.

Głaskała jego policzek. W miejscu publicznym nie pozwoliłby jej na to, ale tutaj niech sobie będzie. Nawet chyba to lubił.

– Skąd masz Cap'n Crunch?

– Ty kupiłaś. Były schowane między innymi płatkami. – Po raz drugi napełnił miskę, mimo że coś jeszcze zostało na dnie, na wypadek gdyby chciała mu odebrać pudełko.

– Musiałam je wziąć przez pomyłkę.

Kawa była gotowa. Christine wstała, zostawiając pled na oparciu krzesła, a pudełko na stole.

– Mama, co się czuje po śmierci?

Rozlała kawę po całym kuchennym blacie. Szybko chwyciła ścierkę, żeby brunatny płyn nie ściekł na podłogę.

– Przepraszam – powiedział, zdając sobie sprawę, że zamieszanie powstało z powodu jego pytania. Tak jednak już było, że dorośli całkiem tracili głowy, jak się wspomniało o śmierci.

– Naprawdę nie wiem, Timmy. To dobre pytanie dla księdza Kellera.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Śniadanie, które Maggie zamówiła z „Wanda's Diner", leżało nietknięte na stole. Dostarczono je zawinięte w aluminiową folię, w naczyniach z kamionki i w pojemniku z nierdzewnej stali. Nad talerzem unosiła się para, kiedy recepcjonista z dumą otwierał pakunek, jakby sam to wszystko przygotował.

Maggie była już stałą klientką „Wanda's Diner", mimo że ani razu nie odwiedziła tego lokalu. I chociaż żółciutka jajecznica, posmarowany masłem tost i świeże kiełbaski pachniały i wyglądały smakowicie, Maggie straciła apetyt. Ulotnił się w łazience, kiedy walczyła ze sobą, żeby nie ulec histerii. Napiła się tylko cappuccino. Jeden łyk. I podziękowała w duchu Wandzie, że mądrze zainwestowała w maszynę do robienia tej wyśmienitej kawy.

Laptop zajmował drugą część stołu. Maggie krążyła po pokoju, a komputer niemrawo łączył ją z główną bazą danych Quantico. Niestety i tak nie miała co liczyć na tajne informacje. FBI było sceptyczne, nie ufało modemom, i słusznie, bo były nieustannym celem hakerów.

Kilka razy próbowała połączyć się z doktorem Averym. Staromodny biurkowy telefon przykuł ją do łóżka, nie mogła więc spacerować podczas rozmowy, jak to miała w zwyczaju. Wyciągnęła się na twardym materacu. Po kąpieli nałożyła dżinsy i bluzę. Zmęczenie dawało się we

znaki, odebrało jej resztki sił. Nie mogła się pozbierać. Jak to możliwe, żeby jeden krótki list był w stanie wywołać takie przerażenie? Maggie otrzymywała już różne przesyłki od zbrodniarzy. Nie sprawiły na niej żadnego wrażenia, przyjmowała je z dobrodziejstwem inwentarza. Stanowiły część chorej gry, w której ona siłą rzeczy również uczestniczyła, tyle że z drugiej strony barykady. Grzebała w psychice mordercy i była przygotowana na to, że on zrobi to samo w stosunku do niej.

Jednak na liściki Alberta Stucky'ego reagowała dużo mocniej. Osobiście ją dotykały. Chryste, musi sobie wreszcie z tym poradzić. Stucky siedzi za kratkami i zostanie tam do dnia egzekucji. Nic jej nie grozi. Na szczęście temu liścikowi nie towarzyszył ucięty palec ani sutek. Poza tym zapakowała go dokładnie i wysłała już ekspresem do laboratorium w Quantico. Może ten nadawca-idiota przysłał jej własny list gończy, zostawiając na kopercie odciski palców albo ślinę.

Wieczorem będzie już na pokładzie samolotu, w drodze do domu, i ten bydlak nie będzie dalej bawił się z nią w swoją zwyrodniałą grę. Skończyła pracę, zrobiła więcej, niż od niej oczekiwano. Dlaczego więc ma poczucie, że ucieka? Bo właśnie to robi. Musi opuścić Platte City w stanie Nebraska, zanim morderca do końca zniszczy jej psychikę, która i tak jest w strzępach. Zrozumiała to, kiedy kuliła się ze strachu na podłodze w łazience.

Tak, musi wyjechać, i to szybko, jeszcze tego dnia, póki nad sobą panuje. Połączy kilka luźnych wątków i znika,

dopóki jeszcze jako tako się trzyma. Zanim zaczną puszczać jej ledwie ponakładane szwy.

Czekając, aż komputer połączy ją z inną linią, postanowiła szybko zadzwonić. Znalazła numer w książce telefonicznej i wykręciła go. Po kilku sygnałach odezwał się niski męski głos.

– Plebania św. Małgorzaty.

– Chciałabym rozmawiać z księdzem Francisem.

Nie potrafiła powiedzieć, czy głos, który słyszała, należy do Howarda.

– Mówi agentka specjalna Maggie O’Dell. Czy mam przyjemność z panem Howardem?

Nastąpiła krótka pauza. Nie odpowiadając na jej pytanie, mężczyzna rzekł:

– Chwileczkę.

Zabrało to kilka chwil. Zerknęła na ekran monitora. Wreszcie się połączyła. Niebieskie logo Quantico mrugało na ekranie.

– Pani O’Dell, miło mi panią znów słyszeć – odezwał się ksiądz Francis wysokim, śpiewnym głosem.

– Proszę księdza, czy pozwoli ksiądz, że zadam mu jeszcze kilka pytań?

– Tak, oczywiście. – W słuchawce rozległo się ciche klik-klak.

– Proszę księdza?

– Jestem.

Był też ktoś jeszcze. Ale nie zamierzała przez to rezygnować. Zada pytanie, niech się intruz poci.

– Może mi ksiądz coś powiedzieć na temat letniego obozu organizowanego przez kościół?

– Obóz letni? Tym się zajmuje ksiądz Keller, z nim może pani o tym porozmawiać.

– Tak, oczywiście. Zrobię to. Ale czy to był jego pomysł, czy może parafia św. Małgorzaty organizuje takie obozy od lat?

– Ksiądz Keller to zainicjował, kiedy do nas przyszedł. To było chyba w lecie 1990 roku. Odniósł wielki sukces. Cały czas prowadził dziennik obozu, tak samo robił w swojej poprzedniej parafii.

– Tak? A gdzie to było?

– Gdzieś w Maine. Zaraz, zwykle pamięć mnie nie zawodzi. Wood... Wood River. Tak, Wood River w stanie Maine. Mamy szczęście, że jest teraz z nami.

– Tak, jestem tego pewna. Bardzo chciałabym się z nim spotkać. Dziękuję za pomoc.

– Pani O'Dell – zatrzymał ją przy słuchawce. – Czy to wszystko, o co chciała mnie pani zapytać?

– Tak, bardzo mi ksiądz pomógł.

– Muszę przyznać, że zastanawiałem się, czy znalazła pani odpowiedzi na swoje poprzednie pytania. Chodzi mi o pani wątpliwości dotyczące Ronalda Jeffreysa.

Zawahała się. Nie chciała być niegrzeczna, ale nie miała zamiaru dzielić się swoją wiedzą z tym, kto ich podsłuchiwał.

– Tak, chyba już wszystko wiem. Jeszcze raz bardzo dziękuję.

– Pani O’Dell. – Ksiądz był wyraźnie zmartwiony, z jego głosu zniknęła śpiewna nuta. Jeśli Maggie się nie myliła, nagle się zdenerwował. – Chyba coś sobie przypomniałem, nie jestem tylko pewien, czy to ważne.

– Proszę księdza, nie mogę teraz rozmawiać. Czekam na ważny telefon – przerwała, zanim powiedział więcej. – Możemy się później spotkać?

– Tak, będzie mi miło. Rano udzielam sakramentu spowiedzi, potem udaję się do szpitala. Będę wolny dopiero po czwartej.

– Tak się składa, że ja też będę w szpitalu. Może spotkamy się tam w kawiarence o czwartej piętnaście?

– Oczywiście. Do widzenia, pani O’Dell.

Czekała, aż ksiądz odłoży słuchawkę, a potem usłyszała, jak robi to też ktoś inny. Nie myliła się. Ktoś ich podsłuchiwał.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Nick wpadł do swojego biura, trzaskając drzwiami, aż szyba zadźwięczała. Wszyscy obecni zamilkli w pół słowa albo zatrzymali się w pół kroku. Popatrzyli na niego, jakby zwariował. Zresztą sam tak się czuł.

– Słuchajcie! – wrzasnął, przekrzykując dzwonienie w uszach. Zaczekał na tych, którzy wychylili się z sali konferencyjnej z kubkami kawy i lukrowanymi pączkami. – Jeśli będzie jeszcze jeden przeciek z tego biura, osobiście wyleję osobę, która jest za to odpowiedzialna, i dopilnuję, żeby do końca życia nie dostała roboty w organach ścigania.

Szczęka bolała go jak diabli, zwłaszcza gdy zaciskał zęby. Koniuszkiem języka wyczuł ostry brzeg ukruszonego zęba. Krwawiący wciąż kącik ust wytarł rękawem koszuli.

– Lloyd, zbierz kilku ludzi i sprawdźcie wszystkie opuszczone stodoły w okolicy piętnastu kilometrów od Old Church Road. On tam gdzieś trzyma tych chłopców. Raczej nie w mieście. Hal, dowiedz się wszystkiego co możliwe o Rayu Howardzie. Jest kościelnym u św. Małgorzaty. I to nie tylko, skąd pochodzi i czy miał nieszczęśliwe dzieciństwo. Chcę znać rozmiar jego butów i wiedzieć, czy zbiera karty z baseballistami. Eddie, pogadaj z Sophie Krichek.

– Nick, żartujesz chyba. To wariatka.

– Jestem śmiertelnie poważny.

Eddie wzruszył ramionami i w lekkim uśmiechu skrzywił usta pod cienkimi jak ołówek wąsami. Ten uśmieszek Nick miał ochotę zeskrobać mu z twarzy.

– Zrób to zaraz, Eddie, i to tak, jakby twoja dalsza praca u mnie zależała od tego, ile się dowiesz. – Nie słysząc dalszych narzekań, kontynuował: – Adam, zadzwoń do George'a Tilliego i powiedz mu, że agentka O'Dell będzie mu dziś asystować przy autopsji Matthew. Potem zadzwoń do agenta Westona i zdobądź dowody, które zebrała jego ekipa. Chcę mieć zdjęcia i raporty na biurku przed pierwszą. Lucy, dowiedz się wszystkiego, co się da, o letnim obozie, który organizuje parafia św. Małgorzaty. Siądźcie z Max i pomyślcie, czy Aaron Harper i Eric Paltrow mają coś wspólnego z tym obozem.

– A Bobby Wilson? – Podniosła wzrok znad notatek.

Nick milczał, patrząc na ich twarze. Zastanawiał się, czy uda mu się wyłowić spośród nich judasza, czy ten ktoś w ogóle jeszcze pracuje u niego. Przed sześciu laty ktoś postarał się, żeby wyglądało na to, iż to Ronald Jeffreys zabił wszystkich trzech chłopców. Ktoś wziął majtki Erica Paltrowa z kostnicy i podrzucił je do bagażnika Jeffreysa wraz z innymi obciążającymi dowodami. To mógł być ktoś z biura szeryfa. Ktoś, kto wciąż tu pracuje. A jeśli tak, warto go postraszyć.

– Jeżeli znajdę w jutrzejszej gazecie najmniejszą wzmiankę o tym, co mówiłem, przysięgam, że wszystkich was wyrzucę. Ronald Jeffreys prawdopodobnie zabił tylko

Bobby’ego Wilsona. Facet, który zamordował Danny’ego i Matthew, to chyba ten sam łajdak, który zabił Erica i Aarona. – Wpatrywał się w twarze swoich podwładnych, zwłaszcza tych, którzy pracowali jeszcze z jego ojcem i razem z nim świętowali schwytanie Jeffreysa.

– O czym ty mówisz, Nick? – Lloyd Benjamin był jednym z nich. Teraz marszczył gniewnie czoło. – Chcesz powiedzieć, że spieprzyliśmy sprawę?

– Nie, Lloyd, nie spieprzyliście. Złapaliście Jeffreysa. Złapaliście mordercę. Ale wygląda na to, że Jeffreys nie zabił trzech chłopców.

– Czy to twój pomysł, czy może agentki O’Dell? – spytał Eddie wciąż z grymasem uśmiechu.

Nick czuł, jak wzbiera w nim złość, lecz wiedział, że nie może pozwolić, by zapanowała nad nim. Nie zamierzał się publicznie tłumaczyć z charakteru swoich stosunków z Maggie, tym bardziej że była to sprawa nad wyraz osobista, której sam do końca nie rozumiał. Nie miał również ochoty dzielić się szczegółami dotyczącymi Jeffreysa, zwłaszcza teraz, kiedy lojalność jego współpracowników stała pod znakiem zapytania.

– Chcę powiedzieć, że to możliwe. Nieważne, czy to prawda, czy też nie, po prostu ten drań nie ma prawa nam się wymknąć, być może po raz drugi. – Energicznie ruszył do wyjścia, obijając się o Eddiego. Zebranie było skończone. Lloyd dogonił go na korytarzu.

– Nick, poczekaj. – Lloyd biegł na swoich krótkich, grubych nogach. Dyszał ciężko, rozluźnił krawat. – Nie

chciałem nic złego. Eddie też na pewno nie. Ta sprawa po prostu nas wykańcza. Tak jak tamta.

– Nie przejmuj się, Lloyd.

– A co do tych stodół... Prawie wszystkie sprawdziliśmy za pierwszym razem. Na ziemi Woodsona stoi stara waląca się stodoła. Nie ma tam nic prócz pustych worków na ziarno. Chyba że stary kościół, ale ten jest zabity deskami jak dziewica w niedzielę.

Nick zmarszczył brwi.

– Wybacz – przeprosił Benjamin, choć wcale nie wyglądał na skruszonego. – Straszny się z ciebie zrobił delikacik, Nick. Przecież nie ma tu O'Dell.

– Sprawdź jeszcze raz ten kościół, Lloyd. Czy nie ma tam wybitej szyby, śladów stóp. Jakichkolwiek śladów, że ktoś tam wchodził w ciągu ostatnich dni.

– Do diabła, w tym śniegu niczego nie znajdziemy.

– Po prostu sprawdź, Lloyd.

Nick wycofał się do siebie. Był już wykończony, a dzień dopiero się zaczął. Po kilku sekundach rozległo się pukanie do drzwi. Padł na krzesło i krzyknął, żeby wejść.

Lucy zerknęła, by sprawdzić, w jakim Nick jest nastroju. Zaprosił ją do środka machnięciem ręki. Przyniosła lód i filiżankę kawy.

– Co ci się stało, Nick?

– Nawet nie pytaj.

Odrzuciła wahania i obeszła biurko. Oparła się o narożnik i jej spódnica podniosła się, pokazując uda. Widziała, że Nick to zauważył. Ujęła go pod brodę i przyłożyła woreczek

z lodem do spuchniętej szczęki. Odskoczył, tłumacząc się bólem.

– Biedny Nick. Wiem, że boli – powiedziała jak do dziecka, ale zabrzmiało to dziwnie zmysłowo.

Tego ranka miała na sobie ciasny różowy sweterek tak naciągnięty na piersiach, że spod wełnianych oczek prześwitywał czarny biustonosz. Lucy pochyliła się nad szefem, lecz on zerwał się z krzesła.

– Nie mam czasu na okłady z lodu. Nic mi nie jest. Dzięki, że o tym pomyślałaś.

Była rozczarowana.

– Jak chcesz. Zostawię ci to w lodówce, gdybyś potem zmienił zdanie.

Wkładając woreczek z lodem do zamrażalnika, wypięła swój zgrabny tyłeczek, by Nick zobaczył, co traci, a potem odwróciła się do niego, sprawdzając, czy zmienił zdanie. Wreszcie uśmiechnęła się i kołysząc biodrami, odpłynęła za drzwi.

– Jezu – mruknął, zapadając się znowu w fotelu. – To ja stworzyłem takie biuro?

Wściekły eksmąż Michelle Tanner miał rację. Nic dziwnego, że nie mogą znaleźć mordercy.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Ksiądz Francis pozbierał wycinki prasowe i wsunął je do skórzanej teczki. Zatrzymał się, uniósł ręce i spojrzał na brązowe plamy oraz wypukłe niebieskie żyły. Od pewnego czasu musiał się przyzwyczaić, że trzęsą mu się ręce.

Od egzekucji Ronalda Jeffreysa minęły ledwie trzy miesiące. Trzy miesiące minęły też od spowiedzi prawdziwego mordercy. Ksiądz Francis nie mógł dłużej milczeć. Nie mógł dłużej dochowywać tajemnicy spowiedzi, jak nakazywał mu Kościół. Nie był pewien, czy jego zeznanie coś zmieni, przekonywał się jednak, że powinien to zrobić.

Szurając nogami, przeszedł do kościoła. Jego kroki były jedynym dźwiękiem, który odbijał się echem od majestatycznych murów. Nikt nie czekał na spowiedź. Zapowiadał się spokojny ranek. Mimo to ksiądz wszedł do konfesjonału.

Nie widział co prawda nikogo w kościele, ale po chwili otworzyły się drzwi ciemnego konfesjonału. Ksiądz Francis oparł łokieć na półeczce, zbliżając ucho do drucianej kratki, dzielącej dwa małe pomieszczenia.

– Pobłogosław mnie, ojcze, bo znowu zabiłem.

Dobry Boże! Panika ścisnęła piersi starego księdza. Mała drewniana klatka wypełniła się dusznym, nieruchomym powietrzem. Pulsowało mu w skroniach i w uszach. Wytężył

wzrok, chciał dojrzeć coś przez kratę, ale widział jedynie skulony czarny cień.

– Zabiłem Danny’ego Alvereza i Matthew Tannera. Za te grzechy serdecznie żałuję i proszę o wybaczenie.

Spowiadający się mówił nienaturalnym głosem, bardzo cicho, jakby przez maskę. Czy uda mi się rozpoznać ten głos? – zastanawiał się ksiądz.

– Jaka będzie moja pokuta? – spytał głos.

Jak mógł odpowiedzieć, skoro nie mógł oddychać.

– Czy mogę… – Nie było łatwo. Bolało go w piersiach. – Czy mogę cię rozgrzeszyć z tak potwornych, nieludzkich grzechów… skoro ty… skoro ty masz zamiar je powtórzyć?

– Nie, nie rozumie ksiądz. Ja im przyniosłem pokój – rzucił głos. Najwidoczniej nie był przygotowany do konfrontacji, przyszedł tylko po pokutę i rozgrzeszenie. Ksiądz Francis ucieszył się z tego.

– Nie mogę cię rozgrzeszyć, jeśli chcesz to powtarzać. – Spowiednik zdumiał nieznajomego nieugiętym tonem.

– Musi ksiądz… musi.

– Już raz dałem ci rozgrzeszenie, a ty zakpiłeś sobie z sakramentu spowiedzi i popełniłeś ten sam grzech, i to dwa razy.

– Bardzo żałuję za swoje grzechy i proszę Boga o wybaczenie – spróbował głos raz jeszcze, nie powtarzając formułkę jak dziecko, które wykuło ją na pamięć.

– Musisz udowodnić swoją skruchę – rzekł ksiądz Francis, czując nieoczekiwany napływ sił. Może uda mu się wpłynąć

jakoś na tę zacienioną postać, pokazać mu jego diabła, powstrzymać go raz na zawsze. – Musisz okazać swój żal.

– Tak. Tak, zrobię to. Niech mi ksiądz tylko powie, jaka jest moja pokuta.

– Idź i dowiedź swojej skruchy, a potem wróć tu. Oczekuję ciebie za miesiąc.

Nastąpiła cisza.

– Nie rozgrzeszy mnie ksiądz?

– Jeśli udowodnisz, że jesteś tego godzien i nikogo więcej nie zabijesz, zastanowię się nad tym.

– Nie da mi ksiądz rozgrzeszenia?

– Wróć za miesiąc.

Cisza. Cień nie ruszył się z miejsca. Ksiądz Francis nachylił się ku kracie, ponownie usiłując coś przez nią dojrzeć. Usłyszał mlaśnięcie, po czym cień plunął mu w twarz przez kratę.

– Zobaczymy się w piekle. – Niski gardłowy głos wywołał ciarki na plecach księdza Francisa. Przywarł do małej półki, ściskając Biblię. Ślina spływała mu po policzku, ale nie mógł się ruszyć, żeby ją wytrzeć. Kiedy usłyszał, że drzwi się otwierają i cień wychodzi, był tak sparaliżowany, że nawet nie próbował śledzić go wzrokiem.

Wydawało mu się, że siedzi tak wiele godzin. Szczęśliwie nie było więcej chętnych do spowiedzi. Pewnie śnieg zatrzymał innych grzeszników w domu, pomyślał. Co znaczyło, że nikt nie widział, jak cień wchodził do konfesjonału, a potem go opuszczał.

W końcu serce księdza wróciło do normalnego rytmu. Mógł znowu oddychać. Poszukał chusteczki i wytarł twarz rękami, które trzęsły się mocniej niż zazwyczaj. Podniósł się z twardego krzesła, przytrzymując się ścian ciasnego konfesjonału. Wziął skórzaną teczkę, Biblię i wyjrzał. Kościół był pusty i pogrążony w ciszy. Na zewnątrz rozlegał się śmiech dzieci, które przechodziły pewnie przez parking, idąc z sankami na Cutty's Hill. Dobrze chociaż, że trzymały się w grupach.

Poszurał nogami ku ołtarzowi, chwytając się ławek wzdłuż nawy. Był wykończony strachem, pozbawiony energii. Powie Maggie O'Dell o tej porannej wizycie. Ta decyzja wzmocniła go. Poczucie winy opuściło jego duszę. Tak, to jest słuszne. Ruszył w dół korytarzem, który łączył kościół z plebanią. Miał wrażenie, że nawet nogi stały się lżejsze, a ból w piersiach wyraźnie zmalał i dokuczał tylko trochę.

Idąc do swojego biura, zauważył, że ktoś zostawił otwarte drzwi do piwnicy z winem. Zatrzymał się i nerwowo zerknął w głąb schodów. Czuł zgniły zapach wilgoci. Coś się poruszyło. Przestraszył się. Czy był to cień? Czy tam, w odległym rogu, ktoś krył się w ciemnościach?

Musiał to sprawdzić. Ksiądz Francis zszedł jeden stopień, drżącą ręką trzymając się poręczy. Czy tylko mu się wydawało, że ktoś kulił się między skrzynkami z winem i betonową ścianą?

Pochylił się na słabych nogach. Nie usłyszał nikogo za sobą. Poczuł tylko gwałtowne pchnięcie, które zrzuciło go ze schodów głową na dół. Jego kruche ciało uderzyło

o ścianę, po czym spadło w dół. Był jeszcze przytomny, kiedy usłyszał skrzyp kroków. Ten dźwięk oznaczał, że ktoś się zbliża. Księdza Francisa ogarnęło przerażenie. Otworzył usta do krzyku, ale wydostał się z nich jedynie cichy jęk. Nie mógł się ruszyć, nie mógł uciec. Prawa noga, nienaturalnie wykręcona, pewnie złamana, paliła go żywym ogniem.

Kroki przybliżały się, ktoś stanął nad nim. Gdy ksiądz podniósł głowę, oślepiło go białe płótno, które spowiło jego twarz. Potem była już tylko ciemność.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Christine jadła domowy rosół i chrupiące bułeczki w „Wanda's Diner". Corby dał jej wolny ranek, przyniosła jednak ze sobą notes i zapisywała pomysły do kolejnego artykułu. Było jeszcze wcześnie, chętni na lunch dopiero zaczynali się schodzić. Miała dla siebie stolik w odległym rogu małej jadłodajni. Siedziała przy oknie i patrzyła na przechodniów, którzy ślizgali się po śniegu.

Timmy zadzwonił, żeby spytać, czy może zjeść z kolegami lunch na plebanii u księdza Kellera. Ksiądz od dwóch godzin zjeżdżał z dziećmi na sankach z Cutty's Hill. Żeby im wynagrodzić odwołaną wycieczkę, zaprosił ich na hot dogi i słodycze przy kominku.

– Świetna seria artykułów, Christine – stwierdziła Angie Clark, dolewając gorącej kawy.

Christine przełknęła kawałek ciepłej bułki.

– Dzięki. – Uśmiechnęła się i wytarła usta serwetką. – Bułeczki twojej mamy w dalszym ciągu są najlepsze w całej okolicy.

– Wciąż jej mówię, że powinniśmy sprzedawać wypieki, ale jej się zdaje, że jak ludzie kupią coś na wynos, nikt nie będzie się tu stołował.

Christine wiedziała, że Angie stanowi finansowy mózg interesu matki. Nie stać ich było, żeby rozbudować małą jadłodajnię, zaczęły więc dostarczać jedzenie do domów. Po

pół roku zatrudniły dodatkowego kucharza, a dwa samochody transportowe były w ciągłym ruchu. Mimo to jadłodajnia nadal była pełna w godzinach posiłków.

Christine zastanawiała się czasem, dlaczego Angie została w Platte City. Miała niezłą głowę do interesów i ciało, które przyciągało uwagę. A jednak po dwóch latach studiów na uniwersytecie i głośnym romansie z żonatym senatorem wróciła w domowe pielesze do swojej owdowiałej matki.

– Co u Nicka? – spytała Angie, udając, że układa nakrycie na sąsiednim stole.

– Zdaje się, że jest na mnie wkurzony. Nie podobają mu się moje artykuły. – Wiedziała, że nie to Angie chciała usłyszeć, ale dawno temu nauczyła się trzymać z daleka od intymnego życia swojego brata.

– Pozdrów go, jak go zobaczysz.

Biedna Angie. Nick pewnie nie dzwonił do niej, odkąd to się zaczęło. I chociaż zaprzeczał, Christine wiedziała, że ma teraz w głowie piękną i niedostępną Maggie O’Dell. Może wreszcie ktoś złamie mu serce i Nick poczuje, jak to jest po tej stronie. Bo do tej pory to on bezkarnie innym łamał serca.

Obserwowała, jak Angie wita się z dwoma potężnymi budowlańcami, którzy właśnie weszli i zdejmowali kurtki, kapelusze i płaszcze. Co te kobiety widzą w Nicku? Christine nigdy nie mogła tego pojąć, patrząc, jak brat bez wahania i żadnych wyjaśnień co rusz zmienia kochanki. Owszem, był przystojny i czarujący. Wiedziała, że nawet

kiedy nie odzywa się kilka dni, a nawet tygodni, Angie Clark nieodmiennie wita go z otwartymi ramionami.

Popijała gorącą kawę małymi łyczkami i zapisała: „Raport koronera”. George Tillie był starym przyjacielem rodziny Morrellich. On i jej ojciec przez lata chodzili razem na polowania. Może, wykorzystując te koneksje, uda jej się wyciągnąć od George’a jakieś nowe informacje. Bardzo ich potrzebowała, by pójść za ciosem, a w tej chwili, o ile się orientowała, śledztwo utknęło w martwym punkcie.

Nagle huknął telewizor stojący w rogu sali. Christine podniosła głowę i zobaczyła Wandę Clark, która machała na nią.

– Christine, posłuchaj!

Bernard Shaw z CNN wspomniał właśnie o Platte City w Nebrasce. Mapa za jego plecami pokazywała dokładną lokalizację miasta, a Shaw mówił o tajemniczej serii morderstw. Na ekranie mignęła gazeta z niedzielnym artykułem Christine, opatrzonym tytułem:

Seryjny morderca wstaje z grobu i wstrząsa miastem, zabijając kolejnego chłopca.

Bernard Shaw opisywał ostatnią zbrodnię i sprawę Jeffreysa sprzed sześciu lat.

– Jak mówią źródła zbliżone do prowadzących śledztwo, biuro szeryfa wciąż nie ma żadnego poważnego śladu, a jedynym podejrzanym jest mężczyzna stracony trzy miesiące temu.

Christine skurczyła się, słysząc sarkazm Shawa, i po raz pierwszy współczuła Nickowi. Pozostali goście jadłodajni

dali głośno wyraz swojej radości i kiwali do niej zadowoleni. Cieszyli się tylko dlatego, że ich miasteczko znalazło się w krajowych wiadomościach. Sarkazm i poniżające aluzje nie dotarły do ich głuchych uszu.

Telewizor został ściszony i Christine wróciła do swoich notatek. Po chwili z dna torby zadzwoniła komórka. Zaczęła nerwowo jej szukać, wyciągnęła portfel, szczotkę do włosów i szminkę. Wreszcie znalazła nieszczęsny przedmiot i pomachała nim do przypadkowych słuchaczy, którzy z uśmiechem wrócili do swoich dań. Telefon zadzwonił jeszcze dwa razy, zanim go włączyła.

– Christine Hamilton.

– Pani Hamilton, mówi William Ramsey z KLTV Kanał Piąty. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Dostałem ten numer w pani redakcji.

– Właśnie jem lunch, panie Ramsey. Czym mogę służyć?

Przez kilka ostatnich wieczorów ta stacja telewizyjna wykorzystywała bezczelnie jej artykuły, informując o morderstwie. Ich serwis informacyjny rozpaczliwie potrzebował czegoś, co podniosłoby oglądalność, ale brakowało im ikry i pomysłowości. Wysilili się tylko na byle jakie wywiady z krewnymi zmarłych i ich sąsiadami.

– Czy moglibyśmy zjeść jutro razem lunch?

– Jestem bardzo zajęta.

– Tak, oczywiście. Czyli muszę od razu przejść do rzeczy.

– To byłoby miłe.

– Chciałbym, żeby pracowała pani dla Kanału Piątego jako reporter i współwydawca weekendowy.

– Słucham? – Christine o mało nie zakrztusiła się bułeczką.

– Pani przebojowe reportaże na temat tych morderstw to właśnie coś, czego nam potrzeba.

– Panie Ramsey, przecież pan wie, że jestem dziennikarką prasową. Nie...

– Pani styl doskonale do nas pasuje. Jestem pewien, że błyskawicznie się pani przestawi ze słowa pisanego na wizję. Oczywiście otrzyma pani od nas wszelką pomoc, by jak najprędzej wdrożyła się pani w obowiązki wydawcy. Wiem też, że jest pani bardzo urodziwą kobietą, a ekran, jak wiadomo, to lubi.

Była szczęśliwa. Marzyła o tym, szczególnie że przeszłość była dla niej bardzo niełaskawa. Ale to Corby i „Omaha Journal” dali jej szansę. Nie, nie powinna nawet myśleć o żadnej zmianie.

– Naprawdę czuję się zaszczycona, panie Ramsey, ale nie mogę...

– Jestem gotowy zaproponować pani sześćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie, jeśli zgodzi się pani zacząć natychmiast.

Upuściła łyżkę, zupa prysnęła na jej kolana. Nie ruszyła się nawet, żeby to powycierać.

– Słucham?

Jej zdumienie musiało zabrzmieć jak odmowa, bo Ramsey pospiesznie dodał:

– Okej, niech będzie sześćdziesiąt pięć. I dodam jednorazowo dwa tysiące, jeżeli zacznie pani w ten weekend.

Sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów to było ponad dwa razy tyle, ile zarabiała w gazecie po skromnej podwyżce. Mogłaby spłacić wszystkie długi i nie zawracać sobie głowy gonitwą za Bruce’em, który nie chciał dawać na dziecko.

– Mogę do pana oddzwonić, panie Ramsey? Potrzebuję trochę czasu do namysłu.

– Oczywiście, musi pani to przemyśleć. Proszę się z tym przespać i zadzwonić do mnie jutro z rana.

– Dziękuję. Zadzwonię. – Wyłączyła telefon i siedziała osłupiała, kiedy Eddie Gillick przysiadł się do niej, przyciskając ją do szyby. – Co ty wyprawiasz?! – warknęła.

– Wpakowałaś mnie w kłopoty, wyciągając ze mnie ten cytat do swojego artykułu. Ale teraz twój braciszek dał mi naprawdę zasrane zadanie, więc pomyślałem sobie, że doniosłaś mu, kto był twoim anonimowym źródłem.

– Słuchaj no, Gillick...

– Jestem Eddie, zapomniałaś?

Poczęstował się jej kawą, dodając cukru i połykając łapczywie, chociaż była gorąca. Zapach jego wody po goleniu był odurzający.

– Nie powiedziałam Nickowi, on...

– Dobra, niech ci będzie, wydaje mi się tylko, że teraz ty jesteś mi coś winna.

Poczuła jego rękę na kolanie. Pogardliwe i pełne buty spojrzenie Gillicka zupełnie ją unieruchomiło. Przesunął rękę do góry, po jej udzie i pod spódnicę. W końcu go odepchnęła. Uśmiechnął się bezczelnie, był pewien swojej przewagi. Tamtej nocy nad rzeką ta dziwka pokręciła przed

nim tyłkiem, a on dał się na to złapać i chlapnął za dużo. Teraz pora na rewanż.

Christine natychmiast zrozumiała, o co chodzi, i zaczerwieniła się.

– Podać ci coś, Eddie? – Angie Clark stanęła nad stołem. Świadoma tego, że im przerywa, nie miała zamiaru odejść bez zamówienia.

– Nie, kochanie – odparł Eddie, uśmiechając się wciąż do Christine. – Niestety muszę lecieć. Potem cię złapię, Christine.

Wyśliznął się zza stołu, przejechał dłonią po gładko zaczesanych czarnych włosach i włożył kapelusz. Potem ruszył do drzwi i zniknął.

– Wszystko w porządku?

– Oczywiście – odparła Christine. Trzymała drżące ręce pod stołem.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Drzwi otworzyły się, a zaraz potem Nick zobaczył, że Maggie pędzi do stolika.

– Wchodź szybko! – krzyknęła, siadając przy klawiaturze laptopa. Potem odsunęła się i wpatrywała w ekran. – Ściągam informacje z bazy danych Quantico. To bardzo interesujące.

Powoli wszedł do małego pokoju hotelowego, minął łazienkę i natychmiast przyczepił się do niego zapach szamponu i perfum Maggie. Miała na sobie dżinsy i tę samą co zeszłej nocy seksowną koszulę drużyny Packersów. Koszula była spłowiała. Dekolt miała rozciągnięty, zniekształcony, zsuwała się, pokazując gołe ramię. Świadomość, że Maggie nie ma nic pod spodem, podnieciła Nicka. Starał się zająć swoją uwagę czymś innym.

Zerknęła na niego i kliknęła dwa razy.

– Co ci się stało w twarz?

– Christine nie wytrzymała. Był artykuł w porannej gazecie.

– I Michelle Tanner widziała go przed twoją wizytą u niej?

– Mniej więcej. Ktoś jej o tym powiedział.

– To ona cię uderzyła?

– Nie. Jej były mąż, ojciec Matthew, zostawił mi tę pamiątkę.

– Jezu, Morrelli, nie umiesz się bronić? – Gdy ujrzała w jego oczach złość, czym prędzej dodała: – Przepraszam. Zrób sobie okład z lodu.

Maggie, w odróżnieniu od Lucy, nie zaproponowała usług pielęgniarskich, tylko wróciła do komputera.

– Jak twoje ramię?

Znów na niego spojrzała. Jej oczy, pewnie pod wpływem wspomnień, były dziwnie łagodne. Potem szybko odwróciła wzrok.

– W porządku. – Podniosła rękę. – Ciągle trochę boli, ale to drobiazg.

Koszulka zjechała niżej z jej ramienia, odkrywając kremową skórę. Boże, jak chciał jej dotknąć. W dodatku tuż obok było niezasłane łóżko.

– Widzę, że jesteś fanem Packersów. – Starał się przerwać ciszę, podczas gdy Maggie przeglądała informacje na ekranie.

– Mój ojciec dorastał w Green Bay – oznajmiła, nie podnosząc wzroku. Na ekranie pojawił się nowy obraz. – Mój mąż nieustannie każe mi wyrzucić tę szmatkę, ale to jedna z niewielu rzeczy, która przypomina mi ojca. Należała do niego. Wkładał ją, kiedy chodziliśmy razem na mecze.

– To już czas przeszły?

Nick rozumiał, że milczenie, które po tym nastąpiło, nie miało nic wspólnego z danymi na ekranie. Patrzył, jak Maggie poprawia włosy, zakładając je za uszy. Wiedział już, że to jej nerwowy odruch.

– Został zabity, kiedy miałam dwanaście lat.

– Przykro mi. Czy też był agentem FBI?

Przerwała pracę i wstała, udając, że się przeciąga, ale wiedział, że chce w ten sposób zyskać na czasie. Nietrudno było zauważyć, że napomknienie o jej ojcu przywołało falę wspomnień.

– Nie, był strażakiem. Umarł jako bohater. Chyba to nas łączy, ciebie i mnie. – Uśmiechnęła się do niego. – Tyle że twój ojciec żyje.

– Pamiętaj, że nie był sam.

Patrzyła mu w oczy, szukając w nich czegoś. Tym razem to Nick odwrócił wzrok, żeby nie zobaczyła tego, co pragnął przed nią ukryć.

– Myślisz, że miał coś wspólnego z wrobieniem Jeffreysa?

Czuł na sobie jej spojrzenie. Specjalnie stanął za nią i wbił wzrok w ekran komputera.

– To on najwięcej zyskał na schwytaniu Jeffreysa. Sam nie wiem, co myśleć.

– Mam – powiedziała Maggie, widząc, że ekran zapełnia się czymś, co wyglądało na artykuł prasowy.

– Co to jest? – Pochylił się. – „Wood River Gazette”, listopad osiemdziesiąty dziewiąty. Gdzie jest Wood River?

– W Maine. – Poruszyła myszką, przeglądając tytuły. Przy jednym zatrzymała się. – Posłuchaj: „Okaleczone ciało chłopca znaleziono przy rzece”. Brzmi dziwnie znajomo.

Nick zaczął czytać artykuł, który zajął trzy kolumny na pierwszej stronie.

– Zgadnij, kto był wikarym w parafii kościoła katolickiego św. Marii w Wood River?

Nick przerwał lekturę, spojrzał na nią i potarł brodę.

– Nie mamy żadnych dowodów. To wszystko może być przypadkowe. Czemu ta sprawa nie wypłynęła przy okazji procesu Jeffreysa?

– Nie było potrzeby. Z tego, co zdołałam ustalić, wynika, że winę wziął na siebie pracownik sezonowy ze św. Marii.

– A może to zrobił. – Nickowi bardzo nie podobało się, dokąd to prowadzi. – Jak się o tym dowiedziałaś?

– Przeczucie. Kiedy rozmawiałam dziś rano z księdzem Francisem, powiedział mi, że Keller organizował podobne obozy letnie dla chłopców w swojej poprzedniej parafii w Wood River w stanie Maine.

– Czyli szukasz zabójstw popełnionych na chłopcach w okolicach tamtego miasta, w okresie kiedy Keller tam był.

– Nie musiałam długo szukać. To morderstwo pasuje jak ulał. Przypadek czy nie, ksiądz Keller jest podejrzany. – Zamknęła program i komputer. – Za niecałą godzinę spotykam się z George'em – powiedziała. – A potem z księdzem Francisem. – Zaczęła wyjmować ubrania z szafy i kłaść je na łóżku. – Dzisiaj muszę wracać do Richmond. Moja matka jest w szpitalu. – Unikała jego wzroku, wyciągając kolejne rzeczy z szuflad.

– Czy to coś poważnego?

– Raczej... będzie dobrze. Zostawię ci wiadomość na dyskietce. Masz u siebie Worda?

– Pewnie... taaa, tak myślę. – Jej rzeczowość mocno go wzburzyła. Stało się coś czy naprawdę martwiła się o matkę?

– Notatki z dzisiejszej autopsji zostawię u George’a. Jeśli dowiem się czegoś od księdza Francisa, zadzwonię do ciebie.

– Nie wrócisz już? – Poczuł się, jakby dostał w szczękę. Ona też znieruchomiała. Odwróciła się do niego, przeniosła wzrok na pusty ekran komputera, znów na niego i na bałagan na łóżku. Nigdy przedtem patrzenie w oczy Nickowi nie było dla niej problemem.

– Zrobiłam to, o co mnie proszono. Masz już profil mordercy, a może nawet podejrzanego. Nie wiem nawet, czy powinnam zajmować się tą drugą autopsją.

– Ach, tak. – Wsadził ręce do kieszeni. Myśl, że może więcej nie zobaczyć Maggie, była trudna do zniesienia.

– Na pewno biuro przyśle wam kogoś innego do pomocy.

– Ale nie ciebie? – Zobaczył coś w jej oczach. Żal i smutek? Cokolwiek to było, nie chciała mu tego pokazywać. Zabrała się do pakowania. – Czy to ma coś wspólnego z tym, co stało się rano?

– Rano nic się nie stało – rzekła i przestała wrzucać rzeczy do torby. Stała do niego plecami. – Przykro mi, jeśli odniosłeś takie wrażenie. – Potem zerknęła na niego przez ramię. – Nick, nie chciałabym być niewdzięczna. – Zajęła się znów składaniem, upychaniem i przekładaniem rzeczy w torbie.

Nie miał żadnych złudzeń. Zresztą sam chciał, by Maggie znikła z jego życia. Ale co z tym jej podnieceniem? Tego na pewno sobie nie wymyślił.

– Będzie mi ciebie brakowało. – Zdziwiły go te słowa, wcale nie miał zamiaru wypowiadać ich na głos.

Maggie wyprostowała się i powoli obróciła, tym razem patrząc mu w twarz. Jej brązowe oczy sprawiały, że miękły mu kolana, jak smarkaczowi, który oświadcza swojej pierwszej dziewczynie, że ją bardzo lubi. Jezu, co się z nim dzieje?

– Niezła z ciebie cholera, O'Dell, ale będę tęsknił za tym, jak dawałaś mi w kość – rzucił. Świetnie. Naprawił błąd.

Uśmiechnęła się. Założyła włosy za ucho. A jednak nie do końca nad sobą panowała.

– Podwieźć cię na lotnisko?

– Nie, muszę oddać wypożyczony samochód.

– Cóż, w takim razie szczęśliwego lotu. – Zabrzmiało to chłodno i patetycznie, a tak naprawdę chciał ją objąć i przekonać, żeby została. Trzema długimi krokami dotarł do wyjścia, mając nadzieję, że kolana się pod nim nie ugną.

– Nick.

Przystanął z ręką na klamce i zerknął na Maggie. Przez krótką chwilę zdawało mu się, że chce coś powiedzieć, ale musiała zmienić zdanie.

– Powodzenia – rzekła po prostu.

Skinął głową i wyszedł, czując ołów w butach.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Maggie patrzyła na zamykające się drzwi, zaciskając palce na jedwabnej bluzce.

Dlaczego nie powiedziała Nickowi ani o liście, ani o Albercie Stuckym? Nie dziwił się jej nocnym koszmarom, więc i to by zrozumiał. Że ona nie może sobie pozwolić, by kolejny psychopata szperał w jej psychice. Nie teraz, kiedy czuła się tak bezbronna, tak krucha, jakby miała rozpaść się na milion maleńkich kawałeczków. Tak jak wtedy na podłodze w łazience. Nie mogła podejmować takiego ryzyka. W takim stanie ducha straciłaby trzeźwy zawodowy osąd.

Może zresztą już tak się stało. Poprzedniej nocy w lesie zbyt późno spostrzegła mordercę, który ją śledził. Mógł ją zabić. Ale podobnie jak Albert Stucky i on chciał, żeby żyła, i to, o dziwo, jeszcze bardziej ją przerażało. Wiedziała, że gdyby się komuś z tego zwierzyła, czułaby się jeszcze bardziej bezbronna. Nie, tak będzie lepiej. Wyjechać, zostawiając Nicka i wszystkich innych z przekonaniem, że zrobiła tak wyłącznie z powodu choroby matki.

Dyrektor Cunningham miał rację. Potrzebny jej odpoczynek. Może powinni wyjechać gdzieś z Gregiem? Tam, gdzie jest odludnie, ciepło i słonecznie, gdzie zmierzch nie zapada o szóstej po południu.

Gdy zadzwonił telefon, Maggie podskoczyła jak na odgłos wystrzału. Rozmawiała już z doktorem Averym. Jej matka przeżyła próbę samobójczą i miała się niezgorzej. Wyżywała się w perfekcyjnie granej roli idealnej pacjentki, która zmusza wszystkich dookoła, by poświęcali jej maksimum uwagi.

Chwyciła za słuchawkę.

– Agentka specjalna O’Dell.

– Maggie, jeszcze tam jesteś? Myślałem, że wracasz do domu.

Ciężko usiadła na łóżku.

– Cześć, Greg. – Czekała na jakieś ciepłe słowa, a usłyszała szelest papierów i od razu wiedziała, że mąż poświęca jej tylko część uwagi. – Lecę dziś wieczorem.

– Dobrze, czyli ten osioł przekazał ci jednak moją wiadomość?

– Jaki osioł?

– Ten, z którym rozmawiałem. Odebrał twoją komórkę. Powiedział, że musiałaś ją upuścić i że nie możesz podejść.

Maggie zacisnęła pięść. Puls jej przyspieszył.

– O której to było?

– Nie wiem… ale dość późno. Tutaj dochodziła północ. A co?

– Co mu powiedziałeś?

– O rany, więc ten dupek nic ci jednak nie powiedział?

– Greg, co mu mówiłeś? – Jej serce tłukło się w piersiach.

– Co to za niekompetentne dupki z tobą pracują, Maggie?

– Greg. – Starała się mówić spokojnie, nie pozwolić, żeby krzyk wyrwał się z jej gardła. – Zgubiłam wczoraj wieczorem komórkę, kiedy ścigałam mordercę. Prawdopodobnie to z nim rozmawiałeś.

Cisza. Nawet papier przestał szeleścić.

– Na Boga, Maggie, skąd miałem wiedzieć? – powiedział dziwnie cicho.

– Nie mogłeś. Nie oskarżam cię, Greg, tylko proszę, spróbuj sobie przypomnieć, co mu powiedziałeś.

– Nic takiego... żebyś do mnie oddzwoniła i że z twoją matką jest niedobrze.

Położyła się na plecach, wciskając głowę w poduszkę i zamykając oczy. Milczała.

– Maggie, musimy porozmawiać, jak wrócisz.

Tak, porozmawiają na jakiejś plaży, sącząc owocowe drinki ozdobione papierowymi parasolkami. Będą rozmawiać o tym, co jest naprawdę ważne, rozpalą na nowo gasnące uczucie, zaczną się szanować, respektować swoje cele. Wrócą do tego, co ich kiedyś połączyło.

– Chcę, żebyś rzuciła biuro – powiedział i od razu wiedziała, że żadna słoneczna plaża na nich nie czeka.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Śnieg wylatywał w powietrze spod jego butów jak biały puder, kiedy stawiał ciężkie kroki, przebijając się przez zaspy. Śnieg przyklejał się do spodni i wpadał za cholewki, zamieniając stopy w lód. Wydawało mu się, jakby znalazł się w cudzym ciele, które pchało go do stóp wzgórza w takim tempie, że w każdej chwili mógł runąć głową w dół.

Potem ich usłyszał, jak chichoczą i piszczą. Gwałtownie stanął, zataczając się na krzaki i trawy otoczone śnieżną koronką, dzięki którym nie stoczył się na tor saneczkarski. Padł na śnieg, a biała śmierć zaczęła wysysać ciepło z jego ciała. Starał się zapanować nad przyspieszonym oddechem, nabierając powietrza ustami i tworząc chmurkę pary przy każdym wydechu.

Powinni byli iść do domu, kiedy nie słyszał w swojej głowie tego warkotu. Dlaczego nie poszli? Zaraz się ściemni. Ciekawe, czy zastaną w domach pełne talerze, czy tylko karteczkę, że obiad jest w mikrofalówce? Czy w domu będą rodzice, którzy dopilnują, żeby zdjęli przemoczone ubrania? Czy ktokolwiek położy ich spać?

Nie mógł zapomnieć, już nie próbował. Przytulił twarz do śniegu, ufając, że zatrzyma to warkot i tętnienie. Zobaczył siebie sprzed lat. Miał wtedy jedenaście lat. Ubrany był w zieloną wojskową kurtkę z podszewką, która miała chronić przed zimnem. Połatane dżinsy obcierały go. Nie

miał ciepłych butów. Zaspy sterczały na pół metra, miasto zamarło. Ojczym mógł pójść tylko w jedno miejsce, do sypialni jego matki. Kazano mu wynieść się z domu, „pobawić się na śniegu z kolegami”. Ale on nie miał kolegów. Dzieciaki śmiały się z niego, że jest chudy i nosi na sobie łachmany.

Długo siedział na zimnym podwórku, przyglądając się, jak inne dzieci jeżdżą na sankach. Wróciwszy do domu, zastał zamknięte drzwi. Przez cienkie drewniane ściany słyszał jęki i lament swojej matki. Nie potrafił odróżnić bólu od rozkoszy. Czy seks zawsze boli? – zastanawiał się. Nie wyobrażał sobie, że tak wielki ból może sprawiać komuś przyjemność. Wstydził się, że czuje ulgę, ale wiedział, że dopóki ojczym będzie wbijał się w matkę, zostawi w spokoju jego drobne ciało.

Właśnie wtedy, tkwiąc na przenikliwym zimnie, wymyślił prosty plan, do którego wykonania potrzebny był tylko kłębek sznurka. Następnego ranka ojczym jak zwykle zejdzie do warsztatu w piwnicy, ale opuści go na noszach. On i jego matka nie będą się już wstydzili ani bali. Skąd miał wiedzieć, że to matka pierwsza pójdzie do piwnicy? Tego ranka, kiedy ten strasznie zły mały chłopiec odebrał życie własnej matce, skończyło się jego życie.

Nagle usłyszał, że ktoś nad nim oddycha. Powoli podniósł wzrok i tuż przy swojej twarzy zobaczył czarnego psa. Zwierzę obnażyło kły i zawarczało niskim głosem. Błyskawicznie chwycił psa za gardło i warkot zamienił się w niegłośne kwilenie, zduszone bulgotanie, wreszcie ciszę.

Patrzył na chłopców, którzy biegali i podskakiwali w grubych kurtkach. Nareszcie zabrali sanki i pożegnali się. Jeden z nich kilka razy zawołał psa, ale w końcu dołączył do grupy przyjaciół. Po chwili rozstali się i rozeszli w różne strony. Trzech poszło w jednym kierunku, dwóch w innym. Jeden chłopiec ruszył samotnie przez przykościelny parking.

Niebo z jasnostalowego zrobiło się ponuroszare, zjaśniały uliczne latarnie. Nad cichym białym miastem zahuczał odrzutowiec. Kiedy wsiadał do swojego samochodu, w okolicy nie było żadnych pojazdów ani pieszych. Wciągnął czarną narciarską czapkę. Na siedzeniu obok kierowcy rozłożył czystą chusteczkę. Zrobił to starannie, jakby już rozpoczęła się ceremonia. Z kieszeni płaszcza wyjął fiolkę, przełamał ją i nasączył biały kawałek płótna. Potem z wyłączonymi światłami powolutku ruszył w ślad za chłopcem, który ciągnął za sobą jasnopomarańczowe plastikowe saneczki.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Biuro szeryfa stać było tylko na pięć w pełni wyposażonych wozów, z których cztery stały przed budynkiem, kiedy wrócił Nick. Natychmiast w nim zawrzało. Co musiałby zrobić, żeby ci ludzie zaczęli wreszcie respektować jego polecenia? Ale cóż, to jego wina, że tak się nie dzieje.

Traktował dotąd swoją pracę równie lekko, jak wszystko inne w życiu. Kierował się zasadą, by niczego nie brać zbyt poważnie. Tak było do tej pory. Zanim ubroczył się krwią Danny'ego Alvereza. Teraz nie wychodziło mu z głowy, że rzetelny szeryf uratowałby Matthew Tannera. Ale Platte City miało młodego szeryfa z dyplomem prawa, lecz bez żadnego doświadczenia, który na dodatek ugania się za spódniczkami. Tylko nazwisko i reputacja ojca dawały mu prawo nazywać się szeryfem, nosić odznakę i broń. Broń, z której pierwszy i ostatni raz strzelał podczas ćwiczeń, a było to przed dwoma laty.

Były mąż Michelle Tanner uderzył go nie tylko w szczękę. No cóż, trzeba było pięści, żeby ocknęło się w nim poczucie odpowiedzialności. Teraz, kiedy wyjeżdża Maggie, będzie musiał przejąć kontrolę. Do diabła, bardzo chciałby wiedzieć, jak to zrobić.

Wszedł do budynku i natychmiast miał ochotę zwiać tylnymi drzwiami. Wielki marmurowy hol huczał od

dziennikarzy. Kable snuły się jak węże po podłodze. Lampy oślepiały go, a kilkanaście mikrofonów w jednej chwili podfrunęło mu pod brodę. Dziennikarze cisnęli się z pytaniami.

Darcy McManus, była królowa piękności, która została wydawcą telewizyjnym, zabarykadowała schody wysokim, zgrabnym ciałem. Trudno było zignorować jej długie nogi, które wystawiała na pokaz spod krótkiej spódnicy. Zaprosiła go przed kamerę Kanału Piątego. Przecisnął się do schodów, zatrzymując się w bezpiecznej odległości. Dawniej niezwłocznie zacząłby z nią flirtować i pewnie zdobyłby jej numer telefonu. Teraz chciał tylko ją wyminąć i przedostać się do swojego pokoju.

– Szeryfie, ma pan jakichś podejrzanych? – Wyglądała starzej niż na ekranie. Z bliska widać było gruby makijaż, pod którym ukrywała zmarszczki.

– Nie będzie w tej chwili żadnego komentarza.

– Czy to prawda, że Matthew Tanner miał obciętą głowę? – chciał dowiedzieć się mężczyzna w drogim dwurzędowym garniturze.

– Jezu. Gdzie pan to usłyszał?

– Czyli to nieprawda?

– Nie, absolutnie nie.

Dołączyli się inni, napierając na Nicka. Łokciami próbował przebić sobie drogę.

– Szeryfie, co z plotką, że kazał pan ekshumować Ronalda Jeffreysa? Uważa pan, że to nie jego wówczas stracono?

– Czy chłopiec był seksualnie molestowany?

– Znalazł pan już niebieski pikap?

– Szeryfie Morrelli, może nam pan przynajmniej zdradzić, czy chłopiec został zamordowany w taki sam sposób, jak poprzedni? Czy mamy do czynienia z seryjnym mordercą?

– W jakim stanie było ciało Matthew?

– Dosyć! Dosyć tego! – wrzasnął Nick, podnosząc ręce, żeby powstrzymać dalsze pytania. Szum ustał, szakale czekały. Niespodziewana cisza rozbroiła Nicka. Rozejrzał się wokół i wszedł na pierwszy schodek. Strużka potu spływała mu po plecach. Nerwowo przeciągnął palcami przez włosy, trzęsły mu się ręce. Był przyzwyczajony do konfrontacji z ludźmi sobie życzliwymi, lecz teraz spotkał się z totalną krytyką i sceptycyzmem.

Co miał im, do diabła, powiedzieć? Poprzednio uratowała go Maggie. Teraz, kiedy jej nie było, czuł się jak nieporadna kaczka wystawiona na strzał. Chwycił poręcz i wciągnął się na schodek obok McManus. Ucieszyła się, zaczęła poprawiać włosy i ubranie, szykując się przed kamerę. Zlekceważył ją i spojrzał na tłum, wpatrzone w niego oczy, gotowe do dzieła pióra, kamery i magnetofony. Coś w środku mówiło mu, żeby się odwrócił i zostawił ich w tym milczeniu. Wystarczyło pokonać trzy schodki i zamknąć się w swoim pokoju. W końcu nie ma obowiązku niczego im wyjaśniać. Nie pomoże mu to w schwytaniu mordercy. A może?

– Wszyscy wiecie, że nie mogę zdradzać pewnych szczegółów dotyczących ciała ofiary. Ale, na Boga, przez wzgląd na panią Tanner, powiem wam, że Matthew nie

miał, powtarzam: nie miał obciętej głowy. Co nie znaczy, że nie mamy do czynienia z chorym sukinsynem.

– Czy to znowu seryjny morderca, szeryfie? Ludziom należy się taka informacja, jeśli mają pilnować swoich dzieci.

– Pierwsze wskazania rzeczywiście sugerują, że Matthew mógł zostać zabity przez tę samą osobę co Danny Alverez.

– Są podejrzani?

– Czy to prawda, że nie ma pan żadnego tropu?

Nick wszedł stopień wyżej. Nie miał dla nich dobrych wiadomości. Zrobiło mu się strasznie gorąco. Pociągnął w dół zamek błyskawiczny kurtki, poluzował węzeł krawata.

– Mamy dwóch podejrzanych. Nie mogę podać ich nazwisk. Jeszcze nie. – Odwrócił się i ruszył do góry, a do jego pleców popłynęła fala pytań.

– Kiedy się dowiemy?

– Czy to ktoś stąd?

– Czy pański ojciec przejmie teraz śledztwo?

– Znalazł pan niebieski pikap?

Nick zakręcił się, o mało nie tracąc równowagi.

– Dlaczego mój ojciec?

Wszyscy patrzyli na mężczyznę w marynarce z dwurzędowym zapięciem. Nick zauważył jego błyszczące ciemne włosy pielęgnowane przez dobrego fryzjera. Bródka, z odrobiną siwizny, była idealnie przystrzyżona, a drogie skórzane buty wskazywały, że facet przyjechał z daleka. Niecierpliwie przechylił głowę, sygnalizując, że ma ważniejsze rzeczy do zrobienia niż powtarzanie tego

samego pytania do prowincjonalnego szeryfa. Nick miał ochotę chwycić go za kołnierzyk jego koszuli z monogramem. Uzbroił się jednak w cierpliwość.

– Czemuż to niby mój ojciec miałby poprowadzić śledztwo?

– Bo to on schwytał Ronalda Jeffreysa – powiedziała do kamery Darcy McManus i wtedy Nick zdał sobie sprawę, że jego kompromitująca klęska jest filmowana. Nie patrząc w kamerę, spojrzał na mężczyznę, czekając na odpowiedź i nie przejmując się jego zblazowaną miną.

– Kiedy rozmawiał z nami pański ojciec, brzmiało to tak...

– On tu jest? – huknął Nick i natychmiast tego pożałował. Raz jeszcze pokazał swoją niekompetencję.

– Tak, a z jego słów wynikało, że wrócił tu, aby pomóc w śledztwie. Dokładnie powiedział... – Mężczyzna powoli przeglądał notatki. – Cytuję: „Zrobiłem to już raz i wiem, czego szukać. Możecie być pewni, że ten gość nie ucieknie staremu psu myśliwskiemu”. Nie znam się na psach myśliwskich, ale rozumiem, że pański ojciec, mimo że na emeryturze, czuje się na siłach podjąć to wyzwanie.

Pozostali dziennikarze przytaknęli. Nick patrzył po ich twarzach, czując skurcz w żołądku. Kołnierzyk go cisnął, pocił się w grubej kurtce. Kolejna strużka poleciała mu po plecach. A oni czekali. Zważą każde jego słowo, zmierzą każdy gest, a ze szczególnie złośliwą satysfakcją będą oglądać żałosną rejteradę dzielnego szeryfa Platte City. Miał to gdzieś. Odwrócił się i pobiegł schodami w górę, po

dwa, trzy stopnie naraz, po cichu modląc się, żeby się nie potknąć i nie spaść.

Wpadł do biura, uderzając oszklonymi drzwiami w metalowy pojemnik na śmieci i ścianę. W szybie zrobiło się pęknięcie, które kształtem przypominało pająka, ale nikt na to nawet nie spojrzał, bo wszyscy patrzyli na Nicka, odwracając głowy od wysokiego siwowłosego mężczyzny, który stał pośrodku.

Ci sami ludzie, których nie mógł zmusić do sprawdzenia przecieku bez wysłuchania ich protestów, stali teraz wokół dystyngowanego dżentelmena, starego mędrca, którego brzuch zaczął się uwydatniać nad paskiem, a krzaczaste brwi unosiły się w oburzeniu.

– Powoli, synu. Zniszczyłeś własność państwową – rzekł Antonio Morrelli, wskazując na pęknięcie w szybie.

Mimo ogarniającej go furii Nick wsadził ręce do kieszeni i skulił ramiona, spuszczając wzrok na buty. Naraz zaczął zachodzić w głowę, ile będzie kosztowała wymiana szyby.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Maggie sączyła szkocką przy stoliku w kącie i starała się odgadnąć, którzy z podróżnych lecą w interesach, a którzy udają się na odpoczynek. Burza śnieżna spowodowała opóźnienia wielu samolotów, w tym także jej. Tłum kłębił się w ciasnej, słabo oświetlonej poczekalni, składającej się z baru w kształcie litery L, kilku małych stolików i krzeseł, kilkunastu modeli samolotów zawieszonych na suficie i starej szafy grającej z piosenkami takimi jak: „Leaving on a Jet Plane” czy „Outbound Plane”.

Zielono-czarna kurtka od Johna Deere’a leżała na drugim krześle, żeby ustrzec Maggie przed niepożądanym towarzystwem. Nadała już bagaż, wszystko prócz laptopa, który leżał bezpiecznie pod kurtką. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić raz jeszcze do św. Małgorzaty. Zaczęła się bać, że stało się coś strasznego. Bo dlaczego ksiądz Francis nie pojawił się w szpitalu? I dlaczego nikt w kancelarii plebanii nie odbierał telefonu?

Chciała zatelefonować do Nicka, wykręciła już numer, ale odwiesiła słuchawkę. Miał dosyć własnych kłopotów, żeby jeszcze sprawdzać jej podejrzenia. No i zabrakło jej drobnych. Ostatnią dziesięciodolarówkę wydała na telefon oraz na dwie szkockie, które zdążyła już wypić. Kiepski obiad, ale po godzinach spędzonych na krojeniu Matthew Tannera stwierdziła, że zasłużyła sobie na whisky i obiad.

Ślady na wewnętrznej stronie uda Matthew faktycznie pochodziły od ludzkich zębów. Biedny George Tillie próbował wymyślić inne teorie, ale wreszcie musiał przyznać, że morderca ugryzł Matthew, i to kilka razy, w to samo miejsce, żeby uniemożliwić stomatologiczną identyfikację. Na dodatek, i co dziwniejsze, nastąpiło to w kilka godzin po śmierci chłopca.

Morderca nie wrócił na miejsce zbrodni wyłącznie po to, żeby obserwować działania policji. Przyciągnęła go absurdalna fascynacja ciałem ofiary. Odstąpił od skrupulatnie zaplanowanego rytuału. Ta aberracja musi mieć jakąś przyczynę, zabójca nie bez powodu stracił nad sobą kontrolę. Postępując tak lekkomyślnie, może wkrótce zostawić jakiś obciążający go dowód.

Maggie powiedziała George’owi, że powinni szukać śladów spermy, bo tym razem zabójca mógł się masturbować, gryząc martwego już chłopca. Twarz starego koronera zrobiła się purpurowa, a potem mruknął coś o pracy w pojedynkę.

Nie miała mu tego za złe. To oczywiste, że krępowała go jej obecność. Pracował w staromodny sposób. Odnosił się do ludzkiego ciała z szacunkiem właściwym księżom, a nie patologom. Dotykał Matthew ostrożnie i rozważnie, odzywał się przyciszonym głosem, jakby nie chciał zakłócać spokoju duszy zmarłego.

Maggie z kolei kroiła z kliniczną precyzją i mówiła głośno i wyraźnie, żeby dobrze nagrać się na dyktafon. Miała przed sobą martwe ciało pozbawione życia i ciepła.

I cokolwiek mieściło się w tej ograniczonej skórą i kośćmi jamie, wyparowało z niej wiele godzin temu. Musiała jednak przyznać, że było coś niewłaściwego, coś obrazoburczego w krojeniu drobnego chłopięcego ciała. Miękka, gładka, bezwłosa skóra nie poznała jeszcze wielu ran i zadrapań, kości nie zdążyły się wystarczająco potłuc i połamać, aby można było z przekonaniem stwierdzić, że już się nażyły. Taka strata, taka niesprawiedliwość. Po to właśnie była whisky. Miała pomóc znaleźć w tym jakiś sens... albo spowodować, by Maggie choćby na moment przeniosła się tam, gdzie jest już wszystko jedno.

– Przepraszam panią. – Młody barman stanął nad stołem. – Ten pan w końcu baru zafundował pani kolejną szkocką. – Postawił przed nią szklankę. – I prosił, żebym pani ją podał.

Maggie poznała kopertę z kwadratowym pismem, zanim wzięła ją do ręki. Żołądek jej się skurczył, tętno podskoczyło. Zerwała się z krzesła, które zachwiało się do tyłu.

– Który? – Wyciągnęła się, żeby dojrzeć coś w tłumie. Barman zrobił to samo, ale po krótkiej chwili wzruszył ramionami.

– Chyba wyszedł.

– Jak wyglądał? – Poklepała się przez sweter, upewniając się, że jej broń znajduje się na swoim miejscu, tuż pod piersią.

– Bo ja wiem... wysoki, miał ciemne włosy, jakieś dwadzieścia osiem lat, może trzydzieści. Wie pani, specjalnie się nie przyjrzałem. Czy to kłopot...

Minęła go energicznie i zaczęła przeciskać się przez tłum. Wybiegła na jasny pasaż. Jak szalona szukała wzrokiem wśród wchodzących i wychodzących pasażerów. Serce jej waliło, szumiało w głowie, spojrzenie miała lekko zamglone przez whisky.

Długi chodnik ciągnął się prosto w dwie strony. Zobaczyła rodzinę z trójką dzieci, kilku biznesmenów z teczkami i laptopami, pracownika lotniska, który pchał wózek bagażowy, dwie siwowłose staruszki i grupę ciemnoskórych kobiet i mężczyzn w wielobarwnych strojach. Nie było wśród nich wysokiego ciemnowłosego mężczyzny bez bagażu.

Nie miał możliwości wydostać się poza pasaż. Pobiegła w stronę ruchomych schodów na drugim końcu, zderzając się z podróżnymi i o mało co nie przewracając się przez wózek bagażowy. Schody poruszały się w górę i w dół. Wybrała jazdę do góry, po drodze wychylając się przez poręcz, żeby spojrzeć w dół. Ale i stąd nie wypatrzyła wysokiego ciemnowłosego mężczyzny. Zniknął. Znowu się jej wymknął.

Wracając do poczekalni, uprzytomniła sobie, że zostawiła kurtkę i laptop razem z kopertą. Nikt jednak, choć nie brakowało tam ludzi, nie zajął jej stolika. Nawet koperta stała oparta o szklankę, tak jak zostawił ją barman.

Maggie opadła na twarde krzesło i gapiła się na kopertę. Wypiła resztę szkockiej ze swojej szklanki i odstawiła ją. Zabrała się do kolejnego drinka, chociaż nieźle już kręciło jej się w głowie. Miała ochotę zapomnieć o całym świecie.

Wzięła kopertę ostrożnie, za róg. Odkleiła się bez trudu. Maggie wyrzuciła na stolik kartkę, nie dotykając jej. Whisky niewiele pomogła. Przeczytała i zemdliło ją, poczuła paraliżujący lęk.

Na kartce, tym samym kwadratowym pismem, napisane było:

Szkoda, że tak szybko wyjeżdżasz. Może uda mi się zatrzymać w twojej okolicy, kiedy będę w pobliżu Crest Ridge. Pozdrów ode mnie Grega.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Z przejścia na dole widział Maggie O’Dell, która szła do góry po ruchomych schodach. Ruszała się zgrabnie, musiał jej to przyznać, była też niezłą biegaczką. Wyobraził sobie jej silne atletyczne nogi w ciasnych szortach, chociaż nie wzbudzało to w nim wielkich emocji.

Pchnął wózek na bok i zdjął czapkę oraz kurtkę, które pożyczył od śpiącego pracownika lotniska. Zwinął je i wrzucił do pojemnika na śmieci.

Kiedy opuszczał lotnisko, głośnik grzmiał w sali odlotów, słychać było ryk samolotowych silników. W tak wielkim hałasie nikt nie usłyszy Timmy’ego, nawet gdyby obudził się wcześniej, niż powinien. Zresztą bagażnik był szczelny i chłonął wszystkie dźwięki, co znaczy również, że nie było tam wiele powietrza.

Wsiadł do samochodu w chwili, gdy parkingowy z bloczkiem biletów ruszył w jego kierunku. Z piskiem opon zjechał z krawężnika i śmignął wokół rozładowujących się pojazdów. Zanim dowiezie Timmy’ego, zrobi się zupełnie ciemno, ale warto było zboczyć z drogi, żeby spojrzeć w twarz agentce specjalnej Maggie O’Dell.

Wiatr porywał śnieg z ziemi, powodując zamieć, więc jutro z rana wszędzie będą zaspy. Piecyk, lampa i śpiwór, złożone na tylnym siedzeniu, przygotowane na odwołaną wycieczkę z namiotami, mimo wszystko jednak się

przydadzą. Może wstąpi po drodze do McDonalda. Timmy uwielbia Big Maca, on sam też już zgłodniał.

Włączył się do ruchu, machając z podziękowaniem do rudowłosej kobiety, która wpuściła go przed siebie. To nie był stracony dzień. Dodał gazu, lekceważąc ślizgające się po zlodowaciałej jezdni opony. Odzyskał kontrolę.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

– Ten pieprzony typ naigrywa się z ciebie. – Antonio Morrelli robił Nickowi wykład, czując się znakomicie za jego biurkiem, kręcąc się w skórzanym fotelu, który niegdyś należał do niego. Był to jedyny mebel z całego bogatego zestawu ojca, który Nick zostawił sobie, przejmując po nim stanowisko szeryfa. – Powinieneś poświęcić trochę czasu ludziom z telewizji – ciągnął ojciec. – Przekonać ich, że wiesz, co robisz. Wczoraj wieczorem Peter Jennings zrobił z ciebie wiejskiego głupka, co to nawet z latarką nie widzi własnego tyłka. Cholera, Nick, taki gówniany Jennings!

Nick patrzył przez okno, gdzieś poza zasypane śniegiem ulice, na ciemny horyzont za ulicznymi światłami. Pomarańczowy księżyc wystawił róg zza zasłony z chmur.

– Mama z tobą przyjechała? – spytał, nie odwracając głowy, nie zważając na obraźliwe uwagi. Od lat grali w tę grę. Ojciec ciskał zniewagami i poleceniami, a Nick milczał, udając, że pilnie słucha. Zazwyczaj przestrzegał poleceń ojca. Tak było prościej. Tego się po nim spodziewano.

– Została z ciocią Minnie i samochodem w Houston – odparł ojciec, ale jedno spojrzenie wystarczyło, aby Nick przekonał się, że zmiana tematu nie przyjdzie mu łatwo. – Musisz zacząć wzywać podejrzanych z ulicy. No wiesz, takich ulicznych lumpów. Bierz ich na przesłuchania. Udawaj, że masz już rozwiązanie.

– Mam dwóch podejrzanych – powiedział nagle Nick, przypominając sobie, że rzeczywiście ich ma.

– Brawo, no to ich przesłuchaj. Sędzia Murphy do rana na pewno wyda nakaz. Kto to jest?

Nick zastanawiał się, czy z Jeffreysem poszło właśnie tak łatwo: podrzucić dowody, zdobyć nakaz, aresztować.

– Kto to jest? – powtórzył ojciec.

Może chciał ojca zaszokować. Rozsądek powinien był mu podpowiedzieć, żeby trzymał gębę na kłódkę. Tymczasem Nick odwrócił się od okna i powiedział:

– Jeden to ksiądz Michael Keller.

Patrzył na ojca, który znieruchomiał na krześle. Na twarzy starego malowało się wielkie zdziwienie, potem potrząsnął głową i zmarszczył czoło zawiedziony.

– Co ty, kurwa, kombinujesz, Nick? Pieprzony ksiądz, przecież media cię ukrzyżują. Sam to wymyśliłeś czy ta ślicznotka z FBI, o której opowiadali mi chłopacy?

Chłopacy. Jego chłopacy. Jego wydział. Nick wyobrażał sobie, jak się śmieją i żartują z Maggie i z nieszczęsnego szeryfa.

– Keller odpowiada portretowi przygotowanemu przez agentkę O’Dell.

– Nick, ile razy mam ci mówić? Nie możesz myśleć fiutem.

– Nie myślę fiutem. – Zagotowało się w nim. Znów odwrócił się do okna, udając, że patrzy na ulicę, ale wściekłość przesłaniała mu wzrok.

– O’Dell na pewno robi dobry omlet na śniadanie po nocy pieprzenia. To miłe, ale wcale nie znaczy, że masz jej

słuchać.

Nick potarł dłonią szczękę i wargi, żeby tylko wściekłość nie wybuchnęła słowami. Przełknął głośno ślinę, odczekał chwilę i zwrócił się do ojca.

– To moje śledztwo, moje decyzje, i wezwę księdza Kellera na przesłuchanie.

– Świetnie. – Ojciec uniósł ręce w poddańczym geście. – Zrób z siebie pieprzonego dupka. – Wstał i ruszył do drzwi. – A ja w tym czasie zobaczę, czy Gillick i Benjamin nie mogliby dostarczyć jakichś prawdziwych podejrzanych.

Nick zaczekał, aż ojciec znajdzie się po drugiej stronie drzwi i oddali korytarzem. Zakręcił się i walnął pięścią w ścianę. Ból rozwarł mu palce i przeszył całą rękę. Starał się nad sobą panować, czekał, aż złość i poniżenie rozmyją się w bólu.

Potem, nie myśląc wiele, wytarł krew spływającą po ścianie rękawem białej koszuli. Musi już zapłacić za stłuczoną szybę, nie stać go na odmalowywanie pokoju.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Kiedy Christine wjechała na podjazd, okna w domu były ciemne. Położyła ciepłe jeszcze pudełko z pizzą na laptopie, uświadamiając sobie, że pewnie będzie ją jadła sama, skoro Timmy zasiedział się u jakiegoś kolegi. Wrócił kiedyś do domu z długą historią o czymś, co nazywało się sztuką mięsa i pureue z ziemniaków, i nie pochodziło z puszki ani pudełka. Pamiętał pewnie czasy, kiedy przygotowywała sama prawdziwe domowe obiady, które czekały na niego na stole każdego dnia o tej samej porze. Zastanawiała się, czy mu tego brakuje. Czy tęskni za prawdziwym, rodzinnym życiem? Jaką cenę płaci za to, że jego matka, by odzyskać dla siebie szacunek, zażarcie usiłuje zrobić karierę?

Cisza wzbudziła w niej dziwny lęk. Może to tylko ten wiatr. Poszła do kuchni, zatrzymując się przy telefonie z sekretarką. Czerwone światełko nie paliło się, nie było żadnych wiadomości. Tyle razy powtarzała Timmy’emu, żeby dzwonił i zostawiał informację. Nie ma żadnego usprawiedliwienia, zwłaszcza teraz, kiedy ona ma komórkę, chociaż sama jeszcze nie pamiętała numeru.

Rzuciła płaszcz na krzesło, położyła na siedzeniu komputer i torbę. Zapach pizzy przypomniał jej, że umiera z głodu. Po wizycie Eddiego Gillicka w „Wanda’s Diner” straciła apetyt i zostawiła większość lunchu na talerzu.

Nalała sobie szklaneczkę wina, wsadziła zwiniętą gazetę pod pachę i zabrała się do pizzy. Z pełnymi rękami zrzuciła buty i poszła boso do salonu, uciekając od rzeczywistości na miękką kanapę. Jedzenie w salonie było surowo zabronione, a zwłaszcza na kanapie. Spodziewała się, że Timmy wróci lada chwila i przyłapie ją na niecnym wykroczeniu.

Położyła obiad na szklanym blacie stolika i rozłożyła gazetę. W wieczornym wydaniu powtórzono poranny tytuł:

Znaleziono drugie ciało.

Pod spodem znajdował się tylko dopisek potwierdzający, że były to zwłoki Matthew Tannera. Artykuł cytował też George'a Tilliego. Przeczytała raz jeszcze własne dzieło, w którym oddała głos George'owi, skoro Nick nie chciał mówić. Koroner potwierdził, że chłopców zabił seryjny morderca.

Zakończyła artykuł cytatem z wypowiedzi Michelle Tanner z poniedziałku. Była to melodramatyczna prośba o powrót syna. Christine dopisała pod tym:

Rozpaczliwe błaganie matki raz jeszcze trafiło na głuchych.

Teraz, widząc to w druku, pomyślała, że przesadziła. Ale Corby to lubił.

Przejrzała pozostałą część gazety, w tym komentarze czytelników, żeby sprawdzić, czy coś o niej mówią. Nagle przypomniała sobie, że jest bardzo późno. Nerwowo rozejrzała się za pilotem i włączyła telewizor na Kanał Piąty.

Darcy McManus wyglądała jak zwykle nieskazitelnie w kostiumie w kolorze głębokiej czerwieni i purpurowej

bluzce. Christine przyjrzała się jedwabistym kruczoczarnym włosom, dużym brązowym oczom, przyciemnionym konturówką i smugą cienia na górnej powiece. Nie wyobrażała sobie siebie na jej miejscu. Musiałaby wymienić całą garderobę, ale byłoby ją na to stać tylko wtedy, gdyby zarabiała tyle, ile zaoferował jej Ramsey.

To prawda, myśl o pracy w telewizji podziała na jej wyobraźnię. Oddział ABC w Omaha szczycił się milionową widownią w całej wschodniej Nebrasce. Zyskałaby sławę, może nawet dostałaby się do krajowych wiadomości. Poprosiła Ramseya o czas do namysłu, ale już postanowiła. Nie wolno jej było odrzucić takich pieniędzy. Miała stos rachunków do uregulowania, a w perspektywie utratę domu. Nie, nie stać ją na zasady. Rano przyjmie ofertę, ale najpierw porozmawia z Corbym.

Skończyła wino. Chętnie zjadłaby jeszcze kawałek pizzy, ale nie miała siły się ruszyć. Postanowiła przyłożyć się do poduszki na dziesięć, piętnaście minut. Zamknęła oczy i myślała o różnych rzeczach, które kupią sobie z Timmym za jej pierwszą telewizyjną pensję. Zasnęła mocno nie wiadomo kiedy.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

– Spróbuj chociaż Big Maca – powiedział mężczyzna ukryty za maską przedstawiającą nieżyjącego prezydenta.

Timmy kulił się w kącie. Sprężyny skrzypiały za każdym razem, kiedy się poruszył. Rzucał wzrokiem po małym pomieszczeniu oświetlonym tylko lampą stojącą na starej skrzynce. Światło tworzyło pełzające cienie na ścianie pełnej pęknięć przypominających pajęczynę. Trząsł się, nie mógł nad tym zapanować, tak samo jak poprzedniej zimy, kiedy tak się rozchorował, że mama musiała go zabrać na pogotowie. Teraz też czuł się chory, było mu niedobrze, ale inaczej niż wtedy. Trząsł się ze strachu, bo nie wiedział, gdzie jest ani jak się tu znalazł.

Wysoki mężczyzna w masce był dla niego miły. Kiedy zaczepił go koło kościoła, żeby zapytać o drogę, miał na twarzy czarną narciarską czapkę, taką, jakie noszą złodzieje w filmach. Było zimno, mężczyzna wyglądał na zagubionego i zakłopotanego, ale wzbudzał zaufanie. Timmy wcale się go nie bał, nawet kiedy wysiadł, żeby pokazać mapę. Było w nim coś znajomego. Wtedy właśnie chwycił Timmy’ego i przycisnął mu do buzi białą szmatkę. Nic więcej nie pamiętał, tyle tylko, że się obudził w tym miejscu.

Wiatr hulał, wdzierając się przez przegniłe deski, którymi zabite było okno. W pomieszczeniu było jednak ciepło. Timmy dostrzegł w kącie piecyk naftowy. Taki sam jego tata

brał ze sobą, kiedy jechali na kemping. To było bardzo dawno temu, kiedy tata jeszcze się nim zajmował.

– Powinieneś coś zjeść. Wiem, że od lunchu nie miałeś nic w ustach.

Timmy spojrzał na mężczyznę, który w swetrze, dżinsach i lśniąco białych butach Nike wcale nie wyglądał strasznie, tylko śmiesznie. Te buty wydawałyby się nowe, gdyby nie to, że jedna ze sznurówek była zerwana i związana na supełek. Timmy bardzo się dziwił, jak można zerwać sznurowadło w nowych sportowych butach. Gdyby on takie miał, na pewno dbałby o nie lepiej.

Stłumiony głos mężczyzny także przywoływał w chłopcu jakieś wspomnienia, nie potrafił jednak dokładnie ich określić. Starał się przypomnieć sobie nazwisko tego prezydenta, którego przedstawiała maska. Miał duży nos i po jakiejś brzydkiej aferze musiał zrezygnować ze stanowiska. Czemu nie może sobie przypomnieć? Przecież w zeszłym roku uczyli się ich wszystkich na pamięć.

Tak bardzo chciałby przestać się trząść. Każda próba poradzenia sobie z tym sprawiała ból, pozwolił więc, by zęby mu szczękały.

– Zimno ci? Mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić? – spytał mężczyzna, a Timmy pokręcił głową. – Jutro przyniosę ci karty z baseballistami i komiksy. – Wstał, wziął lampę ze skrzyni i zbierał się do wyjścia.

– Mogę zatrzymać lampę? – Timmy zdumiał się, że jego głos brzmi tak spokojnie i klarownie, choć ciało drży zupełnie poza kontrolą.

Mężczyzna obejrzał się. Timmy zobaczył przez otwory jego oczy. W świetle latarni błyszczały tak, jakby zamaskowany człowiek się uśmiechał.

– Oczywiście, Timmy. Zostawię lampę.

Timmy nie pamiętał, żeby powiedział swoje imię. Czyżby mężczyzna go znał?

Porywacz postawił lampę na skrzyni, wciągnął ciepłe gumowe buty i wyszedł, zamykając drzwi na klucz od zewnątrz. Timmy czekał, starając się usłyszeć coś więcej niż głośne bicie swojego serca. Odliczył, jak mu się wydawało, dwie minuty, i kiedy był już pewny, że mężczyzna nie wróci, uważnie zaczął się rozglądać po pomieszczeniu, aż wreszcie postawił na zbutwiałe deszczułki w oknie.

Zsunął się z łóżka i potykając się o swoje sanki, znalazł się na podłodze. Ruszył do okna, kiedy po drodze coś go złapało za nogę. Spojrzał w dół i zobaczył srebrne kajdanki na swoich kostkach i gruby stalowy łańcuch łączący je z łóżkiem. Szarpnął, ale metalowa rama łóżka ani drgnęła. Uklęknął i ciągnął kajdanki wte i wewte, aż palce mu poczerwieniały, a kostki u stóp rozbolały. Przestał walczyć.

Rozejrzał się wokół siebie i w jednej chwili zrozumiał. To tu przed śmiercią trzymani byli Danny i Matthew. Dopełzł do swoich plastikowych sanek i zwinął się w ciasną kulkę.

– Boże – zaczął się głośno modlić, a jego drżący głos przeraził go jeszcze bardziej. – Proszę, nie pozwól, żebym był zabity tak jak Danny i Matthew. Ocal mnie, słodki Jezu, ocal...

Potem próbował myśleć o czymś innym. Ile stanów jest w USA, jakie zna hrabstwa w Nebrasce, starał się w porządku alfabetycznym ułożyć drużyny futbolowe. Na koniec zaczął wymieniać na głos nazwiska amerykańskich prezydentów:

– Washington, Adams, Jefferson…

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Wykonawszy kilka telefonów, na które nikt nie odpowiadał, Nick postanowił pojechać na plebanię. Nie mógł udać się do siebie, bo tam już pewnie był jego ojciec. To była zła strona mieszkania w rodzinnym domu: rodzice pojawiali się, kiedy tylko przyszła im na to ochota. I choć stara farma była wystarczająco duża, Nick nie chciał widzieć ojca ani tym bardziej z nim rozmawiać. Jeszcze nie teraz.

Budynek plebanii także przypominał wiejskie ranczo. Był połączony z kościołem zbudowanym z cegły przejściem. Kościół stał w ciemności, przez witraż przebijał jedynie wątły blask świeczek płonących przy ołtarzu, natomiast plebania była rzęsiście oświetlona od wewnątrz i zewnątrz. Nick musiał jednak długo czekać, zanim ktoś mu otworzył.

Wreszcie w drzwiach pokazał się ksiądz Keller. Miał na sobie długą czarną sutannę.

– Szeryf Morrelli, witam. Przepraszam, że musiał pan czekać. Brałem właśnie prysznic – powiedział ksiądz, jakby spodziewał się tej wizyty.

– Dzwoniłem wcześniej.

– Tak? Byłem tu cały wieczór, ale w łazience nie słychać telefonu. Proszę wejść.

Po świeżych szczapach sądząc, ledwie co rozpalony ogień huczał w potężnym, umieszczonym centralnie kominku.

Przed nim stały miękko wyścielane krzesła, na podłodze leżał barwny wschodni dywan. Obok jednego z krzeseł wznosił się stos książek. Nick rzucił okiem, wszystkie związane były ze sztuką. Degas, Monet, malarstwo renesansowe. Zdziwił się, bo spodziewał się religijnych i filozoficznych tekstów. Ale księża też są ludźmi, mają różne zainteresowania, pasje, uzależnienia.

– Proszę siadać. – Ksiądz Keller wskazał na jedno z krzeseł.

Nick znał go tylko z kościoła, kilka razy widział go podczas niedzielnej mszy. Z miejsca wzbudzał sympatię. Był wysoki, dobrze zbudowany, a przy tym chłopięcy. Emanował spokojem i wewnętrznym ładem, co sprawiało, że ludzie czuli się przy nim swobodnie. Tak też było z Nickiem. Zerknął na dłonie księdza. Długie zgrabne palce z wypielęgnowanymi paznokciami, ani śladu skórki przy paznokciach. W niczym nie przypominały rąk mordercy, który dusi dzieci. Maggie przesadziła. Ten facet nie mógł tego zrobić. Należało natomiast przesłuchać Raya Howarda.

– Napije się pan kawy? – zapytał Keller i zabrzmiało to nad wyraz sympatycznie.

– Nie, dziękuję. Nie zajmę księdzu dużo czasu. – Rozpiął kurtkę, wyciągnął notes i długopis. Ręka go bolała, z palców sączyła się krew, prowizoryczny opatrunek zabarwił się na czerwono. Nick gdy tylko mógł, opuścił rękaw, by zasłonić niemiły widok.

– No cóż, niewiele mogę pomóc. Sądzę, że był to atak serca.

– Słucham?

– Mówię o księdzu Francisie. To z jego powodu pan przyszedł, prawda?

– Co się stało z księdzem Francisem?

– O mój Boże. Proszę wybaczyć, myślałem, że to pana sprowadza. Przypuszczalnie rano miał atak serca i spadł ze schodów w piwnicy.

– Jak się czuje?

– Niestety nie żyje. Niech jego dusza spoczywa w spokoju. – Ksiądz Keller pociągnął jakąś nitkę w sutannie, unikając wzroku Nicka.

– Jezu, tak mi przykro. Nic nie wiedziałem.

– Tak, to ogromny szok. Dla nas wszystkich. Pan służył do mszy z księdzem Francisem, prawda? W starym kościele?

– Całe wieki temu. – Nick patrzył w ogień, przypominając sobie, jak krucho wyglądał stary ksiądz, kiedy wypytywali go z Maggie.

– Przepraszam, szeryfie, ale jeśli nie chodzi o księdza Francisa, w czym mogę panu pomóc?

Przez chwilę Nick miał pustkę w głowie. Potem przypomniał sobie portret mordercy przygotowany przez Maggie. Ksiądz Keller idealnie pasował do fizycznego wizerunku. Młody, wysoki, szczupły, sprawny, po jego stopach sądząc, nosił buty numer dwanaście. Ale jego stopy i dłonie były zbyt czyste, zbyt gładkie. Ksiądz nie mógł

brodzić na bosaka w śniegu, nie mógł wspinać się po skałach ani przedzierać przez gęste zarośla.

– Szeryfie? Dobrze się pan czuje?

– Tak, dobrze. Chciałem księdzu zadać kilka pytań w związku z obozem letnim, który organizuje kościół.

– Z obozem letnim? – Zmieszał się czy zdenerwował? Nick nie potrafił zgadnąć.

– Zarówno Danny Alverez, jak i Matthew Tanner zeszłego lata uczestniczyli w organizowanym przez księdza obozie.

– Naprawdę?

– Nie wiedział ksiądz?

– W zeszłym roku było ponad dwustu chłopców. Chciałbym ich wszystkich poznać, ale nie miałem czasu.

– Ze wszystkimi robił sobie ksiądz zdjęcia?

– Słucham?

– Mój siostrzeniec, Timmy Hamilton, ma zdjęcie, na którym jest piętnastu, może dwudziestu chłopców, ksiądz i pan Howard.

– Och, tak. – Keller wsadził palce we włosy i wtedy dopiero Nick zdał sobie sprawy, że jego włosy są suche. – Zdjęcie na łódce. Nie wszyscy chłopcy mogli wziąć udział w wyścigu, ale tak, zrobiliśmy zdjęcie z tymi, którzy się nadawali. Pan Howard był tam opiekunem wolontariuszem. Odkąd opuścił w zeszłym roku seminarium i przyszedł do nas, staram się go włączać w jak najwięcej kościelnych przedsięwzięć.

A więc Howard był w seminarium. Nick czekał na dalszy ciąg.

– Timmy Hamilton to pański siostrzeniec, jak sądzę? Wspaniały chłopak.

– Tak, to prawda. – Czy ksiądz Keller próbował odwrócić jego uwagę od siebie? Nie musiał napomykać o tym, że Howard opuścił seminarium.

– W swojej poprzedniej parafii organizował ksiądz podobne obozy dla chłopców, prawda? W Maine. W Wood River, zdaje się. – Czekał na reakcję Kellera, ale nie było żadnej.

– To prawda – odpowiedział obojętnie.

– Dlaczego wyjechał ksiądz z Wood River?

– Zaproponowano mi stanowisko tutaj. Można to uznać za awans.

– Wiedział ksiądz, że przed odejściem księdza z Wood River zamordowano tam chłopca?

– Obiło mi się o uszy. Nie bardzo rozumiem, do czego pan zmierza, szeryfie. Oskarża mnie pan, że ukrywam jakieś informacje na temat tych zbrodni?

Mówił spokojnie, bez śladu paniki, choć oczywiście był lekko poruszony. Każdy by był, przecież mówili o zbrodni.

– Sprawdzam wszystkie ślady. – Nick czuł się jak idiota. Jak mógł dać się przekonać Maggie, że katolicki ksiądz jest mordercą? Nagle coś go uderzyło. – Skąd ksiądz wie, że służyłem do mszy z księdzem Francisem w starym kościele?

– Pewnie ksiądz Francis o tym wspominał. – Znów uciekł od Nicka wzrokiem. Przerwało im stukanie do drzwi. Keller poderwał się zbyt szybko, jakby chciał uciec. – W tym stroju

nie mogę się pokazać. – Uśmiechnął się do Nicka, poprawiając sutannę i zaciskając pas.

Nick wykorzystał sytuację i odsunął się od ognia. Wstał i zaczął chodzić po dużym pokoju. Wysokie, wbudowane w ściany półki z książkami zajmowały jedną ścianę, naprzeciw znajdowało się okno wykuszowe i półka na rośliny. Pokój był skromny. Wypolerowany krucyfiks z ciemnego drewna z niezwykłym ostrym końcem wyglądał prawie jak sztylet. Na ścianach wisiało kilka oryginalnych obrazów nieznanego artysty. Nick nie znał się na sztuce, ale hipnotyczne jaskrawe plamy, wirujące żółcie i czerwienie na tle wibrującej purpury zrobiły na nim wrażenie.

I wtedy Nick to zobaczył. Wciśnięta z boku ceglanego kominka, który wystawał ze ściany, na starej wycieraczce stała para czarnych gumowych butów. Miały jeszcze ślady śniegu. Czy ksiądz Keller kłamał, twierdząc, że tego wieczoru nie ruszał się z domu? A może buty należą do Raya Howarda?

Z korytarza dobiegły Nicka podniesione głosy. Ksiądz Keller był nieco zdenerwowany, jakaś kobieta oskarżycielsko krzyczała. Nick pospieszył do drzwi i ujrzał Maggie, która zarzucała pytaniami próbującego zachować zimną krew księdza.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Nick nie od razu poznał głos Maggie, bo teraz brzmiał donośnie, piskliwie i agresywnie. Nie pasował do zrównoważonej kobiety, która była uosobieniem trzeźwego spokoju.

– Chcę natychmiast się widzieć z księdzem Francisem – rzuciła, przepychając się obok księdza Kellera, nie dając mu szansy, żeby cokolwiek wyjaśnił. Wpadła na Nicka i przestraszona odskoczyła. Spotkali się wzrokiem. W jej oczach kryło się coś dzikiego i ponurego. Jakby traciła nad sobą kontrolę. Świadczył o tym również ton jej głosu.

– Nick, co tu robisz?

– Mógłbym ci zadać to samo pytanie. Czy nie powinnaś być teraz w samolocie?

Była taka filigranowa w za dużej zielonej kurtce i niebieskich dżinsach. Bez makijażu, z rozwianymi włosami mogła uchodzić za studentkę z college'u.

– Przesunęli lot.

– Przepraszam – włączył się gospodarz.

– Maggie, pozwól. Poznaj księdza Michaela Kellera. A to jest agentka specjalna Maggie O'Dell.

– A więc to ksiądz? – Nadal go oskarżała. – Co ksiądz zrobił z księdzem Francisem?

Znów ta napastliwość. Nick nie pojmował, co się stało z chłodną, opanowaną kobietą, przy której czuł się jak

nieodpowiedzialny narwaniec.

– Właśnie próbowałem wyjaśnić… – podjął Keller.

– Tak, rzeczywiście powinien ksiądz coś wyjaśnić. Ksiądz Francis umówił się ze mną w szpitalu po czwartej. Nie pojawił się. – Spojrzała na Nicka. – Dzwoniłam tu całe popołudnie i wieczór.

– Maggie, wejdź, ochłoniesz trochę.

– Nie chcę ochłonąć. Chcę otrzymać odpowiedź. Chcę wiedzieć, co się tu, u diabła, dzieje!

– Rano był wypadek – zaczął tłumaczyć Nick. – Ksiądz Francis spadł ze schodów w piwnicy. Niestety nie żyje.

Umilkła, stała nieporuszona.

– Wypadek? – Podniosła wzrok na Kellera. – Nick, jesteś pewny, że to wypadek?

– Maggie…

– Skąd masz pewność, że ktoś go nie zepchnął? Czy koroner oglądał jego ciało? Jeśli trzeba, sama zajmę się autopsją.

– Autopsją? – powtórzył ksiądz Keller.

– Maggie, to był stary i słaby człowiek.

– No właśnie. Po co schodziłby po tych cholernych schodach?

– Trzymamy tam wino – wyjaśniał ksiądz Keller.

Maggie spojrzała na niego. Nick zobaczył, że zacisnęła pięści. Nie zdziwiłby się, gdyby dołożyła księdzu. Nie pojmował strategii Maggie. Wolałby, żeby mu objaśniła swoją grę.

– Co ksiądz sugeruje? – spytała wreszcie.

– Sugeruję? Nic nie sugeruję.

– Maggie, chyba powinniśmy iść – rzekł Nick, biorąc ją lekko pod ramię. Natychmiast wykręciła się i rzuciła mu takie spojrzenie, że cofnął się o krok. Przeniosła wzrok na księdza Kellera, a potem energicznie minęła ich obu i poszła do wyjścia.

Nick zerknął na księdza, który był równie zmieszany i zażenowany jak on. Bez słowa ruszył za Maggie do drzwi. Dogonił ją na chodniku. Wyciągnął rękę, żeby tak nie biegła, ale w końcu tylko wydłużył krok.

– Co ty, cholera, wyprawiasz? – zdenerwował się.

– On kłamie. Wątpię, że to był wypadek.

– Ksiądz Francis był stary, Maggie.

– Miał mi coś ważnego do powiedzenia. Kiedy rano rozmawialiśmy przez telefon, czułam, że ktoś nas podsłuchuje. Przypuszczam, że to Keller. Nie rozumiesz, Nick? – Przystanęła i odwróciła się do niego. – Ten, kto nas podsłuchiwał, postanowił powstrzymać księdza Francisa, żeby nie mógł mi przekazać tej ważnej informacji. Autopsja może nam pokazać, czy został pchnięty, czy spadł sam. Ja się tym zajmę, jeśli...

– Maggie, chwila. Nie będzie żadnej autopsji. Keller nikogo nie pchnął. Nie sądzę też, żeby miał coś wspólnego z tymi wszystkimi morderstwami. To szaleństwo. Musimy zacząć szukać prawdziwych podejrzanych. Musimy...

Wyglądała fatalnie. Pobladła, opuściła ramiona, miała łzy w oczach.

– Maggie?

Zawróciła i zbiegła z chodnika na śnieg, za budynek plebanii, z dala od ulicznych latarni. Chroniąc się przed wiatrem, przywierając do drzewa, zgięła się wpół i zwymiotowała. Nick skrzywił się. Postanowił trzymać się na dystans. Wreszcie zrozumiał jej napastliwość, głośne oskarżenia, złość. Maggie była pijana.

Zaczekał, aż skończy. Miał nadzieję, że na tyle wytrzeźwieje, by się zawstydzić.

– Nick.

Kiedy się odwrócił, oddalała się od niego, szła za budynkiem plebanii ku drzewom, które odgradzały teren kościoła od Cutty’s Hill.

– Nick, zobacz. – Stanęła i wyciągnęła palec. Wyglądała niesamowicie. Czyżby miała halucynacje? Potem sam to zobaczył. Jakby dostał obuchem w łeb. Schowany między drzewami stał stary niebieski pikap.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

– Poproszę, żeby z samego rana sędzia Murphy wydał nakaz rewizji. – Nick nie przestawał mówić, kiedy dotarli do hotelowego pokoju Maggie.

Pragnęła, żeby się zamknął. Głowa jej pękała, wciąż miała nudności. Co za diabeł ją skusił, żeby wypić tyle szkockiej na pusty żołądek? Rzuciła laptop i kurtkę na łóżko i położyła się obok. Szczęście, że dostała z powrotem swój pokój, bo wielu zmotoryzowanych podróżnych fatalna pogoda zmusiła do przerwy w podróży.

Nick stał w drzwiach. Czuł się skrępowany, mimo to nie zbierał się do odejścia.

– Tak naskoczyłaś na tego Kellera, że zgłupiałem. Jezu, myślałem, że go pobijesz.

Spojrzała na niego, nie ruszając się z łóżka.

– Nie wierzysz mi, ale mówię ci, że Keller maczał w tym wszystkim palce. Zdecyduj się: wchodzisz czy wychodzisz, tylko nie stój tak w otwartych drzwiach. Muszę dbać o swoją reputację.

Uśmiechnął się i wszedł, zamykając za sobą drzwi. Zaczął krążyć po pokoju, aż zobaczył, że Maggie marszczy brwi. Widocznie drażnił ją wszelki ruch. Przysunął krzesło do brzegu łóżka, żeby mogła go widzieć, nie zmieniając pozycji.

– Co się stało, postanowiłaś urządzić pożegnalną balangę?

– Wydawało mi się, że to dobry pomysł.

– Nie spóźnisz się na samolot?

– Już pewnie odleciał.

– Co z twoją matką?

– Zadzwonię do niej rano.

– Wróciłaś taki kawał drogi z powodu Kellera?

Uniosła się, wsparła na łokciu i zaczęła grzebać w kieszeniach kurtki. Wyciągnęła małą kopertę, podała mu i znów się położyła.

– Co to jest?

– Barman mi to dał, kiedy siedziałam w poczekalni na lotnisku. Powiedział, że jakiś facet przy barze prosił, żeby mi to przekazał. Facet się ulotnił.

Patrzyła, jak Nick czyta. Przypomniała sobie, że nie powiedziała mu o pierwszym liście.

– To od mordercy.

– Do diabła, skąd on wie, gdzie mieszkasz i jak się nazywa twój mąż?

– Testuje mnie, bada, grzebie w mojej przeszłości, robi ze mną to samo, co ja robię z nim.

– Jezu, Maggie.

– Nic takiego. Trzeba to brać z dobrodziejstwem inwentarza. – Zamknęła oczy, zaczęła masować pulsujące skronie. – Przez wiele godzin dzwoniłam na plebanię, ale nikt nie odbierał telefonu. Dość czasu, żeby zrobić sobie wycieczkę na lotnisko i z powrotem.

Kiedy podniosła powieki, Nick jej się przyglądał. Usiadła, nie czuła się dobrze wydana na jego zatroskane spojrzenie.

Siedział tak blisko, ich kolana prawie się dotykały. Pokój zaczął się kręcić, przechylił się na prawo. Obawiała się, że meble za chwilę zaczną się ślizgać.

– Maggie, dobrze się czujesz?

Spojrzała w jego niebieskie oczy i przeszedł ją dreszcz. Nawet jej jeszcze nie dotknął, nie pieścił jej policzka. Zrobił to po chwili. Wtulona w jego dłoń przymknęła powieki i pozwoliła swojemu ciału na to wirowanie. Potem znienacka zerwała się i zeskoczyła z łóżka. Chwyciła obiema rękami komodę, żeby się nie przewrócić. Jej oddech był płytki, urywany. Podniosła wzrok i zobaczyła Nicka w lustrze. Och, co się z nią działo, dlaczego tak reagowała na tego faceta?

Patrzyła, jak Nick do niej podchodzi, poczuła, jak całuje jej kark. Bluza zsunęła się jej z ramienia. Lustro pokazywało, jak Nick przesuwa wilgotne wargi z jej karku na ramię i na plecy. Kiedy wrócił do szyi, myślała, że się udusi.

– Nick, co ty wyprawiasz? – powiedziała z trudem.

– Już tak dawno chciałem cię dotknąć.

Bawił się koniuszkiem jej ucha. Maggie miała kolana jak z waty.

– To nie jest dobry pomysł – udało jej się szepnąć, i to niezbyt przekonująco. No i oczywiście nie powstrzymała go, jego rąk, które objęły ją w pasie, jego dłoni, które położyły się płasko na jej brzuchu. Bezradnie pomyślała, że powinna to przerwać, lecz było jej tak cudownie, tak błogo…

– Nick.

Bez sensu. Nie mogła nic powiedzieć, nie mogła złapać tchu. Jego wargi pochłaniały ją łapczywie, dłonie wędrowały po jej ciele. Zauważyła bandaż na jego ręce. Chciała zapytać, co się stało, ale musiała przecież skupić się na tym, żeby w ogóle oddychać.

Widziała w lustrze, jak jego dłonie sięgają po jej piersi, jak pieszczą je, kompletnie ją obezwładniając. Za dużo tego. Nie była przygotowana na coś takiego, jej zmysły tego nie wytrzymają. Przesunął dłonie niżej, śmielej, bardzo śmiało. Czuła, że jej podniecenie zamienia się w zapraszającą wilgoć, którą już i on delikatnie wyczuwał palcami. Brakowało sekund, żeby dojrzała do orgazmu. Znalazła w sobie dość siły i odwróciła się do niego twarzą, żeby go odepchnąć. Kiedy jednak dotknęła go, ręce zdradziły ją i rozpoczęły własną podróż, rozpinając mu koszulę, gnane dzikim, niepowstrzymanym pragnieniem.

Drżał, gdy dotknął ustami jej ust. Oszołomiona własnymi jękami, zawahała się. Jego wargi nie ustawały, aż poddała się i sama ofiarowała mu równie namiętny pocałunek. Bezsilnie opierała się o komodę, walcząc o łyk powietrza, podczas gdy Nick przeniósł się znów ku jej piersiom, ssąc sutki przez bawełnianą koszulkę. Mocno przywarła do komody.

– Boże, Nick – szepnęła. Chciała go zatrzymać, ale nie mogła. Pokój zaczął znów swoje wirujące pląsy. W uszach jej dzwoniło. To ciągłe dzwonienie! Nie, to nie w jej uszach dzwoni. To po prostu telefon. Telefon, tak, to telefon. Rzeczywistość odciągnęła ją od skraju przepaści.

– Nick… telefon – wykrztusiła.

Klęczał przed nią. Podniósł wzrok, przerywając pieszczotę, z rękami na jej talii, z oczami pełnymi pożądania. Jak mogła pozwolić, żeby posunęli się tak daleko? To ta szkocka. Ten pieprzony zawrót głowy. Te cudownie smakujące wargi i mocne ręce. Psiakrew, musi nad sobą panować.

Odsunęła się i pokuśtykała do nocnej szafki, chwytając słuchawkę. Telefon spadł na podłogę. Stała tyłem do Nicka, żeby nie widzieć jego oczu, bo inaczej trzęsłaby się wciąż jak galareta.

– Tak? – odezwała się, wypróbowując swój głos, rozczarowana, że nie udało jej się wyrównać oddechu. – Maggie O’Dell.

– Maggie, no, dzięki Bogu, że cię złapałam. Mówi Christine Hamilton. Nie wiem, co robić. Przepraszam, że dzwonię tak późno. Próbowałam złapać Nicka, ale nikt nie wie, gdzie go szukać.

– Uspokój się, Christine. – Zerknęła na Nicka.

Słysząc imię swojej siostry, natychmiast nadstawił ucha. Męczył się z guzikami przy koszuli, jakby Christine miała za moment wejść do pokoju i złapać ich in flagranti. Maggie skrzyżowała ramiona, żeby zakryć drżące piersi, wciąż czując jego usta. Na koszulce miała mokrą plamkę. Odwróciła się ponownie tyłem do Nicka i założyła włosy za uszy.

– Christine, co się stało?

– Chodzi o Timmy’ego. Kiedy wróciłam, nie było go w domu. Myślałam, że jest u któregoś z kolegów. Dzwoniłam, ale nikt go nie widział od popołudnia. Byli na sankach, na Cutty’s Hill. Dzieci widziały, jak szedł do domu, ale nie doszedł. Boże, Maggie, nie ma go. To było pięć godzin temu. Tak strasznie się boję. Nie wiem, co robić.

Maggie zasłoniła mikrofon słuchawki i przysiadła na brzegu łóżka, żeby się nie zachwiać.

– Timmy zaginął – oznajmiła powściągliwie, chociaż panika i zimny jak lód, porażający lęk przeniknęły ją na wskroś. Zobaczyła oczy Nicka. Nim też zawładnęły już niszczące wszystkie inne uczucia macki strachu.

– Jezu, nie – powiedział. Patrzyli na siebie. Podniecenie gdzieś uleciało, znikło w przestworzach.

Szeryf Morrelli i agentka specjalna O’Dell nie mieli złudzeń. Wiedzieli.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Christine obgryzała paznokcie. Wróciła do dawnego zwyczaju z dzieciństwa, patrząc, jak jej ojciec krąży po salonie. Kiedy zadzwoniła do Nicka i słuchawkę podniósł ojciec, zdziwiła się i jednocześnie poczuła ulgę. Lecz to już minęło. Teraz było jej coraz gorzej, gdy obserwowała ojca, który maszerował tam i z powrotem, wyszczekując rozkazy swoim podwładnym, którzy zapełnili jej dom i podwórko. W obecności ojca czuła się jeszcze bardziej bezradna, stawała się na powrót tą niewidoczną małą dziewczynką, niezdolną do niczego.

– Połóż się, złotko. Odpocznij – powiedział ojciec.

Potrząsnęła głową, nie była w stanie się odezwać.

Nie wiedząc, jak z nią postępować, ojciec ją zignorował.

Kiedy Nick i Maggie torowali sobie drogę do salonu przez zatłoczone mieszkanie, Christine ruszyła biegiem do brata. Zatrzymała się jednak i zatoczyła na miękkich kolanach, łapiąc się sofy. Nawet w takiej sytuacji nie chciała rzucać mu się w ramiona. Nigdy nie byli wobec siebie wylewni i teraz wyglądałoby to dziwnie. Nick zrozumiał reakcję siostry i sam do niej podszedł. Bez słowa przygarnął ją do siebie. Do tej pory jakoś się trzymała, mały żołnierzyk tatusia, lecz teraz łzy poleciały jej wartkim strumieniem. Przytuliła się do Nicka z całej siły, kłębek bólu i rozpaczy.

Nick posadził siostrę na sofie i objął ją ramieniem. Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła Maggie, która podała jej szklankę wody. Niełatwo było ją wypić, nie rozlewając. Christine poszukała wzrokiem ojca, ale gdzieś się ulotnił. Jasne, nie chciał patrzeć na tak zasmarkany przejaw słabości u swojej córki.

– Jesteś pewna, że sprawdziłaś wszystkie możliwe miejsca? – zapytał Nick.

– Dzwoniłam do kogo się dało. – Miała zatkany nos, mówiła z trudem. Maggie wręczyła jej chusteczki. – Wszyscy mówią to samo, że po sankach poszedł do domu.

– Może gdzieś jednak wstąpił po drodze? – spytała Maggie.

– Nie wiem. Poza kościołem, między naszym domem i Cutty’s Hill są tylko budynki mieszkalne. Dzwoniłam na plebanię, ale nikt nie odpowiadał. – Zauważyła, że Nick i Maggie wymienili spojrzenia. – Co? O co chodzi?

– Nic – rzekł jej brat, ale mu nie uwierzyła. – Byliśmy z Maggie na plebanii. Sprawdzę, co ojciec kazał robić moim ludziom. Zaraz wracam.

Maggie zdjęła kurtkę i przysiadła się do Christine. Elegancka agentka O’Dell miała na sobie wyblakły rozciągnięty futbolowy podkoszulek i niebieskie dżinsy. Była zarumieniona, a jej włosy były w nieładzie.

– Wyciągnęłam cię z łóżka? – spytała Christine. Zdziwiła się, że pytanie zażenowało Maggie.

– Nie, nie. – Poprawiła potarganą fryzurę. Spojrzała po sobie, jakby dopiero teraz zauważyła, że jest niestosownie

ubrana. – Prawdę mówiąc, miałam jechać do domu... do Wirginii. Lot się opóźnił. Nadałam wszystkie rzeczy na bagaż. – Zerknęła na zegarek. – Pewnie są teraz nad Chicago.

– Mogę ci coś pożyczyć, jeśli chcesz.

Maggie zawahała się. Christine była pewna, że odmówi, jednak Maggie powiedziała:

– Naprawdę mogłabyś?

– Pewnie. Chodźmy.

Poprowadziła ją do sypialni, zdumiona, że zostało jej jeszcze trochę energii, i zadowolona, że ma coś do roboty. Zamknęła drzwi, lecz głosy z dołu i tak było słychać. Otworzyła szafę i kilka szuflad. Była wyższa od Maggie, ale podobnie zbudowana, tylko biust miała mały.

– Proszę, weź, co chcesz. – Usiadła na brzegu łóżka.

Maggie wyciągnęła czerwony sweter.

– Pewnie nie mogłabyś mi pożyczyć stanika?

– Górna szuflada, ale może być za mały. Przymierz któryś z tych sportowych, lepiej się naciągają.

Zdała sobie sprawę, że Maggie musi czuć się skrępowana. Christine całe wieki nie miała bliskiej przyjaciółki, z którą dzieliłaby przebieralnię. Postanowiła wyjść, ale nie zdążyła się podnieść, kiedy Maggie ściągnęła podkoszulek i wcisnęła się w sportowy biustonosz. Opiął ciasno jej okrągłe piersi. Christine przeniosła wzrok, ale zanim to zrobiła, spostrzegła bliznę biegnącą przez brzuch Maggie. Spotkały się wzrokiem w lustrze.

– Przepraszam – powiedziała Christine. – Wybacz, że spytam. To nie wygląda jak blizna po operacji.

– Bo nie jest – odpowiedziała wprost. Przebiegła palcem wzdłuż czerwonej wypukłej linii. Na plecach też miała podobną szramę. – To prezent – powiedziała cicho, niemal z szacunkiem. – Od mordercy, którego śledziłam.

– Nawet sobie nie wyobrażam, co musisz przeżywać w tej robocie.

– Taka jej specyfika. Masz jakąś krótką koszulkę zamiast stanika?

– Dolna lewa. Jak sobie z tym radzisz?

– Nie powiedziałam, że sobie radzę. – Maggie wydostała się ze sportowego stanika i przymierzyła kremową koszulkę, która na nią pasowała. Wsadziła ją do spodni. – Staram się o tym nie myśleć.

Czerwony sweter też był za ciasny, ale dzięki koszulce jakoś to wyglądało.

– Dzięki – rzekła, odwracając się do Christine.

– Danny i Matthew zostali bardzo okaleczeni przez tego szaleńca, prawda?

Do swoich artykułów Christine szukała najbardziej pikantnych szczegółów, by zaintrygować czytelników. Teraz ta wiedza była potrzebna jej samej.

Bezpośrednia zwykle Maggie O’Dell wyglądała na zakłopotaną, a nawet wytrąconą z równowagi.

– Znajdziemy Timmy’ego, obiecuję. Nick już dzwonił do sędziego Murphy’ego. Zdobędziemy nakaz sądowy, a podejrzanego już mamy.

Christine-dziennikarka powinna w takim momencie zarzucić Maggie pytaniami. Kim jest podejrzany? Po co im nakaz? Ale Christine-matka widziała tylko małego, drobnego chłopca, który siedzi gdzieś samotnie w ciemnym kącie. Czy naprawdę zdołają go odnaleźć, zanim jego ciała dosięgnie zostawiający czerwone ślady nóż?

– On jest taki delikatny.

Christine czuła, że łzy cisną jej się do oczu. Znów ogarnął ją potworny lęk. Maggie patrzyła na nią z drugiego końca pokoju, zachowując pełen poszanowania dystans, za co Christine była jej wdzięczna. Nie rozpadnie się teraz, nie przy tej kobiecie, którą pociął jakiś zboczeniec. Kobiecie, która zastąpiła wszystkie swoje emocje hartem ducha. Tak, tego właśnie jej było trzeba, hartu ducha. Płacz nie pomoże Timmy’emu.

Wytarła kilka łez, które pociekły jej po policzku, i wstała, czując przypływ energii. Już się nie przejmowała gwałtownym ściskaniem w żołądku.

– Powiedz mi, jak mogę pomóc – poprosiła, udając, że jej głos wcale nie drży.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Smużki słońca przedarły się przez zgniłe deszczułki i obudziły Timmy'ego. Nie wiedział, gdzie jest, dopóki nie poczuł zapachu naftowego piecyka i pleśni na ścianie. Kiedy chłopiec usiadł, zadzwonił łańcuch. Wszystko go bolało, bo spał zwinięty na plastikowych sankach. Pusty żołądek miał skurczony ze strachu.

– Pomyśl o czymś miłym – powiedział do siebie głośno, żeby znowu nie napadły go te straszne, bolesne konwulsje.

W promieniach słońca spostrzegł, że ściany oklejone są plakatami, które przykrywają spękania i opadający tynk. Były podobne do tych, które miał w domu. Kilka plakatów z drużyną Nebraska Cornhuskers, jeden z Batmanem, dwa z „Gwiezdnych wojen". Nasłuchiwał, czy nie usłyszy jakiegoś ulicznego dźwięku, ale na zewnątrz panowała głucha cisza. Tylko wiatr gwizdał w szparach i upiornie tłukł pękniętym szkłem.

Gdybym mógł dostać się do okna, pomyślał Timmy, na pewno udałoby mi się zerwać z niego deski. Okno wprawdzie było nieduże, ale może zdołałby się przez nie przecisnąć i zawołać o pomoc? Spróbował przesunąć łóżko, ale ciężka rama ani drgnęła. A Timmy był słaby, najmniejszy i najdrobniejszy w klasie, na domiar złego z głodu kręciło mu się w głowie.

Wepchnął do ust kilka frytek. Były zimne i słone. W skrzynce znalazł dwa snickersy, torebkę cheetosów i pomarańczę. Było mu niedobrze, ale pochłonął łapczywie pomarańczę i batoniki oraz zabrał się do cheetosów, przyglądając się łańcuchowi, którym był przymocowany do łóżka. Łańcuch nie był gruby, ale nie dało się rozewrzeć żadnego z małych metalowych ogniw. Zresztą Timmy nie miał na to siły. No właśnie, strasznie go wkurzało, że taki z niego cherlak.

Wtem doszedł go odgłos kroków. Wdrapał się czym prędzej na łóżko, zwijając się pod nakryciem. Zamek jęknął i drzwi otworzyły się, skrzypiąc.

Mężczyzna wszedł powoli. Miał na sobie grubą narciarską kurtkę, czarne gumowe buty i czapkę na gumowej masce, która przykrywała mu całą głowę.

– Dzień dobry – mruknął. Położył brązową papierową torbę, ale tym razem nie rozbierał się. Widocznie nie miał zamiaru zostawać tu na dłużej. – Timmy, pewnie się ucieszysz, bo przyniosłem ci parę drobiazgów. – Mówił miłym, przyjaznym tonem.

Chłopiec przesunął się ku krawędzi łóżka, udając wielkie zainteresowanie.

Mężczyzna podał mu kilka komiksów, starych co prawda, ale wcale niezniszczonych. Timmy myślał nawet, że są całkiem nowe, dopiero potem zobaczył, że kosztowały po dwanaście i piętnaście centów, a była to cena sprzed wielu lat. Mężczyzna dał mu też talię kart z baseballistami owiniętą gumką. Następnie zaczął rozpakowywać zakupy

i wkładać je do skrzynki, w której Timmy znalazł batoniki. Chłopiec patrzył, jak mężczyzna wyciąga płatki Cap’n Crunch, kolejne snickersy, chipsy kukurydziane i kilka puszek SpaghettiOs.

– Starałem się kupić to, co najbardziej lubisz – powiedział, odwracając się do niego.

– Dziękuję – powiedział grzecznie Timmy. Mężczyzna skinął głową, oczy błyszczały mu, jakby się uśmiechał. – Skąd pan wiedział, że bardzo lubię Cap’n Crunch?

– Po prostu mam dobrą pamięć – rzekł łagodnie nieznajomy. – Nie mogę zostać dłużej. Czy chciałbyś, żebym ci przyniósł coś jeszcze?

Timmy zobaczył, że mężczyzna gasi lampę naftową, i przestraszył się.

– Wróci pan, zanim się zrobi ciemno? Nie lubię ciemności.

– Postaram się wrócić. – Ruszył do drzwi, po drodze zerknął jeszcze na chłopca. Westchnął, pogrzebał w kieszeniach i wyjął z jednej z nich jakiś błyszczący przedmiot. – Zostawię ci moją zapalniczkę, na wypadek gdybym nie zdążył wrócić. Ale ostrożnie z tym, Timmy. Żebyś nie zrobił pożaru. – Rzucił błyszczący metalowy przedmiot na łóżko obok chłopca. Potem wyszedł.

Timmy’emu znowu zrobiło się niedobrze. Pocieszał się, że może coś mu zaszkodziło. Okropnie się czuł w zamkniętym pomieszczeniu i przykuty do łóżka, ale jeśli mężczyzna nie wróci, to przynajmniej nic mu nie zrobi. Czyli ma cały dzień na przygotowanie planu ucieczki. Musi spokojnie wszystko

rozważyć, by nie popełnić żadnego błędu. Jest dzieckiem, ale jeśli chce przeżyć, musi zachowywać się jak dorosły.

Podniósł zapalniczkę i pogłaskał jej gładką powierzchnię. Zauważył, że z jednej strony jest wyrzeźbiony jakiś znak. Poznał ciemnobrązowy grzbiet górski. Widział go niejeden raz na kurtce i na mundurze dziadka i wujka Nicka. To był symbol biura szeryfa.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

Zapach kawy przyprawił Maggie o mdłości, chociaż zdawało się, że to najlepsze remedium na szkody wyrządzone przez whisky. Skubnęła tost i jajecznicę, obserwując drzwi jadłodajni. Nick obiecał, że nie zajmie mu to więcej niż piętnaście minut, a minęła już cała godzina. Niewielki lokal zaczął ogarniać śniadaniowy szczyt, pojawili się farmerzy, biznesmeni i kobiety w kostiumach.

Opuszczając rano Christine, Maggie czuła się fatalnie, choć miała jednocześnie świadomość, że nie potrafi jej pocieszyć. W takich sytuacjach nigdy nie umiała znaleźć właściwych słów, nie potrafiła serdecznie przytulić, wziąć za rękę. Sama nie zaznała zbyt wiele czułości w swoim życiu. Jako drobna dwunastolatka walczyła z pijaną matką, wciągając ją na górę po schodach do zapuszczonego mieszkania. Nie było tu miejsca na czułe słówka. Gdy dorosła, została agentką FBI i uganiała się za bandziorami i psychopatami, więc posługi siostry miłosierdzia tym bardziej były jej obce. Uznała przy tym, że podczas rozmów z rodzinami ofiar wystarczy okazać uprzejme, oficjalne współczucie i nic więcej.

Natomiast ostatniej nocy była jak sparaliżowana. Ledwie znała Christine, wszak jedna wspólna kolacja nie zobowiązuje do przyjaźni. Ale drobna piegowata twarz Timmy’ego mocno odcisnęła się w jej pamięci. Do tej pory

nie zdarzyło się, by znała osobiście którąś z ofiar tropionych przez nią morderców, lecz zmaltretowane ciała pozostawały z nią na zawsze. Nie wyobrażała sobie, by do tego portfolio zadręczających ją obrazów miał dołączyć Timmy.

Wreszcie pojawił się Nick. Wypatrzył ją natychmiast i pomachał, lecz nim podszedł do niej, kilka razy zatrzymał się, by zamienić parę słów ze znajomymi. Miał na sobie swój mundurek, to znaczy dżinsy, kowbojskie buty i kurtkę. Po opuchliźnie na policzku został jedynie siniak. Widać było, że Nick jest zmęczony. Nie chciało mu się nawet uczesać ani ogolić po kąpieli. Mimo to był cholernie przystojny.

Przysiadł się, zajmując miejsce naprzeciw niej, i sięgnął po menu.

– Sędzia Murphy nas zwodzi. Celowo opóźnia wydanie nakazu rewizji na plebanii – rzekł cicho, patrząc w menu. – Nie widzi problemu z pikapem, ale uważa…

– Cześć, Nick. Co ci podać?

– O, cześć, Angie.

Maggie zauważyła wymianę spojrzeń między Nickiem i ładną jasnowłosą kelnerką. Ta kobieta nie tylko odbierała od niego zamówienia na posiłek, pomyślała Maggie. Była przyzwyczajona do czegoś więcej. Znacznie więcej.

– Co u ciebie? – spytała, starając się, żeby brzmiało to jak grzecznościowe pytanie, ale nie odrywała oczu od Nicka.

– No wiesz, kompletne szaleństwo. Mogę prosić o kawę i tosta? – Unikał jej wzroku. Wyrzucał słowa jak karabin maszynowy, żeby ukryć zmieszanie.

– Z pszennej mąki? I kawa z dużą śmietanką?

– Taa, dzięki. – Nie mógł się doczekać, kiedy kelnerka odejdzie.

Uśmiechnęła się i opuściła ich, kompletnie ignorując Maggie, chociaż przed przyjściem Nicka trzy razy dolewała jej kawy.

– Stara przyjaciółka? – zapytała Maggie, wiedząc doskonale, że nie ma prawa pytać, ale zdenerwowanie Nicka sprawiało jej dziką przyjemność.

– Kto? Angie? Taa, można chyba tak powiedzieć. – Wyciągnął z kieszeni komórkę Christine i położył ją na stole. – Nie lubię tego – oświadczył, wskazując na telefon. Rozpaczliwie próbował zmienić temat.

– Robi bardzo miłe wrażenie. – Maggie nie miała ochoty popuścić mu tak łatwo.

Spojrzał jej w oczy, jakby sięgał do samej głębi jej duszy. Maggie natychmiast wspomniała ostatnią noc.

– Miła jest, ale przy niej dłonie mi się nie pocą ani kolana się nie trzęsą, jak to dzieje się przy tobie – oznajmił cicho z wielką powagą.

Maggie poczuła się bezbronna, ogarnięta cudownym ciepłem, a zarazem obudziły się w niej pragnienia, do których nie miała prawa. Musiała coś z tym zrobić.

– Nick, jeśli chodzi o wczorajszą noc…

– Chyba nie myślisz, że chciałem wykorzystać twój stan. No wiesz, wypiłaś sporo.

Zerknęła na niego. Patrzył na nią z powagą. Był szczerze zmartwiony. Czyżby miniona noc była dla niego czymś

więcej niż jedną z wielu schadzek? Chciałaby, żeby tak było, powiedziała jednak:

– Najlepiej będzie, jeśli o tym zapomnimy.

Zraniła go. Skrzywił się.

– A jeśli ja nie chcę zapomnieć? Maggie, nie pamiętam, kiedy się tak czułem, nie mogę…

– Nick, proszę. Nie jestem naiwną kelnerką, więc daruj sobie te banały, nie udawaj…

– To nie jest banał. Kiedy wczoraj myślałem, że wyjechałaś, że cię więcej nie zobaczę, czułem się, jakby mnie ktoś kopnął w brzuch. A wieczorem… Maggie, nogi miałem jak galareta, całkiem zgłupiałem. Wierz mi, nigdy mi się to nie zdarza, kiedy jestem z kobietą.

– Spędziliśmy razem dużo czasu. Oboje byliśmy wyczerpani.

– Wcale nie byłem taki wyczerpany. Ani ty.

Patrzyła na niego. Czy rzeczywiście nie zdołała ukryć, jak bardzo go pragnie? Czy może odezwało się tylko jego męskie ego?

– Czego się spodziewałeś, Nick? Rozczarowałeś się, że nie możesz dodać jeszcze jednego imienia do listy swoich podbojów? – Rozejrzała się wokół. Nikt nie zwrócił uwagi na jej pełne emocji szepty.

– Wiesz, że to nie tak.

– Więc może podnieca cię zakazany owoc? Jestem mężatką, Nick. Może to nie jest najlepsze małżeństwo pod słońcem, lecz ma swoje znaczenie. Proszę, zapomnijmy

o wczorajszej nocy. – Zapatrzyła się w swoją kawę, czując na sobie jego wzrok.

– Tost i kawa – przerwała im Angie, ale Maggie wcale to nie ucieszyło. Może ona też nie miała ochoty zapomnieć.

Angie postawiła przed Nickiem talerz i filiżankę, zmuszając go, żeby się wyprostował. Nie spuszczał jednak wzroku z Maggie, która zastanawiała się właśnie, czy ładna kelnerka wyczuła napiętą atmosferę przy ich stoliku.

– Przynieść ci coś jeszcze? – Angie spytała tylko Nicka.

– Maggie, chcesz coś? – Celowo zwrócił się do niej. Angie wyraźnie się speszyła.

– Nie, dziękuję.

– Okej – rzekła Angie i szybko odeszła.

Na chwilę zapanowała krępująca cisza.

– Powiedziałeś, że sędzia Murphy nie spieszy się z nakazem rewizji na plebanii. Dlaczego? – Maggie wróciła do pracy, w dalszym ciągu unikając wzroku Nicka.

– Murphy i mój ojciec należą do pokolenia, które uważa, że księży katolickich należy zostawić w spokoju – powiedział, mażąc tost masłem szybkimi, nerwowymi ruchami.

– Czy jest w ogóle szansa na ten nakaz?

– Próbowałem go przekonać, że chodzi nam o Raya Howarda.

– Wciąż myślisz, że to Howard.

– Nie wiem. – Odsunął tost, nie próbując go nawet, i podrapał się w brodę. Po raz drugi zobaczyła bandaż na jego dłoni.

– Co ci się stało?

Rzucił wzrokiem na swoją rękę, jakby już o niej zapomniał.

– Nic takiego. Słuchaj – rzekł, nachylając się ku niej. Z jego zmęczonych oczu zaczął wyłaniać się niechciany lęk, zadawniony, mający swoje źródło w odległej przeszłości. Maggie poszybowała myślą daleko, starając się dociec, jakie demony dręczą Nicka.

Dojrzał jej nieobecne spojrzenie i chrząknął.

– Przepraszam – rzekła, natychmiast gotowa, by go wysłuchać.

– Ksiądz Keller powiedział mi wczoraj wieczorem, że Ray Howard rok temu opuścił seminarium. Czekając na Murphy'ego, sprawdziłem co nieco. Howard był w seminarium w Silver Lake, w New Hampshire. To jakieś osiemset kilometrów od Wood River.

Teraz naprawdę zaczęła go słuchać. Usiadła prosto i wpatrywała się w Nicka.

– Jak długo tam był?

– Ostatnie trzy lata.

– To go wyklucza jako podejrzanego o morderstwo w Wood River.

– Być może, ale czy to trochę nie za dużo jak na zbieg okoliczności? Trzy lata w seminarium, na pewno nauczył się czegoś o ostatnim namaszczeniu.

– Był tam, kiedy popełniono pierwsze morderstwo?

– Hal właśnie to sprawdza. Rozmawiałem z dyrektorem seminarium, ojcem Vincentem. Nie zdradził mi żadnych

szczegółów, ale powiedział, że Howard został zmuszony do opuszczenia seminarium z powodu niewłaściwego zachowania. Zabrzmiało to, jakby zostało to udowodnione.

– Niewłaściwe zachowanie w przypadku kleryka to może być wszystko, począwszy od złamania przysięgi milczenia do plucia na chodnik. Nie wiem, Nick. Howard wydaje mi się za miękki, żeby się poważyć na coś takiego.

– Może właśnie chce, żeby wszyscy tak myśleli.

Maggie patrzyła, jak Nick uparcie zwija serwetkę, słyszała, jak nerwowo tupie pod stołem. W jego duszy panował zamęt, Maggie czuła to.

– Howard i Keller musieli mieć powód, żeby pozbyć się księdza Francisa.

– Jezu, Maggie, myślałem, że sobie to wymyśliłaś w pijanym widzie. Naprawdę uważasz, że to nie był wypadek?

– Ksiądz Francis oznajmił mi wczoraj rano, że ma mi coś ważnego do powiedzenia. Ktoś nas podsłuchiwał. Słyszałam, jak odkładał słuchawkę.

– Może to przypadek.

– Nauczyłam się dawno temu, że nie ma przypadków. Autopsja mogłaby nam pokazać, czy ksiądz został zepchnięty, czy sam upadł.

– Bez dowodów nie możemy zarządzić autopsji. – Nick bawił się teraz komórką.

– Mogę porozmawiać z rodziną księdza Francisa. Albo z archidiecezją. Z jego przełożonymi.

– Maggie, nie mamy czasu, żeby czekać na pozwolenie na autopsję czy nawet na nakaz rewizji. Chciałbym śmiertelnie nastraszyć Howarda.

No nie, a ten wciąż upiera się przy Howardzie, pomyślała. Pewnie czuje się zagubiony i chwyta się każdego możliwego rozwiązania. Nie dyskutowała. Powiedziała tylko:

– Nieważne czy to Howard, czy Keller, musimy być ostrożni. Jeśli się przestraszy...

Zamilkła, przypominając sobie, że tym razem chodzi o Timmy'ego. O siostrzeńca Nicka. Nie rozmawiali o kimś anonimowym. Dotąd nie ujawniła swojego odkrycia dotyczącego zmian w postępowaniu mordercy. Zerknęła na Nicka i domyśliła się, że on już to wie. Jakoś tak.

– Czas nas goni – powiedział, czytając w jej myślach. Wyraźnie doskonalił tę umiejętność. – On działa coraz szybciej.

Przytaknęła.

– Chodźmy stąd. – Rzucił na stół banknoty, nie patrząc na nominały, i wciągnął kurtkę, czekając, aż Maggie włoży swoją.

– Dokąd teraz?

– Muszę skonfiskować pikapa, a ty powinnaś przeprosić Kellera za wczorajszy wieczór.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Ksiądz Keller tym razem wyglądał bardzo oficjalnie, gdy otwierał im drzwi na plebanii. Nie przebrał się jeszcze po porannej mszy. Nick natychmiast zauważył białe sportowe buty Nike wystające spod długiej czarnej sutanny.

– Szeryf Morrelli, agentka O’Dell. Przepraszam, ale zaskoczyliście mnie państwo.

– Możemy wejść na chwilę? – Nick pocierał zmarznięte ręce. Słońce pojawiło się pierwszy raz od kilku dni, lecz śnieg i ostry wiatr utrzymywały temperaturę poniżej zera. Nawet jak na Nebraskę nie była to normalna pogoda przed Halloween.

Ksiądz Keller zawahał się. Nick obawiał się, że ksiądz zaprotestuje, bo spojrzał na Maggie, jakby chciał się przekonać, czy można ją wpuścić. Potem uśmiechnął się i zaprowadził ich do salonu, gdzie ogień buzował w ogromnym kominku. Tego ranka unosił się tam dodatkowo słaby swąd spalenizny. W kominku było więc nie tylko drewno. Nickowi przemknęło przez myśl, że Keller chciał coś przed nimi ukryć.

– Nie wiem doprawdy, czy mogę w czymś pomóc. Ostatniego wieczoru…

– Właśnie, proszę księdza – włączyła się Maggie, znowu spokojna, dawna agentka specjalna O’Dell. – Chciałam przeprosić za ostatni wieczór. – Zerknęła na Nicka, który

zobaczył w jej oczach złość. No cóż, nie lubiła przepraszać. – Przesadziłam trochę z alkoholem, obawiam się, że byłam nieco natarczywa. Nie było w tym nic osobistego. Mam nadzieję, że ksiądz zrozumie i przyjmie przeprosiny.

– Oczywiście rozumiem. Cieszę się, że nie chodziło o mnie. W końcu nawet się nie znamy.

Nick obserwował twarz księdza. Wyraźnie rozluźnił się po przeprosinach Maggie, opuścił swobodnie wzdłuż ciała ręce, wcześniej założone za plecami.

– Właśnie miałem sobie zrobić gorącą herbatę. Napiją się państwo ze mną?

– Jesteśmy tu służbowo, proszę księdza – rzekł Nick.

– Służbowo?

Młody ksiądz wsadził ręce do kieszeni sutanny, znowu niepewny, choć poza tym gestem nic nie zdradzało jego stanu ducha. Świetnie się maskował. Nick był ciekawy, czy i tego ksiądz Keller nauczył się w seminarium. Wyciągnął nakaz rekwizycji i zaczął go rozwijać.

– Wczoraj wieczorem widzieliśmy stary pikap na tyłach plebanii.

– Pikap? – Ksiądz Keller zdziwił się.

Czy znowu wykorzystuje swoje seminaryjne lekcje?

– Tak, stoi między drzewami. Pasuje do opisu samochodu, który widział nasz świadek. Danny Alverez wsiadł do niego w dniu, kiedy zaginął. – Nick czekał i patrzył. Maggie stała bez słowa obok niego, wiedział, że zapisuje w pamięci każdy ruch Kellera.

– Nie wiem, czy ten gruchot w ogóle jeszcze działa. Zdaje się, że Ray jeździ nim po drewno nad rzekę.

Nick wręczył księdzu nakaz. Ksiądz Keller wziął dokument za róg i patrzył nań, jakby miał w ręku nieznany tajemniczy obiekt.

– Mówiłem już wczoraj – podjął Nick spokojnie – że staramy się sprawdzić wszystkie możliwe ślady. Wie ksiądz zapewne, bo stało się o tym głośno, że biuro szeryfa znalazło się ostatnio pod dużym obstrzałem. Nie chcę, żeby ktoś mi zarzucił, że czegoś nie sprawdziłem. Ma ksiądz klucze?

– Klucze?

– Do pikapu.

– Na pewno nie jest zamknięty. Proszę zaczekać, włożę płaszcz i buty, zaraz będę gotowy.

– Dziękuję. Jestem księdzu bardzo wdzięczny. – Patrzył, jak duchowny idzie w stronę bocznej ściany kominka i wkłada nogi w wysokie gumowe buty, które Nick wypatrzył poprzedniego wieczoru. A więc należą do niego. Zaśnieżone buty, co mogło znaczyć, że ksiądz Keller właśnie wrócił z lasu. A przecież poprzedniego wieczoru mówił Nickowi, że nie opuszczał plebanii.

Ruszyli w trójkę do drzwi. Nagle Maggie chwyciła się małego stolika i zgięła wpół.

– O Boże, znowu mi niedobrze – wymamrotała.

– Maggie, co ci jest? – Nick zerknął na Kellera i szepnął: – Od rana tak się czuje. – Potem do Maggie: – Co ty piłaś wczoraj wieczorem?

– Mogę skorzystać z łazienki? – spytała.

– Oczywiście. – Ksiądz Keller rzucił wzrokiem na podłogę, wyraźnie zaniepokojony o los perłowobiałej wykładziny. – Jest na dole w holu, drugie drzwi na prawo – rzucił pospiesznie, jakby chciał ją pogonić.

– Dziękuję, zaraz do was przyjdę. – Zniknęła za rogiem, trzymając się za brzuch.

– Da sobie radę sama? – zatroskał się ojciec Keller.

– Na pewno. Proszę mi wierzyć, lepiej nie być teraz obok niej. Zapaskudziła mi całe buty.

Ksiądz skrzywił się i spojrzał na stopy Nicka, potem poszedł za nim na zewnątrz.

Śnieg zasypał pikap, więc musieli wydeptać ścieżkę i odkopać tę starą kupę złomu. Drzwi samochodu długo nie puszczały, potem z wolna skrzypnęły, uchyliły się, metal zazgrzytał o metal. Nick szarpnął i otworzył drzwi na całą szerokość. W nozdrza uderzył go zapach uwięzionej pleśni. Kabina samochodu sprawiała wrażenie zamkniętej na cztery spusty i nieużywanej przez lata. Nick poczuł ukłucie rozczarowania. Zmęczyły go już te ślady prowadzące donikąd. Mimo to wdrapał się do środka z latarką, nie wiedząc, czego właściwie miałby tu szukać. Może powinien zostawić tę robotę ekspertom, ale oni byli zajęci czym innym.

Położył się na podartym winylowym siedzeniu i wyciągnął rękę, na ślepo przeszukując podłogę auta. Trudno było manewrować w ciasnej przestrzeni. Kierownica wbijała mu się w bok, dźwignia zmiany biegów dźgała w pierś.

Przypomniało mu się, jak miał szesnaście lat i jeździł na randki starym chevroletem ojca. Teraz ciało miał mniej sprawne, dużo bardziej dawało mu się we znaki.

– Wątpię, by znalazł pan w tym gruchocie coś więcej niż szczury – rzekł ksiądz Keller, stojąc przy drzwiach.

– Szczury? – Nick nie znosił szczurów.

Cofnął szybko rękę, zaczepiając kłykciami o sterczącą sprężynę. Z bólu zamknął oczy i przygryzł dolną wargę, byle tylko nie przekląć głośno przy księdzu. Otworzył przegródkę na rękawiczki i uderzył w czarną dziurę światłem latarki.

Ostrożnie przeglądał zawartość: pożółkły podręcznik właściciela, zardzewiała puszka, kilka serwetek z McDonalda, kartonik zapałek z jakiegoś miejsca o nazwie Pink Lady, zwinięta kartka z adresami i kodami, które nic mu nie mówiły, i mały śrubokręt. Cały czas czuł na sobie wzrok ojca Kellera. Zanim wysiadł z szoferki, sięgnął dłonią w głąb przegródki. Wyczuł coś małego, gładkiego i okrągłego, wyciągnął to i razem z kartonikiem zapałek wpuścił do kieszeni, upewniając się, że ksiądz Keller tego nie widzi. Nagle zauważył ręczne notatki nabazgrane na zwiniętej kartce. W tym świetle nie był w stanie ich odczytać, chwycił więc kartkę i wcisnął ją do rękawa. Potem zamknął przegródkę.

– Nic tam nie ma – powiedział, po kryjomu przenosząc kartkę do kieszeni. Ześliznął się z siedzenia, rzucając ostatnie spojrzenie do wnętrza samochodu. Zanotował

w pamięci dziwną rzecz. Chociaż cuchnęło tam pleśnią, siedzenie, deska i dywanik były wyjątkowo czyste.

– Przykro mi, że tracił pan czas – rzekł ksiądz Keller, odwracając się w stronę plebanii i ruszając wydeptaną ścieżką.

– Muszę jeszcze przeszukać bagażnik.

Ksiądz przystanął, zawahał się i zawrócił. Wiatr targał niemiłosiernie długą sutanną, co brzmiało, jakby ktoś zacinał batem. Nick dostrzegł cień zdenerwowania w niebieskich oczach księdza Kellera. Zdenerwowania i zniecierpliwienia. Gdyby nie miał do czynienia z duchownym, powiedziałby, że Keller jest wkurzony. Jakkolwiek było, pojawił się jakiś problem. Nick zaniepokoił się, co znajdzie w bagażniku pikapu.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI

Maggie raz jeszcze wyjrzała przez okno. Nick i Keller stali wciąż obok samochodu, więc mogła kontynuować poszukiwania. Szła długim korytarzem, zatrzymując się przed wszystkimi zamkniętymi drzwiami i nasłuchując oraz ostrożnie zaglądając tam, gdzie było otwarte. Kilka pomieszczeń zajmowało biuro plebanii, w jednym był magazyn. W końcu trafiła do jakiejś sypialni.

Pokój był skromny, nieduży, miał drewnianą podłogę i białe ściany. Prosty krucyfiks wisiał nad podwójnym łóżkiem. W jednym z rogów stał stolik i dwa krzesła. W przeciwnym rogu znajdował się drugi stolik, a na nim stary toster i czajniczek do herbaty. Bogato zdobiona lampa stała na nocnej szafce, zupełnie nie pasując do całości. Nic prócz lampy nie zwracało tu uwagi. Schludnie, żadnych szaf ani pudeł.

Miała już wyjść, kiedy jej wzrok przyciągnęły trzy oprawione obrazy. Wisiały jeden przy drugim na ścianie obok drzwi, wszystkie były reprodukcjami renesansowych malowideł. Maggie nie znała żadnego z nich, jednak bezbłędnie rozpoznała styl. Wszystkie obrazy przedstawiały sceny krwawych tortur. Przyglądając się z bliska, przeczytała podpisy.

„Męczeństwo świętego Sebastiana”, rok 1475. Autor dzieła, Antonio del Pollaiuolo, pokazywał świętego

Sebastiana przykutego do piedestału strzałami sterczącymi z jego ciała. „Męczeństwo świętego Erazma”, rok powstania – 1629, autor – Nicolas Poussin. Tu skrzydlate cherubiny unosiły się nad tłumem ukrzyżowanych lub skutych łańcuchami mężczyzn, którym wyrywano wnętrzności.

Po co komu takie obrazy w sypialni? – zdumiała się Maggie. Rzuciła okiem na ostatni z nich, „Męczeństwo świętego Hieronima”, z 1512 roku. Obraz przedstawiał mężczyznę przywiązanego do drzewa. Oprawcy cięli jego ciało nożami i maczetami. Maggie ruszyła już do drzwi, kiedy coś kazało jej jeszcze raz przyjrzeć się ostatniej reprodukcji. Na ciele torturowanego mężczyzny było kilka krwawych cięć. Dwa z nich przecinały się idealnie po przekątnej, tworząc na piersi krzyż, który z punktu widzenia Maggie wyglądał jak pochyłe X. Tak, to oczywiste. Teraz wszystko miało sens. Wycięte na ciałach chłopców X-y nie były zwykłymi X-ami. To był krzyż. Krzyż, który stanowił część rytuału, znak, symbol. Czyżby morderca uważał, że w ten sposób czyni ze swoich ofiar męczenników?

Do jej uszu dobiegł odgłos kroków. Były tuż-tuż. Pospieszyła na korytarz. Ray Howard akurat wyszedł zza rogu. Przestraszyła go, a on zauważył, że trzymała rękę na klamce.

– Pani jest agentką FBI – powiedział oskarżycielskim tonem.

– Tak, jestem tu z szeryfem Morrellim.

– Co pani robiła w pokoju księdza Kellera?

– Och, to pokój księdza Kellera? Szukam łazienki i nie mogę jej znaleźć.

– Bo jest na drugim końcu korytarza – stwierdził z pretensją w głosie i wskazał właściwy kierunek. Nie spuszczał z niej wzroku, jakby jej nie wierzył.

– Ach tak? Dziękuję. – Minęła go i ruszyła w dół korytarza. Zatrzymała się przed odpowiednimi drzwiami i zerknęła za siebie. – To tutaj?

– Tak.

– Jeszcze raz dziękuję. – Weszła do środka i stała parę minut, nasłuchując pod drzwiami. Kiedy wyjrzała, zobaczyła, że Ray Howard znika w sypialni księdza Kellera.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

Bagażnik pikapu był pełen śniegu, Nick wczołgał się jednak jakoś do środka.

– Mógłby mi ksiądz podać łopatę?

Stał jak sparaliżowany, patrząc na śnieg, w którym zatonęły stopy Nicka. Splótł dłonie jak do modlitwy. Wiatr smagał jego ciemne, falujące włosy. Policzki miał czerwone, oczy załzawione.

– Proszę księdza, poproszę o łopatę – powtórzył Nick.

– Tak, tak, już. – Keller podszedł do drzewa, gdzie zostawili narzędzia. – Nie sądzę, żeby znalazł pan tam coś ważnego.

– Wolę sprawdzić.

Zachowanie księdza irytowało Nicka. Coś tu śmierdziało. Czuł to. Zaczął kopać jak szalony, ale wkrótce musiał zwolnić. Jak może znaleźć coś w tych zaspach? Nabierał na łopatę mniejsze porcje śniegu, żeby niczego nie przegapić. Chłód przeniknął przez kurtkę, boleśnie szczypał w twarz. Mimo to po plecach Nicka spływał pot.

Nagle łopata uderzyła o coś twardego, zaskorupiałego pod śniegiem. Głuchy dźwięk postawił na baczność księdza Kellera, który podszedł do pokrywy bagażnika, na tyle blisko, żeby spojrzeć w dołek wykopany przez szeryfa.

Nick z wielką ostrożnością kopał wokół jakiegoś przedmiotu. Ciekawość go roznosiła, odrzucił w końcu

łopatę i padł na kolana. Rękami zmiatał, wycierał i odrzucał śnieg, wyczuwając już kształt, ale wciąż nie wiedząc, co to jest. Zlodowaciały śnieg pokrył bezkształtną powłoką. Cokolwiek to było, musiało być ciepłe, kiedy było toczone po śniegu i przemieniane w białą kulę.

Wreszcie Nick ujrzał coś, co wyglądało jak skóra. Zamarł. Jak szalony odłupywał lód. Oderwał się spory kawał zlodowaciałej pokrywy. Nick odskoczył do tyłu osłupiały.

– Jezu – powiedział tylko.

Zerknął na księdza Kellera, który wykrzywił twarz i cofnął się o krok. Zamknięty w śnieżnym grobie leżał martwy pies, z ogoloną czarną sierścią, pocięty nożem, z ranami szarpanymi i podciętym gardłem.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY

Nick i ksiądz Keller szli po schodach, kiedy Maggie stanęła w drzwiach plebanii. Nick spojrzał badawczo w jej oczy, żeby sprawdzić, czy coś znalazła, jednak jej spojrzenie i uśmiech, które były przeznaczone dla księdza Kellera, nie dały mu żadnej odpowiedzi.

– Lepiej się już pani czuje? – zapytał z nieudawaną troską Keller.

– O wiele lepiej. Dziękuję.

– Dobrze, że z nami nie poszłaś, Maggie – rzekł Nick i wzdrygnął się z obrzydzeniem. Kto mógł dopuścić się podobnego okrucieństwa na bezbronnym zwierzęciu? Poczuł się idiotycznie. Przecież jasne, kto to zrobił.

– Czemu? Co znalazłeś?

– Potem ci powiem.

– Może napijecie się państwo herbaty? – zaproponował ksiądz Keller.

– Nie, dziękuję. Musimy...

– Tak – przerwała mu Maggie. – Dobrze mi zrobi na żołądek. Oczywiście jeśli to nie kłopot.

– Ależ nie. Proszę wejść. Zobaczę, czy mamy jakieś słodkie bułeczki albo pączki.

Poszli w ślad za księdzem. Nick spróbował ponownie odczytać coś z twarzy Maggie, zaskoczony jej

entuzjastyczną reakcją na propozycję księdza, którym, jak sądził, gardziła.

– To miło, że wspiera pani lokalnych kupców. – Keller uśmiechnął się, odbierając od niej kurtkę.

Odwzajemniła uśmiech bez słowa. Weszli do salonu. Nick wytarł najpierw buty w znajomą wycieraczkę leżącą na korytarzu. Kiedy podniósł wzrok, spostrzegł, że ksiądz studiuje obcisłe dżinsy Maggie. Nie było to zwykłe spojrzenie, duchowny bowiem na dłużej zawiesił wzrok na agentce i sprawiło mu to wyraźną przyjemność. Nagle odwrócił się do Nicka, który natychmiast pochylił głowę nad zamkiem błyskawicznym swojej kurtki, udając, że się z nim mocuje. Zanim podejrzenie i złość zakradły się do jego umysłu, uświadomił sobie, że ksiądz Keller mimo wszystko też jest mężczyzną. A Maggie wyglądała fantastycznie w dżinsach i czerwonym swetrze. Facet musiałby być ślepy, żeby tego nie docenić.

Keller zniknął za ścianą. Nick podszedł do Maggie, która stała przed kominkiem.

– O co chodzi? – szepnął.

– Masz komórkę Christine?

– W kurtce.

– Możesz mi ją dać?

Patrzył na nią, spodziewając się wyjaśnienia, ale Maggie kucnęła przy ogniu, żeby ogrzać ręce. Kiedy wrócił z komórką, grzebała w popiele żelaznym pogrzebaczem. Stanął plecami do niej, jakby jej pilnował.

– Co robisz? – Trudno było szeptać przez zaciśnięte zęby.

– Coś tu śmierdziało. Jakby guma się paliła.

– On zaraz wróci.

– I tak został już tylko popiół.

– Śmietanka, cytryna, cukier? – Ksiądz Keller pojawił się z pełną tacą. Kiedy postawił ją na ławie przy oknie, Maggie była już obok Nicka.

– Poproszę o cytrynę – odparła.

– Dla mnie śmietanka i cukier – rzekł Nick, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że tupie nerwowo nogą.

– Wybaczcie panowie na chwilę, ale muszę zadzwonić – powiedziała nagle Maggie.

– Telefon jest w biurze w dole korytarza – poinformował Keller.

– Och, dziękuję. Zadzwonię z komórki Nicka. Mogę?

Nick dał jej telefon, wciąż szukając na jej twarzy jakiegoś znaku. Maggie oddaliła się w stronę korytarza. Keller podał Nickowi parującą filiżankę.

– Może bułeczkę? – zaproponował ksiądz, podsuwając talerz z bogatym wyborem ciast.

– Nie, dziękuję. – Nick starał się nie spuszczać wzroku z Maggie, ale właśnie wyszła.

Raptem ich uszu doszło dzwonienie telefonu, przytłumiony, lecz nieprzerwany dźwięk. Ksiądz zmieszał się, a następnie ruszył szybko do holu.

– Co pani robi, na Boga?

Nick trzasnął filiżanką, rozlewając gorącą kawę na ręce i lśniący stolik. Rzucił się za róg i zobaczył Maggie z komórką przy uchu. Szła korytarzem, zatrzymując się pod

kolejnymi mijanymi drzwiami i nasłuchując. Keller szedł tuż za nią, zarzucając ją pytaniami, na które nie odpowiadała.

– Co pani robi? – Chciał ją wyprzedzić, ale mu nie pozwoliła.

Nick pobiegł za nimi, nerwy miał jak postronki.

– Co jest, Maggie?

Stłumiony dźwięk telefonu wciąż się rozlegał, z każdą chwilą bliżej i bliżej. Wreszcie Maggie pchnęła ostatnie drzwi na lewo i wtedy telefon zabrzmiał czysto i głośno.

– Proszę księdza, czyj to pokój? – spytała Maggie, stojąc w drzwiach.

Ksiądz Keller znów wyglądał jak sparaliżowany. Był spięty, a jednocześnie wzburzony.

– Proszę księdza, proszę odebrać telefon – poprosiła grzecznie Maggie, opierając się o framugę. – Powinien być w jednej z szuflad.

Ksiądz nie poruszył się, patrząc na pokój. Dzwonienie działało Nickowi na nerwy. Nagle uprzytomnił sobie, że to Maggie telefonuje. Trzymała komórkę Christine, przyciski świeciły się i mrugały przy każdym dzwonku ukrytego gdzieś telefonu.

– Proszę księdza, proszę odebrać. – Tym razem zabrzmiało to jak polecenie.

– To pokój Raya. Nie powinienem grzebać w jego rzeczach.

– Proszę tylko odebrać telefon.

Spojrzał na nią, wreszcie przekroczył próg, ociągając się, z wahaniem. Był ogromnie zdetonowany, lecz mimo to

wykonał polecenie agentki O’Dell i odebrał telefon, dzięki czemu szarpiące nerwy dzwonienie wreszcie ustało. Ksiądz wyciągnął do Maggie rękę z małym czarnym telefonem komórkowym. Przekazała go Nickowi.

– Gdzie jest pan Howard, proszę księdza? Musi się z nami udać do biura i odpowiedzieć na kilka pytań.

– Pewnie sprząta kościół. Poproszę go.

Nick zaczekał, aż ksiądz Keller zniknie.

– O co tu chodzi, Maggie? Co cię nagle skłoniło, żeby przesłuchać Howarda? O co chodzi z tym telefonem? Skąd znałaś jego numer?

– To nie jego numer, Nick. Zadzwoniłam na swój numer. To nie jego telefon. Należy do mnie. Zgubiłam go w rzece. Wiesz, kiedy to się stało.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

Christine przekręciła się, szukając wygodniejszej pozycji na obrotowym krześle, co pociągnęło za sobą pomruki niezadowolenia rudowłosej kobiety z paletą do makijażu. Jakby chcąc ją ukarać, kobieta maznęła policzki Christine dodatkową warstwą różu.

– Wchodzimy za dziesięć minut – oznajmił wysoki mężczyzna ze słuchawkami na łysej głowie.

Christine myślała, że to do niej, i skinęła głową, dopiero po chwili uświadomiła sobie, że powiedział to do mikrofonu. Nachylił się i przyczepił maleńki mikroport do jej kołnierza. Jasne reflektory oślepiały ją, grzejąc niemiłosiernie, przez co jeszcze bardziej się zdenerwowała. Pociły jej się dłonie. Była pewna, że za moment makijaż rozpłynie się, zostawiając na jej twarzy kałuże śliwkowego różu, beżowego podkładu i czarnego tuszu.

Naprzeciw niej siedziała na krześle kobieta. Nie zwracając uwagi na Christine, przeglądała papiery, które właśnie jej wręczono. Odsunęła rękę łysego i sama przypięła sobie mikroport.

– Mam nadzieję, że wreszcie naprawiliście ten pieprzony teleprompter, bo inaczej nie pracuję. – Rzuciła papiery, a jeden z asystentów zaczął je nerwowo zbierać.

– Jest naprawiony – zapewnił ją spokojnie łysy mężczyzna.

– Potrzebuję wody. Dlaczego nie ma wody na bocznym stoliku?

Zdenerwowany asystent szybko podbiegł z jednorazowym kubkiem.

– Ma być szklanka. – O mało nie wytrąciła plastikowego kubka z rąk chłopaka. – Ma być szklanka i dzbanek. Jezu Chryste, ile razy mam to powtarzać?

Christine uprzytomniła sobie właśnie, że ta kobieta to Darcy McManus z wieczornego wydania programu. Może nie była przyzwyczajona do pracy o tej porze? Może nie lubi poranków? W jaskrawym świetle jej skóra wyglądała fatalnie, pod oczami i wokół ust szpeciły ją zmarszczki. Błyszczące czarne włosy były sztywne i nienaturalne. Żywy odcień czerwonej pomadki zbyt ostro odcinał się od jasnej karnacji, póki rudowłosa charakteryzatorka nie wtarła w jej skórę grubej warstwy sztucznej opalenizny.

– Minuta, ludzie! – zawołał facet ze słuchawkami.

McManus odprawiła charakteryzatorkę machnięciem ręki. Wstała, wygładziła zbyt krótką spódnicę, poprawiła żakiet, sprawdziła twarz w kieszonkowym lusterku i z powrotem usiadła. Christine zdała sobie wtedy sprawę, że ani na sekundę nie przestała na nią patrzeć. Odliczanie sprowadziło ją na ziemię, wyrwało z transu. Nie wiedziała już, co tak naprawdę ją skłoniło, że zgodziła się na ten wywiad. Oby nie okazało się to błędem... Nie wolno jej zrobić choćby jednego fałszywego kroku.

– Trzy, dwa, jeden...

– Witam państwa – odezwała się McManus do kamery, a cała jej twarz nagle stała się jednym wielkim przyjaznym uśmiechem. – Jest dziś z nami specjalny gość programu „Dzień dobry, Omaha”. Christine Hamilton jest reporterką „Omaha Journal”, która zajmuje się sprawą seryjnego mordercy grasującego w Sarpy County. Dzień dobry, Christine. – McManus wreszcie zauważyła jej obecność.

– Dzień dobry. – Nagle światła i kamery stały się realne. Wszystkie skierowały się na Christine. Starała się o tym nie myśleć. Ramsey powiedział jej wcześniej, że nawet sieć informacji ABC nadaje niektóre wiadomości na żywo. To pewnie dlatego McManus, mająca opinię telewizyjnej gwiazdy stanu Nebraska, zastąpiła etatowego gospodarza porannego programu.

– Jak rozumiem, dziś jesteś u nas nie jako dziennikarka, ale jako zatroskana matka. Możesz nam powiedzieć, co się wydarzyło?

McManus zaintrygowała Christine. Jak na zawołanie przeistoczyła się w zatroskaną przyjaciółkę, uosobienie dobroci i spolegliwości. Jej kariera zaczęła się od konkursu piękności, podczas którego zdobyła tytuł Miss Ameryki. McManus błyskawicznie wspięła się po szczeblach kariery i prawie natychmiast dotarła do telewizyjnych wiadomości, omijając marniejsze etapy. Ostatecznie wylądowała na kierowniczym stanowisku na średniej wielkości rynku medialnym Omaha. Christine musiała przyznać, że McManus jest dobra. Nawet gdy patrzyła na nią z przekonująco udawaną troską, jej oczy tak naprawdę

zwrócone były na teleprompter. Nagle Christine zdała sobie sprawę, że McManus czeka na odpowiedź. Jej ściągnięte usta zdradzały lekkie zniecierpliwienie.

– Sądzimy, że mój syn, Timmy, mógł zostać porwany wczoraj po południu. – Wargi jej drżały, chętnie by je przygryzła, żeby temu zapobiec.

– Och, to straszne. – McManus nachyliła się i poklepała splecione dłonie Christine, za trzecim razem nie trafiając i klepiąc ją w kolano. Cofnęła szybko rękę. Christine chciała się odwrócić, żeby zobaczyć, czy teleprompter podpowiada też gesty. – Władze utrzymują, że porwał go ten sam człowiek, który brutalnie zamordował Danny'ego Alvereza i Matthew Tannera. Czy tak?

– Tego nie można stwierdzić z całą pewnością, ale istnieje taka możliwość.

– Jest pani rozwiedziona, sama wychowuje pani Timmy'ego, prawda, Christine?

Zdziwiło ją to pytanie.

– Tak, to prawda.

– Także Laura Alverez i Michelle Tanner są samotnymi matkami, nie mylę się chyba?

– Nie, nie myli się pani.

– Myśli pani, że morderca, wybierając chłopców wychowywanych przez samotne matki, chce w ten sposób coś nam powiedzieć?

Christine zawahała się.

– Nie mam pojęcia.

– Czy pani były mąż włącza się w wychowanie Timmy'ego?

– Niespecjalnie. Nie, od rozwodu nie włącza się. – Zniecierpliwienie wyraziła tylko w ten sposób, że ścisnęła trzymane na kolanach dłonie.

– Czy to prawda, że ani pani, ani Timmy nie widzieliście pana Bruce’a Hamiltona od czasu, kiedy opuścił panią dla innej kobiety?

– On mnie nie opuścił. Jesteśmy rozwiedzeni. – Zniecierpliwienie graniczyło już ze złością. Jak taka rozmowa ma pomóc znaleźć jej syna?

– Czy to możliwe, że Timmy mógł zostać porwany przez ojca?

– Nie sądzę.

– Nie sądzi pani, ale też nie wyklucza, tak?

– To mało prawdopodobne. – Zdawało jej się, że lampy świecą jeszcze jaśniej i potwornie grzeją. Strużka potu poleciała jej po plecach.

– Czy biuro szeryfa skontaktowało się z pani byłym mężem?

– Skontaktowalibyśmy się z nim, gdybyśmy tylko wiedzieli, jak to zrobić... Niestety Bruce, rozpoczynając nowe życie, zatarł za sobą wszelkie ślady. To chyba oczywiste, że wolałabym, aby Timmy był z ojcem, a nie z jakimś szaleńcem, który kroi małych chłopców.

– Jest pani zdenerwowana, proszę odpocząć chwilkę. – McManus pochyliła się, marszcząc brwi. Tym razem wyciągnęła ręce, żeby nalać szklankę wody. – Rozumiemy wszyscy, jakie to dla pani trudne chwile, Christine – rzekła, podając jej wodę.

– Nic nie rozumiecie. – Christine nawet nie spojrzała na szklankę, co rozdrażniło McManus.

– Słucham?

– Nie możecie tego zrozumieć. Nawet ja tego nie rozumiem. By zrobić karierę, potrzebowałam jakiejś sensacji, tak jak pani.

McManus rozejrzała się, szukając wzrokiem reżysera. Udawała, że nic się nie stało, chociaż jej zazwyczaj chłodne oblicze zmieniło się. Cienkie pomalowane wargi ściągnęły się jeszcze bardziej.

– Z pewnością przeżywa pani bardzo trudne chwile, ta rozmowa też musi być dla pani stresem. Zróbmy więc przerwę na reklamę, żeby mogła pani trochę odetchnąć.

Z twarzy McManus nie schodził przyklejony uśmiech, który zbladł dopiero wtedy, kiedy światło przygasło i podszedł do niej reżyser. Wówczas na jej twarzy wybuchła wściekłość, przez co na makijażu pojawiły się nowe bruzdy. Jednak furia McManus nie była skierowana do Christine, ale do wysokiego łysego mężczyzny. Prawdę mówiąc, Christine znowu stała się niewidzialna.

– Co to ma być, do cholery? Jak mam pracować w takich warunkach?

– Mogę iść na chwilę do garderoby? – spytała Christine reżysera. Skinął głową. Odpięła mikroport i położyła go obok niechcianej szklanki wody.

McManus podniosła na nią wzrok i postarała się o lakoniczny uśmiech.

– Tylko nie siedź tam długo, kochana. To nie gazeta. Nie możemy zatrzymać maszyny drukarskiej. Idziemy na żywo. – Sięgnęła po szklankę i piła ostrożnie małymi łykami, żeby nie zetrzeć szminki.

Czy McManus byłaby w ogóle w stanie podać imię jej syna, gdyby nie teleprompter? – pomyślała Christine. Przecież ta bajońsko opłacana podpora lokalnej stacji ma gdzieś Timmy’ego, Danny’ego i Matthew. Boże drogi, a ona była o krok od tego, żeby się do niej upodobnić!

Christine wyszła ze studia, omijając plączące jej się pod nogami kable. Gdy tylko znalazła się poza zasięgiem rażących świateł, poczuła chłodny powiew powietrza. Mogła znów oddychać. Kroczyła wąskim korytarzem, mijając garderoby, charakteryzatornię i wreszcie zostawiając za sobą szare metalowe drzwi z napisem: „Wyjście”.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY

– Jestem aresztowany? – spytał Ray Howard, wiercąc się na krześle z twardym oparciem.

Maggie przyglądała mu się. Jego blada, ziemista cera podkreślała wytrzeszczone, wodnistoszare oczy z czerwonymi, popękanymi z przemęczenia naczynkami. Pomasowała kark, żeby pozbyć się własnego zmęczenia. Ciasny węzeł spinał mięśnie między jej łopatkami. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio spała.

Mały pokój konferencyjny wypełnił aromat świeżo zaparzonej kawy. Przez zakurzone żaluzje wsączał się pomarańczowy snop zachodzącego słońca. Siedzieli tu z Nickiem od kilku godzin, powtarzając wciąż te same pytania i otrzymując te same odpowiedzi. Maggie nie wierzyła, że Howard jest mordercą, chociaż uznała za konieczne przesłuchać go. Mógł coś wiedzieć i miała nadzieję, że wyzna to pod presją. Nick trwał przy swoim, przekonany, że Howard jest właśnie tym, kogo szukają.

– Nie, Ray. Nie jest pan aresztowany – odparł wreszcie Nick.

– Bez nakazu nie możecie mnie tu trzymać w nieskończoność.

– Skąd pan wie?

– Oglądam „Nowojorskich gliniarzy”. Znam swoje prawa. I mam przyjaciela w policji.

– Naprawdę? Pan ma przyjaciela?

– Nick – ostrzegła go Maggie.

Przewrócił oczami i podciągnął rękawy koszuli. Miał zaciśnięte pięści, jego cierpliwość kończyła się.

– Ray, napije się pan kawy? Świeżo zaparzona – spytała uprzejmie Maggie. Dobrze ubrany kościelny zawahał się, potem przytaknął.

– Ze śmietanką i dwoma łyżeczkami cukru. Ale z prawdziwą śmietanką, jeśli macie tu taką. I nie lubię tych małych kostek cukru.

– A może coś pan zje? Nick, mógłbyś zamówić coś dla nas wszystkich w „Wanda's Diner".

Warknął na nią wściekle, za to Howard wyprostował się wyraźnie uszczęśliwiony.

– Bardzo lubię stek z kurczaka, który tam robią.

– Nick, zamów panu Howardowi stek z kurczaka.

– Z pureue z ziemniaków i brązowym sosem, nie białym. Lubię też włoski kremowy sos do sałaty.

– Coś jeszcze? – Nick nie ukrywał sarkazmu, miał już tego dość. Howard skulił się na krześle.

– Nie, to wszystko.

– A dla pani, agentko O'Dell? – Rzucił jej urażone spojrzenie.

– Kanapka z serem i szynką, proszę. Zresztą sam wiesz. – Przesłała mu uśmiech, zadowolona, że jego wzrok złagodniał.

– Wiem. – Miłe wspomnienie natychmiast zostało zastąpione przez złość. – Zaraz wracam.

Maggie postawiła parujący dzbanek kawy przed Howardem. Czekała, aż kościelny trochę się wyluzuje. Zapaliła górne światło, które zalało pokój, oślepiając Raya. Kiedy tak smakował gorącą kawę czubkiem długiego języka, przypominał jej jaszczurkę, która powoli podnosi i opuszcza powieki. Przysłuchiwał się przytłumionym dźwiękom dochodzącym z sąsiednich pokoi.

Kiedy wiedziała już, że o niej zapomniał, Maggie stanęła za nim i odezwała się:

– Wie pan, gdzie znajduje się Timmy Hamilton, prawda, Ray?

Przestał siorbać. Sprężył się w sobie.

– Nie wiem. Nie wiem też, skąd wziął się ten telefon w mojej szufladzie. Nigdy go przedtem nie widziałem.

Maggie usiadła na wprost Raya. Jego jaszczurcze oczy unikały wzroku agentki, w końcu spoczęły na jej brodzie. Potem zerknęły na piersi, ale czym prędzej przeniosły się w górę, nie tak prędko jednak, żeby biała szyja Raya nie zalała się czerwienią.

– Szeryf Morrelli uważa, że to pan zabił Danny’ego Alvereza i Matthew Tannera.

– Nikogo nie zabiłem.

– Wierzę panu, Ray.

Zdumiał się. Popatrzył jej w oczy, żeby przekonać się, czy go w coś nie wrabia.

– Naprawdę?

– Myślę, że to nie pan zabił tych chłopców.

– No i dobrze, bo to nie ja.

– Ale myślę też, że wie pan więcej, niż nam pan mówi. Myślę, że pan wie, gdzie jest Timmy.

Nie zaprotestował, krążył wzrokiem po pokoju. Jaszczurka szukająca ucieczki. Trzymał gorący kubek obiema rękami. Maggie spostrzegła jego krótkie, ostro zakończone palce z obgryzionymi paznokciami, niektórymi prawie aż do krwi. Nie wyglądały na ręce mężczyzny, który ma obsesję na punkcie czystości.

– Jeśli nam pan powie, pomożemy panu, Ray. Ale jeśli dowiemy się, że coś pan wiedział i ukrył pan to przed nami, cóż, może pan spędzić w więzieniu wiele lat, nawet jeśli nikogo pan nie zabił.

Howard przechylił na bok głowę. Znowu słuchał tego, co działo się za drzwiami, może nasłuchiwał kroków Nicka albo czekał na kogoś, kto mógłby go uratować z opresji.

– Gdzie jest Timmy, Ray?

Uniósł rękę, przyjrzał się swoim palcom i zabrał się do obgryzania tych resztek paznokci, które mu zostały.

– Ray?

– Nie wiem, gdzie jest ten dzieciak! – krzyknął, z trudem panując na sobą. – Jeżdżę czasem pikapem po drewno, ale to nie ma nic do rzeczy

Maggie przeciągnęła palcami przez włosy. Kręciło jej się w głowie z niewyspania i głodu. Czyżby zmarnowali kolejne popołudnie? Keller mógł z łatwością podrzucić komórkę w pokoju Howarda. Ale Maggie nie wyobrażała sobie, żeby na plebanii działo się cokolwiek bez wiedzy Raya.

– Gdzie jeździ pan po to drewno?

Patrzył na nią, wciąż ssąc czubki palców. Starał się pojąć, po co jej takie informacje.

– Widziałam kominek na plebanii – ciągnęła. – Jest taki duży, że przez zimę pożera z tonę drewna, zwłaszcza kiedy mróz nadchodzi tak wcześnie.

– Taa, fakt. A ksiądz Francis lubi… – Zamilkł i spuścił wzrok na podłogę. – Niech jego dusza spoczywa w pokoju – wymamrotał pod nosem i podniósł wzrok. – Lubił, żeby było ciepło.

– Więc gdzie pan jeździ?

– Koło rzeki. Kościół ma tam kawałek ziemi. Tam, gdzie jest stary kościół Małgorzaty. Piękny był, a teraz się rozpada. Zbieram pełno wyschniętych gałęzi orzecha i wiązu. Trochę dębu. No i mnóstwo tam klonów. Ale orzech pali się najlepiej. – Zamilkł i popatrzył przez okno.

Maggie spojrzała w tę samą stronę. Słońce wpadało za zaśnieżony horyzont, krwistoczerwone na tle bieli. Ścinanie drewna przypomniało mu o czymś, ale o czym?

Tak, Ray Howard wiedział więcej, niż mówił, lecz nawet groźba więzienia ani obietnica drobiowego steku od Wandy nie skłoniły go do mówienia. Będą musieli go wypuścić.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Nick odwiesił słuchawkę i siadł na fotelu, trąc oczy, jakby mógł w ten sposób wymazać złość. Wiedział, że Maggie wyczuła, jak wielką miał ochotę komuś przyłożyć, może nawet Rayowi Howardowi. Jak mogła być tak opanowana?

Timmy nie wychodził mu z głowy. Nick miał wrażenie, że ktoś wsadził mu pod żebra bombę zegarową, która tyka coraz to szybciej, waląc w piersiach jak bęben. Ból był nie do zniesienia. Wciąż przed jego oczami pojawiał się obraz martwego Danny'ego Alvereza. Jego drobnego ciała leżącego w trawie. Tych pustych oczu wpatrzonych w gwiazdy. Chłopiec miał w sobie taki spokój. Gdyby nie czerwone cięcie pod brodą i rany na wąskiej piersi…

Czas im uciekał.

Aaron Harper i Eric Paltrow zostali zamordowani zaledwie dwa tygodnie wcześniej. Matthew Tanner zaginął tydzień po Dannym Alverezie. Od zniknięcia Matthew minęło dopiero parę dni. Teraz Timmy. Rozkład jazdy zabójcy skracał się gwałtownie. Coś sprawiało, że ten człowiek eksplodował, coś pędziło go na skraj przepaści. Jeśli go teraz nie schwytają, czy zniknie znowu na kolejne sześć lat? A może gorzej, może wmiesza się w społeczność, jak zrobił to przedtem? Jeśli to nie Howard ani Keller, to kto, do diabła, nim jest?

Nick chwycił pogniecioną kartkę z biurka. Nieczytelny dla niego terminarz, który znalazł w pikapie w przegródce na rękawiczki. Z drugiej strony kartki ktoś naskrobał niewyraźnie listę zakupów. Jeszcze raz ją przejrzał, próbując doszukać się w niej jakiegoś sensu: wełniany koc, nafta, zapałki, pomarańcze, snickersy, SpaghettiOs, trutka na szczury. Może to zwykła lista zakupów na kemping, jakiś głos jednak podpowiadał Nickowi, że kryje się za tym coś więcej.

Przerwało mu stukanie do drzwi. Hal wszedł, nie czekając na zaproszenie. Był wykończony, garbił się, jego zazwyczaj starannie zaczesane włosy teraz przykleiły mu się do głowy, przez wiele godzin ściskane kapeluszem. Koszulę miał rozpiętą pod szyją, a zaplamiony kawą krawat zwisał luźno pod dziwnym kątem.

– Co tam masz, Hal?

Ciężko padł na krzesło naprzeciw Nicka po drugiej stronie biurka.

– W fiolce, którą znalazłeś w pikapie, był eter.

– Eter? Skąd się tam wziął?

– Najprawdopodobniej ze szpitala. Pytałem dyrektora, mówi, że mieli w kostnicy podobne fiolki. Używali tego jako rozpuszczalnika, ale można tym kogoś ululać. Wystarczy parę wdechów.

– Kto ma dostęp do magazynu?

– W tym problem. Praktycznie wszyscy. Nie zamykają drzwi na klucz.

– Żartujesz?

– Nie. Pomyśl, Nick. Mało się korzysta z kostnicy, a jeśli już, kto chciałby się tam grzebać?

– W czasie śledztwa o morderstwo powinna być zamknięta na klucz, dostępna wyłącznie dla wybranych pracowników szpitala. – Nick chwycił za pióro i zaczął nim wystukiwać swoją złość. Tak się spienił, że naprawdę by komuś przyłożył.

Hal milczał. Nick podniósł na niego wzrok.

– Znaleźliście jakieś odciski palców na fiolce?

– Tylko twoje.

– A co z zapałkami z „Pink Lady”?

– To nie jest żadna spelunka ze striptizem. „Pink Lady” to mały bar z grillem w centrum Omaha, jakąś przecznicę od posterunku policji. Zagląda tam wielu policjantów. Eddie twierdzi, że serwują w nim najlepsze hamburgery w mieście.

– Eddie?

– No, Gillick. Służył w policji Omaha, zanim przyszedł do nas. Myślałem, że o tym wiesz. Co prawda trochę już minęło, jakieś sześć, siedem lat.

– Nie ufam mu – rzucił Nick i natychmiast pożałował tych słów, patrząc na Hala.

– Eddiemu nie ufasz? Czemu, na Boga, miałbyś mu nie ufać?

– Nie wiem. Zapomnij, że to powiedziałem.

Hal potrząsnął głową i wstał. Ruszył do drzwi, gdy nagle coś mu się przypomniało.

– Wiesz, Nick, nie zrozum mnie źle, ale wielu myśli podobnie o tobie.

– To znaczy jak? – Nick wyprostował się. Stukanie ustało.

– Przyznasz chyba, że dostałeś tę robotę wyłącznie dzięki ojcu. Jakie masz doświadczenie? Jestem twoim przyjacielem, Nick, cały czas jestem po twojej stronie. Muszę ci jednak powiedzieć, że niektórzy mają wątpliwości. Myślą, że pozwoliłeś tej małej agentce O'Dell przejąć ster.

No i doczekał się policzka, którego spodziewał się od wielu dni. Przetarł dłonią brodę.

– Zauważyłem, zwłaszcza od kiedy ojciec zaczął prowadzić swoje śledztwo.

– To jeszcze co innego. Wiesz, że kazał Eddiemu i Lloydowi odszukać tego Marka Rydella?

– Rydella? Kto to jest, do diabła?

– Przyjaciel czy partner Jeffreysa.

– Jezu. Czy nikt naprawdę nic nie rozumie? Jeffreys nie zabił wszystkich trzech… – zamilkł, bo ujrzał w drzwiach Christine.

– Uspokój się, Nick. Nie przyszłam tu jako reporterka. – Wyraźnie się zawahała, potem jednak weszła do środka. Włosy miała w nieładzie, oczy czerwone, twarz ze śladami łez i krzywo zapięty trencz. Wyglądała naprawdę fatalnie.

– Muszę coś zrobić, a ty musisz mi pomóc.

– Przynieść ci kawy, Christine? – spytał Hal.

– Tak, poproszę. Chętnie.

Hal zerknął na Nicka, jakby chciał się usprawiedliwić, że wychodzi, i zniknął za drzwiami.

– Siadaj – rzekł Nick, pohamowując się z trudem, żeby się nie podnieść i nie pomóc siostrze przejść kilku kroków przez pokój. Tracił odwagę, kiedy widział ją w takim stanie. Była przecież jego starszą siostrą. To ona zawsze jakoś się trzymała, nie poddawała się. Nawet po odejściu Bruce’a. Teraz wyglądała jak Laura Alverez, była niepokojąco spokojna i cicha.

– Corby dał mi krótki płatny urlop. Oczywiście dopiero kiedy upewnił się, że „Omaha Journal” będzie miał wyłączność na wszystko, co się wydarzy.

Wyplątała się z płaszcza, rzuciła go niedbale na krzesło w kącie i bezwolnie przyglądała się, jak ześliznął się na podłogę. Podeszła do biurka, wydawało się, że nie ma siły utrzymać się na nogach.

– Udało ci się trafić na Bruce’a? – Nie patrzyła mu w oczy, wiedział jednak, że to bardzo delikatny temat. No cóż, jego siostra nie miała pojęcia, gdzie podziewa się jej były mąż.

– Jeszcze nie, ale może usłyszy o Timmym w wiadomościach i sam się odezwie.

Skrzywiła się.

– Muszę coś zrobić, Nick. Nie mogę siedzieć w domu i czekać. Po co ci to? – Wskazała na listę zakupów. Leżała odwrócona do góry stroną, na której był rozkład z dziwacznymi kodami.

– Wiesz, co to jest? – spytał.

– Pewnie, to opis trasy.

– Co?

– Gońcy, którzy roznoszą gazety, dostają takie wskazówki każdego dnia. Patrz, tu masz numer trasy, kod gońca, liczbę gazet, które ma dostarczyć, dodatki, jeśli jakieś są, punkt startu i przystanki.

Nick poderwał się z fotela i podszedł do niej.

– Christine, możesz mi powiedzieć, czyj to spis i z którego dnia?

– Chyba z niedzieli, dziewiętnastego października. Kod gońca ALV0436. Sądząc z adresów na liście przystanków... – Nagle wszystko zrozumiała. Podniosła na Nicka wytrzeszczone oczy. – Mój Boże, przecież to jest trasa Danny’ego Alvereza! Z tej niedzieli, kiedy zniknął. Skąd to masz, Nick?

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY

Ciemności zapadły znienacka. Timmy bardzo starał się zachować spokój i nie ulegać panice, ale nieunikniona perspektywa długiej, czarnej nocy zniweczyła jego wysiłki.

Cały dzień pracował nad planem ucieczki, a przynajmniej nad tym, jak przekazać prośbę o pomoc. Nie było to jednak tak łatwe, jak pokazywali w różnych przygodowych filmach, lecz dzięki temu mógł się na czymś skupić. Myślał o Batmanie i Luke'u Skywalkerze. I o Hanie Solo, swoim największym ulubieńcu, którego bezgranicznie podziwiał.

Nieznajomy przyniósł mu komiksy „Flash Gordon" i „Superman". Wyposażony w wiedzę i tajemnice owych superbohaterów, Timmy i tak nie wiedział, jak uciec ze swojego więzienia. Był w końcu tylko małym, chudym dziesięciolatkiem. A jednak na futbolowym boisku nauczył się skutecznie wykorzystywać swój niski wzrost, zręcznie wymijając przeciwników i wymykając się im. Jego silną bronią było to, że potrafił przewidzieć, co zamierzają zrobić. Coraz lepiej rozumiał, że nie tylko siła liczy się w życiu. A jak ktoś w ogóle jej nie ma, bo już taki się urodził, musi robić użytek z głowy. I też może wygrywać. Dlatego Timmy był dobrym futbolistą. Wiedział, że powinien skorzystać z tej nauki.

Trudno było się skoncentrować, kiedy ciemność połknęła już wszystkie kąty pomieszczenia. Timmy widział, że

w lampie jest niewiele nafty, nie zapalał jej więc, dopóki nie było to konieczne. Jednak lęk zaczął się już podkradać do niego, powodując dreszcze.

Zastanawiał się, czy dałoby się jakoś wykorzystać piecyk naftowy. Może przelać z niego naftę do lampy? Tylko jak to zrobić? Wiatr uporczywie stukał w zabite deskami okno, przeciskając się przez szpary. Bez piecyka Timmy zamarzłby do rana. Nie, choć wcale mu się to nie podobało, bardziej potrzebny był piecyk niż światło.

Przypominał sobie sceny z „Gwiezdnych wojen", powtarzając na głos zapamiętane dialogi, byle tylko się czymś zająć. Zapalił zapalniczkę, żeby udowodnić sobie, że jednak w każdej chwili może pokonać ciemność. Zapalał ją i gasił, raz za razem. Nie tylko jednak ciemność miał za wroga. Wszechogarniająca, przytłaczająca swoim ogromem cisza była równie złowieszcza.

Cały dzień nasłuchiwał głosów. Próbował wychwycić szczekanie psów, trąbienie samochodów, bicie kościelnych dzwonów, wycie syren pogotowia ratunkowego. Nie usłyszał nic prócz odległego gwizdu pociągu i jednego odrzutowca. Więc gdzie on w końcu jest?

Próbował krzyczeć, aż zdarł sobie gardło, lecz odpowiadały mu tylko dzikie porywy wiatru, zupełnie jakby złorzeczyły uwięzionemu chłopcu. Było o wiele za cicho. Gdziekolwiek się znalazł, czuł, że to bardzo daleko, okropnie daleko od kogokolwiek, kto mógłby mu przyjść z pomocą.

Coś szurnęło po podłodze, cienkie pazurki zastukały o drewno. Timmy struchlał i znowu zaczął drżeć. Zapalił zapalniczkę, ale nic nie wypatrzył. Wreszcie poddał się. Nie opuszczając łóżka, sięgnął do skrzynki i zapalił lampę naftową. Natychmiast żółte światło wypełniło pomieszczenie. Powinno mu to przynieść ulgę, lecz on zwinął się w ciasny kłębek i naciągnął koc pod brodę. Po raz pierwszy, odkąd tata wyjechał z miasta, Timmy zapłakał.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Była inteligentna i sprytna. Zdecydowanie godny przeciwnik. Nie wiedział tylko, ile agentka specjalna O'Dell naprawdę wie, a jak dalece stwarza pozory. Nieważne zresztą. Lubił takie gry. Nie myślał wtedy o tym tętnieniu w głowie.

Nikt nie zwrócił na niego specjalnej uwagi, kiedy szedł sterylnym korytarzem. A ci, którzy go widzieli, kiwali mu głową i spieszyli swoją drogą. Jego obecność w tym miejscu nie dziwiła nikogo, podobnie jak w żadnym innym miejscu w tym mieście. Była uzasadniona, choć tu właśnie nosił inną maskę, taką, której nie można ściągnąć jak maski z gumy.

Poszedł schodami. Nawet klatka schodowa śmierdziała tego dnia amoniakiem, wyszorowana do czysta. Przypomniało mu to o matce, która na kolanach swoimi pięknymi rękami w milczeniu skrobała kuchenną podłogę, czasami o drugiej albo trzeciej nad ranem, kiedy jego ojczym jeszcze spał. Jej delikatne dłonie robiły się czerwone i szorstkie od pracy i ostrego środka czyszczącego. Ile razy patrzył na nią po kryjomu. Stłumiony szloch i gwałtowne ruchy stały się porannym sekretnym rytuałem, który miał oczyścić jej popaprane życie.

Teraz on, tyle lat później, z całej mocy starał się oczyścić swoje własne życie, zeskrobując wizje przeszłości sekretnymi obrządkami. Ile razy będzie jeszcze musiał

zabić, żeby pozbyć się dręczącego obrazu zasmarkanego, bezbronnego i zastraszonego chłopca, którym był niegdyś?

Drzwi zatrzasnęły się za nim. Znajdował ukojenie w znajomym otoczeniu. Gdzieś nad jego głową szumiał wentylator. Poza tym było cicho, tak cicho jak powinno być w tymczasowym grobie.

Wziął rękawiczki chirurgiczne. Która to będzie? Szuflada numer jeden, dwa czy może trzy? A może cztery albo pięć? Wybrał trójkę, pociągnął i skrzywił się, słysząc skrzyp metalu, lecz był zadowolony, że trafił za pierwszym razem.

Ciało w czarnym plastikowym worku, leżące na długim srebrnym łóżku, wyglądało tak niepozornie. Rozpiął zamek błyskawiczny, z szacunkiem odwijając worek na boki. Ślady zostawione przez koronera, owe precyzyjne cięcia, napełniły go niesmakiem. Z równym wstrętem patrzył na zadane przez siebie rany kłute. Biedne drobne ciało Matthew przypominało samochodową mapę. Ale Matthew już nie było, przeniósł się w dużo lepsze miejsce. Tam, gdzie jest wolny od bólu i poniżenia, samotności i odtrącenia. Tak, już on tego dopilnował, żeby wieczny odpoczynek Matthew odbywał się w pokoju. Żeby chłopiec na zawsze pozostał niewinnym dzieckiem.

Wciągnął gumowe rękawiczki i odwinął nóż do ryb, kładąc go z boku. Musi zniszczyć jedyny dowód, który mógłby łączyć go z morderstwem. Jakiż był nieostrożny. Jak potwornie głupi. Może jest już za późno, ale jeśli byłaby to prawda, Maggie O’Dell zapoznawałaby go teraz z jego prawami.

Rozpiął do końca worek, aż zobaczył szczupłe nogi chłopca. Tak, są, purpurowe ślady zębów na udzie. Skutek diabelskiej wściekłości, która nim owładnęła. Wstyd palił go, rozlewał się po jego wnętrznościach. Przesunął nogę chłopca i podniósł nóż.

Nagle gdzieś w korytarzu trzasnęły drzwi. Stanął. Wstrzymał oddech. Zamienił się w słuch. Skrzypiały gumowe podeszwy, bliżej i bliżej, aż znalazły się pod drzwiami. Chwila wahania. Czekał, ściskając kurczowo nóż. Jak się wytłumaczy? To może się wydać podejrzane. Możliwe, ale dziwne.

Zdawało mu się, że w piersi coś mu eksploduje, kiedy skrzypienie rozpoczęło się na nowo, mijając drzwi. Zaczekał, aż kroki dojdą do końca korytarza. Potem wciągnął głęboko powietrze ze śladami amoniaku, który drażnił mu nozdrza. Talk w rękawiczkach przyklejał się do mokrych dłoni, które zaczęły go swędzieć. Pot spływał po plecach. Gdy dotarł pod bieliznę, mężczyzna zawstydził się, bo sprawiło mu to przyjemność.

Tak, stawał się nieostrożny. Coraz trudniej przychodziło mu po sobie sprzątać, trzymać w cuglach szkaradnego demona, który wchodził w paradę jego misji. Nawet teraz, chwytając nóż, nie mógł się zabrać do dzieła. Ręka mu się trzęsła. Pot zalewał oczy. Jeszcze trochę, pocieszał się, i będzie koniec.

Niedługo szeryf Morrelli będzie miał w rękach swojego głównego podejrzanego. Już on o to zadbał, podrzucając dość dowodów, dość poszlak. Był w tym coraz lepszy. I było

to równie łatwe, jak w przypadku Ronalda Jeffreysa. Wtedy wystarczyło podłożyć kilka drobiazgów do jego bagażnika i wykonać anonimowy telefon do superszeryfa Antonia Morrellego. Choć i wtedy nie był dość uważny, weźmy choćby te nieszczęsne majtki Erica Paltrowa w skarbnicy obciążających Jeffreysa dowodów.

Za każdym razem zabierał majtki ofiary na pamiątkę. Przy Ericu zapomniał o tym. Nietrudno było odzyskać je z kostnicy. Ale przez pomyłkę wsadził do bagażnika majtki Erica, zamiast Aarona. Nie dowiedział się nigdy, czy ktoś zauważył jego błąd, czy może wielki i mocarny Antonio Morrelli postanowił to zlekceważyć. Tym razem nie chciał ryzykować. Wkrótce skończy się to pulsowanie w skroniach, może już na dobre. Jeszcze tylko trzeba powiązać kilka wątków i uratować kolejnego chłopca. Potem jego demony będą mogły odpocząć.

Tak, biedny Timmy zostanie uratowany. Był taki posiniaczony. Wyobrażał sobie, co musiał znosić z rąk tych, którzy twierdzą, że go kochają. Lubił Timmy’ego, lubił tych wszystkich chłopców. Wybierał ich starannie i ratował po kolei. Ratował ich przed złem.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

Christine włączyła kopiarkę, patrząc, jak wyślizguje się z niej twarz Timmy’ego z wyszczerzonymi w uśmiechu zębami. Byłby zły, że wzięła jego szkolne zdjęcie z poprzedniej klasy, to, na którym ma zawinięty kołnierzyk, a czupryna sterczy do góry. Ale było to jedno z jej ulubionych zdjęć syna. Uderzyło ją, jak dziecinnie na nim wygląda. Czy w ogóle ktoś go rozpozna? Czy to możliwe, że przez jeden rok tak bardzo się zmienił?

Nacisnęła guzik po raz drugi, patrząc, jak z maszyny wypada cała sekwencja wyszczerzonych uśmiechów. Za jej plecami w biurze szeryfa huczało od głosów, szurających butów i klikających maszyn. A ona czuła się osamotniona, niewidzialna. Pomyślała, że Nick przysłał ją tu, żeby mu zeszła z drogi. Domagał się więcej zdjęć, twierdząc, że im więcej ich ukaże się w mediach i w sklepowych witrynach, tym większa szansa, by poruszyły czyjąś pamięć. Pracował teraz zupełnie inaczej niż w sprawie Danny’ego Alvereza. Ale może wszyscy musieli się czegoś nauczyć, drogo płacąc za te lekcje. To, że tego ranka opuściła studio, będzie kosztować Christine dobrze płatną pracę w telewizji. Wcale się tym jednak nie przejęła. Nie obchodziło ją nic prócz Timmy’ego.

Nagle poczuła, że ktoś za nią stoi. Wiedziała nawet, kto. Przeszedł ją niepokojący dreszcz. Odwróciła się powoli.

Eddie Gillick był już bardzo blisko, trzymając ją w pułapce między swoim ciałem i kopiarką. Krople potu zebrały się nad jego cienkimi wąsami. Oddychał ciężko, jakby właśnie przybiegł. Czuła silny zapach jego kremu po goleniu. Wędrował wzrokiem po jej ciele.

– Wybacz, Christine. Muszę skopiować te zdjęcia. – Trzymał fotografie przed jej oczami, pokazując po kolei. Lśniące odbitki osiem na dziesięć, doskonała jakość koloru podkreślała krwistoczerwone rany. Zbliżenie przeciętej skóry. Podcięte gardło. I blada twarz Matthew Tannera, szklane oczy wpatrzone w nią.

Christine przecisnęła się, uwalniając się z pułapki, byle tylko uciec od Eddiego Gillicka. Patrzył z uśmiechem, jak Christine wpada na policjanta, uderza się w kolano o biurko i w końcu przystaje w drugim końcu pokoju. Wreszcie bezpieczna, oparła się o ścianę i patrzyła na ten chaos. Czy oni wszyscy poruszają się w zwolnionym tempie, pomyślała, czy tylko jej się wydaje? Nawet głosy docierały do niej zwolnione, mieszając się i łącząc w jeden niski dźwięk. I to dzwonienie, to ciągłe piskliwe dzwonienie. Czy to telefon? Może syrena pogotowia albo straż pożarna? Czy ich to nie obchodzi? Czy ktoś powstrzyma wreszcie ten hałas? Czy nic nie słyszą?

– Christine?

Usłyszała swoje imię dochodzące jakby z innego wymiaru, z oddali. Przylgnęła mocniej do ściany, do gładkiej chłodnej powierzchni, a cały pokój wirował. Lekko przechylił się, ale nikt tego nie zauważył. Potem w drugą stronę.

– Christine, dobrze się czujesz?

Pojawiła się przed nią twarz Lucy Burton, twarz w kształcie serca z wielkimi oczami wytrzeszczonymi jak te w lustrach sklepowych. Ale tu nie było luster. Jaskrawo pomalowane usta poruszały się, nie wydając żadnego dźwięku. Gdzie jest pilot? Musi pogłośnić Lucy Burton.

Jakieś ręce znikąd chwyciły ją. Odpędzała je, ale znowu się zbliżyły. Nie mogła oddychać. Musi napić się wody. Pojemnik z wodą stał tuż obok, po lewej, a może kilka kilometrów dalej, bardzo, bardzo daleko. Uderzyła znowu czyjeś ręce.

– Nie słyszę cię, Lucy – powiedziała, uświadamiając sobie, że te słowa zabrzmiały jedynie w jej myślach.

Poczuła, że zjeżdża po ścianie. Straciła kontrolę nad własnym ciałem, które także zaczęło ruszać się jak na puszczonym w zwolnionym tempie filmie. Tyle stóp, tupanie, czerwone paznokcie, para kowbojskich butów. Na końcu ktoś zgasił światło.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Wychodząc ze swojego pokoju, Nick zobaczył tłum zebrany wokół automatu z wodą. Ujrzał Christine osuwającą się na podłogę. Lucy wachlowała ją teczką z dokumentami, a Hal pomagał jej się podnieść. Ojciec Nicka przyglądał się temu wraz z innymi, z rękami wetkniętymi głęboko w kieszenie. Nick słyszał, jak ojciec z irytacją dzwoni drobnymi w kieszeni. Znał tę sztywną minę. Wiedział, co ojciec teraz myśli. Jak ona śmiała okazać taką słabość w obecności jego kolegów?

– Co się stało? – Nick zwrócił się do Eddiego Gillicka, który stał przy kopiarce.

– Nie wiem. Nie widziałem – rzekł Eddie i nacisnął przycisk.

Nick uświadomił sobie, że tylko Eddie znajduje się w tej części pokoju. Rzucił okiem na zdjęcia wypluwane przez kopiarkę i zobaczył, jak Matthew Tanner przykrywa uśmiech Timmy’ego. Może przesadził, prosząc Christine o zrobienie kopii zdjęć jej zaginionego syna.

– Masz zdjęcia z autopsji – powiedział, patrząc na Gillicka.

– Taa, wziąłem właśnie ze szpitalnej kostnicy. Wiedziałem, że ci się przydadzą.

– Świetnie. Połóż oryginały na moim biurku, jak skończysz.

Christine odzyskała wreszcie przytomność. Adam Preston podał jej papierowy kubek, wypiła wodę łapczywie. Nick przyglądał się temu kompletnie bezradny. W jego piersiach dudniło głośniej niż zwykle.

– Okej, wszyscy – zawołał jego ojciec. – Koniec przedstawienia, wracajcie do roboty.

Posłuchali go bez wahania. Kiedy dojrzał Nicka, pomachał na niego. Nick nie ruszył się, podjął ostatni wysiłek, żeby odzyskać choć strzęp autorytetu. Ojciec podpisał coś, co podsunął mu Lloyd, po czym podszedł, kompletnie zapominając, że Nick mu się przeciwstawił.

– Lloyd znalazł Rydella. Wezwaliśmy go na przesłuchanie.

– Nie masz do tego prawa. – Nick skupił się. Musi mówić stanowczo i chłodno, on tu dowodzi.

Ojciec podniósł krzaczaste brwi.

– Słucham?

Słyszał doskonale. To jego sposób na poniżanie Nicka. To się zawsze sprawdzało… w przeszłości.

– Nie masz już prawa wzywać nikogo na przesłuchanie. – Spojrzał w zmrużone oczy ojca.

– Staram ci się pomóc, chłopcze, żebyś nie wyszedł wobec całego miasta na pieprzonego idiotę.

– Mark Rydell nie ma nic wspólnego z tą sprawą.

– Dobra. Ty stawiasz na jakiegoś kulawego kościelnego.

– Mam dowody, które na niego wskazują. Co masz na Rydella?

Wszyscy w biurze znieruchomieli, nikt nie śmiał się zbliżyć. W milczeniu zerkali zza drzwi i znad biurek, udając,

że zajmują się swoją robotą.

– Rydell to pedał. Był notowany za pobicie innych ciot, lista jest dłuższa niż moja ręka. Przez jakiś czas pieprzył się z Jeffreysem. Zawsze czułem, że maczał palce w tych zbrodniach. Założę się o farmę, że to on jest tym naśladowcą. Ale ty nic nie widzisz, nic poza supertyłkiem O'Dell.

Nickowi zrobiło się gorąco. Ojciec odwrócił się, skończył swoje, odstawił go na bok tak jak zawsze. Nick popatrzył w oczy tych, którzy udawali, że pracują. Potem zobaczył Maggie, która stała w drzwiach pokoju konferencyjnego. Od razu wiedział, że wszystko słyszała.

– To nie on jest mordercą – rzekł do pleców swojego ojca.

– Co ty znów chrzanisz?

Ledwo zerknął na Nicka przez ramię. Wziął zestaw zdjęć od Eddiego, który wręczył mu oryginały, nawet nie prosząc Nicka o pozwolenie.

– Jeffreys odpowiada tylko za śmierć Bobby'ego Wilsona.

Ojciec nie podnosił wzroku znad fotografii.

– Nie zabił wszystkich trzech chłopców. Ale ty to świetnie wiesz. – Nick czekał, jak ojciec zareaguje na słowa, które były dla niego obrazą.

W końcu ojciec spojrzał na niego z groźną miną, która zazwyczaj zmieniała Nicka w beczącego smarkacza. Ale Nick trzymał się prosto, nie schował rąk do kieszeni. Skrzyżował ręce na piersi. Był gotów.

– Co ty, kurwa, sugerujesz?

– Przeczytałem dokumenty z aresztowania Jeffreysa. Widziałem raporty z autopsji. Nie ma takiej możliwości, żeby Jeffreys popełnił trzy morderstwa. On sam ci to wielokrotnie powtarzał.

– A więc dajesz wiarę jakiejś pieprzonej ciocie, a nie własnemu ojcu?

– W twoich raportach jest czarno na białym, że Jeffreys nie zabił tamtych dwóch chłopców. Tylko ty tego nie chciałeś zobaczyć. Chciałeś być bohaterem. Zlekceważyłeś prawdę i pozwoliłeś uciec mordercy. Może nawet maczałeś palce w podrzuceniu dowodów winy. Teraz twój wnuk zapłaci za twoje błędy i twoją pieprzoną dumę.

Uderzenie pięści zachwiało Nickiem. Dostał prosto w szczękę i runął na kopiarkę. Złapał równowagę, ale widział jak przez mgłę, kiedy drugi cios walnął go w twarz. Podniósł wzrok, widząc ojca, który tkwił nieporuszony i osłupiały w tym samym miejscu, co przed chwilą, z fotografiami w ręku. Nick nie zdawał sobie nawet sprawy, że to nie pięść ojca go trafiła, dopóki nie zobaczył Hala, który trzymał za ręce Eddiego Gillicka.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI

Maggie odczekała chwilę, ale wcale nie była zdziwiona, że Nick nie wrócił, żeby ją zmienić w pokoju przesłuchań. Adam Preston przyniósł obiad z „Wanda's Diner". Maggie powiedziała Rayowi Howardowi, żeby został i zjadł swój stek, a potem będzie wolny. Spoglądał na nią podejrzliwie do chwili, gdy Adam postawił przed nim parujący talerz. W tym momencie zapomniał o wszystkim.

Kiedy Adam rozpakowywał i układał pozostałe dania, Maggie zbierała się do wyjścia.

– Agentko O'Dell, to dla pani.

– Dziękuję, ale nie jestem głodna. – Odwróciła się do niego. Wcale nie podawał jej kanapki. W wyciągniętej ręce trzymał małą białą kopertę.

– Skąd pan to ma?

– Z jadłodajni. Jest tu pani nazwisko. – Czekał z wyciągniętą nad stołem ręką, ale Maggie nie spieszyła się, żeby odebrać przesyłkę. Nawet Howard podniósł wzrok znad swojej uczty.

– Agentko O'Dell, o co chodzi? Chce pani, żebym sam otworzył? – Adam patrzył na nią poważnie swoimi zielonymi oczami. Na jego chłopięcej twarzy malowało się zakłopotanie.

– Nie, nie trzeba. – Niechętnie sięgnęła po przesyłkę, zbyt późno udając, że to nic wielkiego. Żeby to udowodnić, na

oczach Adama otworzyła kopertę. Palce były jej posłuszne, za to w środku cała się gotowała.

Przeczytała krótką wiadomość. Parę słów, ledwie jedna linijka:

Wiem o Stuckym.

Zerknęła na Adama.

– Jest tu gdzieś Nick? – Musiała bardzo się pilnować, żeby przytrzymać nerwy na wodzy. Jakim cudem jej się to udawało?

– Nikt go nie widział od chwili…

– Od chwili kiedy Eddie mu dołożył – skończył za Adama Howard. Uśmiechnął się do nich nad widelcem z ziemniaczanym pureue. – Eddie to mój człowiek – rzekł i zapchał sobie usta.

– Co pan ma na myśli? – rzuciła Maggie, a spojrzenie Howarda natychmiast powiedziało jej, że zareagowała zbyt ostro. Zapomniała się, na przyszłość musi uważać. Znowu go rozdrażniła.

– Nic. To mój kolega.

– Zastępca Gillick jest pańskim kolegą? – Popatrzyła na Adama, który tylko wzruszył ramionami.

– No, kolegą. To chyba nie jest przestępstwo, co? Robimy razem różne rzeczy. Nic takiego.

– Jakie rzeczy?

Howard przeniósł wzrok na Adama. Przestał kroić na talerzu i nakładać sobie do ust. Plecy mu zesztywniały. Kiedy wrócił spojrzeniem do Maggie, zobaczyła w jego oczach zimny opór.

– Czasami wpada na plebanię i gra w karty z księdzem Kellerem i ze mną. A czasem we dwóch idziemy razem na burgery.

– Pan i zastępca Gillick?

– Mówiła pani, że jestem wolny?

Przygwoździła go wzrokiem. Miała rację. Te sprytne jaszczurcze oczy wiedziały więcej, dużo więcej. Czuła gdzieś w głębi, że to nie on jest mordercą, niezależnie od podejrzeń Nicka. Howardowi mogła wpaść w ręce jej komórka, miał pecha, ale nie zabił. Był kulawy i na pewno nie dałby rady pokonać stromego zalesionego zbocza nad rzeką. Odpowiadał sprytnie, nie był jednak na tyle inteligentny, żeby bez wpadki popełnić kilka morderstw.

– Tak, to prawda, mówiłam, że jest pan wolny – odparła wreszcie, nie spuszczając z niego wzroku. Chciała, by poczuł, że go podejrzewa. Chciała, żeby się potknął i trochę spocił. On tymczasem spokojnie zaczął znów nabierać pełne widelce jedzenia za pomocą noża i napychać sobie usta, a potem z lubością przeżuwać.

Maggie dała znak Adamowi, żeby za nią wyszedł. Kiedy znaleźli się na korytarzu, poza zasięgiem słuchu Howarda, zatrzymała się i oparła o ścianę. Była wyczerpana. Adam czekał cierpliwie, zerkając na boki, upewniając się, że nikt nie widzi go z nią sam na sam. Był za młody, żeby należeć do ekipy Antonia Morrellego, ale nie chciał z nikim zadzierać, pragnął należeć do grupy. Szanował jednak przełożonych, do których zaliczał Maggie. Czekał zatem, wysoki, chudy i przygarbiony, na jej słowa.

– Wychowałeś się w Platte City?

Zdziwiło go to pytanie. Mimo to skinął potakująco głową.

– Co możesz powiedzieć na temat starego kościoła, tego za miastem?

– Sprawdzaliśmy go, jeśli o to chodzi. Lloyd i ja byliśmy tam, zanim spadł śnieg, i potem też. Kościół jest zabity deskami. Nikt tam chyba nie zaglądał od lat. Żadnych odcisków palców, żadnych śladów stóp.

– Blisko stamtąd do rzeki?

– Taa, to tuż za Old Church Road, pewnie stąd ta nazwa. Kościół jest uznany za zabytek. Dlatego jeszcze stoi.

– Skąd to wszystko wiesz? – Udawała zainteresowanie, chociaż chodziło jej wyłącznie o położenie kościoła. Jeśli Howard jeździ tam po drewno, może coś widział. Pomasowała zesztywniały kark. Zmęczenie nie pozwalało jej klarownie myśleć. A może nie chciała już myśleć?

– Mój ojciec ma ziemię w tamtej okolicy – ciągnął Adam. – Chciał kupić teren kościelny i zburzyć świątynię. To świetna ziemia uprawna. Ksiądz Keller powiedział mu, że nie można zburzyć kościoła, bo jest na liście zabytków. Mówią, że w końcu lat pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku John Brown, walcząc o wyzwolenie niewolników, wykorzystywał do swoich celów podziemia kościoła. Prawdopodobnie zaczyna się tam tunel, który ciągnie się aż do cmentarza. Tak przynajmniej słyszałem.

Zaciekawiona Maggie wyprostowała się.

Adam czuł się usatysfakcjonowany i z zapałem mówił dalej:

– Ukrywali w kościele zbiegłych niewolników. W nocy tunelem przemycali ich do rzeki, gdzie czekała na nich łódź, która zabierała ich do następnej kryjówki. Koło Nebraska City jest też taki stary kościół, który służył im za schronienie. Zrobili z niego teraz turystyczną atrakcję. Nasz jest zrujnowany. Mówią, że tunel jest zasypany, bo wykopano go za blisko rzeki. Już nawet nie chowają na tym cmentarzu. Kilka lat temu, kiedy rzeka wylała, zniszczyła kilka grobów. Trumny popłynęły rzeką. To był potworny widok.

Maggie wyobraziła sobie opuszczony cmentarz i rwący nurt wysysający ciała z grobów. Nagle zrozumiała. Było to idealne miejsce dla mordercy, który ma obsesję na punkcie ratowania dusz swoich ofiar.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY TRZECI

Maggie postanowiła zostawić Nickowi wiadomość, chociaż pojęcia nie miała, co napisać.

Drogi Nicku, udałam się na poszukiwanie mordercy na cmentarz.

Brzmiało to cudacznie, ale to i tak więcej niż napisała, zanim pobiegła szukać Alberta Stucky'ego. Tyle że tamtego wieczoru nie spodziewała się, że naprawdę go znajdzie. Sprawdzała po prostu jedną z poszlak, miała namierzyć jego kryjówkę. Do głowy jej nie przyszło, że będzie na nią czekał, że przygotuje na nią pułapkę. Czy i ten morderca postępował podobnie? Zastawił wnyki, w które chciał ją złapać?

– Nick chyba wyszedł – zawołała Lucy z drugiego końca korytarza, gdy Maggie położyła rękę na klamce drzwi gabinetu szeryfa.

– Wiem, chcę mu zostawić wiadomość.

Lucy nie czuła się usatysfakcjonowana, oparła dłonie na biodrach i czekała na dalsze wyjaśnienia. Nie doczekawszy się ich jednak, dodała:

– Był do pani telefon z archidiecezji.

– Kazali coś przekazać? – Maggie rozmawiała z bratem Jonathonem, który zapewnił ją, że zdaniem Kościoła śmierć księdza Francisa była nieszczęśliwym wypadkiem i nie ma nic wspólnego z żadną sprawą kryminalną.

– Chwileczkę. – Lucy westchnęła i przetrząsnęła stos notatek. – Mam. Brat Jonathon powiedział, że ojciec Francis nie ma żadnych żyjących krewnych. Kościół zajmie się pogrzebem.

– Ani słowa, że pozwalają nam na autopsję?

Lucy spojrzała na nią zdumiona. Maggie było już wszystko jedno.

– Sama odbierałam wiadomość – rzekła Lucy spokojnie, prawie z sympatią, rozumiejąc, co oznacza konieczność zrobienia autopsji. – Tyle powiedział.

– Dobra, dzięki. – Maggie nacisnęła klamkę.

– Może pani zostawi wiadomość dla Nicka u mnie.

Ale ciekawska sekretarka, pomyślała Maggie.

– Dziękuję, zostawię mu na biurku.

Maggie weszła do środka, nie zapalając światła, bo z ulicy wpadała łuna ulicznych latarni. Uderzyła goleniem o nogę krzesła.

– Cholera – mruknęła, schylając się, żeby rozmasować ból. Wtedy zobaczyła Nicka. Siedział w kącie na podłodze, przyciskał kolana do piersi i gapił się w okno. Nic do niego nie docierało, nie wiedział, że Maggie tu jest.

Mogła więc udać, że również go nie dostrzegła. Jednak podeszła do niego i cicho, bez słowa, usiadła obok na podłodze. Powiodła wzrokiem w tę samą co i on stronę. Ze swojego miejsca mógł widzieć tylko fragment czarnego nieba. Kątem oka spostrzegła jego spuchniętą, skaleczoną wargę. Zaschnięta krew zastygła na idealnie wygolonej brodzie. Nie ruszał się, nie chciał jej zauważyć.

– Wiesz co, Morrelli, jak na byłego futbolistę walczysz raczej po babsku.

Chciała go rozzłościć, pobudzić do życia. Znała to otępienie, pustkę, która paraliżuje na długo, jeśli jej się na to pozwoli. Nie uzyskała żadnej odpowiedzi. Siedziała, milcząc. Mijały minuty. Powinna stąd wyjść. Nie stać jej na dzielenie jego bólu. Nie powinna martwić się o niego, to za duże ryzyko. Sama jest słaba, ledwie trzyma się w ryzach, więcej nie może wziąć na swoje barki.

Kiedy wyciągnęła nogi, żeby wstać, odezwał się:

– Mój ojciec nie miał prawa mówić tak o tobie.

Oparła się znów o ścianę.

– Chcesz powiedzieć, że nie mam ładnego tyłka?

Po jego twarzy przemknął cień uśmiechu.

– Okej, w połowie się mylił.

– Nie przejmuj się tym, Morrelli, słyszałam już gorsze rzeczy. – Chociaż bolało za każdym razem.

– Wiesz, kiedy to się zaczęło, obchodziło mnie tylko jedno: jak wypadnę, czy ludzie nie pomyślą, że jestem do niczego.

Patrzył wciąż przez okno, unikając jej wzroku. Przywykła już do ciemności, przyglądała mu się bacznie. Zmęczony, wciąż był bardzo przystojny, nawet jego uszy były bardzo kształtne. Teraz te fizyczne cechy, które tak ją na początku w nim pociągały, straciły na ważności. Wyczekiwała raczej jego łagodnego, zrównoważonego, mocnego głosu. To jego ciepłe niebieskie oczy powodowały, że miękły jej kolana. Sposób, w jaki na nią patrzyły – jakby była najważniejszym człowiekiem na świecie. To, jak się w niej zatapiały,

w nadziei na przelotne spotkanie z jej duszą. Te oczy rozbierały ją i obdarzały życiem. Teraz, kiedy na nią nie patrzył, czuła się okradziona z czegoś, odcięta od intymnych więzi, które zaczęły się między nimi rodzić. Jednocześnie wiedziała, że nie powinna czuć się tak blisko z mężczyzną, którego zna ledwie od tygodnia. Milczała, bojąc się, że Nick zdradzi jej jakiś sekret, który zwiąże ich ze sobą jeszcze mocniej. A zarazem miała nadzieję, że tak się właśnie stanie.

– Jestem zero. Nie mam pojęcia, jak prowadzić śledztwo w sprawie morderstwa. Może gdybym przyznał się do tego od razu… może Timmy byłby w domu.

Zdziwiło ją jego wyznanie. To już nie był ten kogut, arogancki szeryf, którego poznała kilka dni wcześniej. Ale też nie było w jego słowach użalania się nad sobą. Zdawało jej się, że wypowiedzenie tego na głos przyniosło mu ulgę.

– Zrobiłeś wszystko, co możliwe, Nick. Wierz mi, gdybym uważała, że coś pominąłeś albo zrobiłeś nie tak, powiedziałabym ci. Chyba zauważyłeś, że nie mam oporów w tym względzie.

Kolejny uśmiech. Nick oparł się swobodniej o ścianę i uwolnił kolana. Wyciągnął nogi przed siebie. Przez moment myślała, że już po wszystkim.

– Maggie, jestem tak… wciąż mam w pamięci, jak go znalazłem. Wciąż go widzę… jak leży w trawie, z tym pustym spojrzeniem. Nigdy nie czułem się tak… – Silny, twardy głos załamał się, natknął się na przeszkodę

w gardle. – Czuję się tak kurewsko bezsilny. – Kolana wróciły pod brodę.

Maggie uniosła rękę, zatrzymała ją w powietrzu przy jego karku. Chciała pocieszyć Nicka, pogłaskać. Zabrała rękę z powrotem i odsunęła się, starając się zapanować nad wszechogarniającym pragnieniem kontaktu. Księżyc zakradł się do rogu okna, oświetlając profil Nicka. Co takiego w nim było, że chciała być znowu w pełni sobą? Że uświadamiała sobie, że czegoś jej brak?

– Całe życie robiłem to, co kazał mi ojciec... co mi sugerował. – Nick trzymał brodę na kolanach. – Wcale nie chciałem mu robić przyjemności. Po prostu tak było prościej. Jego oczekiwania były zawsze mniejsze niż moje ambicje. Szeryf w Platte City miał wypisywać mandaty, ratować zagubione psy i od czasu do czasu uciszać bójki w barze. Może jeszcze zajmować się jakimś wypadkiem samochodowym, choć wypadki należą tu do rzadkości. Ale nie morderstwem. Nie jestem do tego przygotowany.

– Nie wiem, czy w ogóle można się do tego przygotować, zwłaszcza jeśli ofiarą jest dziecko. Nieważne, ile trupów widziało się przedtem.

– Timmy nie może skończyć tak jak Danny i Matthew. Nie może. Ale... w żaden sposób nie potrafię temu zapobiec. – Odwrócił twarz, gdy spojrzała na niego. – Nic, kurwa, nie mogę zrobić.

Słyszała łzy w jego głosie, choć bardzo się starał zamaskować je złością. Ponownie, z równym wahaniem, wyciągnęła rękę. Dotknęła wreszcie jego ramienia.

Spodziewała się, że Nick odskoczy jak oparzony. Siedział cicho. Głaskała go po plecach. Kiedy stało się to dla niej zbyt intymne, zabrała rękę, ale on ją złapał i delikatnie przytrzymał w swojej dłoni. Spojrzał na Maggie i podniósł jej dłoń do swojej twarzy, pocierając nią o spuchnięty policzek.

– Cieszę się, że tu jesteś. Maggie… myślę, że…

Wyrwała rękę, nie mogła mu pozwolić na takie wyznania. To już nie był flirt. Wiedziała, że Nick walczy z uczuciami, o których nie chciała wiedzieć.

– Cokolwiek się stanie, to nie będzie twój błąd, Nick. – Zmieniła temat. – Robisz wszystko, co się da. W pewnym momencie musisz sobie odpuścić.

Popatrzył na nią tym głęboko przenikającym spojrzeniem, którym, jak jej się zdawało, badał jej duszę.

– A twoje koszmary nocne – powiedział cicho. – Nie odpuściłaś sobie czegoś? Co to jest, Maggie? Czy to Stucky?

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY

– Skąd wiesz o Stuckym? – Maggie otrząsnęła się, próbując zrzucić z siebie napięcie, które ogarnęło ją w chwili, gdy padło to nazwisko.

– Tamtej nocy u mnie krzyknęłaś je kilka razy przez sen. Myślałem, że sama coś mi powiesz. Ale kiedy nic nie mówiłaś... pomyślałem, że to widocznie nie mój interes. Może to nie jest mój interes.

– Teraz to już sprawa publiczna.

– Publiczna?

– Albert Stucky to seryjny morderca, którego pomogłam złapać niewiele ponad miesiąc temu. Nadaliśmy mu przydomek Kolekcjoner. Porywał dwie, trzy, czasem cztery kobiety naraz, przetrzymywał je w jakimś opuszczonym budynku albo fabryce. Kiedy się nimi znudził, zabijał je, kroił ich ciała, miażdżył czaszki...

– Jezu, sądziłem, że to ten facet, którego szukamy, ma porąbane.

– Stucky jest z tej samej ligi. Moja charakterystyka pomogła go zidentyfikować. Śledziliśmy go ponad dwa lata. Za każdym razem, kiedy zdawało się, że jesteśmy o krok, przenosił się do innej części kraju. W końcu jakoś dowiedział się, że ja przygotowuję jego profil. I wtedy zaczęła się gra.

Światło księżyca zalało już cały pokój. Maggie zerknęła na Nicka, czuła się skrępowana, kiedy tak na nią patrzył z zainteresowaniem i troską. Przygryzł dolną wargę. Znowu krwawiła. Maggie podała mu chusteczkę.

– Nadal krwawisz.

Nie wziął chusteczki, otarł usta rękawem.

– Walczę jak baba – rzekł i znowu spoważniał. – Co to była za gra?

– Stucky zaczął grzebać w mojej przeszłości. Jakimś cudem dowiedział się o mojej rodzinie, o śmierci ojca i alkoholizmie mojej matki. Zdawało się, że nie ma przed nim żadnych tajemnic. Rok temu zaczęłam otrzymywać listy. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego, ale listy Alberta Stucky'ego były niezwykłe. Dołączał do nich zawsze jakąś część ofiary. Palec, kawałek skóry z tatuażem, albo, jak mu się kiedyś zdarzyło, sutek.

Nick bez słowa pokręcił głową.

– Rozpoczął swoje chore łowy – ciągnęła. – Podpowiadał mi, gdzie trzyma te kobiety. Jeśli udało mi się trafnie odgadnąć, w nagrodę podrzucał kolejną podpowiedź. Gdy się pomyliłam, karał mnie trupem. Wiele razy się myliłam. Za każdym razem, gdy znajdowaliśmy w śmietniku jego kolejną ofiarę, czułam się winna.

Zamknęła oczy, by ujrzeć tamte twarze. Wszystkie miały to samo przerażone spojrzenie. Potrafiła wyrecytować ich nazwiska, adresy, znaki szczególne. Brzmiało to jak litania świętych. Podniosła powieki, nie patrząc na Nicka, i podjęła opowieść.

– Czasami znikał, ale tylko po to, żeby zmienić teren. W końcu wytropiliśmy go w Miami. Byłam prawie pewna, że jest w opuszczonym magazynie nad rzeką. Bardzo chciałam mieć rację. Moje sumienie już by nie zniosło, tak to wtedy czułam, jeszcze jednej zamordowanej kobiety. Postanowiłam sama sprawdzić. Miałam rację, ale Stucky na mnie czekał. Wciągnął mnie w zasadzkę, zanim się połapałam.

Oddychała nierówno. Waliło jej serce. Dłonie pociły się. Już po wszystkim. Dlaczego ciągle tak to na nią działa?

– Przywiązał mnie do metalowej kolumny i kazał mi patrzeć. Widziałam, jak torturuje i okalecza dwie kobiety. Druga została ukarana z mojej winy, bo zamknęłam oczy, kiedy walił w czaszkę tę pierwszą. Wydawało się, że w ogóle nie widzi ich cierpienia, nie słyszy ich krzyków.

Boże, jak trudno oddychać. Kiedy przestaną do niej powracać te błagalne spojrzenia, kiedy przestanie słyszeć te nieludzkie wrzaski?

– Patrzyłam więc, jak bije, kroi i rozdziera na pół dwie kobiety i czułam… czułam się tak potwornie bezradna.

Podniosła wzrok na księżyc i gwiazdy.

– Byłam tak blisko… – Potarła ramiona. Wciąż przeżywała to od nowa. – Byłam tak blisko, że ich krew opryskała mnie, byłam zbryzgana ich wnętrznościami, mózgiem, obrzucona kawałkami kości.

– Ale w końcu go schwytałaś?

– Tak. Złapaliśmy go. Tylko dzięki temu, że jakiś stary rybak usłyszał krzyki i zadzwonił na 911. Ja się do tego nie

przyłożyłam.

– Maggie, nie jesteś odpowiedzialna za śmierć tamtych kobiet.

– Tak, wiem. – Jasne, wiedziała, ale co z tego, skoro nadal czuła się winna. Wytarła oczy, rozczarowana, że policzki ma już mokre. Potem wstała, zbyt gwałtownie kończąc temat. – To mi przypomina – powiedziała, pozornie wracając do normalności – że mam kolejny liścik. – Wygrzebała pogniecioną kopertę i podała ją Nickowi.

Wyjął z koperty kawałek papieru, przeczytał i oparł się ponownie o ścianę.

– Jezu, Maggie. Co to może znaczyć?

– Nie wiem. Może nic. Może ktoś dobrze się bawi.

Wyprostował nogi i gwałtownie wstał.

– Co teraz zrobimy?

– Co myślisz o obławie na cmentarzu?

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

Timmy obserwował tańczący płomyk lampy. Zadziwiające, że taki maleńki płomyk oświetla cały pokój. Lampa przy okazji ogrzewała też pomieszczenie. Nie tak jak piecyk, ale czuło się ciepło. Przypomniał sobie wycieczki z namiotem, które urządzali sobie z ojcem. Ale to było dawno.

Tata nie był doświadczonym turystą. Dwie godziny mocowali się z ustawieniem namiotu. Jeśli chodzi o łowienie ryb, złapali tylko małe płocie, które w końcu, kiedy już bardzo zgłodnieli, zjedli, tracąc nadzieję na grubszą rybę. Potem tata spalił ulubiony garnek mamy, bo zostawił go za długo w ogniu. Timmy jednak wcale się tym nie przejmował. To była przygoda, którą przeżył z tatą.

Wiedział, że mama i tata często się kłócą. Nie rozumiał tylko, czemu tata wścieka się również na niego. Mama mówiła mu, że tata go kocha. Że nie chce, by ktoś wiedział, gdzie jest, bo nie chce im dawać pieniędzy. Ale to wcale nie tłumaczyło, dlaczego tata nie chce go widzieć.

Timmy wpatrywał się w płomień i starał się przypomnieć, jak tata wygląda. Mama schowała gdzieś wszystkie zdjęcia. Powiedziała, że je spaliła, ale Timmy sam widział, jak je oglądała parę tygodni temu. Była już noc, myślała, że on śpi. Piła wino i oglądała te zdjęcia, na których byli jeszcze we troje, i płakała. Jeśli tak tęskni za tatą, to czemu nie

poprosi go, żeby wrócił? Czasem Timmy w ogóle nie rozumiał dorosłych.

Przysunął dłonie do lampy, żeby poczuć jej ciepło. Łańcuch, którym był przymocowany do łóżka, zadźwięczał głucho. Timmy spojrzał na niego. Wtedy znowu przypomniał mu się ten metalowy garnek, który tata zniszczył w ognisku. Oczka łańcucha nie były grube. Ciekawe, czy trzeba by je bardzo rozgrzać, żeby się wygięły? Nie trzeba by ich nawet bardzo wyginać, tylko troszkę.

Serce chłopca zaczęło szybciej bić. Chwycił lampę, ale szybko cofnął dłonie od gorącego szkła. Zdjął powłoczkę z poduszki i obwiązał nią ręce, sięgnął powtórnie po lampę, delikatnie zdejmując szklany klosz, żeby go nie potłuc. Nałożył na powrót powłoczkę na poduszkę. Potem postawił lampę na podłodze i podniósł nogę, chwytając łańcuch tuż przy kostce. Włożył kilka ogniw do ognia. Odczekał kilka minut, potem zaczął ciągnąć. Wszystko na nic. Potrzeba więcej czasu, musi się uzbroić w cierpliwość. Musi myśleć o czymś innym. Trzymał łańcuch nad płomieniem. Próbował sobie przypomnieć piosenkę, którą mama śpiewała rano pod prysznicem. Była z jakiegoś filmu. Tak, z „Małej syrenki”.

– „Na dnie morza” – zaczął. Głos drżał mu trochę z oczekiwania, nie ze strachu. Nie dopuszczał do siebie myśli o strachu. – „Na dnie morza… Kochanie, najlepiej jest tam, gdzie jest woda”. – Pociągnął łańcuch. Znowu nic. Zdziwił się, że pamięta tyle słów z tej piosenki. Zaczął udawać akcent z Jamajki. – „Naa dnie morza”.

Drgnęło. Metal zaczął się poddawać. A może mu się tylko wydawało? Pociągnął z całej siły. Tak, oczko się rozciągało. Powoli. Jeszcze trochę i będzie mógł je odłączyć.

Wtem na zewnątrz rozległ się odgłos kroków. Przeraził się. Nie, ma jeszcze parę sekund. Pociągnął i łańcuch pękł.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SZÓSTY

Christine zapomniała już, kiedy ostatnio miała coś w ustach. Ile czasu nie ma Timmy’ego? Za długo. Cokolwiek się z nim działo, trwało to już za długo. Zebrała się i wstała ze starej kanapy, gdzie zostawiła ją Lucy, w jakimś pomieszczeniu, które wykorzystywano jako archiwum.

Kanapa śmierdziała dymem tytoniowym, chociaż wyglądała czysto. Nie widać było na niej żadnych ohydnych plam. Szorstkie obicie odcisnęło się na policzku Christine, czuła wgnieciony tatuaż na swojej skórze.

Oczy ją paliły. Włosy miała skołtunione. Kiedy je czesała po raz ostatni? Kiedy myła zęby? Była pewna, że robiła to wszystko przed porannym wywiadem. Boże, miała wrażenie, jakby od tego czasu minęło co najmniej ze sto lat.

Gdy drzwi nagle się otworzyły, przestraszyła się. Wszedł jej ojciec, przynosząc wodę. Jeśli wypije jeszcze jedną szklankę, chyba zwymiotuje. Z uśmiechem wzięła od niego wodę, pijąc tylko łyk.

– Lepiej ci?

– Tak, dziękuję. Nic dziś nie jadłam. Pewnie dlatego zrobiło mi się słabo.

– Tak. Pewnie.

Pozbawiony szklanki ojciec nie wiedział, co robić z rękami, w końcu wsunął je do kieszeni. Odruch, który Christine znała u Nicka.

– Może ci zamówię jakąś zupę? – odezwał się. – Albo kanapkę?

– Nie, dziękuję. Chybabym nic nie przełknęła.

– Dzwoniłem do twojej matki. Postara się dostać na jakiś wieczorny samolot. Powinna tu być jutro rano.

– Dziękuję. Dobrze będzie mieć ją obok – skłamała Christine. Jej matka dostawała histerii na samo wspomnienie o jakimkolwiek kłopocie. Jak ona sobie z tym poradzi? Ciekawe, co ojciec jej powiedział? Ile przed nią ukrył?

– Nie denerwuj się, złotko, ale zadzwoniłem też do Bruce’a.

– Do Bruce’a?

– Ma prawo wiedzieć. Timmy to jego syn.

– Tak, oczywiście. Próbowaliśmy z Nickiem skontaktować się z nim. Wiesz, gdzie jest?

– Nie, ale dał mi numer telefonu, w razie konieczności.

– Cały czas wiedziałeś, jak go złapać?

Ojciec osłupiał. Jak ona śmie odzywać się do niego takim tonem?

– Wiedziałeś, że szukam go od ośmiu miesięcy, żeby mi płacił na dziecko! I cały czas miałeś jego numer?

– Tylko na wypadek czegoś ważnego, Christine.

– A to, żeby jego syn miał co jeść, to nie jest ważne? Jak mogłeś?

– Przesadzasz. Ja i twoja matka nie pozwolilibyśmy, żeby tobie i Timmy’emu czegoś zabrakło. Poza tym Bruce zostawił ci sporo oszczędności.

– Tak powiedział? – Zaśmiała się, nie dbała o to, że brzmiało to niemal histerycznie. – Zostawił nam dokładnie 164 dolary i 21 centów na rachunku oszczędnościowym i ponad pięć tysięcy dolarów kredytu.

Wiedziała, że ojciec nie znosi kłótni. Całe życie chodziła na paluszkach wokół wielkiego Tony'ego Morrellego, przytakując jego jedynie słusznym opiniom, jego uczuciom ważniejszym niż czyjekolwiek inne uczucia. Matka nazywała to szacunkiem. Teraz Christine wiedziała, co to jest. Głupota.

Ojciec zaczął krążyć po pokoju z rękami w kieszeniach, zajmując palce podzwaniającymi w kieszeniach drobnymi.

– To sukinsyn. Mówił mi co innego – rzekł w końcu. – Ale wyrzuciłaś go z jego własnego domu.

– Pieprzył swoją recepcjonistkę.

Jego twarz poczerwieniała z oburzenia. Dama nie posługuje się takim językiem.

– Mężczyznom zdarza się błądzić, Christine, to i jemu trafiła się drobna nieostrożność. Nie twierdzę, że to w porządku, ale to jeszcze nie powód, żeby go wyrzucać z jego własnego domu.

Więc o to chodzi. Podejrzewała, że ojciec ma jej to za złe, ale aż do tej pory żadne z rodziców z tym się nie zdradziło. No cóż, stary Morrelli żył w świecie, gdzie obowiązywała podwójna moralność. Zawsze to wiedziała, akceptowała, nie komentowała. Ale to było jej życie.

– Ciekawe, czy byłbyś taki łaskawy, gdybym to ja miała romans?

– Co? Nie bądź śmieszna.

– Nie jestem. Chcę wiedzieć. Nazwałbyś to drobną nieostrożnością, gdybym pieprzyła się na boku z jakimś facetem?

Zmrużył oczy. Nie była pewna, czy zraził go jej język, czy obraz, który mu przedstawiła. W końcu córeczka Tony’ego Morrellego nie pieprzy się z nikim.

– Posłuchaj, jesteś zdenerwowana, Christine. Pozwól, że któryś z chłopców odwiezie cię do domu.

Nie odpowiedziała, nie mogła wydobyć głosu, bo w środku aż się w niej gotowało. Skinęła głową, a ojciec wymknął się czym prędzej.

Po kilku krótkich minutach drzwi znowu się otworzyły i stanął w nich Eddie Gillick.

– Twój ojciec prosił, żebym cię zawiózł do domu.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SIÓDMY

Ależ ze mnie idiota, pomyślał Nick, naciskając gaz i zostawiając w tyle Platte City. Zerknął na siedzącą obok niego bez słowa Maggie. Źle zrobił, że pozwolił sobie na słabość w jej obecności, że pokazał jej, jak panicznie się boi. Po dramatycznej opowieści o Stuckym Maggie siedziała niemo, wyciszona, wpatrzona w ciemny krajobraz za oknem. Jak ona to robi? Jak jej się udaje odsunąć Alberta Stucky'ego i tym podobne horrory na bezpieczną odległość? Czemu nie wali pięścią w ścianę ani nie tłucze szyb?

Nie był w tej chwili zdolny do myślenia, ledwie prowadził samochód na ciemnej drodze. W piersiach wciąż mu dudniło, jakby zegar bomby zegarowej odliczał sekundy, z których każda mogła być ostatnią sekundą życia Timmy'ego.

W tym stanie ducha mało brakowało, by posunął się za daleko i wyznał Maggie, że ją kocha. Ależ z niego idiota! Tracił nie tylko męskość, tracił też rozum.

Siedząc obok Maggie w mrocznej ciszy, raptem poczuł nagły przypływ sił. Musi być silny z uwagi na Timmy'ego, a wtedy może mu się uda. Byle tylko nie został z tym wszystkim sam. Jezu, czy to możliwe, żeby Nick Morrelli kogoś potrzebował?

Nie będzie zwracać uwagi na wariujący żołądek. Wyrzuci z pamięci puste spojrzenie Danny'ego Alvereza. Timmy

musi wyjść z tego cało. Nie jest jeszcze za późno. Przycisnął gaz, dżip wykonał zygzak na czarnej jezdni, którą przecinał wirujący falami śnieg. Ale wiatr znacznie się uciszył.

– Chyba jesteś mi winna wyjaśnienie – odezwał się, szczęśliwie nie okazując strachu. – Czemu jedziemy na cmentarz w środku nocy?

– Wiem, że twoi ludzie sprawdzali stary cmentarz, ale co z tunelem?

– Tunelem? Myślałem, że dawno się zapadł.

– Jesteś pewny?

– No nie. Prawdę mówiąc, nigdy go nie widziałem. Kiedy byłem dzieciakiem, myśleliśmy, że to jakiś wymysł. No wiesz, żeby nas wystraszyć, żebyśmy po nocy nie szwendali się koło kościoła. Opowiadano, że zmarli wstają z grobów i czołgają się tunelem do kościoła, żeby uratować swoje potępione dusze.

– Wydaje się, że to świetne miejsce dla zabójcy, który wierzy w odkupienie.

– Myślisz, że tam trzyma Timmy’ego? W dziurze w ziemi? – Przypomniał sobie opowieść Maggie o ojcu, który żywcem zakopał syna na podwórku. Dodał gazu, a Maggie spojrzała na niego zmartwiona.

– To tylko podejrzenie, przeczucie – powiedziała, ale z jej tonu wiedział, że chodzi o coś więcej. – Nie zaszkodzi sprawdzić. Ray Howard wspomniał, że jeździ tam po drewno na opał. Do cholery, on naprawdę coś wie. Może nawet coś widział.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że go puściłaś.

– On nie zabił, Nick. Ale uważam, że zna zabójcę.

– Wciąż myślisz, że to Keller, tak? – Rzucił spojrzenie w jej stronę, w ciemności widział tylko jej twarz wpatrzoną w noc.

– Keller mógł łatwo podrzucić telefon do pokoju Howarda. Miał też dostęp do pikapu. W jego pokoju wiszą te dziwne obrazy torturowanych świętych ze znakiem krzyża na piersiach.

– Ma zły gust, jeśli chodzi o sztukę, co nie znaczy, że jest mordercą. Poza tym każdy mógł zobaczyć te obrazy i zasugerować się nimi.

– Keller znał wszystkich trzech chłopców.

– W sumie pięciu – przerwał Nick. – Lucy i Max dokopały się pewnych informacji. Eric Paltrow i Aaron Harper poprzedniego lata, zanim zostali zamordowani, byli na kościelnym obozie. Ale to znaczy, że wszystkich ich znał też Ray Howard.

– Powiem ci więcej, Nick. Wydaje mi się, że zabójca jest przekonany, iż robi z tych chłopców męczenników, że ich przed czymś ratuje. Większość seryjnych morderców zabija dla przyjemności, bo ich to seksualnie podnieca albo zaspokaja jakieś egoistyczne potrzeby. A tu jakby włączał się jakiś mechanizm i wysyłał zabójcę z jakąś misją. Ojciec Keller świetnie pasuje do takiego portretu. Kto prócz księdza udzielałby swojej ofierze ostatniego namaszczenia? Kto miał lepszą okazję, żeby zepchnąć księdza Francisa ze schodów, by się go pozbyć?

– Jezu, Maggie. Nie odpuszczasz, co?

– Chyba nie mam wyboru. Ksiądz Francis nie ma żadnych krewnych, jego ciałem zajęła się archidiecezja, która nie widzi żadnego powodu do autopsji.

Zapadła cisza. Jeśli ksiądz Francis został zrzucony ze schodów, Nick tym bardziej obwiniałby Howarda. Zastanowił się nagle, co też stary kapłan miał do powiedzenia Maggie.

– Może się mylimy – powiedział, rozwijając głośno myśl. – Może istotnie Keller jest w to zamieszany, ale w inny sposób. Kogoś chroni.

– To znaczy?

– Ksiądz Francis nie mógł nam zdradzić spowiedzi Jeffreysa. A może zabójca spowiadał się też Kellerowi?

Maggie milczała. Rozważała te przypuszczenia. To nie jest nieprawdopodobne, pomyślał Nick.

Wtem ni stąd, ni zowąd Maggie rzekła:

– Wiesz, że Ray Howard przyjaźni się z Eddiem Gillickiem?

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY ÓSMY

Christine wiedziała, że to złość doprowadziła ją do tego szaleństwa. Bo czy inaczej wsiadłaby do zardzewiałego chevroleta Eddiego? Nawet jego przeprosiny za stan wozu nie brzmiały szczerze. No i siedziała teraz, stukając stopami w puste opakowania z McDonalda. W plecy kłuła ją wystająca sprężyna, z poduszki na siedzeniu wyłaziło włosie. Śmierdziało frytkami, papierosami i tym wstrętnym kremem po goleniu.

Eddie wśliznął się za kierownicę, rzucając swój kapelusz na tylne siedzenie i posyłając długie spojrzenie w tylne lusterko. Wsadził kluczyk do stacyjki, poluzowana rura wydechowa wprawiła wóz w nieprzyjemne wibracje.

Christine żałowała, że nie przebrała się po wywiadzie. Miała co prawda na sobie długi trencz, ale i tak czuła, jakby coś łaziło jej po gołych nogach. Rozsunęła poły płaszcza, żeby przekonać się, czy jakieś robale nie wędrują jej po nodze. Kiedy przeciągnęła ręką po łydce, zauważyła wzrok uśmiechniętego Eddiego. Czym prędzej zasłoniła się płaszczem, dochodząc do wniosku, że robale są o niebo przyjemniejsze niż spojrzenie Eddiego.

Gillick włączył silnik. Christine gwałtownie rzuciło o siedzenie. Sięgnęła po pas i zobaczyła, że został odcięty. Eddie pędem minął zakręt wiodący do ulicy, przy której

mieszkała Christine. W panice wyciągnęła rękę ku klamce, która jednak odpadła. Eddie zmarszczył czoło.

– Nie denerwuj się tak, Christine. Twój tato powiedział, że powinnaś coś zjeść.

– Nie jestem głodna – rzuciła szybko. – Jestem tylko zmęczona. – Tak lepiej. Nie powinna się zdradzić, jak bardzo mu nie ufa.

– Zrobię ci taki stek z grilla, że ślinka leci. Akurat mam dwa w lodówce.

O Boże. Tylko nie do niego.

– Może innym razem, Eddie – powiedziała słodko, chociaż ogarniał ją nieopisany wstręt. – Naprawdę padam z nóg. Bądź tak miły i zawieź mnie do domu.

Kątem oka obserwowała jego twarz. Poruszył wąsem, potem uśmiechnął się krzywo, aż wreszcie przejrzał się w lusterku.

– Bardzo mnie podnieciłaś tam nad rzeką, wtedy wieczorem.

Popełniła wielki błąd. Jak mogła być taka głupia? Ale przecież wszyscy dziennikarze tak robią. Podpuszczają ludzi na wszelkie możliwe sposoby, byle tylko zdobyć jakieś informacje. Niestety czasami przychodzi za to zapłacić. Dlaczego padło właśnie na nią?

– Posłuchaj, przepraszam cię za to, Eddie. – Bądź szczera, mówiła sobie. Nie pokazuj mu, że się boisz. – To było moje pierwsze duże zadanie. Pewnie się zdenerwowałam.

– Nie szkodzi, Christine. Wiem, że twojego męża nie ma już ponad rok. Do diabła, nie musisz się przy mnie wstydzić,

jestem swój człowiek. Wiem, że kobiety dostają świra bez bzykania.

O mój Boże. Źle to wszystko idzie. Musiała coś wymyślić, jakoś się z tego wywinąć, tylko jak tu na chłodno planować kolejne ruchy, gdy patrząc na Eddiego, czuła wręcz histeryczne obrzydzenie?

Jeszcze kilka przecznic i zostawią za sobą miejskie latarnie. Wyjeżdżali z miasta. Jak mogła być spokojna? Pchnęła drzwi. Nie drgnęły, tylko ramię ją zabolało. Eddie warknął na nią, a potem uśmiechnął się obleśnie i dodał, że wcale nie zamierza jej pytać o zgodę, tylko sam o wszystkim zdecyduje. Bo kobiety już takie są, że same nie wiedzą, czego naprawdę potrzebują.

Jego oczy były czarne jak węgiel, podobnie jak zaczesane do tyłu, wybrylantynowane włosy. Pamiętała dobrze, że Eddie jest od niej niższy, za to mocno zbudowany. W końcu dwoma ruchami zwalił z nóg Nicka. Co prawda z zaskoczenia. Coś jej mówiło, że Eddie tak właśnie działa. Atakuje, kiedy ofiara najmniej się tego spodziewa. Jak pająk.

– Eddie, proszę cię. – Była już bliska tego, żeby błagać. – Mój syn zaginął. Jestem w kiepskim stanie. Proszę, zawieź mnie do domu.

– Wiem, czego ci trzeba, Christine. Musisz na chwilę przestać o tym myśleć, wyluzować się.

Rozglądała się po wnętrzu samochodu. Cokolwiek… czy jest tam cokolwiek, czym mogłaby się obronić? Wreszcie w półmroku światełek deski rozdzielczej spostrzegła

butelkę piwa z długą szyjką, która jakby w odpowiedzi na niemą modlitwę Christine wyturlała się spod siedzenia.

Eddie jechał bardzo szybko. Musi poczekać, pomyślała. Poczeka, aż się zatrzymają, bo inaczej skończą w zaspie, w samym środku głuchego pustkowia. Czy uda jej się zachować spokój? Czy powstrzyma krzyk, który uwiązł jej w gardle?

– Nic by ci się nie stało, gdybyś była dla mnie miła – powiedział powoli. – Jak będziesz miła, to powiem ci może, gdzie jest Timmy.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Timmy schował stopy pod koc. Kiedy nieznajomy kręcił się koło łóżka, zwinął się w kącie. Coś było nie tak. Nieznajomy był zdenerwowany. Odkąd wszedł, nie odezwał się ani słowem. Rzucił swoją czapkę narciarską na łóżko i krążył.

Timmy czekał w milczeniu. Mocno poruszył nogą i zerwał łańcuch pod kocem. Nieznajomy zapomniał zamknąć drzwi, zostawił je otwarte na oścież. Do środka z wiatrem wdarł się zaduch wilgotnej ziemi i pleśni. Za drzwiami było kompletnie ciemno.

– Co się stało z lampą? – zapytał nagle mężczyzna.

Szklany klosz leżał na skrzynce.

– Ja... nie mogłem jej zapalić, musiałem to zdjąć. Przepraszam, zapomniałem założyć z powrotem.

Nieznajomy szybko nałożył klosz, nie patrząc na Timmy’ego. Kiedy się nachylił, chłopiec zobaczył czarne kręcone włosy wyłażące spod maski. Richard Nixon. Tak się nazywał ten prezydent, do którego podobna była maska. Wreszcie przypomniał sobie. Było coś znajomego w niebieskich oczach tego Richarda Nixona. Sposób, w jaki na niego patrzył, coś mu przypominał. Jakby ten dziwny mężczyzna przepraszał go za coś.

Wtem nieznajomy chwycił kurtkę.

– Czas iść.

– Gdzie? – Timmy starał się panować nad sobą. Czy to możliwe, że nieznajomy odwiezie go do domu? Może zdał sobie sprawę, że się pomylił. Timmy wyczołgał się z łóżka, trzymając łańcuch za sobą.

– Zdejmij wszystko oprócz majtek.

Radość Timmy’ego zgasła.

– Co? – spytał, wydobywając głos przez zaciśnięte gardło. – Jest bardzo zimno.

– Nie zadawaj pytań.

– Nie rozumiem, co…

– Zrób to, ty mały sukinsynu.

Obelga zabolała jak policzek, ale Timmy nie jest już dzieckiem i nie będzie płakać. A jednak się bał. Ręce mu się trzęsły, kiedy rozwiązywał sznurówki. Zauważył pęknięcie w podeszwie buta. But przeciekał na śniegu, kiedy jeździli na sankach, stopa mu zmarzła i przemoczyła się, ale nie wyobrażał sobie, jak bardzo będzie zimno w ogóle bez butów.

– Nie rozumiem – wymamrotał znowu. Kula w gardle nie pozwala mu ani mówić, ani oddychać.

– Nie musisz rozumieć. Pospiesz się. – Mężczyzna nie przestawał chodzić, jego wielkie gumowe buty, całe w śniegu i błocie, przy każdym kroku skrzeczały i stukały.

– Mogę tu zostać – spróbował znów Timmy.

– Zamknij się, kurwa, mały draniu, i pospiesz się!

Łzy poleciały chłopcu po policzkach, ale ich nie wytarł. Drżącymi rękami rozpinał pasek u spodni. Przypomniał sobie o łańcuchu, zostawił więc spodnie i zaczął zdejmować

koszulę. Nieznajomy będzie chciał odpiąć mu łańcuch. Czy zauważy zagięte ogniwa? Czy będzie jeszcze bardziej zły? Timmy’ego zaczął ogarniać chłód. Kolana mu się trzęsły, łzy całkiem już przesłoniły wzrok.

Ni stąd, ni zowąd nieznajomy zatrzymał się. Stał nieruchomo na środku pokoju, przekrzywiając głowę. Timmy pomyślał najpierw, że patrzy na niego, ale on słuchał. Timmy też wytężył słuch. Pociągnął nosem i przetarł twarz rękawem. Potem to usłyszał: silnik samochodu, który zbliżał się i zwalniał.

– Kurwa! – rzucił nieznajomy, chwytając lampę i ruszając do drzwi.

– Proszę, niech pan nie zabiera światła.

– Zamknij się, pieprzony mazgaju.

Zawrócił i uderzył Timmy’ego w twarz. Chłopiec wczołgał się na łóżko i zaszył się w kącie. Przytulił się do poduszki, ale odsunął ją zaraz na widok czerwonej plamy.

– Radzę ci, żebyś był gotowy, jak wrócę – syknął nieznajomy. – I przestań paprać wszystko krwią.

Wybiegł za drzwi, zatrzasnął je i zamknął na klucz. Timmy został w czarnej otchłani. Porywacz tak się spieszył, że nawet nie zauważył zerwanego łańcucha, który zwisał z krawędzi łóżka.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY

Christine nie musiała pytać Eddiego, co ma w planie. Poznała krętą błotnistą drogę, która wspinała się, a potem opadała. Wiła się między wysokimi klonami i orzechami, które stały szpalerem wzdłuż rzeki. To tam, za Old Church Road, dzieciaki jeździły się obściskiwać. Roztaczał się stamtąd widok na rzekę. Było to opustoszałe, ciche miejsce. To tam kierowali się Jason Ashford i Amy Stykes, kiedy coś kazało im zboczyć z drogi. Tamtej nocy, kiedy natknęli się na ciało Danny'ego Alvereza.

Czy to możliwe, żeby Eddie wiedział, gdzie jest Timmy? Christine pamiętała, że wezwano na przesłuchanie kościelnego. Czyżby Eddie coś podsłuchał? Ale jeśli Nick dowiedział się czegoś, czegokolwiek, dlaczego jej nie powiedział? Nie, nie mógł jej powiedzieć. Gdyby coś wiedział, nie życzyłby sobie, by mu wchodziła w drogę, tylko zająłby ją czymś, choćby kopiowaniem zdjęć syna.

Eddie wzbudzał w niej obrzydzenie, ale co więcej, przerażał ją. Był dziwnie nieposkładany, jakby trochę szalony. Tacy ludzie kierują się swoistą, niepojętą dla innych logiką, niweczącą istotę społecznego współżycia. Eddie mógłby na przykład ukarać kierowcę mandatem za to, że o kilometr przekroczył dozwoloną prędkość. Dlaczego nie, skoro miał do tego prawo? Ale jeśli wie, gdzie jest Timmy... O Boże, tak bardzo chciała mieć go z powrotem,

całego i zdrowego. Jaką cenę by za to zapłaciła? Jaką cenę zapłaciłyby Laura Alverez czy Michelle Tanner za odzyskanie swoich synów? Christine była gotowa sprzedać duszę za najdrobniejszą nadzieję na uratowanie Timmy’ego.

Kiedy samochód zjechał z drogi na polanę nad rzeką, Christine przeraziła się nie na żarty. Znowu zaczęło jej się kręcić w głowie. Nie wolno jej zemdleć. Wiedziała, że Eddie postanowił ją zgwałcić, przytomną czy bez czucia. Lecz ona nie była bierną kukłą. Zawsze może coś się zdarzyć, jeśli zachowa świadomość.

Eddie zgasił silnik i światła. Pochłonęła ich ciemność, jakby się w niej unosili, patrząc z góry na czarne nastroszone wierzchołki drzew i połyskującą rzekę. Jedynie sierp księżyca zapewniał patetycznie, że ciemność nie połknie wszystkiego.

– No, jesteśmy – rzekł Eddie, patrząc na nią wyczekująco, lecz nie ruszając się zza kółka.

Wyczuła stopą butelkę piwa, przytrzymywała ją, żeby nie zjechała pod siedzenie. Christine nie mogła dojrzeć twarzy Eddiego. Usłyszała najpierw szelest, potem trzask. Zaskwierczała zapałka, zapach siarki wdarł się do jej nozdrzy, kiedy Eddie zapalił papierosa.

– Możesz mnie poczęstować?

W świetle żarzącego się papierosa zobaczyła grymas uśmiechu. Podał jej papierosa, zapalił kolejną zapałkę i czekał, aż Christine się zaciągnie. Zapałka wypaliła się prawie do końca, parząc mu palce.

– Cholera – mruknął i potrząsnął głową. – Nienawidzę zapałek. Zgubiłem gdzieś zapalniczkę.

– Nie wiedziałam, że palisz. – Zaciągnęła się, mając nadzieję, że nikotyna ją uspokoi.

– Staram się rzucić.

– Ja też. – Uśmiechnęła się do niego. Widzisz, mamy coś wspólnego, mówiła bez słów. Jej oczy przyzwyczaiły się już do ciemności, widziała go. Zastanawiała się jednak, czy nie lepiej byłoby nie widzieć. Był taki spokojny i chłodny, ona też by tak chciała. Może jednak uda się jej uniknąć gwałtu.

– Naprawdę wiesz, gdzie jest Timmy?

– Może – odparł w kłębach dymu. – Co byś dała, żeby się dowiedzieć? – Przesunął rękę po siedzeniu, jego spiczaste paznokcie dotknęły jej włosów, po czym powędrowały przez jej policzek, zjeżdżając w dół na szyję.

– Skąd mam wiedzieć, czy to prawda?

– Nie będziesz wiedzieć.

Jego palce wśliznęły się pod kołnierz jej płaszcza. Zaczął rozpinać guziki, rozchylać poły, aż pokazały się bluzka i spódnica. Christine wzdrygała się pod tym dotykiem. Nawet nikotyna nic nie pomogła.

– To nie jest uczciwe, Eddie. Tak się nie da. Muszę coś z tego mieć.

Udał, że jest urażony.

– Myślałem, że wystarczy ci wspaniały orgazm.

Jego palce dotarły już do jej piersi. Siedziała nieruchomo. Myśl, powtarzała sobie. Miała jednak ochotę wrzeszczeć, gdy lekko gniótł jej piersi, ściskał sutki, patrzył

z uśmiechem, jak twardnieją i prostują się pod jego palcami.

Odłożył papierosa i przysunął się, żeby drugą ręką dostać się do jej uda. Patrzyła, jak jego palce znikają pod jej spódnicą. Nie rozsunęła nóg. Zaśmiał jej się w twarz z kwaśnym oddechem.

– No, Christine, wyluzuj się.

– Jestem tylko zdenerwowana. – Głos jej drżał, podobało mu się to. – Masz gumkę?

– A ty nic nie używasz? – Zanurkował ręką między jej uda.

– Nie mam… – Trudno było się skupić, kiedy tak szukał po omacku. Myślała, że zwymiotuje. – Nie byłam z nikim, odkąd nie ma Bruce’a.

– Serio? – Ciągnął jej bieliznę, żeby się dostać głębiej. – Ja nie używam gumek.

Nie mogła oddychać.

– W takim razie chyba nie możemy tego zrobić.

Najwyraźniej wziął jej brak tchu za podniecenie.

– Będzie dobrze – powiedział, dotykając palcami drugiej ręki jej warg i wpychając kciuk do ust. – Możemy to zrobić inaczej.

Miała już żołądek w gardle. Zwymiotuje czy nie? Nie może teraz… nie może go zdenerwować. Sięgnął w dół, rozpiął spodnie i wyciągnął swój spęczniały członek. Wziął ją za rękę. Wyrwała się. Uśmiechał się i znowu chwycił jej rękę, zaciskając jej palce na penisie. Jęknął i odchylił się do tyłu.

Nie zrobi tego. Za nic nie weźmie do ust.

– Naprawdę wiesz, gdzie jest Timmy? – spytała raz jeszcze, przypominając sobie, że ma w tym jakiś cel.

Zamknął oczy i oddychał szybko.

– Och, dziecino, zrób mi dobrze, zrób to zawodowo, a powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

Dobrze chociaż, że zabrał od niej swoje łapska. Wtem przypomniała sobie, że w drugiej ręce trzyma papierosa. Zaciągnęła się mocno, aż się dobrze rozpalił. Ścisnęła penisa, wbijając w niego paznokcie.

– Co jest, kurwa?!

Otworzył oczy. Chwycił ją za rękę. Przytknęła papierosa do jego twarzy. Zawył, rzucając się na drzwi, i złapał się za przypalony policzek. Wyciągnęła rękę do klamki. Schwycił ją za nadgarstki i zaraz wypuścił, bo kopnęła go kolanem w krocze. Pochyliła się po butelkę i kiedy chciał ją znów zaatakować, walnęła go w głowę. Zawył ponownie wysokim, nieludzkim głosem. Odskoczyła na bok, na swoje miejsce, wciskając się w zamknięte drzwi. Podciągnęła kolana i z całej siły, na jaką było ją jeszcze stać, zaczęła kopać obcasami w klatkę piersiową Eddiego, który po chwili wyleciał za drzwi.

Walnął jak długi w śnieg i błoto, ale zaczął się podnosić, gdy tylko Christine zamknęła drzwi samochodu, sprawdzając też te z drugiej strony. Walił w szybę, a ona walczyła z kluczykami. Chevrolet zaskoczył za pierwszym razem.

Eddie wspiął się na maskę, darł się i kopał w szybę. Drobna rysa rozrosła się w pajęczynę. Christine wrzuciła

wsteczny bieg. Naciskając gaz, ruszyła do tyłu, o mało nie wpadając do rowu. Eddie spadł. Pozbierał się jednak, ale ona już wyjechała na drogę i sunęła podwoziem od dziury do dziury, rozpryskując na boki żwir.

Samochód wjechał w jakiś czarny tunel. Światła. Christine zaczęła naciskać guziki. Uruchomiła wycieraczki i radio, które nagle się rozwrzeszczało. Wreszcie znalazła właściwy przycisk i oświetliła sobie drogę, w samą porę, przed ostrym zakrętem. Nie dawała jednak rady, choć ostro kręciła kierownicą. Auto wyskoczyło z zasypanej śniegiem dziury, przedarło się przez ogrodzenie z drutu kolczastego i walnęło prosto na drzewo.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Nick zobaczył kościół we wstecznym lusterku, kiedy dżip pokonywał głębokie koleiny.

– Jesteś pewna, że widziałaś światło?

Maggie zerknęła do tyłu.

– Może to było odbicie, księżyc świeci.

Drewniana budowla pogrążała się w szarej ciemności, kiedy Nick skręcił ostro na cmentarz. Mając teraz kościół po lewej, spojrzał nań ponownie. Świątynia stała na środku zaśnieżonego pola, gdzie wysokie brązowe trawy przebijały się przez biel. Farba odpadła od ścian kościoła w zamierzchłej przeszłości, wystawiając na pokaz surowe, przegniłe drewno. Witrażowe okna zostały ukradzione, stłuczone albo zabite deskami. Nawet główne drzwi wejściowe zostały byle jak zabite dechami.

– To chyba światło – rzekł Nick. – W jednym z okien piwnicznych.

– No to sprawdź. A ja porozglądam się tu trochę.

– Mam tylko jedną latarkę. – Przechylił się ostrożnie, żeby jej nie dotknąć, i otworzył przegródkę na rękawiczki.

– Nie szkodzi, wystarczy mi to. – Zaświeciła mu w oczy maleńką latarką w kształcie pióra.

– No pewnie. Napatrzysz się przy tym co niemiara.

Uśmiechnęła się, a on uświadomił sobie, że jego ręka jest bardzo blisko jej uda. Wziął latarkę i wykonał szybki

odwrót.

– Mogę zostawić włączone światła. – Co prawda świeciły prosto na drzewa nad rzędami kamieni nagrobnych.

– Nie trzeba, naprawdę.

– Nie rozumiem, dlaczego zawsze budują cmentarze na wzgórzach – powiedział, wyłączając reflektory. Siedzieli nieruchomo, nie spieszyli się, żeby wysiąść. Maggie nad czymś się zastanawiała, lecz nie zdradziła się, w czym rzecz. Czuł to od chwili, kiedy opuścili jego biuro. Czy chodzi o Alberta Stucky'ego? Czy to miejsce, ta ciemność, przypomina jej o nim?

– Dobrze się czujesz?

– Tak – powiedziała zbyt szybko, patrząc prosto przed siebie. – Czekam tylko, żeby oczy przyzwyczaiły się do mroku.

Cmentarz był ogrodzony płotem z drutu i stalowych palików. Bramka wisiała na jednym zawiasie, huśtając się i skrzypiąc, choć nie było ani krzty wiatru. Nick poczuł ciarki na plecach. Nie podobało mu się tu, nie znosił tego miejsca od czasu, gdy Jimmy Montgomery sprowokował go, żeby pobiegł i dotknął czarnego anioła.

Trudno było przeoczyć anioła, nawet nocą, bo wysoka kamienna figura wyrastała ponad innymi nagrobkami. Miała pokruszone skrzydła, co tylko dodawało jej grozy. Nick dobrze pamiętał Halloween sprzed prawie ćwierć wieku. Nagle uświadomił sobie, że jutro też będzie Halloween. Może to głupie, ale przysiągłby, że usłyszał jęki

duchów. Głuche zawodzenie sączyło się z grobu, którego strzegł anioł.

– Słyszałaś to? – Rzucał wzrokiem wzdłuż rzędów grobów. Oświetlił je latarką, zdał sobie sprawę z własnej śmieszności i zgasił latarkę. – Przepraszam – mruknął, unikając jej wzroku, bo czuł, że Maggie mu się przygląda. Jeszcze raz się tak wygłupi i agentka specjalna O'Dell zacznie się zastanawiać, po co go ze sobą wzięła. Na szczęście nic nie powiedziała.

Sięgnęli za klamki jednocześnie, jakby czytali w swoich myślach. I znowu klamka z jej strony tylko zaskrzypiała.

– Cholera jasna – mruknął. – Muszę to naprawić. Poczekaj.

Szybko obiegł samochód, żeby otworzyć drzwiczki. Raptem zatrzymał się bez słowa. Jak zaczarowany patrzył na plamkę księżyca na twarzy anioła, która świeciła dziwnym wewnętrznym światłem.

– Nick, nic ci nie jest?

– Nic, nic. – Jak to możliwe, że ona tego nie widzi? Przeniósł wzrok. – Pójdę tylko… Sprawdzę kościół.

– Zaczynam się ciebie bać.

– Wybacz. To tylko… ten anioł. – Wyciągnął rękę, rzucając strumień światła na kamienną postać.

– Chyba nie ożywa o północy?

Wyśmiewała się z niego. Spojrzał na nią. Jej twarz była poważna, co tylko dodawało sarkazmu jej słowom. Ruszył drogą do kościoła. Nie oglądając się, powiedział:

– Pamiętaj, że jutro jest Halloween.

– Zdawało mi się, że odwołaliśmy go! – krzyknęła za nim.

Uśmiechnął się i ruszył przed siebie. Bez wiatru było nieznośnie cicho, tylko w oddali pohukiwała sowa.

Nick starał się koncentrować na tym, co robi, nie zwracając uwagi na czerń, która pożerała go z każdym krokiem. To śmieszne, że dopuścił do siebie stare, dziecinne lęki. W końcu był tamtej nocy na cmentarzu. Dotknął anioła, a koledzy tylko patrzyli, żaden nie miał odwagi pójść za jego przykładem. Już wtedy był nieostrożny i głupi, bardziej bał się tego, co powiedzą inni, niż konsekwencji swych czynów. A jednak, jeśli pamięć go nie zawodzi, ziemia się nie otworzyła i nie pochłonęła go, chociaż miał wtedy wrażenie, że tak właśnie się stanie. Słyszał wówczas ten upiorny jęk. Tylko on go słyszał.

Z tej strony kościoła, która sąsiadowała ze starą polną drogą, nie było żadnych śladów. Znaczyło to, że Adam i Lloyd nie raczyli nawet wysiąść z wozu. Przejechali obok, żeby nie skłamać, gdy meldowali mu, że tam byli. Ciekawe, czy w ogóle się zatrzymali. Nie miał żalu do Adama. To jeszcze dzieciak, chciał zrobić dobre wrażenie, dlatego się nie wychylał. Ale Lloyd… niech to szlag. Lloyd był po prostu leniwy.

Nick kopnął śnieg i brnął dalej przez nienaruszone zaspy. Przykucnął przy jednym z piwnicznych okien i zapalił latarkę, świecąc do wnętrza przez zgniłe deszczułki. Było tam pełno skrzyń poustawianych w sterty. Coś się poruszyło w rogu. Strumień światła omiótł wielkiego szczura, który uciekał do dziury w ścianie. Szczury, o Jezu. Nienawidził ich.

Przeniósł się do następnego okna i nagle usłyszał trzask drewna, który przeciął czarną ciszę. Oświetlił zabite okno tuż przed sobą. Spodziewał się, że zobaczy kogoś, kto przedziera się przez zgniłe belki. Mogło to być też zwierzę.

Jakiś brzęk, potem znowu trzask drewna i dźwięk tłuczonego szkła. To musi być gdzieś za rogiem. Chciał pobiec, ale grzązł w śniegu. Zgasił latarkę. Pociągnął za broń, odbezpieczył ją. Hałas nie ustawał. Serce mu waliło. Już nic nie słyszał, niczego nie widział. Zwolnił, dobiegając do rogu. Czy ma zawołać? Wstrzymał oddech. Rzucił się naprzód z bronią wyciągniętą w czerń. Nic. Zapalił latarkę. Na śniegu leżały kawałki drewna i potłuczone szkło. Szpara miała najwyżej trzydzieści centymetrów szerokości i taką samą długość.

Wtedy usłyszał chrzęst stóp na śniegu. Snop światła latarki wychwycił małą czarną postać i pomarańczowy płomyk znikające za drzewami.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY DRUGI

Maggie wpatrywała się w ziemię, szukała śladów na śniegu, świeżo wykopanych dziur. Timmy zniknął po pierwszych opadach śniegu. Jeśli tam gdzieś jest, na śniegu powinny być jakieś ślady. Jeśli tunel istnieje, gdzie do diabła jest do niego wejście?

Zerknęła na czarnego anioła usadowionego wysoko nad ziemią na płycie nagrobnej. Przewyższał wszystko, dominował, miał około półtora metra wysokości. Rozkładał skrzydła nad grobem w opiekuńczym geście. Złowieszcza figura, której moc wynika z samej tylko obecności.

Miniaturowa latarka Maggie śledziła napis wyryty na nagrobku: „Pamięci naszego ukochanego syna Nathana, 1906-1916”. Dziecko, oczywiście, to dlatego ma anioła stróża. Jej dłonie zanurkowały głęboko w kieszeniach spodni, aż wyczuła łańcuszek i medalik. Jej anioł stróż trzymany w ukryciu. Czy sceptykom też dana jest taka opieka? Ale jaki z niej sceptyk, skoro nosi przy sobie poświęcony medalik?

Lekki wietrzyk powiał zza drzew, które stały rzędem u końca cmentarza. Ogromne klony stanowiły początek gęstego lasu ciągnącego się aż do rzeki. Maggie wyobrażała sobie przerażonych niewolników, którzy w kompletnych ciemnościach uciekają stromym zboczem.

Gdzieś za nią coś zatrzepotało i pacnęło. Błyskawicznie odwróciła się. Coś się poruszyło. Miniaturowa latarka znalazła czarny cień czołgający się przy końcu rzędu grobów. Czy to człowiek? Zbliżała się powoli. Wsadziła rękę do kieszeni kurtki i położyła ją na rękojeści rewolweru. Rozpoznała czarny brezent, którym przykrywa się świeżo wykopane groby. Westchnęła i przypomniała sobie zaraz, że cmentarz był od lat nieużywany. Czyż nie tak mówił jej Adam?

Brezent leżał w dole, blisko linii drzew. Z tamtej strony było tylko kilka nagrobków. Maggie nie widziała dżipa ani drogi, tylko fragment dachu kościoła.

Brezent wyglądał na nowy, nie miał żadnych pęknięć ani śladów naprawy. W rogach trzymały go śnieg i kamienie, tylko jeden róg był wolny, bo kamień odsunięto na bok. Ktoś go odsunął, bo na pewno nie wiatr.

Maggie poczuła, że dłonie jej się pocą mimo zimna. Serce dudniło w uszach zbyt szybko i zbyt głośno. Powinna wrócić do samochodu i poczekać na Nicka. Mimo to pociągnęła za luźny róg i odsunęła plandekę. Nie potrzebowała więcej światła, żeby zobaczyć drzwi, wąskie i długie, z grubego drewna przegniłego wokół zawiasów i lekko wybrzuszonego na środku.

Podniosła się i rozejrzała po wzgórzu. Powinna poczekać. Pamiętaj o Stuckym, zbeształa się. Potem ni stąd, ni zowąd przypomniała sobie liścik:

Wiem o Stuckym.

Czy to kolejna pułapka? Nie, morderca nie mógł się jej spodziewać.

Chodziła tam i z powrotem, spoglądając na drzwi. Serce tak jej waliło, że nie mogła się skupić. Najpierw musi się uspokoić. Uda jej się.

Chwyciła za krawędź drzwi. Nie miały klamki. Pociągnęła, aż nieco ustąpiły. Były ciężkie, napinała mięśnie i kaleczyła palce, lecz nie zdołała ich otworzyć. Puściła je i po chwili szarpnęła raz jeszcze. Tym razem ustąpiły na dobre. W twarz uderzył ją zbutwiały zapach pleśni, mokrej ziemi, rozkładu.

Wpatrywała się w czarną dziurę. Maleńka latarka świeciła nie dalej jak na trzy kroki. Musiałaby być idiotką, żeby pakować się dalej z takim światłem. Wyciągnęła broń, ręka jej drżała. Obejrzała się za siebie, na wzgórze. Cisza. Ani śladu Nicka. Zaczęła schodzić powoli w głąb wąskiej czarnej otchłani.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY TRZECI

Timmy ześliznął się i wpadł w gęste krzaki. Słyszał za sobą jakiś głos, czuł na plecach światło latarki. Nie miał odwagi obejrzeć się ani zatrzymać. Byle jak najdalej stąd. Trzymał się sanek, nie liczyło się już, że głupio wyglądają. Zatrzymywały go gałęzie, mniejsze smagały po twarzy. Potknął się, zakołysał, ale nie upadł. Starał się być cicho, ale nie mógł zapobiec trzaskom. W ciemności nie widział swoich stóp. Nawet niebo gdzieś zniknęło.

Zatrzymał się, żeby złapać oddech, oparł się o drzewo i dopiero wtedy zauważył, że nie nałożył płaszcza. Zęby mu szczękały. Serce mało co nie pękło. Otarł twarz i odkrył, że ma na niej krew i łzy. Bał się, cały był jednym wielkim strachem, ale, o dziwo, nie zagłuszało to jego myśli. Bo w głowie jedyna nadzieja, tak to ustalił i trzymał się tego.

– Przestań się mazać – złajał się ostro. Jasne, przecież Han Solo nigdy nie płakał.

Nagle usłyszał jakieś dźwięki. W czarnej ciszy doszedł jego uszu trzask gałęzi i skrzyp śniegu. Odgłosy zbliżały się od tyłu, coraz szybciej. Schować się? Może nieznajomy go minie. Nie, na pewno usłyszy, jak mu wali serce.

Pobiegł na oślep, potykając się o pniaki i przedzierając przez gęstwinę. Gałązka smagnęła go w policzek i zraniła ucho. Ból wywołał nową falę łez. Wtem poczuł, że ziemia ucieka mu spod nóg. Czepiał się gałęzi, skał, czegokolwiek,

byle tylko nie zjechać po stromym zboczu. Pod sobą widział połyskującą wodę. Nie da rady. Las jest taki gęsty, stok taki stromy. I coraz bliżej trzaskają gałęzie.

Po prawej udało mu się wypatrzyć jakiś przesmyk. Wspiął się po skałach, które blokowały mu drogę, trzymając się korzeni jedną ręką, a drugą ciągnąc saneczki.

Przejście było kiepskie. Przypominało raczej dawny szlak dla koni, dróżkę wydeptaną między drzewami, zarośniętą teraz wrzecionowatymi gałęziami, które niczym groźne ramiona z długimi cienkimi palcami machały na niego. O ile mógł zobaczyć, ścieżka biegła w dół do rzeki, kilka razy po drodze ostro zakręcając. Przypominała mu ścieżkę, którą znał z gry wideo, wąską, niebezpieczną i zapchaną zaspami śniegu. Po takim śniegu trudno się wspinać, bo w każdej chwili można zjechać wbrew własnej woli. Zaraz, zaraz, zjechać? No i świetnie. Oczywiście to szalone i lekkomyślne, nikt nigdy by mu na coś takiego nie pozwolił, a już mama to by dostała zawału. Ale Timmy musi wydostać się z tej zaklętej krainy ciemności, a to jest jedyna droga.

Podskoczył na dźwięk złamanej gałązki, który rozległ się tuż-tuż. Przykucnął w trawie i śniegu. Chociaż było ciemno, widział schodzący w dół cień, który trzymał się brzegu, szedł plecami do Timmy’ego. Wyglądał jak olbrzymi robal, z wyciągniętymi mackami, które chwytają się korzeni i sterczących skał.

Timmy ustawił pomarańczowe saneczki na śniegu. Wdrapał się na nie ostrożnie, bo stały niemal pionowo. Jeszcze raz obejrzał się nerwowo przez ramię. Cień się

przybliżał. Wkrótce znajdzie się przy skałach. Timmy skierował saneczki na końską ścieżkę i pochylił się, prawie się na nich położył. Nie miał wyboru. Odepchnął się i sanki pomknęły w dół.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY CZWARTY

Nick stał na skraju lasu, nerwy miał jak postronki. Latarka nie zapewniała dostatecznej widoczności. Gałęzie chwiały się na lekkim wietrze, który właśnie nadciągnął. Nocne ptaki wymieniały zawołania. Czarna postać zniknęła. Albo gdzieś się ukryła.

Pamiętał, że istnieje droga, która wije się przez las, niedaleko od miejsca, w którym się znajdował. Prowadziła do rzeki. Żałował, że zostawił dżipa, bo jadąc nim, miałby większe szanse. Pospieszył w stronę kościoła. Kiedy wsadzał broń do kabury, uświadomił sobie, że ma w kieszeni kurtki telefon komórkowy Christine. Świetnie, pomyślał, wyciągając go. Przynajmniej uniknie tych hien z mediów, jeśli nie skorzysta ze swojego radia w samochodzie.

Lucy odezwała się po drugim dzwonku.

– Lucy, tu Nick.

– Nick, gdzie ty jesteś? Tak się martwiłam.

– Nie mam teraz czasu wyjaśniać. Potrzeba mi ludzi i światła. Mocnych reflektorów. Zdaje się, że zagoniłem zabójcę w las, za starym kościołem. Prawdopodobnie zmierza ku rzece.

– Gdzie mam ci przysłać tych ludzi?

– Koło rzeki. Tam jest taka stara żwirowa droga, która skręca w las. Za Old Church Road, niedaleko od miejsca,

gdzie znaleźliśmy Matthew. Wiesz, o czym mówię?

– To ta droga do Obściskiwalni?

– Obściskiwalni?

– Dzieciaki tak to nazywają. Jest tam polana, z której widać rzekę. Umawiają się tam na randki.

– Aha. To na pewno ta. Lucy, powiedz Halowi, żeby sam zdecydował, kogo wziąć.

– Dobra.

A jeśli to był włóczęga, który chował się w kościele przed zimnem? Znów zrobiłby z siebie głupca. Do diabła z tym. Ma to gdzieś, byle tylko znaleźć Timmy’ego.

Zatrzymał się przy oknie, kopnął na bok drewno i szkło i zaświecił latarką w otwór okienny. W pomieszczeniu na dole było łóżko, plakaty na ścianie, skrzynka z jedzeniem. No tak. Nagle światło wychwyciło łańcuch. Ktoś tu był więziony. Nick zobaczył komiksy, karty z baseballistami i dziecięcy płaszczyk. Płaszcz Timmy’ego. Bębnienie powróciło, obłędny wojenny taniec. Nie może mieć pewności, że to płaszcz Timmy’ego, przekonywał się słabo. Wiedział jednak, że tak jest. A więc tu trzymani byli chłopcy. Maggie miała rację. Potem zobaczył zakrwawioną poduszkę.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY PIĄTY

Maggie słyszała, jak jakieś małe stworzenia przebiegają po suficie nad jej głową. Ziemia osypywała się na jej włosy, ale nie miała odwagi spojrzeć do góry. Odgarniała pajęczyny. Coś przebiegło jej drogę. I bez światła wiedziała, że to szczur. Było ich tu mnóstwo, kryły się po kątach, uciekały własnymi tunelami.

Było tak ciasno, że można było objąć pomieszczenie kilkoma snopami światła długopisu-latarki. Maggie odliczyła jedenaście stopni, które przeniosły ją w głąb ziemi, gdzie wilgoć stawała się coraz dokuczliwsza. Przestrzeń przypominała piwnicę, w jakiej niegdyś szukano schronienia przed burzą. Dziwne porównanie, biorąc pod uwagę, że rezydenci cmentarza nie musieli się już chronić przed piorunami. Poza grubą drewnianą półką i sporą skrzynią w rogu niczego tu nie było, tylko pajęczyny i szczurze odchody. Ani śladu Timmy’ego, ani śladu tunelu. Jak mogła tak się pomylić? Czyżby Stucky zniszczył także jej zawodowy instynkt? A jednak ktoś odgarnął śnieg sprzed drzwi i zakrył je brezentem. Czy coś tu jest, jakikolwiek znak, który pozwoli znaleźć Timmy’ego? Jeszcze raz rozejrzała się dokładnie, zatrzymując dłużej wzrok na skrzynce.

Przypatrzyła jej się z bliska. Była w bardzo dobrym stanie, z pewnością stała tu od niedawna. Na jej powierzchni

znajdowało się tylko kilka grudek ziemi. Nawet wieko skrzynki przymocowane było nowymi gwoździami.

Maggie sięgnęła do kabury. Podważyła wieko, ale jej ręce były za słabe, żeby poradzić sobie z gwoździami. Znalazła w kącie złamany stalowy pręt i posłużyła się nim, żeby otworzyć skrzynię. Gwoździe zaskrzeczały, ale nadal trzymały mocno. Zjełczała woń wypełniła pomieszczenie. Maggie cofnęła się kilka kroków i znów spojrzała na skrzynię. Czy zmieściłoby się w niej ciało? Ciało dziecka? Widziała już ludzkie szczątki upchane w ciaśniejszych pojemnikach. Choćby Emmę Jean Thomas, którą Stucky wtłoczył do pojemnika na jedzenie na wynos i zostawił w śmietniku. Kto by się domyślił, że ludzkie płuca można zmieścić w tekturowym pojemniku wielkości kanapki?

Spróbowała podnieść skrzynię, mając nadzieję, że wydostanie ją na górę, ale dźwignęła ją ledwie na jakieś trzydzieści centymetrów. Nie pokona z nią jedenastu stopni. Ponownie podważyła wieko. Tym razem smród omal jej nie udusił. Wypluła latarkę, którą trzymała w zębach. Wstrzymała oddech i podjęła kolejną próbę.

Coś skrobnęło, zaszurało. Maggie rozejrzała się. Coś się ruszyło w ciemności. Coś większego od szczura. Padła na kolana, chwytając latarkę. Ścisnęła w dłoni metalowy pręt i uniosła go nad głową, w każdej chwili gotowa uderzyć. Wstrzymała oddech i nasłuchiwała. Ustał wszelki ruch, zapanowała cisza. Nagle drewniana półka pochyliła się do przodu i odsunęła od ściany. Maggie zobaczyła otwór na tyle duży, że mógł być wejściem do tunelu.

W czarnej ciszy coś się za nią poruszyło. Nie była już sama. Ktoś stał za nią, blokując schody. Czuła jego obecność, słyszała jego oddech, jakby wciągał powietrze przez jakąś tubę. Panika, jaką pozostawił w niej Stucky, znów odżyła z całą mocą. Maggie szybko włożyła dłoń do kieszeni kurtki, szukając broni. Wtedy gładkie ostrze noża prześliznęło się po jej szyi.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY SZÓSTY

– Agentka O’Dell, co za miła niespodzianka.

Maggie nie poznała stłumionego głosu, który mówił jej do ucha. Ostry czubek noża dotykał szyi. Nacisk powoli się zwiększał, zmuszając Maggie do odchylenia głowy, aż jej szyja została całkiem wyeksponowana i przez to kompletnie bezbronna. Maggie poczuła, że cienka strużka krwi spływa jej za kołnierz.

– Niespodzianka? Myślałam, że się mnie spodziewasz. Byłam pewna, że dobrze mnie znasz. – Z każdą wypowiedzianą przez nią sylabą nóż zagłębiał się.

– Rzuć pręt. – Mężczyzna przyciągnął ją do siebie, obejmując wolną ręką, ściskając mocniej niż to konieczne, żeby zademonstrować swoją siłę.

Upuściła metalowy pręt, a napastnik przeszukiwał jej kurtkę. Ostrożnie ujął broń, odsuwając gwałtownie rękę, kiedy przypadkiem dotknął jej piersi. Rzucił rewolwer w ciemny kąt, trafiając w skrzynkę. Maggie nie była zaskoczona, że nieznajomy dużo lepiej czuł się z nożem w ręku.

Był silny i sporo wyższy od niej. Cała reszta pozostawała tajemnicą. Dotyk gumy i stłumiony głos podpowiadały jej, że nosi maskę. Dłonie ukrył w zwykłych czarnych rękawiczkach z supermarketu.

– Nie spodziewałem się ciebie. Myślałem, że pojechałaś do domu, do swojego bezpiecznego gniazdka, do mężusia prawnika i chorej matki. A jak tam twoja matka?

– Sam mi powiedz.

Docisnął ostrze. Maggie chwytała powietrze, powstrzymując się, żeby nie przełknąć, i poczuła nową strużkę krwi, która spływała po szyi, docierając między piersi.

– To nie było miłe – złajał ją.

– Przepraszam – powiedziała, nie poruszając prawie ustami ani brodą. Może grać w tę jego grę. Musi tylko zachować spokój. – Strasznie tu cuchnie. Możemy porozmawiać na zewnątrz?

– Nie, przykro mi. Widzisz, jest pewien problem. Obawiam się, że w ogóle nie będziesz mogła stąd wyjść. Jak ci się podoba twój nowy dom? – Przekręcił ją, żeby się rozejrzała, pomagając sobie latarką. – A może powinienem powiedzieć: grób?

Zlodowaciała. Spokój, należy zachować spokój. Gdyby tylko mogła pozbyć się obrazu Alberta Stucky'ego krojącego jej brzuch. Gdyby tylko udało jej się sprawić, żeby ten szaleniec nie dociskał ostrza tak mocno. Drobny ruch i poczuje smak noża w ustach.

– To nic nie da... jak się mnie pozbędziesz. – Mówiła wolno. – Wszyscy w biurze szeryfa wiedzą, kim jesteś. Za parę minut się tu zjawią.

– Nie oszukasz mnie, agentko O'Dell. Wiem, że lubisz samotność. To przez to wpakowałaś się w kłopoty z panem

Stuckym. Nic na mnie nie masz, tylko ten swój portret psychologiczny. Założę się, że wiem, co zawiera. Matka maltretowała mnie w dzieciństwie, tak? Zrobiła ze mnie ciotę, więc teraz ja morduję małych chłopców. – Próba śmiechu zabrzmiała jak rechot wariata.

– Nie sądzę, by matka źle cię traktowała. – Jak szalona starała się przypomnieć sobie, co znalazła na temat rodziny księdza Kellera. Wychowywała go tylko matka, podobnie jak jego ofiary. Ale Keller wcześnie stracił matkę, zginęła w wypadku. Dlaczego nie może sobie przypomnieć szczegółów? Dlaczego tak ciężko myśli? To ten smród, ucisk noża, zapach własnej krwi. – Myślę, że cię kochała – podjęła, nie słysząc komentarza. – I ty ją kochałeś. Ale ktoś inny źle cię traktował. – Szarpnięcie potwierdziło jej słowa. – Może ktoś z rodziny... może przyjaciel matki... ojczym – przypomniała sobie nagle.

Nóż ześliznął się ledwie ze dwa centymetry, ale mogła znowu oddychać. Mężczyzna milczał, czekał, słuchał. Zdobyła jego uwagę. Więc czas na jej ruch.

– Nie jesteś homoseksualistą, ale przez ojczyma zacząłeś się nad tym zastanawiać. Przez niego zacząłeś o tym myśleć, że może jednak masz takie skłonności.

Ręka ściskająca jej talię popuściła. Maggie słyszała oddech mężczyzny, czuła za swoimi plecami miarowy ruch jego podnoszącej się mozolnie i opadającej klatki piersiowej.

– Nie zabijasz tych chłopców dla zabawy. Ty chcesz ich uratować, bo przypominają ci tego niewinnego, bezsilnego

małego chłopca z przeszłości. Chłopca, którym sam byłeś. Myślisz, że ratując ich, zbawisz też siebie?

Wciąż milczał. Czy posunęła się za daleko? Próbowała skupić się na jego dłoni z nożem. Gdyby wsadziła mu łokieć w żebra, może udałoby się jej przejąć nóż, zanim by ją zranił. Tak czy owak musi odwrócić jego uwagę od ostrego narzędzia. Mówiła dalej:

– Ratujesz tych chłopców przed złem, czy o to ci chodzi? Swoim złym czynem robisz z nich męczenników. Jesteś bohaterem, można powiedzieć. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że czynisz doskonałe zło.

Zacisnął na powrót uścisk. A jednak posunęła się za daleko. Nóż znalazł się znowu na jej szyi, tym razem przyłożony na całej długości. Jeden szybki ruch i podetnie jej gardło.

– Psychologiczne gówno. Nie wiesz, o czym mówisz. – Niski, gardłowy głos wydobył się gdzieś z jego wnętrza. – Albert Stucky powinien był cię wypatroszyć, kiedy miał taką okazję. Teraz ja muszę za niego dokończyć robotę. Potrzeba nam więcej światła. – Zaciągnął ją bliżej wejścia do tunelu, nie zdejmując noża z jej gardła i rzucając pudełko zapałek na ziemię. – Zapal, żebyś mogła coś zobaczyć.

„Chcę, żebyś patrzyła”. Tak powiedział do niej Albert Stucky. „Chcę, żebyś widziała, jak to robię”.

Miała wrażenie, że jej palce nie należą do niej. Nie miała w nich czucia, udało jej się jednak zapalić lampę za pierwszym podejściem. Żółta poświata wypełniła niewielką przestrzeń. Ciało Maggie było odrętwiałe. Krew z niej

uciekła. Umysł miała jak sparaliżowany, przygotowywała się na ból. Rozpoznawała znajome już sygnały. Znowu zawładnął nią Albert Stucky. Jej ciało, zamykając się w sobie, odpowiadało na wszechogarniające przerażenie.

W gęstym powietrzu trudno było oddychać, wsączył się w nie jeszcze smród zepsutego mięsa. Płuca odmawiały posłuszeństwa. Ostrze noża przyciskało się do gardła. Ręka mężczyzny drżała odrobinę. Ze złości czy ze strachu? Jakie to ma znaczenie?

– Czemu nie płaczesz ani nie krzyczysz? – Był zły.

Nie odpowiedziała, nie była w stanie. Nawet głos ją zawiódł. Pomyślała o swoim ojcu, o jego ciepłych brązowych oczach, które się do niej uśmiechały, kiedy wkładał jej przez głowę medalik na łańcuszku. „Będzie cię chronił, gdziekolwiek się znajdziesz. Nigdy go nie zdejmuj, obiecujesz, żabko?”. Chciała mu teraz powiedzieć: „Tatusiu, to mnie wcale nie chroni. Nie uchroniło też Danny’ego Alvereza”.

Nieznajomy chwycił ją za włosy i pociągnął do góry, nie odrywając ani na chwilę noża. Pomiędzy jej piersiami ściekała szersza strużka krwi.

– Powiedz coś! – wrzasnął za jej głową. – Błagaj mnie. Módl się.

– Zrób to teraz – odezwała się wreszcie Maggie, cicho i z wysiłkiem, prosząc o współpracę swoje wargi, swój głos, swoje nacięte gardło, żeby powstały te trzy proste słowa.

– Co? – Naprawdę się zdziwił.

– Zrób to już – powtórzyła z trudem, głośniej, z większą siłą.

– Maggie? – Głos Nicka przedostał się do niej ze szczytu schodów. Nieznajomy odwrócił się, przestraszony, ciągnąc ją za sobą. Wtedy, jakby robił to ktoś inny, chwyciła go za rękę i wykręciła nadgarstek. Wyszarpnęła się z jego uścisku, a wtedy napastnik zamierzył się na nią. Metalowe ostrze zniknęło w jej kurtce, rozdzierając materiał i ciało. Pchnął ją mocno. Upadła na ziemię z hałasem.

Nick w sekundę pokonał schody, a czarny cień chwycił lampę i zanurkował w tunelu. Drewniana półka zaskrzypiała, a potem upadła na ziemię, o mało nie trafiając Nicka.

– Maggie?

Światło ją oślepiło.

– W tunelu. – Wskazała kierunek, z trudem podnosząc się na kolana. Ból nie pozwolił jej się ruszyć. – Nie daj mu uciec.

Nick zniknął w czarnej dziurze, zostawiając ją w kompletnej ciemności. I bez światła wiedziała, że krwawi. Wymacała lepką ranę w boku. Sięgnęła do kieszeni, wyjęła medalik na łańcuszku, potarła gładką powierzchnię. Chłodny metal przypominał ostrze noża. Dobro i zło, czy rzeczywiście dzieli je wyraźna linia? Wsunęła łańcuszek przez głowę na krwawiącą szyję.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY SIÓDMY

Nick starał się nie myśleć, zwłaszcza kiedy tunel zaczął zakręcać i zwężać się, zmuszając do posuwania się na rękach i kolanach. Błyski latarki wciąż rozświetlały jedynie ciemność. Ziemia i skały kruszyły się przy każdym ruchu. Złamane korzenie sterczały z ziemi, czasem zwisając tuż przed nim, przyklejając się do twarzy niczym pajęczyna. Nie było czym oddychać. Im dalej się posuwał, tym mniej było powietrza. A to, co zostało, było stęchłe i zbutwiałe, paliło w płucach i zwiększało ból w piersiach.

Wtem zwierzęce futro otarło się o jego rękę. Cisnął latarką, lecz chybił. Posypały się baterie. Nagła ciemność zaskoczyła go. Poczuł przerażenie. Chaotycznie zabrał się do poszukiwania latarki, grzebiąc rękami w ziemi. Jedna bateria, druga, wreszcie trzecia. Proszę, niech to działa. Nie był pewny, czy udałoby mu się odwrócić w wąskim, zakręconym tunelu, by wrócić tą samą drogą.

Poskładał latarkę. Nic. Klepnął ją, docisnął, znowu klepnął. Światło, dzięki Bogu. Teraz brakowało mu tlenu. Czy ta ciemność wyssała stąd całe powietrze?

Posuwał się do przodu najszybciej, jak tylko mógł. Tunel jeszcze się zwęził i Nick musiał położyć się na brzuchu. Czołgał się, odpychając się łokciami i palcami u stóp jak pływak płynący pod prąd. Był bardzo kiepskim pływakiem, mistrz na desce, ale ołów w wodzie. Teraz zdawało mu się,

że tonie, że łapie powietrze, a połyka opadającą z góry ziemię.

Jak daleko już zaszedł? I ile mu jeszcze zostało? Nie słyszał nic prócz skrobania szczurzych pazurów i lawiny ziemi za sobą. Czyżby sam grzebał się żywcem?

Jak to możliwe, że cień zniknął tak szybko? A jeśli to morderca, którego Nick widział, jak znika między drzewami?

To szaleństwo, kompletne szaleństwo. Nie uda mu się, zaraz się udusi. Jeszcze moment i płuca mu pękną. Wilgotna ziemia przyklejała się do niego. Wyimaginowany papier ścierny tarł mu oczy i gardło. W wyschniętych ustach czuł pleśń i śmierć, które zatykały go jak knebel. Zrobiło się jeszcze bardziej wąsko, ocierał się o ściany. Słyszał, jak drze się na nim ubranie, czasem skóra, trafiając na kamienie, drewno, może nawet czyjeś kości wystające z ziemi.

Jak daleko jeszcze? Czy to pułapka? Może nie zauważył na początku drogi jakiegoś zakrętu? Czyżby przegapił jakieś sekretne przejście? To by tłumaczyło, dlaczego nie widzi ani nie słyszy przed sobą nieznajomego. A jeśli ten tunel kończy się ścianą?

Był już prawie pewien, że nie zdoła przemieścić się dalej, kiedy światło latarki złapało wąski snop połyskującej bieli tuż nad jego głową. Śnieg, który zasypał tunel. W ostatnim szaleńczym porywie Nick zaczął kopać rękami, pchał, odrzucał, torując sobie drogę na powierzchnię. Aż zobaczył czarne niebo z gwiazdami. I chociaż miał wrażenie, że

pokonał wiele kilometrów, przekonał się, że nawet nie opuścił cmentarza. Podniósł się z ziemi jak ciało wstające z grobu. Niecały metr od niego czarny anioł unosił wysoko głowę, upiornie promienisty, jakby się uśmiechał.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY ÓSMY

Christine bolała szyja. Działo się tak zawsze, kiedy zasypiała na kanapie. Zobaczyła przedzierające się przez rozbite szkło gałęzie. Czy to burza stłukła szybę i wepchnęła gałęzie do salonu? Słyszała jakiś huk. W suficie była dziura. Tak, widać nawet gwiazdy, tysiące gwiazd, które usadowiły się na szczycie jej domu.

Gdzie jest koc babci Morrelli? Musi czymś zatkać tę dziurę, żeby się ogrzać. Timmy, włącz piecyk, proszę. Gorąca czekolada, może przygotuje dla nich dwojga po kubku gorącej czekolady. Gdyby tylko mogła odsunąć te meble ze swojej piersi. I gdzie są jej ręce, potrzebuje ich. Mogłaby użyć choć jednej, tej, która leży obok niej. Dlaczego nie może jej ruszyć? Czy ta ręka zasnęła, jak cała reszta jej ciała?

Od świateł pieką ją oczy. Gdyby znalazła odpowiedni guzik, wyłączyłaby je. Gałęzie tańczyły w nich jakąś zwolnioną rumbę, zgniatając chrzęszczące szkło. W ogóle ciężko mieć otwarte oczy. Może zdoła zasnąć, jeśli tylko zamilknie to zgrzytanie. Wydobywało się z wnętrza jej płaszcza, gdzieś z jej piersi. Nie wiedziała, co to jest, ale wkurzało ją to i... i bolało... tak, to potwornie bolało. Co prezydent Nixon robi w tych światłach? Macha na nią. Spróbowała zamachać w odpowiedzi, ale jej ręka wciąż

spała. Prezydent Nixon przyszedł do jej salonu. Zdjął wszystkie meble z jej piersi. A potem ją uśpił.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Timmy patrzył, jak jego saneczki dryfują w dół. Jasnopomarańczowy kolor odbijał się w świetle księżyca. Chłopiec skulił się w śniegu, schowany za szuwarami rosnącymi wzdłuż brzegu. Przydała mu się teraz praktyka w katapultowaniu, którą zdobył na Cutty's Hill, choć mama, gdyby się o tym dowiedziała, chybaby go zabiła.

Czuł się dość bezpiecznie. Dopiero teraz zobaczył, że skacząc, zgubił but. Bolała go kostka. Wyglądała śmiesznie, spuchnięta, prawie dwa razy większa niż druga. Potem dostrzegł czarny cień, który jak pająk schodził grzbietem wzgórza, trzymając się korzeni i krzewów, chwytając skał i gałęzi. Poruszał się szybko.

Timmy zerknął na saneczki, żałując, że już ich nie ma. Nieznajomy zbliżał się do brzegu rzeki. On też zobaczył saneczki, chociaż odpłynęły zbyt daleko, żeby widział, czy ktoś w nich siedzi. Może jednak myślał, że Timmy tam jest. Przestał się spieszyć. Stał, patrząc na rzekę. Może zastanawiał się, czy skoczyć za sankami do wody.

Z odległości nieznajomy wydawał się mały i chociaż było ciemno, Timmy widział, że nie kryje już twarzy pod prezydencką maską.

Timmy ukrył się głębiej w śniegu. Lekki wiatr od strony rzeki niósł ze sobą wilgotny chłód. Chłopiec szczękał zębami i drżał. Podciągnął kolana pod brodę, patrzył

i czekał. Postanowił ruszyć drogą, gdy tylko nieznajomy zniknie. Droga pięła się w górę, ale lepsze to niż las. Poza tym droga musi dokądś prowadzić.

Wreszcie wyglądało na to, że nieznajomy się poddał. Pogrzebał w kieszeniach, znalazł to, czego szukał, i zapalił papierosa. Potem skręcił i zaczął iść prosto na Timmy’ego.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘĆDZIESIĄTY

Maggie wdrapywała się po stopniach, zła, że kolana nie chcą utrzymać jej ciężaru. W boku ją paliło, ogień drążył wciąż głębiej, podpalając już żołądek i płuca. Miała wrażenie, jakby odłamany kawałek ostrza noża przebijał się przez jej wnętrzności. Boże, powinna już mieć w tym wprawę. Praktyka czyni mistrza, mówią. Kiedy jednak brnęła w górę ku światłu księżyca, na widok własnej krwi robiło jej się słabo. Cały bok miała zakrwawiony, krew wsiąkała w ubranie, a czerwony sweterek stał się czarny od ziemi wymieszanej z krwią.

Odgarnęła włosy z twarzy, z dala od spoconego czoła, i poczuła krew w dłoni. Wyzwoliła się z kurtki i oderwała kawałek podszewki, wystarczająco duży, by zatamować krwotok w boku. Nałożyła garść śniegu na materiał i przyłożyła go do rany. Gwiazdy na niebie rozmnożyły się niespodzianie. Maggie zacisnęła powieki z bólu. Kiedy otworzyła oczy, ujrzała zbliżający się czarny cień, który chwiał się między nagrobkami jak pijany. Sięgnęła po broń, jej palce trafiły na pustą kaburę. No tak, przypomniała sobie. Jej rewolwer leży gdzieś na dole w ciemności.

– Maggie? – zawołał „pijak”. Poznała głos Nicka i poczuła tak wielką ulgę, że na sekundę zapomniała o bólu.

Był cały w błocie i ziemi i kiedy ukląkł przy niej, zemdliło ją od smrodu. Mimo to oparła się o niego, ciesząc się, że

czuje jego silne ramię.

– Jezu, Maggie. Co ci się stało?

– Mam świeżą ranę. Widziałeś go? Złapałeś go?

Zobaczyła odpowiedź w jego oczach, i nie było to jedynie rozczarowanie, tylko coś znacznie więcej.

– Ten tunel to labirynt – powiedział bez tchu. – Zdaje się, że wybrałem złą drogę.

– Musimy go zatrzymać. Jest pewnie w kościele. Może i Timmy tam jest.

– Był.

– Co?

– Znalazłem pomieszczenie, gdzie go trzymał. Był tam płaszcz Timmy'ego.

– Musimy go znaleźć. – Usiłowała się podnieść, ale z powrotem upadła w jego ramiona.

– Chyba spóźniliśmy się, Maggie. – Słowa wolno przeciskały się przez jego gardło. – Widziałem też... była tam zakrwawiona poduszka.

Oparła głowę na jego piersi. Słuchała bicia jego serca, urywanego oddechu. Nie, to był jej oddech.

– Jezu, Maggie. Strasznie krwawisz. Muszę cię zawieźć do szpitala. Nie mam zamiaru jednej nocy stracić dwoje ludzi, których kocham.

Podtrzymywał ją, nieco chwiejnie pnąc się do góry. Uczepiwszy się go, podniosła się z trudem. Ból uderzał gwałtownymi dźgnięciami, piekąc i rwąc, jakby kawałki rozpalonego szkła przebijały się przez jej wnętrzności.

Uwieszona na jego ramieniu nie wiedziała, czy się nie przesłyszała. Powiedział, że ją kocha?

– Maggie, pozwól, że cię zaniosę do dżipa.

– Widziałam, jak chodzisz, Morrelli. Wolę zaryzykować marsz na własnych nogach. – Wyprostowała się, zaciskając zęby z nieustającego bólu.

– Trzymaj się mnie.

Byli już o krok od dżipa, kiedy Maggie przypomniała sobie o skrzynce.

– Nick, zaczekaj. Musimy zawrócić.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Christine patrzyła w gwiazdy. Bez trudu znalazła Wielką Niedźwiedzicę. To jedyny gwiazdozbiór, który zawsze potrafiła odnaleźć na niebie. Na miękkim łóżku ze śniegu, pod cudownie ciepłym gryzącym wełnianym kocem, nie zauważyła, że leży na poboczu drogi. Gdyby tylko mogła oddychać, nie krztusząc się krwią, może zdołałaby zasnąć.

Rzeczywistość powróciła w krótkich atakach bólu i pamięci. Eddie pieszczący jej pierś. Metal walący w jej nogi i klatkę piersiową. I Timmy, o Boże, Timmy. Poczuła smak łez i przygryzła wargę, żeby je powstrzymać. Spróbowała usiąść, ale ciało nie rozumiało jej rozkazów. Oddychanie bolało. Czy nie można by przestać oddychać chociaż na kilka minut?

Wtem, nie wiadomo skąd, pojawiły się światła samochodu, wyjeżdżającego zza zakrętu i toczącego się wprost na nią. Usłyszała zgrzyt hamulców. Żwir uderzył o metal. Koła zahamowały z poślizgiem. Światła oślepiły ją. Kiedy dwa wydłużone cienie wyłoniły się z auta i podeszły do niej, wyobraziła sobie, że to kosmici z bulwiastymi głowami i wytrzeszczonymi oczami. Potem dotarło do niej, że to kapelusze nadawały ich głowom ów przesadny rozmiar.

– Christine. O mój Boże, to Christine.

Uśmiechnęła się i zamknęła oczy. Nigdy nie słyszała w głosie swojego ojca takiego przerażenia. Jakież to niestosowne, że sprawia jej to przyjemność.

Kiedy ojciec i Lloyd Benjamin przyklękli obok niej, była w stanie powiedzieć jedynie:

– Eddie wie, gdzie jest Timmy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Nick robił wszystko, żeby Maggie została w samochodzie. Powstrzymali jakoś krwawienie, ale nie wiadomo było, ile krwi już straciła. Nie mogła utrzymać się na nogach, jej twarz była biała jak ściana. Prawdopodobnie miała też halucynacje.

– Nie rozumiesz, Nick – ciągnęła uparcie.

Był gotów wziąć ją na ręce i wrzucić do dżipa. Wystarczy, że nie pozwala mu zawieźć się do szpitala.

– Sam sprawdzę, co jest w tej głupiej skrzyni – oświadczył. – A ty tu zaczekasz.

– Nick, poczekaj. – Wbiła palce w jego ramię, wijąc się z bólu. – Tam może być Timmy.

– Co?

– W skrzyni.

Poczuł się, jakby dostał obuchem w głowę. Oparł się o maskę dżipa.

– Dlaczego ten skurwiel miałby to zrobić? – wykrztusił przez zaciśnięte gardło. Nie chciał nawet wyobrażać sobie, że Timmy może być wpakowany do skrzyni. Martwy. Ale czyż takie myśli nie przychodziły mu już do głowy? – To nie w jego stylu.

– Cokolwiek jest w tej skrzyni, może mi się bardzo przydać.

– Nie rozumiem.

– Pamiętasz ostatni list? Jeśli ten szaleniec wie o Stuckym, może uciec się do jego metod. Nick, w tej skrzyni naprawdę może być Timmy. A jeśli nie, i tak nie powinieneś na to patrzeć.

Spojrzał na nią. Miała twarz umazaną błotem i krwią. Ziemia i pajęczyny kleiły się do jej włosów. Zaciskała z bólu wargi. I mimo to chciała go przed czymś uchronić.

Zakręcił się na pięcie i zaczął się wspinać na wzgórze.

– Nick, poczekaj.

Zignorował jej wołanie. Przecież bez jego pomocy nie ruszy się, nie będzie w stanie iść za nim.

Przy stopniach, które odkryła Maggie, zawahał się. Zmusił się jednak, żeby ruszyć na dół. W pomieszczeniu panował potworny zaduch. Nick znalazł metalowy pręt i rewolwer Maggie, który schował do kieszeni. Wsadził latarkę i pręt pod pachę i podniósł skrzynię, powoli niosąc ją po stopniach do góry. Ledwo ją dźwigał, mięśnie dawały mu się we znaki.

Na górze czekała na niego Maggie, oparta o jeden z nagrobków. Była jeszcze bledsza.

– Daj, Nick, ja to zrobię – upierała się, wyciągając rękę po pręt.

– Dam sobie radę, Maggie.

Wsadził pręt pod wieko i zaczął je podważać. Nie było to łatwe, mocował się przez dłuższą chwilę. Wreszcie gwoździe zaskrzeczały, echo poniosło upiorny dźwięk przez ciemność. Zapach śmierci dominował nad lekkim wiatrem i chłodem. Kiedy wreszcie wieko odskoczyło, Nick znowu

się zawahał. Maggie zbliżyła się i do końca uniosła drewnianą pokrywę.

Oboje natychmiast cofnęli się, ale nie z powodu smrodu. Starannie wciśnięte i zapakowane w białą materię leżało tam drobne, delikatne ciało Matthew Tannera.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Timmy nie widział przed sobą żadnej drogi ucieczki, nie miał też gdzie się schować. Ześliznął się w dół brzegu, tuż przy wodzie. Czy zdołałby przepłynąć rzekę? Popłynąć pod prąd? Przyglądał się czarnemu, złowrogiemu nurtowi, który mijał go w pędzie. Był za silny, za szybki i o wiele za zimny.

Nieznajomy zatrzymał się, żeby dokończyć papierosa. W ciszy Timmy słyszał, że mężczyzna mruczy coś pod nosem, jednak słowa były niezrozumiałe. Co rusz kopał do wody jakiś kamień albo grudkę ziemi. Był już tak blisko, że krople trafiały w Timmy’ego.

Musi uciekać, z powrotem popędzić do lasu. Tam przynajmniej znalazłby kryjówkę. Nie schowa się przecież w wodzie, bo tam czekała go pewna śmierć. Wiedział już, że chłód może zabijać. Czuł to, bo coraz bardziej drżał z zimna. Zastanawiał się, jak długo wytrzyma te bolesne ukłucia lodowatych igiełek. A w wodzie byłoby jeszcze gorzej.

Wyjrzał na wysoki brzeg. Nieznajomy zapalał kolejnego papierosa. Teraz, musi biec teraz. Gdy jednak wdrapał się na brzeg, zdradziły go wpadające do wody kamyki. Ledwo dotarł do drogi, znowu pech, bo przewrócił się i coś głośno łupnęło w kostce. Dźwignął się na kolana i łokcie, z trudem zdołał wstać, a tu ni stąd, ni zowąd znalazł się nad ziemią. Kopał nogami w powietrzu i wbijał paznokcie w rękę, która

obejmowała go w pasie. Druga ręka zaciskała się na jego szyi.

– Spokój, gówniarzu.

Timmy zaczął krzyczeć. Ramię zacisnęło się mocniej, odcinając mu powietrze, dusząc go.

Kiedy krętą drogą z piskiem opon nadjechał samochód, nieznajomy wciąż trzymał Timmy'ego w mocnym uścisku. Kiedy samochód zahamował tuż przed nimi, nieznajomy nie próbował nawet się ruszyć, nie zerwał się do ucieczki. Światła oślepiły Timmy'ego, ale mimo to poznał zastępcę Hala. Czemu nieznajomy go nie puszcza? Chłopca strasznie bolała szyja. Wbił mocniej paznokcie w rękę mężczyzny. Dlaczego ten drań nie ucieka?

– Co się tu dzieje? – spytał Hal. Wysiadł z wozu, a za nim drugi zastępca szeryfa. Zbliżali się powoli, ciemni, groźni, mocarni. Prawdziwi ludzie szeryfa.

Timmy nie rozumiał tylko, dlaczego nie wyciągają broni. Czy naprawdę nie widzą, co się tu dzieje? Nie widzą, że nieznajomy robi mu krzywdę?

– Znalazłem dzieciaka w lesie – odezwał się nieznajomy podnieconym i dumnym głosem. – Można powiedzieć, że go uratowałem.

– Widzę – rzekł Hal.

Nie, to kłamstwo. Timmy chciał im powiedzieć, że to wszystko kłamstwo, że nie może oddychać, nie może mówić, bo nieznajomy go dusi. Dlaczego mu wierzą? To morderca. Są ślepi czy co?

– Pojedziecie z nami. Wsiadaj, Timmy, już nic ci nie grozi. Jesteś bezpieczny.

Z wolna uścisk na szyi Timmy’ego rozluźnił się. Chłopiec wyrwał się i pognał do Hala, kulejąc na spuchniętej w kostce nodze.

Hal chwycił chłopca za ramiona i delikatnie przesunął za plecy. Potem wyciągnął broń i powiedział do nieznajomego:

– No, Eddie, musisz nam wiele wyjaśnić.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Piątek, 31 października

Christine obudziła się w pokoju pełnym kwiatów. Umarłam, pomyślała. Przez mgłę zobaczyła matkę, która siedziała przy łóżku, i od razu wiedziała, że jednak żyje. Niebiesko-różowy dres jej matki nie zostałby zaakceptowany ani w niebie, ani w piekle.

– Jak się czujesz, Christine? – Matka uśmiechnęła się i dotknęła jej dłoni.

A więc matka nareszcie pogodziła się z siwymi włosami. Wyglądała z tym całkiem dobrze. Christine postanowiła powiedzieć jej to później, by przeciwstawić się nieuniknionej serii pytań.

– Gdzie jestem? – Głupie pytanie, ale naprawdę chciała wiedzieć. Powróciła z krainy halucynacji i musiała wszystko od nowa uporządkować.

– W szpitalu, kochanie. Pamiętasz coś? Miałaś operację, skończyła się niedawno.

Operację? Dopiero teraz Christine zobaczyła rurki, które tu i ówdzie z niej wystawały albo w nią wchodziły. W odruchu paniki zrzuciła kołdrę.

– Christine!

Nogi miała wciąż na miejscu. Dzięki Bogu. Mogła nimi ruszać. Jedna była co prawda zabandażowana, ale najważniejsze, że się ruszała.

– Nie chcesz chyba złapać zapalenia płuc? – Matka szczelnie ją przykryła.

Christine uniosła obie ręce, zgięła palce i patrzyła, jak jakiś płyn skapuje do jej żył. Kroili ją i zszywali, Bóg jeden wie, co z nią robili, ale jest cała, w jednym kawałku.

– Twój ojciec i Bruce poszli po kawę. Ucieszą się, że się obudziłaś.

– O Boże, Bruce tu jest? – Nagle Christine przypomniała sobie o Timmym i zabrakło jej powietrza.

– Daj mu drugą szansę, Christine – rzekła matka, jakby zupełnie nie czuła, że w pokoju brak powietrza. – Ten koszmar naprawdę go zmienił.

Koszmar? Czy tak się teraz nazywa zniknięcie jej syna?

Wtedy właśnie do pokoju zajrzał Nick i Christine wyraźnie ulżyło. Miał nową szramę na czole, ale siniaki i opuchlizna wokół szczęki prawie zniknęły. Ubrany był w niebieską wyprasowaną koszulę, granatowy krawat, dżinsy i granatową sportową marynarkę. Boże, ile czasu przespała? Mogłaby pomyśleć, że wystroił się jak na pogrzeb. Znowu przypomniała sobie o Timmym. Co właściwie jej matka rozumiała przez koszmar?!

– Cześć, kochanie – powiedziała matka, kiedy Nick pochylał się, żeby ją pocałować w policzek.

Christine przyglądała się im, rozpaczliwie szukając jakiegoś znaku. Czy będzie miała odwagę zapytać? Czy

skłamią, żeby ją chronić? Czy sądzą, że jest za słaba na prawdę?

– Chcę znać prawdę, Nicky – wyrzuciła z siebie tak piskliwie, że ledwo poznała własny głos. Oboje popatrzyli na nią przestraszeni, zatroskani. Oczy Nicka mówiły jej, że wie dokładnie, o co pytała.

– Dobra, jeśli chcesz. – Podszedł do drzwi, a ona chciała krzyczeć, zatrzymać go, porozmawiać.

– Nicky, proszę! – krzyknęła, nie przejmując się, że brzmi to bardzo melodramatycznie.

Nick otworzył drzwi. Timmy stał w nich niczym zjawa. Christine przetarła oczy. Znów ma halucynacje? Chłopiec przykuśtykał do niej. Widziała jego siniaki i szramy, cięcie na policzku i czerwoną spuchniętą wargę. Ale jego twarz i włosy były czyste, ubranie świeże i wyprasowane. Miał nawet nowe adidasy. Czy to wszystko było tylko jakimś koszmarnym snem?

– Cześć, mama – powiedział Timmy jak każdego ranka. Wdrapał się na krzesło, które podsunęła mu babcia, i uklęknął, żeby popatrzeć na łóżko z góry. Christine pozwoliła sobie na łzy, nie miała zresztą wyboru. Dotknęła jego ręki, poprawiła mu kołnierzyk i pogłaskała go po policzku.

– Mama, wszyscy patrzą – powiedział, a ona już wiedziała, że jest prawdziwy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Nick uciekł, zanim zrobiło się zbyt łzawo, zanim jego własne oczy przesłoniła mgła. Wciąż trudno było mu w to wszystko uwierzyć. Skręcił za róg i o mało nie wpadł na ojca, który cofnął się ze strachu, że wyleje kawę.

– Ostrożnie, synu. Dużo stracisz, jak będziesz tak gonił nie wiadomo za czym.

Nick spojrzał mu w oczy i natychmiast zobaczył pełen sarkazmu krytycyzm. Był jednak w dobrym nastroju i nie miał zamiaru pozwolić ojcu, żeby to zepsuł. Uśmiechnął się i zaczął go wymijać.

– Wiesz, że to nie Eddie! – zawołał za nim ojciec.

– Taa? – Nick zatrzymał się i odwrócił. – Tym razem rozstrzygnie to sąd, a nie Antonio Morrelli.

– Co to u diabła znaczy?

Nick zbliżył się, stanął oko w oko z ojcem.

– Czas wyłożyć karty na stół. Pomogłeś podrzucić dowody obciążające Jeffreysa?

– Uważaj, co mówisz, chłopcze. Nigdy niczego nie podrzucałem.

– To jak wyjaśnisz te wszystkie sprzeczności?

– Jeśli o mnie chodzi, wszystko się zgadzało.

– Zignorowałeś dowody.

– To Jeffreys zabił małego Wilsona. Nie znałeś go. Nie widziałeś, przez co ten chłopiec musiał przejść. Jeffreys

zasłużył na śmierć.

– Jak śmiesz puszyć się przede mną swoimi koszmarami? – rzekł Nick, zaciskając pięści, choć trzymał ręce spokojnie opuszczone po bokach. – Widziałem przez ten tydzień tyle, że starczy mi na całe życie. Może Jeffreys zasłużył na śmierć, ale dokładając mu pozostałe morderstwa, pozwoliłeś uciec drugiemu zbrodniarzowi. Zamknąłeś śledztwo. I wszyscy poczuli się bezpiecznie.

– Zrobiłem to, co uznałem za konieczne.

– Po co mi to mówisz? Powiedz to Laurze Alverez albo Michelle Tanner. Im powiedz, że zrobiłeś to, co uznałeś za konieczne.

Po tych słowach Nick odszedł na trochę miękkich kolanach. Odniósł małe zwycięstwo, wytykając błąd Antoniemu Morrellemu. Dlaczego spodziewał się, że poczuje się po tym świetnie? A jednak kiedy stukot jego obcasów roznosił się echem w szpitalnej ciszy, zdawało mu się, że trochę urósł.

Zatrzymał się obok pokoju pielęgniarek, zdumiony, że przełożona oddziału ubrana jest w czarną pelerynę i kapelusz czarownicy. Dopiero po chwili zauważył pomarańczową i czarną bibułę oraz maskę z dyni. Oczywiście, przecież to Halloween. Nawet słońce wyjrzało zza chmur i rozpuściło nieco śniegu.

Czekał cierpliwie, aż oddziałowa skończy recytować przez telefon listę leków. Mówiła mu wzrokiem, że właśnie kończy, nie spieszyła się jednak.

– Cześć, Nick. – Sandy Kennedy zaszła go od tyłu i minęła oddziałową.

– Sandy, wreszcie pracujesz na dzienną zmianę. – Przesłał uśmiech zgrabnej brunetce, myśląc jednocześnie, że plecie jakieś głupstwa. Nie mógł powiedzieć po prostu: „Jak się masz?”, lub też: „Szmat czasu”? Ciekawe, czy jest w tym mieście jakieś miejsce, gdzie nie wpadłby na którąś ze swoich byłych kochanek lub dziewcząt, którym poświęcił tylko jedną ze swych burzliwych nocy?

– Z Christine chyba lepiej – powiedziała, lekceważąc jego idiotyczną uwagę.

Starał się przypomnieć sobie, dlaczego zerwał z Sandy. Pamiętał, że jest bystra i pogodna. Ale takie były wszystkie jego kobiety, lecz i tak żadna nie dorównywała Maggie O’Dell.

– Nick, nic ci nie jest? Możemy ci w czymś pomóc?

Sandy i oddziałowa wpatrywały się w niego.

– Możecie mi powiedzieć, gdzie leży agentka O’Dell?

– W 372 – rzuciła oddziałowa z pamięci. – Do końca korytarza i na prawo. Nie wiem, może już jej nie ma.

– Nie ma? Co to znaczy?

– Wypisała się wcześniej, czekała tylko na jakieś rzeczy. Jej ubranie było bardzo zniszczone, kiedy się u nas zjawiła wczoraj wieczorem – wyjaśniała pielęgniarka, ale Nick był już w połowie korytarza.

Wpadł do pokoju bez pukania i przestraszona Maggie gwałtownie odwróciła się od okna. Była w wiązanej z tyłu

szpitalnej koszuli. Natychmiast ustawiła się plecami do ściany.

– Chryste, Morrelli, nigdy nie pukasz?

– Przepraszam. – Uspokoił się, serce zaczęło mu bić miarowo. Maggie wyglądała wspaniale. Krótkie ciemne włosy miała znowu gładko zaczesane i lśniące. Na jej policzki wrócił kolor. A w brązowych oczach błyszczały iskierki. – Powiedzieli mi, że może już wyjechałaś.

– Czekam na jakieś ciuchy. Jedna ze szpitalnych wolontariuszek zaofiarowała się, że coś mi kupi. – Zaczęła spacerować, pilnując, by nie pokazywać się od tyłu. – Minęły już dwie godziny. Mam nadzieję, że nie przyniesie mi nic różowego.

– Lekarz nie ma nic przeciw temu, żebyś już wyszła? – Starał się bardzo, żeby zabrzmiało to zwyczajnie, ale mu się to nie udało.

– Zostawia to mojej decyzji.

Widziała, że Nick na nią patrzy. Nie spuszczał z niej oczu. Było mu wszystko jedno, nie dbał o to, że może za bardzo się stara. Chciał nawet, żeby zobaczyła, jak bardzo się o nią martwi.

– Jak się czuje Christine? – spytała.

– Operacja poszła dobrze.

– Co z nogą?

– Lekarz jest przekonany, że nie ma trwałego uszkodzenia. Przyprowadziłem Timmy’ego, żeby się z nią zobaczył.

Przez chwilę trwała nieruchomo. Jej wzrok złagodniał, choć była myślami gdzieś daleko.

– Gdyby nie to wszystko, co wiem, uwierzyłabym w happy end – powiedziała.

Znowu spotkali się wzrokiem, tym razem kąciki jej ust leciutko się uniosły. Jezu, jaka jest piękna, kiedy się uśmiecha. Chciał jej to powiedzieć. Otworzył usta, ale się rozmyślił. Czy przyszło jej do głowy, jak bardzo się przeraził, gdy usłyszał, że mogła wyjechać bez pożegnania? Miała pojęcie, jakie zrobiła na nim wrażenie? Do diabła z jej mężem, z jej małżeństwem. Musi zaryzykować, musi powiedzieć, że ją kocha.

Zamiast tego powiedział:

– Rano aresztowaliśmy Eddiego Gillicka.

Usiadła na skraju łóżka i zamieniła się w słuch.

– Wezwaliśmy Raya Howarda na kolejne przesłuchanie. Tym razem przyznał, że czasami pożyczał Eddiemu stary niebieski pikap.

– A tego dnia, kiedy zniknął Danny?

– Howard oczywiście nie pamięta. Ale to nie wszystko. Eddie przyszedł do pracy w biurze szeryfa latem przed pierwszym morderstwem. Policja z Omaha dała mu list polecający, ale w jego dokumentach były też trzy różne nagany, wszystkie za nieuzasadnione użycie siły podczas aresztowania. Dwie dotyczyły nieletnich sprawców. Jednemu dzieciakowi złamał rękę.

– A co z ostatnim namaszczeniem?

– Matka Eddiego... kobieta samotna... pracowała na dwóch etatach, żeby móc go wysłać do katolickiej szkoły.

– No, nie wiem, Nick.

Nie była przekonana. Nie dziwiło go to. Kontynuował:

– Być może miał dostęp do dokumentów sprawy Jeffreysa i mógł go łatwo wrobić. Miał też wstęp do kostnicy. Był tam wczoraj po południu po zdjęcia z autopsji. Mógł bez kłopotu zabrać ciało Matthew, kiedy zorientował się, że możliwa jest identyfikacja na podstawie śladów uzębienia. No i mógł bez problemu wykonać kilka telefonów, posłużyć się numerem swojej odznaki i dowiedzieć się czegoś o Albercie Stuckym.

Na wspomnienie nazwiska tego drania przez twarz Maggie przemknął lekki grymas.

– Kostnica nie jest zamykana na klucz – powiedziała. – Każdy może tam wejść. A o Stuckym pełno było w gazetach.

– To nie wszystko. – Najważniejsze zostawił na koniec. – Znaleźliśmy coś w jego bagażniku.

Oboje pomyśleli, że powtarza się historia z Jeffreysem.

– Co takiego? – Teraz ona była ciekawa.

– Maskę, parę czarnych rękawiczek i sznur.

– Po co trzymałby to w bagażniku, jeśli wiedział, że go śledzimy? Zwłaszcza jeśli maczał palce we wrobieniu Jeffreysa w ten sam sposób? No i kiedy zdążył to wszystko zrobić?

To właśnie martwiło Nicka, ale tak bardzo chciał mieć już tę sprawę za sobą.

– Mój ojciec wreszcie przyznał, że ktoś mógł podrzucić tamte dowody.

– Przyznał się?

– Mówiąc ściśle, przyznał się, że zlekceważył pewne nieścisłości.

– Czy twój ojciec uważa, że Eddie jest mordercą?

Jezu, dobrze go znała.

– Timmy miał przy sobie zapalniczkę, która należała do tego faceta. Jest na niej znak biura szeryfa. Za czasów mojego ojca dawano je w nagrodę. Sam nie rozdał ich wiele, zaledwie pięć. Jedną z nich dostał Eddie.

– Ludzie gubią zapalniczki – powiedziała Maggie. Podniosła się, powoli ruszając do okna.

Naprawdę była myślami daleko. Zapomniała nawet, że ma na sobie szpitalną wiązaną koszulę. Nick widział przez dziury w koszuli tylko wąski pasek jej pleców i część ramienia. Wyglądała w tym na kruchą i bezbronną osóbkę. Wyobraził sobie, że trzyma ją w ramionach. Że leży obok niej, dotyka, głaszcze jej skórę, wsuwa palce między jej włosy.

Jezu drogi, skąd mu się to wzięło? Przycisnął palce do oczu, jakby był wykończony, a naprawdę chciał wymazać spod powiek jej obraz.

– A ty wciąż uważasz, że to Keller? – spytał, znając odpowiedź.

– Nie wiem. Może trudno mi się pogodzić, że tracę wyczucie?

– Eddie nie odpowiada twojemu profilowi?

– Mężczyzna w tej piwnicy nie był postrzeleńcem, który traci nad sobą panowanie i kroi dzieci. Dla niego to była misja, dobrze przemyślana i zaplanowana. Wciąż sądzę, że

on wierzy, iż przynosi tym chłopcom zbawienie. – Wyglądała przez okno, unikając jego wzroku.

Nie pytał nigdy, co się działo w piwnicy, zanim tam dotarł. Listy, gra, wzmianki o Albercie Stuckym, wszystko to wydawało się zbyt osobiste. Zbyt intymne. Pomyślał, że chyba nie można już liczyć na obiektywizm Maggie.

– Co mówi Timmy? – Odwróciła się w końcu do niego. – Może zidentyfikować Eddiego?

– Wczoraj wieczorem wydawał się pewny, ale to było w chwilę po tym, jak Eddie ścigał go nad rzeką i złapał. Eddie z kolei twierdzi, że wypatrzył Timmy'ego w lesie i szedł za nim, żeby go uratować. Dziś rano Timmy przyznał, że nie widział twarzy tego mężczyzny. Ale to wszystko może być przypadek, prawda?

– Nie, wygląda na to, że masz sprawę. – Wzruszyła ramionami.

– Ale co z mordercą?

ROZDZIAŁ DZIEWIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Wepchnął swój skromny dobytek do starej walizki. Przejechał palcami po tworzywie, z którego była zrobiona, a było to niskogatunkowe, łatwo pękające włókno winylowe. Walizka straciła zamek wiele lat temu. Teraz po prostu nie zamykał jej na kluczyk. Dorobił rączkę z czarnej taśmy, która w lecie kleiła się do ręki, w zimie zaś sztywniała i drapała. Walizka była jego jedyną pamiątką po matce.

Wykradł ją spod łóżka ojczyma tamtej nocy, kiedy uciekł z domu. „Dom” to nie jest zresztą właściwe określenie. Nigdy nie czuł się tam jak w domu, jeszcze mniej po śmierci matki. Gdy jej zabrakło, piętrowy budynek z cegły zamienił się w więzienie, co wieczór spotykała go kara, przez prawie trzy tygodnie, aż do dnia ucieczki.

Tamtej nocy też czekał cierpliwie, aż ojczym wreszcie z nim skończy i padnie z wyczerpania. Potem zabrał walizkę matki i spakował się, a krew ciekła mu po nogach. Nie był taki jak matka, nie przyzwyczaił się do głębokich, brutalnych pchnięć ojczyma, łzy, te dawne i te najnowsze, nie leczyły jego ran. Tamtej nocy ledwo mógł się poruszać, zdołał wszakże przejść jakoś około dziesięciu kilometrów do katolickiej parafii pod wezwaniem Najświętszej Maryi Pannyz Lourdes, gdzie ojciec Daniel ofiarował mu schronienie.

Za pokój z wyżywieniem płacił tę samą cenę, co w domu, ale ojciec Daniel był przynajmniej miły, delikatny i nieduży. Skończyły się rany i łzy, zostało tylko upokorzenie, które zaakceptował jako część swojej kary. W końcu był mordercą. Nocami wciąż nawiedzał go makabryczny obraz. Wyraz kompletnego zdumienia w martwych oczach matki, kiedy leżała na podłodze piwnicy, skręcona i połamana.

Zatrzasnął walizkę, z nadzieją że zatrzaskuje na zawsze ów obraz.

Drugie morderstwo przyszło mu dużo łatwiej. Ofiarą był kot włóczęga, którego przygarnął ojciec Daniel. W przeciwieństwie do niego, kot nie musiał płacić za pokój i miskę. Już to wystarczyło, żeby go zabić. Pamiętał dotąd ciepłą kocią krew, która spryskała mu ręce i twarz, kiedy podcinał mu gardło.

Od tamtej pory każda kolejna zbrodnia stawała się dla niego duchowym objawieniem, mordem-ofiarą. Pierwszego chłopca zabił dopiero na drugim roku seminarium. Był to niczego niepodejrzewający piegowaty roznosiciel gazet o smutnych oczach. Przypominał mu jego samego sprzed lat. Musiał więc go zabić, wybawić go z nieszczęścia, podarować mu lepszy świat, uratować go, uratować siebie.

Zerknął na zegarek, miał jeszcze mnóstwo czasu. Ostrożnie postawił starą walizkę przy drzwiach, tuż obok szaroczarnego worka marynarskiego, który spakował wcześniej. Rzucił wzrokiem na gazetę złożoną na łóżku. Tytuł na pierwszej stronie wywołał u niego kolejny uśmiech:

Zastępca szeryfa podejrzany o zamordowanie chłopców.

Jakież to było cudownie proste! W chwili gdy znalazł na podłodze starego niebieskiego pikapu zapalniczkę Eddiego Gillicka, wiedział, że ten arogancki głupek wspaniale nadaje się na kozła ofiarnego. Niemal tak idealnie jak Jeffreys.

Wszystkie te wieczory straszliwych rozmów o niczym, gry w karty z tym pyszałkiem, mającym świra na własnym punkcie, w końcu się opłaciły. Udawał, że interesują go najnowsze seksualne podboje Gillicka, żeby dać mu rozgrzeszenie, kiedy zastępca w końcu trzeźwiał. Udawał, że jest przyjacielem Gillicka, kiedy tak naprawdę próżny zarozumialec wywoływał w nim mdłości. Przy okazji przechwałek Gillick odkrywał swoje wzburzenie, skierowane zwłaszcza wobec „pieprzonych smarkaczy” i „tych cholernych zdzir, co to kręcą tyłkiem, podpuszczają, a jak przychodzi co do czego, to nie dają dupy”. Odgrażał się, że „jeszcze się doczekają”. Eddie Gillick pod wieloma względami przypominał mu ojczyma, co tylko zwiększało satysfakcję z jego aresztowania.

Zresztą dlaczego niby Gillick nie miałby zostać skazany, skoro sam się o to prosił swoim zachowaniem, no i miał w bagażniku starego, rozbitego chevroleta te cholerne, starannie podrzucone dowody. Co za szczęście, że natknął się na ten wóz w lesie, że tak łatwo mógł tam coś podłożyć. Zupełnie jak z Jeffreysem.

Dobrze pamiętał, jak Ronald Jeffreys przyszedł do niego wyspowiadać się i wyznał, że zabił Bobby’ego Wilsona. Prosił o wybaczenie głosem, w którym nie było ani krzty

skruchy. Jeffreys zasłużył sobie na to, co się z nim stało. No i było to takie proste. Jeden anonimowy telefon do biura szeryfa i jakieś obciążające dowody, to wszystko.

Tak, Ronald Jeffreys był idealnym kozłem ofiarnym, tak jak Daryl Clemmons. Ten młody student seminarium zdradził mu swoje lęki związane z homoseksualizmem, nieświadomie szykując się do roli mordercy biednego gazeciarza, nieszczęsnego chłopca, którego ciało znaleziono nad rzeką przepływającą wzdłuż budynków seminarium. Potem był Randy Maiser, pechowy przejezdny, który szukał schronienia w kościele św. Marii. Ludzie z Wood River nie wahali się skazać obdartego nieznajomego, kiedy jeden z ich synów zakończył tragicznie życie.

Ronald Jeffreys, Daryl Clemmons i Randy Maiser, wszyscy oni byli idealnymi kozłami ofiarnymi. A teraz Eddie Gillick zostanie dopisany do tej listy.

Zerknął raz jeszcze na gazetę, jego wzrok zatrzymał się na zdjęciu Timmy’ego. Rozczarowanie przesłoniło jego dobry nastrój. Choć ucieczka Timmy’ego przyniosła mu zaskakującą ulgę, to ona właśnie zmusiła go do nagłego wyjazdu. Jak mógłby dzień za dniem wykonywać swoje obowiązki ze świadomością, że zawiódł tego chłopca? No i w końcu Timmy mógłby rozpoznać jego oczy, jego chód, jego winę. Winę, ponieważ nie zdołał uratować Timmy’ego Hamiltona. Chyba że...

Chwycił gazetę i zajrzał do artykułu o ucieczce Timmy’ego i wypadku jego matki, Christine. Przesuwał palcem

wskazującym w dół zadrukowanych linijek, aż zauważył swój obgryziony do krwi paznokieć. Zacisnął pięść, zawstydzony widokiem swoich palców. Wreszcie, prawie na samym końcu, znalazł akapit, którego szukał. Tak, ojciec Timmy’ego pojawił się znów w mieście.

Sprawdził, która godzina. Biedny Timmy, te jego siniaki! Być może chłopiec zasłużył sobie na drugą szansę na zbawienie.

Nieważne, że powinien stąd jak najprędzej wyjechać. Znajdzie czas na coś równie ważnego.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Maggie chciała powiedzieć Nickowi, że to koniec. Że nie zaginie już żaden mały chłopiec. Ale kiedy skończyli z Eddiem Gillickiem, nie mogła pozbyć się dręczącej wątpliwości. A może upiera się tylko, nie chce się przyznać do pomyłki?

Dlaczego ta wolontariuszka tak się spóźnia? Jak można prowadzić poważną rozmowę w cienkich jak bibułka ciuchach? Jak z gołymi plecami dyskutować o najbardziej skomplikowanych aspektach ponurych zbrodni?

Widziała, że Nick stara się jak może, ale wystarczyło kilka mimowolnych spojrzeń, żeby przypomniała sobie, że jest całkiem naga pod luźną szpitalną koszulą. Jeszcze gorsze były te przeklęte mrówki, które rozłaziły się po jej ciele.

– Dobra, może i wygląda na to, że Eddie Gillick jest winny – przyznała, starając się nie zwracać uwagi na reakcje swojego ciała. Znów stała tyłem do ściany.

Niebo było tego dnia tak cudownie niebieskie i rozległe. Większość śniegu na chodnikach i trawnikach rozpuściła się. Wkrótce na ulicach zostaną tylko góry czarnego brudnego lodu. Drzewa, które nie straciły jeszcze liści, lśniły wilgotnym złotem, czerwienią i oranżem. Jakby prysł czar, jakby zniesiono klątwę i wszystko wróciło do normy. Wszystko, prócz jej wątpliwości.

– Co Christine robiła wczoraj z Eddiem?

– Nie rozmawiałem z nią o tym rano. Wczoraj wieczorem mówiła, że Eddie miał ją odwieźć do domu, ale pojechał okrężną drogą. Powiedział jej, że jeśli będzie się z nim kochać, zdradzi jej, gdzie jest Timmy.

– Powiedział, że wie, gdzie jest Timmy?

– Tak mówiła Christine. Myślę, że miała halucynacje. Powiedziała mi też, że prezydent Nixon przeniósł ją na pobocze.

– To maska, przecież to jasne. Facet w masce wyniósł Christine z samochodu, a potem schował swoje przebranie w bagażniku.

– Następnie pobiegł szukać Timmy'ego w lesie – dodał Nick. – Oczywiście najpierw próbował zgwałcić Christine, no i zaatakował cię w piwnicy na cmentarzu. Pracowity gość.

Spojrzeli na siebie. Nie wypowiedzieli tego, co oczywiste, tego, co wisiało między nimi, wywołując to samo rozżalenie i paniczny lęk, który doprowadził ich do tego miejsca.

– Próbował coś z tobą? – spytał w końcu Nick.

– Co masz na myśli?

– No wiesz... Czy cię...

– Nie – ucięła. – Nie zrobił tego.

Maggie pamiętała, że kiedy morderca wyłowił broń z kieszeni jej płaszcza, przypadkiem musnął jej pierś i szybko odsunął rękę. Kiedy szeptał jej do ucha, nie dotykał jej. Seks zupełnie go nie interesował. Ani z chłopcami, ani tym bardziej z kobietami. Jego matka była świętą. Maggie przypomniała sobie obrazy torturowanych świętych

w sypialni księdza Kellera. Sutanna i celibat mogą być wspaniałą ucieczką, idealną kryjówką.

– Musimy jeszcze raz przesłuchać Kellera – powiedziała.

– Nic na niego nie mamy, Maggie.

– Zrób to dla mnie.

– Pani O’Dell? – Pielęgniarka zajrzała przez drzwi. – Ma pani gościa.

– Najwyższy czas – rzekła Maggie, spodziewając się niepunktualnej wolontariuszki.

Pielęgniarka otworzyła szeroko drzwi i uśmiechnęła się zalotnie do przystojnego, złotowłosego mężczyzny w czarnym garniturze od Armaniego. Miał ze sobą tani podręczny neseser i podobną torbę przewieszoną przez ramię.

– Cześć, Maggie – odezwał się, wchodząc do pokoju, jakby był u siebie, i rzucając spojrzenie na Nicka, zanim przesłał Maggie swój drogocenny prawniczy uśmiech.

– Greg? Skąd się tu wziąłeś?

ROZDZIAŁ DZIEWIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Timmy wsłuchiwał się w szum maszyny połykającej jego dwudziestopięciopensówkę, zanim coś dla siebie wybrał. Mało brakowało, a wybrałby snickersa, ale jego żołądek też miał pamięć, nacisnął więc przycisk z innym batonem.

Starał się nie myśleć o nieznajomym i o tamtym ciasnym pomieszczeniu. Musi myśleć o mamie i o tym, jak jej pomóc wyzdrowieć. Przestraszył się, widząc ją w tym wielkim białym szpitalnym łóżku, poprzypinaną do różnych urządzeń, które gulgotały, świszczały i brzęczały. Wyglądała nie tak źle, chyba była nawet szczęśliwa, kiedy zobaczyła tatę, chociaż najpierw musiała na niego nawrzeszczeć. Tym razem tato nie odpowiedział jej krzykiem. Przepraszał tylko. Gdy Timmy wyszedł z pokoju, tata wziął mamę za rękę, a ona mu na to pozwoliła. To chyba dobry znak, no nie?

Timmy usiadł na plastikowym krześle w poczekalni. Odwinął baton i podzielił go na pół. Dziadek Morrelli miał mu przynieść kanapkę z „Subwayu”, kiedy już we dwóch sprawdzili sztukę mięsa z miejscowego baru. „Subway” był po drugiej stronie ulicy, a Timmy nie jadł jeszcze śniadania. Wsadził do ust kawał batonu i trzymał go w buzi, żeby się rozpuścił.

– A ja sądziłem, że lubisz snickersy.

Wystraszony Timmy zakręcił się na krześle. Nie słyszał żadnych kroków.

– Dzień dobry – wymamrotał z pełną buzią.

– Jak się masz, Timmy? – Ksiądz Keller poklepał chłopca po łopatce, przez dłuższą chwilę zatrzymując rękę na jego plecach.

– Dobrze. – Timmy przełknął resztę batonika. – Mama miała rano operację.

– Słyszałem. – Ksiądz Keller położył worek na krześle obok i przykucnął przed chłopcem.

Timmy lubił księdza Kellera za to, że tak go wyróżniał. Czuł się wtedy ważny. Widział to w oczach księdza, łagodnych niebieskich oczach, czasami takich smutnych. Ksiądz Keller naprawdę się o niego troszczył. Ale te oczy... Oczy księdza Kellera wyrażały tego dnia coś zupełnie innego. Timmy nie potrafił tego nazwać. Skulił się na krześle.

– Dobrze się czujesz, Timmy?

– Dobrze... To pewnie te słodycze. Nie jadłem śniadania. Ksiądz gdzieś wyjeżdża? – spytał, wskazując kciukiem na marynarski worek.

– Zabieram księdza Francisa do grobu. Dlatego tu jestem, żeby się upewnić, czy wszystko gotowe.

– On tu jest? – Timmy mimowolnie szepnął.

– Na dole, w kostnicy. Chcesz iść ze mną?

– Nie wiem. Czekam na dziadka.

– Za parę minut będziemy z powrotem. Spodoba ci się. Wygląda tam jak w „Archiwum X”.

– Naprawdę? – Timmy przypomniał sobie odcinek, w którym agentka specjalna Scully dokonywała autopsji.

Zastanawiał się, czy zmarli naprawdę są tacy sztywni i sini.
– A ja mogę tam iść? W szpitalu nie będą się gniewać?

– Nie, nikogo tam nie ma.

Ksiądz Keller wyprostował się i wziął worek. Poczekał, aż Timmy wepchnie do buzi resztę batonika, upuszczając niechcący papierek. Kiedy chłopiec przykląkł, żeby go podnieść, zauważył sportowe buty księdza, lśniąco białe, jak zwykle. Chociaż tego dnia… jedno ze sznurowadeł miało supeł, który łączył dwie przerwane części. W tej samej chwili zacisnął się supeł w żołądku Timmy’ego.

Wstał powoli, z lekkim zawrotem głowy. To ten cukier go zemdlił. Podniósł wzrok na księdza Kellera, na jego uśmiechniętą twarz. Ksiądz wyciągnął do niego rękę i czekał. Jedno szybkie zerknięcie na białe buty. Dlaczego ksiądz ma związane sznurowadło?

ROZDZIAŁ DZIEWIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

– Skąd wiedziałeś, że jestem w szpitalu? – spytała Maggie, kiedy zostali z Gregiem sami. Rozłożyła ubrania, które parę dni wcześniej starannie spakowała, zadowolona, że wyglądają nieźle mimo dwóch podróży przez pół kraju.

– Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, dopóki nie dotarłem do biura szeryfa. Jakaś lala w skórzanej spódnicy mi powiedziała.

– To nie jest żadna lala. – Maggie sama nie wierzyła, że staje w obronie Lucy.

– Nieważne. To wszystko tylko potwierdza moje zdanie, Maggie.

– Twoje zdanie?

– Ta praca jest zbyt niebezpieczna.

Grzebała w podręcznym bagażu, który jej przyniósł, stojąc do niego tyłem i przysięgając sobie, że nie wybuchnie gniewem, który się w niej gromadził. Na razie cieszyła się z odzyskanych rzeczy. Może to śmieszne, ale dotykanie własnej bielizny dawało jej dziwne poczucie kontroli i bezpieczeństwa.

– Czemu tego nie przyznasz? – upierał się Greg.

– Czego?

– Że ta praca jest zbyt niebezpieczna.

– Dla kogo, Greg? Bo to nie jest mój problem. Od początku wiedziałam, że to pociąga za sobą ryzyko.

Była spokojna, zerknęła na niego przez ramię. Chodził po pokoju z rękami na biodrach, jakby czekał w sądzie na werdykt.

– Kiedy prosiłam cię, żebyś odebrał moje bagaże z lotniska, nie miałam na myśli, żebyś mi je przywoził. – Próbowała się uśmiechnąć, ale on nie zamierzał tak łatwo jej odpuścić.

– W przyszłym roku zostanę współwłaścicielem kancelarii. Jesteśmy na dobrej drodze, Maggie.

– Na dobrej drodze? Do czego? – Wyciągnęła stanik i majtki od kompletu.

– Nie powinnaś brać tej niebezpiecznej roboty w terenie. Na Boga, Maggie, już osiem lat przesiedziałaś w tym biurze. W końcu mogłabyś być... nie wiem, jakimś szefem, instruktorem... kimś innym.

– Lubię swoją pracę, Greg. – Zaczęła wyjmować szlafrok, zawahała się i znowu zerknęła przez ramię. Greg uniósł ręce do góry i przewrócił rozpaczliwie oczami.

– Co? Chcesz, żebym wyszedł? – Jego głos był pełen cynizmu. – Tak, może powinienem wyjść, żebyś mogła zaprosić z powrotem tego swojego kowboja.

– To nie jest mój kowboj. – Maggie czuła, że złość zabarwia jej policzki.

– To dlatego nie oddzwaniałaś? Co cię łączy z szeryfem Mięśniakiem?

– Nie bądź śmieszny, Greg. – Zrzuciła szpitalną koszulę i wkładała majtki. Bolało ją jeszcze, kiedy się pochylała i kiedy podnosiła ręce. Dobrze chociaż, że opatrunek zakrywa nieciekawie wyglądające szwy, pomyślała.

– O mój Boże, Maggie.

Okręciła się na pięcie i zobaczyła, że Greg z grymasem na twarzy patrzy na jej zranione ramię. Nie wiedziała, czy to zniesmaczenie, czy troska. Zlustrował pozostałe części jej ciała, kończąc na szramie pod piersiami. Nagle poczuła się zażenowana, co nie miało zupełnie sensu. W końcu to jej mąż. Chwyciła jednak koszulę i przycisnęła ją do piersi.

– Nie wszystkie są świeże, z poprzedniej nocy – powiedział, zdecydowanie bardziej zły niż zmartwiony. – Czemu mi nic nie powiedziałaś?

– A czemu sam nie zauważyłeś?

– Więc to moja wina? – Znowu te ręce w górze. Znała ten gest, powtarzał go, kiedy przygotowywał się do mowy obrończej. Może działał na sędziów. Dla niej był melodramatyczną tandetą, prostą techniką służącą przyciąganiu uwagi.

– To nie ma z tobą nic wspólnego.

– Jesteś moją żoną, a ta praca niszczy twoje ciało. I to ma mnie nie obchodzić? – Jego jasna skóra poczerwieniała ze złości, duże plamy w kolorze truskawek wyglądały jak nagła wysypka.

– Nie jesteś zmartwiony. Jesteś wściekły, że ci nie powiedziałam.

– Tak, jestem zły, jestem wściekły. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Rzuciła na bok koszulę, pokazując mu blizny.

– Tę mam od miesiąca, Greg – powiedziała, wodząc palcem po szramie, którą zostawił jej Stucky. – Większość mężów zauważyłaby coś takiego. Ale my już nawet nie uprawiamy seksu, więc jak mogłeś to zobaczyć? Nawet nie zauważyłeś, że nie śpię obok ciebie. Że prawie całe noce chodzę tam i z powrotem po mieszkaniu. Ja cię nie obchodzę, Greg.

– To śmieszne. Jak możesz mówić, że mnie nie obchodzisz? Przecież właśnie dlatego, że mnie obchodzisz, chcę, żebyś zostawiła biuro.

– Gdybym cię naprawdę obchodziła, rozumiałbyś, że ta praca jest dla mnie ważna. Ale ty bardziej się martwisz o swój wizerunek. Dlatego nie chcesz, żebym pracowała w terenie. Chcesz chwalić się swoim kolegom i wspólnikom, że mam jakieś ważne stanowisko w FBI, że jestem jakąś szychą, ważnym oficerem, sekretarzem. Chcesz, żebym nosiła seksowne małe czarne na twoich prawniczych przyjątkach, żebyś mógł się mną pochwalić, a moje obrzydliwe blizny zupełnie nie pasują do tego scenariusza. Ale to jestem ja, Greg – oświadczyła z rękami na biodrach, nie przejmując się dreszczami, które ogarnęły jej nagie ciało. – Taka właśnie jestem. Może po prostu już nie pasuję do twojego stylu życia.

Potrząsnął głową jak ojciec zniecierpliwiony błądzącym dzieckiem. Sięgnęła po zgnieciony szlafrok i zakryła nim

piersi, jakby odkryła przed nim dużo więcej niż swoją fizyczną nagość.

– Dziękuję, że przywiozłeś moje rzeczy – powiedziała cicho i spokojnie. – A teraz proszę cię, żebyś wyszedł.

– Świetnie. – Wcisnął ręce do rękawów płaszcza. – Może zjemy razem lunch, jak ochłoniesz?

– Nie, chcę, żebyś wrócił do domu.

Patrzył na nią. Jego szare oczy lodowaciały, ściągnięte wargi sztywniały, zatrzymując rozjuszone słowa. Czekała na kolejny atak, ale on tylko odwrócił się na swoich kosztownych skórzanych obcasach i wymaszerował.

Maggie upadła na łóżko. Ból w boku nie był jedyną przyczyną, że czuła się tak wyczerpana. Ledwo usłyszała pukanie do drzwi, ale na wszelki wypadek przygotowała się na atak Grega. Zamiast niego wszedł Nick, rzucił na nią okiem i rozejrzał się.

– Przepraszam, ale nie wiedziałem, że jesteś nieubrana.

Zerknęła w dół, dopiero teraz uświadamiając sobie, że ma na sobie tylko majtki i cienki szlafrok byle jak przyciśnięty do piersi, ledwie co zakrywający. Spojrzała na Nicka, upewniając się, że nie patrzy, i chwyciła biustonosz.

– To ja powinnam przeprosić – powiedziała sarkastycznie niczym Greg. – Zdaje się, że moje ciało odpycha wszystkich mężczyzn.

Sięgnęła po bluzkę leżącą na stosie rzeczy, ubrała się w nią, i zobaczyła, że włożyła ją na odwrót. Podjęła kolejną próbę.

Nick zerknął przez ramię i czym prędzej wrócił do poprzedniej pozycji.

– Jezu, Maggie, powinnaś już wiedzieć, że mnie to nie dotyczy. Od wielu dni staram się znaleźć w tobie coś, co by mnie nie podniecało.

W jego słowach pobrzmiewał cudowny śmiech. Zrobiło jej się gorąco, nie mogła się zapiąć. Patrzyła na plecy Nicka i zastanawiała się, jakim cudem czuje się przy nim taka zmysłowa, taka pełna życia.

– W każdym razie nie miałem zamiaru się narzucać – mówił dalej – ale jest mały problem z doprowadzeniem księdza Kellera na przesłuchanie.

– Wiem, wiem. Nie mamy dość dowodów.

– Nie, to nie to. – Sprawdził, czy może się już odwrócić. Maggie miała w połowie wciągnięte spodnie, wrócił więc wzrokiem do drzwi, a ona się uśmiechnęła. W końcu widział ją już i bez tego. Pamiętała dotąd futbolowy podkoszulek i jego miękki, wygodny szlafrok.

– Jeśli nie chodzi o dowody, to o co? – spytała.

– Dzwoniłem właśnie na plebanię i rozmawiałem z gospodynią. Keller wyjechał, Ray Howard także.

ROZDZIAŁ SETNY

Gdy wysiedli z windy, Timmy zauważył tabliczkę, na której było napisane: „Wstęp tylko dla personelu”. Ksiądz Keller widocznie tego nie zauważył. Pewnym krokiem szedł korytarzem, jakby był tam już wcześniej wiele razy.

Timmy starał się dotrzymać mu kroku, chociaż kostka wciąż dokuczała. Właściwie to nawet bardziej go bolała, odkąd lekarz owinął ją elastycznym bandażem tak ciasno, że Timmy był przekonany, że będzie miał tylko więcej siniaków.

– Co ci się stało w nogę?

– Skręciłem ją wczoraj w lesie. – Timmy nie chciał o tym myśleć, bardzo chciał zapomnieć. Ile razy sobie przypominał, tyle razy ten okropny węzeł ściskał mu żołądek. Teraz wiedział, że znowu wrócą dreszcze.

– Dużo przeszedłeś, co? – Ksiądz zatrzymał się, poklepał Timmy’ego po głowie. – Chcesz o tym porozmawiać?

– Nie, chyba nie – odparł Timmy, nie podnosząc wzroku. Patrzył na swoje nowiuteńkie sportowe buty firmy Nike. Takie strasznie drogie i takie wygodne. Wujek Nick dał mu je dziś rano.

Ksiądz Keller nie naciskał, nie zadawał więcej pytań, jak inni dorośli. Timmy miał już dosyć tego wiecznego przepytywania. Wszyscy, zastępca Hal, dziennikarze, lekarz, wujek Nick, dziadek, wciąż pytali o to małe

pomieszczenie, o nieznajomego, o ucieczkę. A on nie miał już ochoty do tego wracać.

Ksiądz Keller pchnął drzwi i zapalił światło. Ogromna sala rozjaśniła się w świetle błyskających po kolei żarówek.

– Jej, tu naprawdę jest jak w „Archiwum X”! – zawołał Timmy, dotykając nieskazitelnie czystych blatów, nierdzewnej stali, stołu na środku sali. Skakał wzrokiem po rozmaitych nieznanych mu sprzętach i narzędziach, poukładanych starannie na tacach. Potem zauważył szuflady, widniały jedna obok drugiej na przeciwległej ścianie.

– Czy to... – Nieśmiało wskazał palcem. – Czy to tam trzymają zmarłych?

– Tak, tam – rzekł ksiądz. Był jakby trochę roztargniony. Ostrożnie położył swój worek na metalowym stole.

– Czy ksiądz Francis jest w jednej z tych szuflad? – wyszeptał Timmy i poczuł się głupio. W końcu nikt ich nie słyszał.

– Tak, chyba że już zabrali ciało.

– Zabrali?

– Zakład pogrzebowy mógł już zabrać ciało na lotnisko.

– Na lotnisko? – zdziwił się Timmy. Nie słyszał, żeby zmarli podróżowali samolotami.

– Tak, pamiętasz, mówiłem ci, że zabieram księdza Francisa tam, gdzie zostanie pochowany?

– Aha, tak. – Timmy z uwagą zaczął przyglądać się metalowym blatom. Niektóre narzędzia były ostre, inne

długie, wąskie i zębate. Była nawet miniaturowa piła. Próbował zgadnąć, do czego to wszystko służy.

– Podobno twój ojciec wrócił do miasta – rzekł ksiądz Keller, stojąc sztywno obok stołu.

– No, mam nadzieję, że zostanie – powiedział Timmy. Nie to było mu teraz w głowie. Patrzył na fiolki, tubki, mikroskop. Może poprosi o mikroskop na urodziny?

– Naprawdę? Chciałbyś, żeby został?

– Taa, chciałbym.

– Nie był dla ciebie zły?

Timmy przeniósł wzrok na księdza. Zdziwiło go to pytanie. Keller rozwiązał worek i zajął się jego zawartością.

– Co ksiądz ma na myśli? – spytał w końcu Timmy.

– Nie robił ci nic złego? – cicho odparł ksiądz, nie podnosząc wzroku. – Nie robił ci żadnych brzydkich rzeczy?

Timmy nie bardzo wiedział, co to są te brzydkie rzeczy. Wiedział za to, że ma zmarszczone brwi, minę, którą automatycznie przybierał, kiedy był zdezorientowany. Nieraz mama mówiła: „Nie patrz tak na mnie, bo ci to zostanie”. Próbował zetrzeć z twarzy tę minę, zanim zauważy ją ksiądz Keller, ale on był nadal zajęty swoim bagażem.

– Tata jest dla mnie raczej dobry. Czasem tylko krzyczy.

– A te siniaki?

Timmy czuł, że robi mu się gorąco ze wstydu. Dzięki Bogu, ksiądz Keller nie podnosił wzroku.

– Mnie się łatwo robią siniaki. Większość mam z boiska. – Z boiska i od Chada Callowaya, prawdę mówiąc.

– To czemu twoja mama kazała mu odejść? – Pytanie księdza skonfundowało chłopca. W jego niskim głosie pobrzmiewała złość.

A przecież Timmy nie chciał go zdenerwować. Usłyszał kliknięcie metalu i zainteresował się, jakie narzędzia ma w swoim worku ksiądz Keller.

– Nie wiem, czemu mama kazała mu odejść. To chyba miało coś wspólnego z tą cycatą dziwką, recepcjonistką – odparł, starając się dokładnie powtórzyć podsłuchane słowa mamy.

Tym razem ksiądz spojrzał na niego, a przenikliwe niebieskie oczy wywołały u Timmy’ego gęsią skórkę. Oczy ojca Kellera były zazwyczaj dobre i ciepłe. Ale teraz... te oczy... nie, to niemożliwe! Timmy’emu zrobiło się niedobrze, poczuł gorzki smak w ustach. Obejmujące go ciarki zaczynały się w czubkach palców i biegły dalej.

– Timmy, nic ci nie jest? – Ksiądz Keller szczerze się zaniepokoił. – Przykro mi, jeśli cię uraziłem.

Timmy się bał. Patrzył w oczy księdza, zahipnotyzowany drastyczną zmianą, jaka w nich zaszła. A może tylko wyobraził sobie to wszystko?

– Timmy – odezwał się łagodnie ksiądz Keller. – Myślisz, że mama i tata zejdą się z powrotem? Że będziecie znowu prawdziwą rodziną?

Timmy przełknął z trudem, upewniając się, że zniknął paskudny gorzki smak.

– Chciałbym – odpowiedział. – Tęsknię za tatą. Jeździliśmy razem na wycieczki, tylko we dwóch. Pozwalał mi zakładać

przynętę na wędkę. Rozmawialiśmy i w ogóle. Fajnie było. Tylko że tata nie umie gotować.

Ksiądz Keller uśmiechnął się, zapinając na zamek błyskawiczny swój marynarski worek, niczego z niego nie wyjmując.

– Tu jesteście – odezwał się raptem dziadek Morrelli, otwierając drzwi kostnicy i zaskakując Timmy'ego i księdza Kellera. – Siostra Richards powiedziała, że winda zjechała na sam dół. Co tu robicie?

Dziadek uśmiechał się, stojąc na progu i przytrzymując drzwi. Miał ręce pełne pakunków z żółtym znakiem „Subwayu". Timmy czuł zapachy pastrami, octu i cebuli, które przebijały się przez wszechogarniającą w tym pomieszczeniu woń środków dezynfekujących.

– Ksiądz Keller zabiera księdza Francisa w podróż. – Timmy spojrzał na twarz księdza i z radością zobaczył na niej uśmiech. Potem rzekł do dziadka: – Całkiem tu jak w „Archiwum X", no nie?

ROZDZIAŁ STO PIERWSZY

Nick zwolnił, kiedy zauważył zaciśniętą, pobladłą twarz Maggie. Bolało ją, to oczywiste, jak oczywiste było również to, że nie przyznawała się do tego.

Piątkowy tłum zapełniał lotnisko Eppley. Kobiety i mężczyźni podróżujący w interesach spieszyli do domu. Urlopowicze i ci, którzy wybierali się tylko na weekend, poruszali się niemrawo, ciągnąc za sobą zbyt wiele domowego dobytku, żeby móc naprawdę wyrwać się z codziennej rutyny.

Pani O'Malley, gospodyni u św. Małgorzaty, powiedziała Nickowi, że ksiądz Keller ma lot o drugiej czterdzieści pięć i że wiezie ciało księdza Francisa na miejsce wiecznego spoczynku. Kiedy Nick poprosił do telefonu Raya Howarda, oświadczyła, że on również się ulotnił.

– Nie widziałam go od śniadania – powiedziała. – Ciągle gdzieś znika, mówi, że załatwia sprawy księdza Kellera, ale nigdy nie wiem, czy można mu wierzyć. – I dodała konspiracyjnym szeptem: – On jest jakiś dziwny.

Nick starał się zignorować ostatnią uwagę. Spieszył się i nie był ciekaw, co wylęgło się w paranoicznym mózgu siedemdziesięciodwuletniej kobiety. Miał zamiar trzymać się tylko faktów.

– Gdzie ma być pochowany ksiądz Francis?

– Gdzieś w Wenezueli.

– W Wenezueli? Jezu. – Pani O’Malley zapewne nie dosłyszała słowa „Jezu”, bo wtedy wygłosiłaby Nickowi kazanie na temat wymawiania imienia Bożego nadaremno.

– Ksiądz Francis był zakochany w tamtym kraju – dorzuciła, zadowolona, że może popisać się wiedzą i cieszyć uwagą Nicka. – Tam była jego pierwsza parafia po seminarium. Mała biedna wiejska parafia. Nie pamiętam, jak się nazywa. Ksiądz Francis wciąż opowiadał o ślicznych dzieciaczkach o brązowej skórze i o tym, że wróci tam któregoś dnia. Wielka szkoda, że wraca w takich okolicznościach.

– Pamięta może pani, czy jest tam blisko jakieś większe miasto? – przerwał jej Nick.

– Nie, tego nie mogę powiedzieć. Te wszystkie obce nazwy tak trudno zapamiętać i trudno wymówić. Ksiądz Keller wraca za tydzień, nie może pan poczekać?

– Nie, niestety nie mogę. A numer lotu albo linie?

– O rety, nie wiem, czy coś wspominał. Może TWA… nie, United, chyba tak. Odlatuje o drugiej czterdzieści pięć z Eppley – dodała, jakby tylko to chciał wiedzieć.

Nick spojrzał na zegarek. Dochodziło wpół do trzeciej. Rozdzielili się z Maggie przy kasach biletowych, bijąc w oczy odznakami, żeby przedostać się przez tłum i bez kolejki podejść do lady.

Na wysokiej kobiecie z TWA odznaka prowincjonalnego szeryfa nie zrobiła wrażenia. Nick żałował, że nie jest z FBI, jak Maggie. Pomógł sobie uśmiechem i komplementem. Surowa mina pracownicy TWA odrobinę złagodniała,

chociaż zmiana była ledwo dostrzegalna. Kobieta miała mocno ściągnięte do tyłu włosy, co nadawało jej oficjalny, nieprzystępny wygląd. Być może dlatego też miała tak wąskie usta, które ledwie się poruszały, kiedy się odzywała.

– Przykro mi, szeryfie Morrelli. Nie mogę zdradzić panu listy pasażerów ani informacji o żadnym z nich. Proszę, zatrzymuje pan kolejkę.

– Okej, okej. A loty? Macie teraz jakiś lot do Wenezueli, powiedzmy... – Spojrzał na zegarek. – W ciągu dziesięciu, piętnastu minut?

Sprawdziła na ekranie komputera, nie przejmując się westchnieniami i szuraniem butów w kolejce za Nickiem.

– Jest lot do Miami, z którego można się przesiąść na międzynarodowy do Caracas.

– Świetnie. Które wyjście?

– Wyjście numer jedenaście, ale ten samolot poleciał już o drugiej piętnaście.

– Jest pani pewna?

– Zupełnie pewna. Mamy znakomitą pogodę. Wszystkie odloty są zgodne z rozkładem. – Spojrzała za niego, na niskiego siwowłosego mężczyznę, który chciał oddać swój bilet.

– Może pani sprawdzić, czy na pokładzie była trumna? – spytał Nick, czując łokieć mężczyzny na swoich plecach.

– Słucham?

– Trumna, nieboszczyk. – Tym razem poczuł na sobie wzrok z nagła zaciekawionych kolejkowiczów. – Pewnie była nadana jako bagaż. Jestem przekonany, że nie naruszam

praw nieboszczyka. – Przywołał na twarz kolejny czarujący uśmiech. Ktoś zachichotał za jego plecami.

Kobieta była niezadowolona. Jeszcze mocniej zacisnęła wąskie usta.

– Nie wolno mi wyjawiać żadnych informacji. A teraz przepraszam pana.

– Wie pani, że mogę wrócić tu z nakazem sądowym jeszcze dziś po południu. – Koniec z panem Przyjemnym. Szybko tracił cierpliwość, a czas uciekał.

– To dobry pomysł. Następny, bardzo proszę, kto z państwa następny? – powiedziała, przesuwając się, żeby obsłużyć starszego mężczyznę, który podszedł do lady, rzucając Nickowi spojrzenie pełne złości i zniecierpliwienia.

Nick zbliżył się do Maggie.

– Bardzo dziękuję – mówiła właśnie do kasjera United, po czym poszła za Nickiem do rogu sali, z dala od tłumu.

Wyglądała kiepsko, była jeszcze bledsza, jeśli to w ogóle możliwe. Chciał ją zapytać, jak się czuje, ale kiedy jechali na lotnisko, co najmniej z pięć razy usłyszał, że świetnie.

– TWA ma lot do Miami, który ma połączenie do Caracas – poinformował Nick, patrząc na jej twarz.

– Chodźmy. Które wyjście? – Nie ruszyła się, opierając się o ścianę, jakby chciała złapać oddech.

– Poleciał dwadzieścia minut temu.

– Spóźniliśmy się? Keller był na pokładzie?

– Nie chciała mi powiedzieć. Chyba będzie nam potrzebny nakaz sądowy. Co teraz robimy? Warto tam w ogóle lecieć, próbować go szukać, zanim się przesiądzie? Jak doleci do

Ameryki Południowej, możemy go nigdy nie znaleźć. Maggie?

Słucha go czy nie? To nie ból odwrócił jej uwagę. Wbiła wzrok gdzieś nad jego ramieniem.

– Maggie? – spróbował raz jeszcze.

– Chyba znalazłam Raya Howarda.

ROZDZIAŁ STO DRUGI

Maggie natychmiast zauważyła, że Nick jest zakłopotany. Jej też to uczucie nie było obce. Zakłopotanie było bliskie frustracji, a może to frustracja była bliska paniki.

– Pewnie odwoził Kellera na lotnisko – powiedział Nick niskim, ściszonym głosem, chociaż Howard był daleko od kas i nie mógł ich słyszeć.

– Raczej nie zabieram ze sobą bagażu, kiedy odwożę kogoś na lotnisko – odparła Maggie.

Duży marynarski worek musiał być ciężki, bo Howard pod jego ciężarem kulał bardziej niż zwykle. Był w swoim typowym stroju: uprasowane na kant brązowe spodnie, biała koszula i krawat. Granatowy blezer zastąpił kardigan.

– Powiedz mi jeszcze raz, dlaczego go nie podejrzewasz – poprosił Nick, nie spuszczając wzroku z Howarda.

Maggie nie mogła sobie przypomnieć żadnego powodu, w końcu jednak powiedziała:

– Utykanie. Morderca prawdopodobnie niósł chłopców do lasu. Timmy jest pewien, że facet nie utyka.

Patrzyli, jak Howard studiuje rozkład lotów, a następnie rusza ku ruchomym schodom.

– Nie wiem, Maggie. Ten worek musi sporo ważyć.

– Tak, faktycznie – potwierdziła i szybko pomaszerowała w stronę ruchomych schodów, a Nick za nią.

Howard zawahał się, zanim ostrożnie postawił stopę na pierwszym stopniu.

– Panie Howard! – zawołała Maggie.

Howard zerknął przez ramię, chwycił się poręczy i błyskawicznie przeskoczył dwa stopnie. W jego jaszczurczych oczach pojawił się lęk. Zaczął zbiegać, torując sobie drogę workiem, uderzając i popychając ludzi po drodze.

– Pobiegnę schodami – rzucił Nick i pognał do wyjścia bezpieczeństwa.

Maggie ruszyła za Howardem, wyciągając rewolwer przed siebie.

– FBI! – krzyknęła, przebijając się przez tłum.

Zdumiało ją tempo Howarda. Przedzierał się, omijając wózki bagażowe i przeskakując zapomnianą przez kogoś klatkę z kotem. Odsuwał podróżnych, przewrócił niewysoką kobietę o niebieskich włosach i wpadł w grupę japońskich turystów. Wciąż odwracał się, sprawdzając, gdzie jest Maggie, oddychał przez otwarte usta, na czole lśnił mu pot.

Zbliżała się do niego, chociaż i ona miała kłopot z oddychaniem. Zdawało jej się, że jej chrapliwy oddech wydostaje się z wentylatora, a nie z jej własnych płuc. Nie zważała na piekący ból w boku, który zaczął znowu jej doskwierać.

Raptem Howard przystanął, przechwycił wózek bagażowy od osłupiałego pracownika lotniska i szurnął nim ku Maggie. Walizki pospadały. Jedna z nich otworzyła się, wyrzucając kosmetyki, buty, ubrania i posegregowaną

bieliznę na podłogę. Maggie pośliznęła się na parze koronkowych majtek, straciła równowagę i upadła, rozbijając kolanem buteleczkę płynnego podkładu pod makijaż.

Howard ruszył w kierunku parkingu, uśmiechając się do niej przez ramię. Już prawie minął drzwi, tuląc worek. Znowu utykał. Pchnął drzwi w momencie, kiedy Nick chwycił go za kołnierz i odwrócił. Howard padł na kolana, zakrył głowę rękami przed spodziewanym uderzeniem. Ręce Nicka wciąż trzymały go za kołnierz.

Maggie podniosła się z trudem, a pracownik lotniska zbierał rozsypane bagaże.

– Nic mi nie jest – powiedziała, zanim spytał ją o to Nick. Kiedy wsadziła broń na miejsce, poczuła przez bluzkę lepką wilgoć. Jej palce były umazane krwią.

– Jezu, Maggie. – Nick odnotował to natychmiast. Howard też, i uśmiechnął się. – Co tu robisz, Ray? – spytał Nick, zaciskając uchwyt i zmieniając uśmiech kościelnego w grymas bólu.

– Przywiozłem księdza Kellera. Spieszył się na samolot. Czemu mnie gonicie? Nic nie zrobiłem.

– To czemu uciekałeś?

– Eddie mi powiedział, żeby na was uważać.

– Eddie tak powiedział?

– Co jest w worku? – przerwała Maggie.

– Nie wiem. Ksiądz Keller powiedział, że nie będzie tego już potrzebował. Żebym to zabrał.

– Można zajrzeć? – Zabrała mu worek. Jego opór tylko ją zachęcił. Worek był ciężki. Maggie przeniosła go na krzesło i oparła się o aparat telefoniczny, żeby przestało jej się kręcić w głowie.

– To na pewno nie twój bagaż? – spytała, wyciągając znajomy brązowy sweter i kilka starannie wyprasowanych białych koszul. Howard okazał wielkie zdumienie.

Książki o sztuce przyczyniły się znacznie do wagi bagażu. Maggie odłożyła je na bok, bardziej zainteresowana małym rzeźbionym pudełkiem wepchniętym między kilka par bokserek. Na wieczku wyryte były jakieś łacińskie słowa, których nie rozumiała. Zawartość pudełka wcale jej nie zdziwiła: biały lniany ręcznik, mały krucyfiks, dwie świeczki i mały pojemnik z olejem. Zerknęła na Nicka, widząc, jak badawczo wpatruje się w przedmioty, ogarnięty narastającą wściekłością. Następnie sięgnęła pod stos gazetowych wycinków leżących na dnie pudełka. Wyciągnęła stamtąd parę małych chłopięcych majtek owiniętych ciasno wokół lśniącego noża do ryb.

ROZDZIAŁ STO TRZECI

Niedziela, 2 listopada

Maggie wystukała kolejny kod na klawiaturze i czekała. Jej laptop był straszliwie powolny. Ugryzła kęs bułki z jagodami domowej roboty, specjalna dostawa, jakżeby inaczej, z „Wanda's Diner". Usiadła i rozejrzała się po hotelowym pokoju, przytupując nerwowo, co jednak nie przyspieszyło pracy komputera.

Była już spakowana. Wzięła prysznic i ubrała się kilka godzin temu, ale lot miała dopiero w południe. Pomasowała zesztywniały kark i wciąż nie mogła uwierzyć, że przespała całą noc na krześle z twardym oparciem. Jeszcze bardziej zdumiało ją, że ani razu tej nocy nie nawiedziła jej wizja Alberta Stucky'ego.

Znudzona sięgnęła po grube niedzielne wydanie „Omaha Journal". Nagłówki tylko bardziej ją zirytowały, chociaż cieszyła się, że Christine wróciła na pierwszą stronę. Niezłomna dziennikarka wyrzucała z siebie artykuły nawet na szpitalnym łóżku. Dobrze chociaż, że byli z Timmym cali i bezpieczni.

Maggie przejrzała artykuł. Christine trzymała się faktów, sensacyjne wnioski rezerwując dla cytatów ekspertów. Maggie znalazła swoje słowa i odczytała je już po raz trzeci.

Agentka Maggie O’Dell, specjalistka z FBI od portretu psychologicznego morderców, wyznaczona do pomocy w tej sprawie, powiedziała, że „to mało prawdopodobne, aby Gillick i Howard współpracowali ze sobą. Seryjni mordercy to samotnicy”.

Mimo to prokurator okręgowy oskarżył obu mężczyzn: zastępcę szeryfa Eddiego Gillicka i kościelnego Raymonda Howarda o zamordowanie Aarona Harpera, Erica Paltrowa, Danny’ego Alvereza i Matthew Tannera. Osobne oskarżenie dotyczy porwania Timmy’ego Hamiltona.

Ktoś zastukał do drzwi. Maggie odrzuciła na bok gazetę i sprawdziła ekran monitora. „Ponowne łączenie”, twierdził napis, któremu towarzyszyło niskie pomrukiwanie i seria bipów. Był niedzielny ranek. Dlaczego tak długo nie może się połączyć?

Idąc do drzwi, zerknęła na zegarek. Spieszył się. Ma jeszcze najwyżej czterdzieści minut do wyjazdu na lotnisko.

Gdy tylko otworzyła drzwi, pojawił się ten nieproszony taniec serca. Nick stał przed nią z uśmiechem na ustach. Włosy opadały mu na czoło. Niebieskie oczy iskrzyły, jakby dzielił z nią jakąś wyjątkową tajemnicę. Miał na sobie czerwoną koszulkę i niebieskie dżinsy, jedno i drugie niemiłosiernie opięte. Wymienili powitanie i Nick wszedł do pokoju. Przyłapała się na tym, że lustruje go od tyłu.

– Ciepło chyba dzisiaj – usłyszała własne słowa. Tak, pogadają o pogodzie. To bezpieczny temat, biorąc pod uwagę prądy, jakie wniósł ze sobą Nick.

– Nie do wiary, że parę dni temu był śnieg. Pogoda w Nebrasce! – Wzruszył ramionami. – Proszę, to dla ciebie. – Podał jej ozdobnie zapakowane pudełko, które na początku umknęło jej uwagi. – Takie tam podziękowanie, prezent na pożegnanie.

Najpierw chciała odmówić, powiedzieć, że nie wypada, i tak to zostawić. Wzięła jednak prezent i nie spiesząc się, odwinęła, świadoma, że Nick ją obserwuje. W pudełku była czerwona koszulka futbolowa z białą siedemnastką na plecach. Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Świetnie.

– Nie spodziewam się, że zastąpi ci Packersów – rzekł z lekkim zażenowaniem w głosie – ale pomyślałem, że powinnaś też mieć koszulkę Nebraska Cornhuskers.

– Dziękuję, bardzo się cieszę.

– Siedemnaście to był mój numer – dodał.

Nagle zwyczajna bawełniana koszulka nabrała dodatkowego znaczenia. Spotkali się wzrokiem, jej uśmiech zniknął, walczyła z tym cholernym trzepotem serca. Nick pierwszy odwrócił wzrok. W takich chwilach zdumiewał ją najbardziej. Arogancki, pewny siebie facet ujawniał skrycie, że jednak jest wrażliwcem.

– A to przesyła Timmy.

Wzięła kasetę i gdy tylko zobaczyła okładkę, na jej twarz powrócił uśmiech.

– „Archiwum X”.

– Powiedział, że jest tam jeden z jego ulubionych odcinków.

Nie miał więcej prezentów, więc wcisnął ręce do kieszeni.

– Na pewno obejrzę i dam mu znać, czy mi się podobało – powiedziała, zdziwiona i zadowolona z obietnicy kontaktu.

Stali, przyglądając się sobie nawzajem. Maggie nie chciała się ruszyć, nie była w stanie. Spędzili razem cały poprzedni tydzień, niemal dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dzielili pizzę i brandy, wymieniali poglądy, walczyli z szaleńcami i świętymi, przeżywali żałobę po nieznanych im chłopcach. Pozwoliła, żeby Nick Morrelli zobaczył jej słabość, na co nie pozwalała dotąd nikomu, nawet sobie. Może dlatego miała wrażenie, że zostawi w Platte City spory kawałek siebie. W małej mieścinie w Nebrasce, o której istnieniu nie miała wcześniej pojęcia. Co się stało z wyniosłą agentką FBI, która za każdą cenę zachowywała chłodny profesjonalizm?

– Maggie...

– Przepraszam – przerwała, niegotowa na ewentualne wyznania. – O mały włos byłabym zapomniała. Próbuję zdobyć jakieś informacje. – Uciekła do stołu w kącie. Komputer wreszcie zdołał się połączyć, nacisnęła kolejne klawisze, zdenerwowana, że drżą jej dłonie.

– Ciągle go szukasz – rzekł Nick, nie dziwiąc się ani nie irytując. Stał za jej plecami, zbyt blisko, żeby mogła spokojnie oddychać.

– Ciało księdza Francisa przewieziono z Caracas ciężarówką do małej wsi, jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów na południe. Zgodnie z biletem lotniczym, Keller powinien

wrócić dzisiaj. Próbuję się dowiedzieć, czy wsiadł do samolotu wracającego do Miami, czy poleciał gdzie indziej.

– Wciąż mnie zadziwia, że możesz zdobyć takie informacje.

Czuła, jak Nick pochyla się, żeby spojrzeć na ekran.

– Na lotnisku – kontynuował – myślałem, jak to fajnie mieć takie wejścia jak FBI, zamiast świecić im w oczy moją nędzną odznaką szeryfa. Nie miałem tam nic do powiedzenia.

– Mam nadzieję, że przestałeś się już przejmować, że ktoś cię uzna za niekompetentnego?

– Tak, przestałem – odparł pewnym głosem.

Wreszcie na ekranie ukazała się lista pasażerów lotu 1692 TWA. Maggie szybko znalazła na niej wielebnego Michaela Kellera. Samolot już był w powietrzu.

– To wcale nie znaczy, że poleciał.

– Wiem. – Wymknęła się spomiędzy komputera i Nicka, i dopiero wtedy odwróciła się do niego.

– Co będzie, jeśli nie wróci?

– Znajdę go – powiedziała po prostu. – Jak brzmi to przysłowie? Co ma wisieć, nie utonie.

– Nawet jeśli go znajdziesz, nie mamy na niego żadnego dowodu.

– Naprawdę wierzysz, że Eddie Gillick albo Ray Howard zabili tych chłopców?

Zawahał się.

– Nie jestem pewny, jaką rolę, jeśli w ogóle jakąś, odgrywał Eddie w tych morderstwach. Ale Howarda, jak

wiesz, podejrzewałem od początku. Sama zobacz, Maggie. Znaleźliśmy go na lotnisku z tym, co mogło być narzędziem zbrodni.

Zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

– On nie odpowiada portretowi psychologicznemu.

– Może i nie, ale wiesz co? Nie chcę spędzić ostatniej godziny z tobą na rozmowie o Eddiem Gillicku, Rayu Howardzie czy księdzu Kellerze.

Podszedł do niej powoli, ostrożnie. Nerwowym ruchem odgarnęła włosy z twarzy. Wsadziła kosmyk za ucho.

Dotknął jej lekko i patrzył na nią tak, jakby była jedyną kobietą na świecie. Mogła zapobiec pocałunkowi, miała taki zamiar, kiedy się ku niej pochylał. Ale kiedy poczuła dotyk jego ust, cała jej energia skupiła się na tym, żeby utrzymać się na nogach. Skoro nie protestowała, całował ją tak mocno, że zdawało jej się, iż pokój dostał kręćka. Nawet kiedy już przestał, nie otwierała oczu, żeby złapać oddech i zatrzymać to wirowanie.

– Kocham cię, Maggie O’Dell.

Natychmiast uniosła powieki. Jego twarz była tuż-tuż, patrzył bardzo poważnie. Wiedziała, jak trudno przyszły mu te słowa. Odsunęła się.

– Nick, ledwie się znamy. – Ten przeklęty rwący się oddech. I to po jednym tylko pocałunku.

– Nigdy tego nie czułem, Maggie. Wcale mnie nie rajcuje, że jesteś mężatką. Nie o to chodzi, o żadną pikantną grę. Nie umiem tego wyjaśnić.

– Nick...

– Proszę, pozwól mi dokończyć.

Czekała, oparła się o szafę. Tę samą szafę, do której przywarła tamtej nocy, kiedy tak niebezpiecznie zbliżyli się do siebie.

– Wiem, że to tylko tydzień, ale zapewniam cię, działam impulsywnie w sprawach... no w sprawach seksu, ale nie... gdy chodzi o uczucia. Nigdy żadnej kobiecie nie powiedziałem, że ją kocham.

Brzmiało to jak wyuczony wers, ale jego oczy mówiły, że to prawda. Chciała coś odpowiedzieć, lecz uniósł rękę.

– Nie spodziewam się, że moje słowa wpłyną na twoje małżeństwo. Ale chciałbym, żebyś wyjeżdżała, wiedząc, co czuję, na wypadek gdyby miało to jakieś znaczenie. A nawet jeśli nie ma, jak przypuszczam, i tak chcę, żebyś wiedziała, że... kocham cię szaleńczo, głęboko, beznadziejnie. Zwariowałem na twoim punkcie, Maggie O’Dell.

Teraz on czekał, lecz Maggie nie mogła wykrztusić słowa. Ściskała blat kredensu, żeby nie rzucić się Nickowi w objęcia.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Nie musisz nic mówić. – Jego oczy to potwierdzały.

– Mam dla ciebie wiele uczuć. – Walczyła ze słowami. Nie wyobrażała sobie, że nigdy już się nie spotkają. Ale co ona wie o miłości? Czyż nie była zakochana w Gregu, dawno dawno temu? Czyż nie przysięgała mu dozgonnej miłości? – Teraz sytuacja jest rzeczywiście trudna – powiedziała i chciała się kopnąć. Otworzył przed nią serce, zaryzykował, a ona jest taka praktyczna i racjonalna.

– Wiem – odparł. – Ale może to się zmieni.

– To wiele zmienia, Nick.

To proste zdanie przyniosło mu ogromną ulgę.

– Wiesz co – zaczął, a jej serce wyrywało się, żeby powiedzieć mu, co naprawdę czuje. – Dzięki tobie lepiej poznałem siebie, nauczyłem się czegoś o życiu. Do tej pory szedłem wydeptanymi przez ojca śladami i... i było mi tak wygodnie.

– Jesteś dobrym szeryfem, Nick.

– Dzięki, ale nie tego chcę – ciągnął. – Podziwiam cię za to, jak bardzo cenisz sobie swoją pracę. Twoje poświęcenie, twój upór. Nie zdawałem sobie dotąd sprawy, że tęsknię za czymś, czemu mógłbym być tak oddany.

– To kim chce zostać Nick Morrelli, kiedy dorośnie? – spytała z uśmiechem, bardzo pragnąc go dotknąć.

– Kiedy studiowałem prawo, pracowałem w biurze prokuratora okręgowego Suffolk w Bostonie. Zawsze powtarzali, że chętnie przyjmą mnie z powrotem. Minęło sporo czasu, ale chyba do nich zadzwonię.

Boston. Tak blisko, pomyślała.

– To świetnie – rzekła, licząc w myśli odległość dzielącą Quantico od Bostonu.

– Będę za tobą tęsknił – powiedział.

Wytrącił ją z równowagi, kiedy już sądziła, że nic jej nie grozi. Na pewno zobaczył strach w jej oczach, bo szybko zerknął na zegarek.

– Powinniśmy już jechać na lotnisko.

– Tak. – Spotkali się wzrokiem. Ostatnia okazja, żeby mu powiedzieć. A może będzie ich jeszcze całe mnóstwo?

Minęła go, zamknęła komputer i wsunęła go do torby. Nick wziął walizkę, ona torbę podręczną. Byli już u drzwi, kiedy zadzwonił telefon. Maggie chciała go zlekceważyć, ale zawróciła pospiesznie i chwyciła słuchawkę.

– Maggie O'Dell.

– O'Dell, cieszę się, że cię złapałem.

Dzwonił dyrektor Cunningham. Nie rozmawiała z nim od kilku dni.

– Właśnie wyjeżdżam.

– Świetnie. Wracaj jak najszybciej. Delaney i Turner będą na ciebie czekać na lotnisku.

– Co się dzieje? – Zerknęła na Nicka, który zaniepokojony wrócił do pokoju. – Potrzebuję goryli? – zażartowała, lecz zaraz potem zdenerwowała się, bo szef zbyt długo milczał.

– Chciałem, żebyś się dowiedziała, zanim usłyszysz coś w wiadomościach.

– Ale co?

– Albert Stucky zwiał. Przenosili go z Miami do więzienia o najwyższym stopniu zabezpieczenia na Florydzie. Stucky odgryzł ucho jednemu ze strażników, a drugiego zasztyletował... drewnianym krucyfiksem. Odstrzelił im głowy ich własną bronią. Poprzedniego dnia jakiś ksiądz katolicki odwiedził go w celi. To pewnie on zostawił krucyfiks. Nie chcę cię martwić, Maggie. Złapaliśmy go przedtem, złapiemy i teraz.

Ale Maggie miała w uszach tylko jedno zdanie: „Albert Stucky zwiał”.

EPILOG

Tydzień później
Chiiuchiin, Chile

Słońce grzało niewiarygodnie, wprost bajecznie. Bosymi stopami pokonywał skalisty brzeg. Drobne draśnięcia i otarcia nie były wysoką ceną za ciepło fal omywających stopy. Pacyfik rozciągał się w nieskończoność, jego wody odradzały, jego siła obezwładniała.

Za nim góry Chile odgradzały ten raj, gdzie żyli biedni, tyrający rolnicy, głodni uwagi, odrobiny szacunku i zbawienia. Do maleńkiej parafii należało około pięćdziesięciu rodzin. Niewiele czasu upłynie, a wtopi się w tę społeczność, stanie się kimś niezbędnym, kochanym, wręcz wielbionym. Odda te uczucia z nawiązką, pomoże pokrzywdzonym przez los ludziom w ich codziennych trudach, w ich drodze do łaski Najwyższego.

Było po prostu idealnie. Od przyjazdu prawie całkiem ustało pulsowanie w głowie. Może zniknęło na dobre. Może rozpoczął naprawdę nowe życie?

Chłopcy o smagłej skórze, ubrani tylko w szorty, gonili za piłką, biegnąc ku niemu. Dwaj z nich znali go z porannej mszy. Gestykulowali żywo i coś wołali. Zaśmiał się, kiedy przekręcili jego nazwisko. Gdy zebrali się wokół niego, głaskał czarne czupryny i uśmiechał się. Ten malec

w podartych niebieskich spodenkach miał takie smutne oczy, przypomniał mu jego samego sprzed lat.

– Nazywam się Keller – poprawił. – Nie Killer.

Tytuł oryginału:
A Perfect Evil

Pierwsze wydanie:
Mira Books, 2000

Redaktor prowadzący:
Mira Weber

Korekta:
Bronisława Dziedzic-Wesołowska

© 2000 by S.M. Kava
© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2003, 2008

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiejkolwiek formie

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiekolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin Polska sp. z o. o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lok. 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 9788323896807

Konwersja do postaci elektronicznej:
Legimi Sp. z o.o.